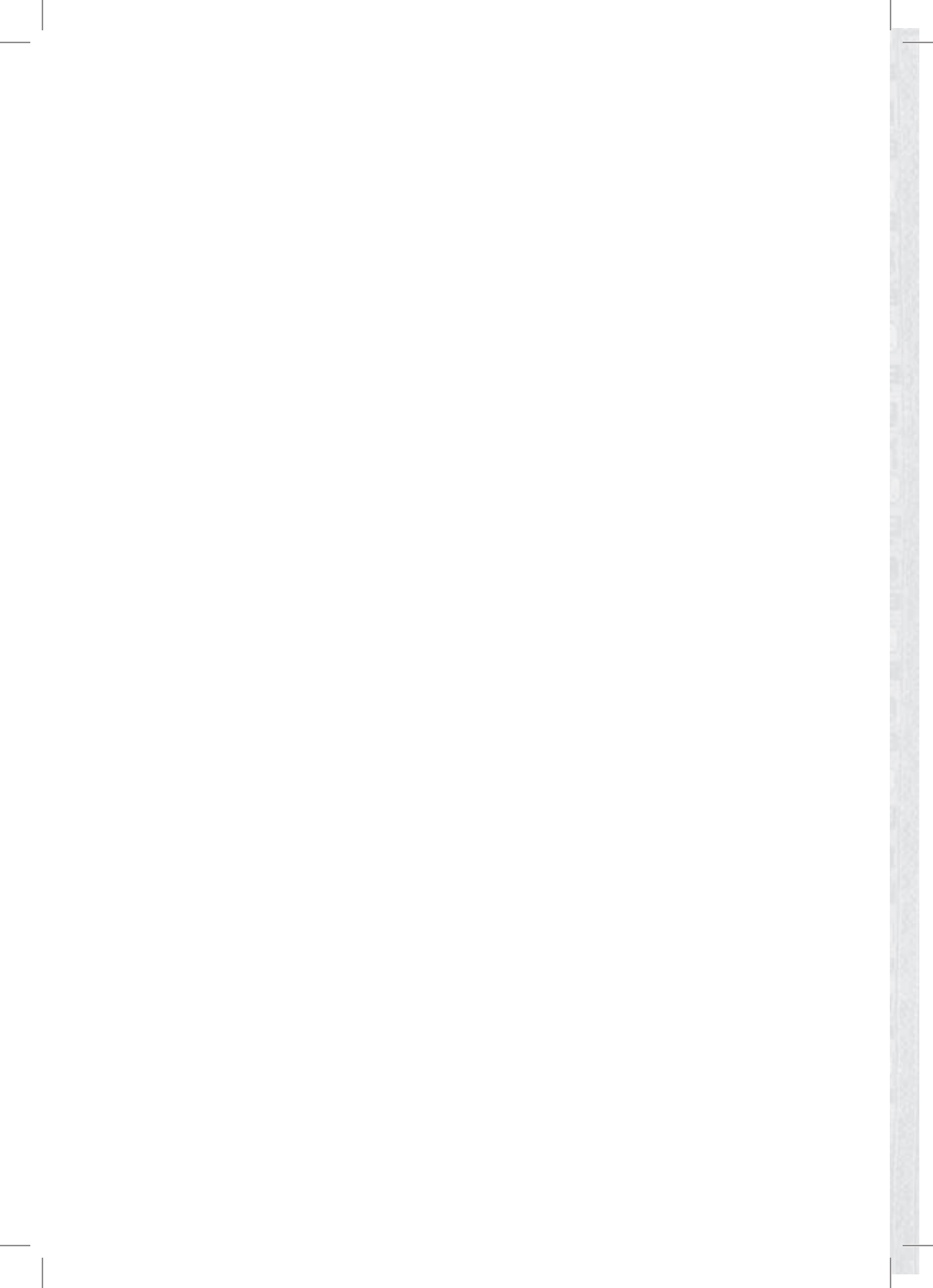


**NIEDOKOŃCZONA
TATARSKA
OPOWIEŚĆ**



SULEJMAN MUCHARSKI

NIEDOKOŃCZONA TATARSKA OPOWIEŚĆ



Muzułmański Związek Religijny w Rzeczypospolitej Polskiej
Najwyższe Kolegium Muzułmańskie

Wrocław 2015
(1436/1437 według kalendarza muzułmańskiego)

Redakcja: Musa Czachorowski

Korekta: Barbara Pawlic-Miśkiewicz

Tłumaczenia (angielski, litewski, rosyjski):
Tatjana Čachorovska
Daniel Czachorowski

Projekt okładki: Musa Czachorowski

Skład i łamanie: Robert Błaszak

Wydawca:  **MZR**
Muzułmański Związek Religijny w RP
Najwyższe Kolegium Muzułmańskie
15-207 Białystok, ul. Piastowska 13 F
tel./fax (+48) 85 732 40 23, tel. kom. (+48) 605 612 137
e-mail: mzm@mzm.pl, www.mzm.pl

Copyright by Muzułmański Związek Religijny w RP
Najwyższe Kolegium Muzułmańskie, Białystok 2015

Zrealizowano dzięki dotacji Ministra Administracji i Cyfryzacji

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-938887-0-2

Skład, druk i oprawa:

Agencja Wydawnicza „Argi” s.c.
50-542 Wrocław, ul. Żegiestowska 11
www.argi.pl

PRZYCZYNEK DO HISTORII

Wspomnienia Sulejmana Mucharskiego są kolejną książką, która wyszła spod tatarskiej ręki, a zarazem kolejną ocaloną i opublikowaną staraniem Najwyższego Kolegium Muzułmańskiego MZR w RP. Autor opisuje rzeczywistość głównie ze swojego punktu widzenia, tym samym dając czytelnikowi subiektywny obraz ówczesnej sytuacji społeczno-politycznej. W rezultacie otrzymaliśmy zaskakujące wielokrotnie spostrzeżenia, niepasujące, zdawałoby się, do stereotypowej sylwetki przedwojennego oficera. Można tylko domniemywać, czy pewne sformułowania rzeczywiście oddają autentyczne przekonania Mucharskiego, czy też w jego przeświadczeniu miały stanowić niezbędne, choć niezbyt chciane ustępstwo na rzecz np. ówczesnej cenzury. Nosił się bowiem z niewątpliwym zamiarem publikacji swoich tekstów. Dzisiaj wszakże nie sposób dokonać weryfikacji materiału.

Twórczość Sulejmana Mucharskiego długo pozostawała nieznaną. Dopiero w ostatnich latach kilka jego tekstów ukazało się w tatarskich czasopiśmie. Teraz, przed nami, jego wspomnienia odzyskane z niebytu, niedokończone wprawdzie, ale stanowiące interesujący przyczynek do naszej tatarsko-polskiej historii. Zapraszam do lektury.

Tomasz Miśkiewicz
Mufti Rzeczypospolitej Polskiej
Przewodniczący Najwyższego Kolegium
Muzułmańskiego MZR w RP



PRZEPOWIEDNIE I MARZENIA

Miałem wtedy chyba z dziesięć lat. Jedną z poważniejszych atrakcji w okolicach naszego miasteczka były wojskowe manewry. Car Mikołaj II manifestował siłę militarną rosyjskiego imperium. Robił to w pobliżu granicy drugiego ościennego wielkiego państwa: Prusacy nasłuchiwali dudnienia armat i końskich kopyt.

Biegałem w pole i przyglądałem się żołnierzom, przede wszystkim kozackim pułkom. Patrząc na przejeżdżające sotnie kozackie nie wiedziałem, co bardziej podziwiać: czy piękne osiodłane konie, czy siedzących w siodłach Kozaków. Całość wzbudzała zachwyt. A kiedy zobaczyłem konie w galopie z brzuchami tuż nad ziemią i Kozaków sięgających rękami ku ziemi, by podnieść jakiś przedmiot, byłem tak zafascynowany, że w nocy nie zmrużyłem oka. W ciemności przesuwała się w mojej wyobraźni taśma kolorowej rzeczywistości. Rozgorączkowałem się i nad ranem podobno szepetałem: „Konie... Kozacy... chcę jechać...” – i coś tam jeszcze. Na drugi dzień dosiadałem konia na pastwisku i tłukąc piętami po bokach próbowałem przejść w galop. Przy najmniejszej próbie naśladowania Kozaków leciałem jednak na zbity łeb. Rozczarowany wracałem do domu i nabierałem przekonania o swoim niedołęstwie. Niedołęstwie fizycznym. Skrzydła fantazji też chwilowo mi opadły, aczkolwiek nie na długo.

W tym czasie w naszej stodole wojskowi na równym i twardym glianym klepisku postawili długi stół. Leżało na nim mnóstwo map, nad którymi debatowali wyżsi oficerowie. Na stopniach wojskowych wtedy się nie znałem; sądząc po srebrnych i złotych naramiennikach, byli to pewnie kapitanowie, pułkownicy, a może i sam generał. Ponieważ musiałem często zachodzić do stodoły po różne rzeczy (a czasami udawałem, że muszę), ociągałem się z wyjściem jak najdłużej, aby ukradkiem podglądać oficerów, którzy wodzili kolorowymi ołówkami po mapach i zmrużonymi oczami ze zmarszczkami na czołach zastanawiali się nad tylko im znanymi sprawami. Był to bez wątpienia jeden ze sztabów kierujących manewrami.

Wojskowi zauważyli moje zainteresowanie ich pracą, a może raczej mundurami. Pewnego razu jeden z nich, starszy wiekiem, z szerokimi złotymi naramiennikami, przygarnął mnie do siebie i powiedział:

– Lubisz wojsko, co? A może i ty będziesz oficerem? Chciałbyś nosić taki mundur jak my? I jeździć na koniu?

– Na koniu... – wyszeptalem zarumieniony.

– Wiadomo. Jesteś przecież Tatarczonek, to jakbyś mógł nie lubić koni. Tylko powiedz no mi, dlaczego jesteś taki biały?

– Nie wiem... – bąknąłem zaczerwieniony.

Po blisko dwóch tygodniach sztab pożegnał naszą stodołę. Ten sam oficer (a może generał) zapytał mnie ponownie:

– Więc jak? Będziesz oficerem?

– Będę – odpowiedziałem bez wahania.

Upłynęło jednak dużo czasu, nim w butach z cholewami i ostrogami oraz szabłą u boku znalazłem się w siodle na prawdziwym koniu. Marzyłem w życiu o wielu rzeczach, ale najważniejszą z nich był koń i ostrogi. Manewry odcisnęły na mojej dziecięcej duszyczce pieczęć nie do usunięcia.

Pewnego piątkowego poranka, kiedy po modlitwie siedzieliśmy za stołem przy mile szumiącym samowarze, wpatrzeni w duży, niebieski stożek cukru, ojciec wyjął zza muhuru¹ chamai² i powiedział:

– Zobaczymy, jaka przyszłość ciebie czeka według ksiąg islamu. Spróbuję odkryć tobie fał³.

Oznaczało to odnalezienie przepowiedni na przyszłe życie w świętych księgach Allaha. Nie pamiętam już dobrze sposobu odkrywania fału. Potrzebne do tego było imię i data urodzenia. I rzeczywiście rozdział 6, werset 59 Koranu mówi: „On posiada klucze do tego, co skryte; zna je tylko On sam. On zna to, co jest na lądzie i na morzu. I żaden liść nie spada, żeby On o tym nie wiedział. I nie ma ziarna w ciemnościach ziemi, i nie ma niczego, świeżego czy suchego, co nie byłoby zapisana w księdze jasnej.”

Jeżeli więc nawet uschnięty liść jest zapisany w świętej księdze, to dlaczego nie miałyby być zapisana moja drobna, ale bądź co bądź żywa istota? I widocznie na pewno była, gdyż ojciec odczytał mnóstwo tajemniczo brzmiących rzeczy, z których zapamiętałem tylko jedno: mniej więcej

¹ Wysztywane lub malowane cytaty koraniczne w formie makaty do zawieszenia na ścianie (arab.)

² Modlitewnik Tatarów polsko-litewskich (arab.)

³ Wróżba, omen (arab.)

w trzydziestym roku życia będę poważnie chorował i jeżeli ocaleję, wtedy żywot mój będzie dość długi.

Wróżba częściowo się sprawdziła – miewałem różne nieszczęśliwe przygody w przepowiedzianym mniej więcej okresie życia, no i potwierdziło się, że będę żył aż do śmierci, czego oczywistym dowodem jest moje istnienie na tym kochanym, niespokojnym świecie.

Kozacy na koniach i przepowiednie ojca pobudziły moją wyobraźnię w kierunku przeszłości. Nadszedł okres marzeń wybiegających daleko poza granice naszego miasteczka. Kres mojej ziemskiej wędrówki miał być określony przez Allaha. I tutaj po raz pierwszy w życiu naszły mnie wątpliwości. Jeżeli moja życiowa droga jest z góry wyznaczona przez Wszechmogącego Allaha, to co znaczą moje marzenia? Czy nie szkoda wszelkich zabiegów i dążeń? Czymże jest ludzka wola i jej znaczenie w naszym życiu? Problemy te będą mnie prześladować w niedalekiej przyszłości i przyczynią się do wielu niewłaściwych przedsięwzięć.

Minął rok. O Kozakach powoli zapomniałem. O przepowiedni ojca też. Snułem nowe wizje przyszłości. Będę po prostu inżynierem, ale obowiązkowo inżynierem kolejowym. Dlaczego? Bo pragnąłem mieszkać gdzieś daleko, w mało zaludnionych okolicach, wśród głębokich lasów pełnych grzybów i jagód. W lasach nie grozi mi samotność – żyją tam różne zwierzęta i ptaki, których głosy są niczym muzyczne koncerty. Kolorowe dzięcioły będą wystukiwać czas mijający i obwieszczać światu o leśnej szczęśliwości. I obowiązkowo mały, ładny domek, tuż przy kolejowych torach, bym mógł witać i żegnać przechodzące pociągi. Ludzie będą z zazdrością patrzeć na mnie przez szyby wagonów. A obok mnie ładna żona. I ładne dzieci. Tylko, czy to możliwe, skoro sam jestem brzydki i w dodatku nie wymawiam litery „r” (co pozostanie mi do starych lat).

Nie. Inżynierem kolejowym nie zostanę. To mało romantyczne siedzieć tak na odludziu i nie mieć możliwości walczyć z żywiołem. Będę marynarzem. Nigdy się nie ożenię, by nikt na mnie nie czekał, kiedy będę żeglował po dalekich i wielkich oceanach. Nie ulęknię się wielkich sztormów i burz, by pokazać jaki jestem wytrzymały. Ale dlaczego zachciałem raptem być morskim oficerem? Bardzo prosto: na ścianie wisi fotografia kuzyna, miczmana⁴ czarnomorskiej floty.

Zaraz, zaraz. Przecież ani inżynierowie, ani oficerowie marynarki wojennej nie noszą błyszczących butów z cholewami i brzęczących ostróg.

⁴ Miczman – najniższy stopień oficerski we carskiej flocie rosyjskiej, odpowiednik paporszczyka (chorążego) w wojskach lądowych.

I nie jeżdżą na koniach. Wszystko na nic. Pójdę do szkoły kawaleryjskiej i będę miał upragnione przedmioty, jak ten drugi kuzyn, który paraduje po Kreszczatiku⁵ w Kijowie. Wlecze za sobą po chodniku szablę wygiętą, połyskującą w słońcu. Szabla trzyma się na długich błyszczących paskach, a on na ramionach ma srebrne polety. To jest życie.

I znowu mam przed oczyma sotnię Kozaków w karierze. Marzenia wracają do okresu sprzed dwóch lat. Pierwsze są ponoć najcenniejsze i najtrwalsze. Kiedy w czasie bajramu tańczę na Piaskach polkę-kokietkę i filuternie zaglądam w oczy partnerki, ojciec dumny ze swojego najmłodszego syna powiada:

– Patrzcie jaki z niego zuch. Widać, że będzie oficerem. Tamci starsi niech tam będą sobie urzędnikami, czy nawet ministrami, ale ten to będzie oficerem. Zobaczycie.

Ojciec mój nie znał dobrze ani rosyjskiego, ani polskiego. Można powiedzieć, że był analfabetą. Znajomość Koranu i pisma arabskiego mało się liczyła. Nas, dzieci, wypychał do szkół i w świat. „Niech idą na lżejszy chleb” – mawiał z dumą. Jedynie nasza macocha nie była tym zachwycona. Na tym tle dochodziło między nimi do scysji. Była przeciwna świeckiemu wykształceniu, które w jej przekonaniu zabijało muzułmańską duszę.

– Chcesz wszystkie dzieci wyuczyć na giaurów – mówiła do ojca z wyrzutem. – Już dwóch poszło w giury. Nawet nie nauczyłeś ich modlić się Bogu. Jedzą świninę i tylko patrzeć jak się pożenią z giaurkami. Ja tam wolę, żeby nie umiały czytać i pisać, ale żeby zostały Tatarkami. Żeby o Allahu nie zapomniały i za swoich Tatarów za mąż powychodziły.

Mieliśmy dwie małe siostry przyrodnie i o nie to tak zabiegała.

– Dosyć, już dosyć – uspokajał macochę ojciec. – Gadasz brednie jak czarownica. Nie darmo jesteś taka czarna. Córki swoje będziesz chowała po swojemu, a ja swoich synów wysyłam w świat. Wcale się nie wstydzę, że czasem i wieprzowinę jedzą. Przecież żyją między ludźmi różnymi i nie mogą być dziwakami. Zresztą w Koranie powiedziano, że jeść mięso wieprzowe w pewnych okolicznościach nie jest grzechem. Weź no chociażby rozdział 6, werset 145: „A kto został zmuszony, nie będąc ani buntownikiem, ani przestępcą, to, zaprawdę, twój Pan jest przebaczący, litościwy!”

– Ja tam wieprzowiny nie jadłem i nie będę jadł, bo mam baraninę i cielęcinę – ciągnął dalej. – Ale prosiaki kupię i będę chował, niech tam gadają,

⁵ Kreszczatik, ukr. Chreszczatyk – główna aleja Kijowa.

co chcą. Jeść ich nie potrzebuję, podchowam i sprzedam. O hodowli takiej w Koranie nigdzie nic nie powiedziano.

– Całkiem oszalałeś – lamentowała macocha. – Sam byłeś przez dwa lata imamem, a teraz chcesz chować świnie.

Na nic się jednak zdały jej wyrzuty. Ojciec rzeczywiście pewnego poniedziałku kupił prosiaki. Żreć miało co – w ogrodach pełno zielska. Ale ojciec na hodowli trzody chlewnej się nie wyznawał i wkrótce jeden prosiak zdechł. Resztę sprzedał po swojej cenie Białorusinom. Macocha odniosła zwycięstwo.

Nie było też tak dobrze z nauką synów, jak o tym opowiadał czasami ojciec. Brat, starszy o parę lat ode mnie, nie miał ciągot do wiedzy ogólnej. Posiadał talent, którego ani on sam, ani jego opiekunowie nie potrafili wykorzystać. Kiedy był mały, miał niepospolite zdolności do wszelakiego majsterkowania. Najpierw budował wózki dla zabawy. Liczył chyba czternaście lat, gdy rzeźbił w różnorakie desenie naszą bramę. Po obejrzeniu maszyn rolniczych w sąsiednim folwarku, brał się za struganie różnych patyków i deseczek. Wycinał kółka, zbijał, sklejał i po kilku dniach demonstrował młockarnię lub żniwiarkę. Tryby i trybiki, koła i kółeczka latały przy kręceniu korbą. Najbardziej mnie bawił trzymaniem koniuszka języka na wierzchu z lewej strony w czasie stukania młotkiem. Jego lewa ręka była sprawniejsza od prawej.

Najstarszy brat, nasz właściwy opiekun, zdecydował o oddaniu brata do szkoły rzemieślniczej w Grodnie. Jakie było nasze zdziwienie, kiedy po pierwszym półroczu pewnej nocy w trzaskający mróz zapukał do okna. Pięćdziesiąt wiorst piechotą. Ponieważ był okres Bożego Narodzenia, myśleliśmy, że ma szkolne ferie. Ale minęły dwa tygodnie, a on nie ujawniał żadnej chęci powrotu do szkoły. Wtedy w tajemnicy dobrałem się do jego teczki, w której natrafiłem na świadectwo szkolne za I półrocze:

Język rosyjski	1
Arytmetyka	1
Geografia	1
Historia	1
Kowalstwo	5
Ślusarstwo	5
Maszyny	5

Nawet dla mnie stało się jasne, że braciszka ze szkoły wywalili. Jednocześnie potwierdziło się, że ma prawdziwy talent na majstra. Tylko z tymi przedmiotami ogólnymi mu nie idzie. Jak się później okazało, jedynki miał nie dlatego, że nie dawał rady czegokolwiek się nauczyć, tylko po prostu nie miał do tego chęci. Najzwyczajniej czuł wstręt do wszystkiego, co nie pachniało prawdziwą ręczną robotą. Na tym chwilowo zakończył „studowanie”. Nie pamiętam, żeby mu ojciec odkrywał fał.

WIELKI ŚWIAT

Ledwo śniegi zaczęły znikać z pól pod wpływem marcowego słońca, ledwo zwierzęta otrząsnęły mróz ze swoich grzbietów i zaczęły wychodzić na podwórka, nim zawitała prawdziwa wiosna 1913 roku, już kazano mi szykować się w wielką podróż. I to kolejną, którą dotychczas widziałem tylko z daleka. Miałem udać się do Brześcia nad Bugiem, aby przystąpić do egzaminu do pierwszej gimnazjalnej. Wydarzenie nie byle jakie, zważywszy, że nie tylko nigdy dotąd kolejną nie jechałem, lecz sam miałem odbyć tę podróż. Czwartego oddziału szkoły powszechnej w miasteczku nie dano mi zakończyć: brat naglił z przyjazdem, żeby osobiście przygotować mnie do egzaminu wiosennego.

Przed wyjazdem nie spałem dwie noce. Z zaczerwienionymi oczami i bijącym mocno małym serduszkciem, wioził mnie ojciec przez nasze kochane lasy na stację kolejową w Grodnie. Za wozem biegł nasz niedawno przybrany kundelek Brysik. Zobaczył zająca. Ujadając, pogonił za nim i więcej nie wrócił. Musiał zabłądzić. Była to pierwsza nieprzyjemność, jaka mnie spotkała przy pożegnaniu rodzinnych stron.

Po drodze spotkaliśmy Jankiela wracającego z Grodna. Gdy dowiedział się o celu naszej podróży, cmoknął parę razy ustami i rzekł:

– Uj, panoczku to dobrze. Daj Boże mnie takich synów. Pan masz złoto – nie synów.

– Jankiel tak kraczy, bo nie wie, co z tym starszym.

– Co ze starszym? Jankiel pierwszy raz słyszy – zdziwił się

– Uczyc się nie chce i tyle. Majstrem chce być.

– Czy to kiepsko? Nie każdy musi być uczniem. Czy nasze Żydki uczone? Nie, a jak żyją? Żeby tylko zdrowie i smekałak w głowie nie brakło.

– Smekałkę to mój ma, ale samą smekałką daleko nie zajedziesz.

– Do Grodna na pewno – zaśmiał się Jankiel – i pojechał w stronę miasteczka.

Kilkanaście lat później wspomniałem te ojcowskie słowa, że technika musi iść w parze z teorią, czego nie mógł zrozumieć mój braciszek.

W wagonie nie tyle siedziałem, co stałem: nie mogłem się nadziwić szybkości pociągu, liczyłem słupy telefoniczne i patrzyłem na uciekającą za oknami przestrzeń. Dziwiłem się, że pociąg trzyma się szyn i nie wylatuje w powietrze – przy takiej zawrotnej szybkości, z jaką jeszcze w życiu się nie zetknąłem. Może nawet czterdzieści wiorst na godzinę. Co za piekielna siła parowej maszyny! I wszystko to wymyślił człowiek. Koła rytmicznie stukają i zagłuszają mój wewnętrzny niepokój, spowodowany nie tyle podróżą, ile myślą o Brysiku. Jak będzie żył biedny piesek w lasach? Kto mu da jeść? I znowu moje myśli biegną polami ku ciemnym lasom na horyzoncie.

Pociąg wjechał na ogromny dworzec osobowy. O czymś podobnym nawet nie śniłem. Tłumy przewalają się po peronach. Gubię się. Wypatruję twarzy najstarszego brata, który miał mnie spotkać. Dokoła gwar i hałas. Jestem niby w lesie, ale pełnym ludzi. Lesie hałaśliwym, gdzie trudno skupić rozrzucone po głowie myśli. Brat w rozpiętym płaszczu leci naprzeciw mnie. Jestem uratowany. Nie odzywa się nawet słowem – jakby dopiero co mnie widział (chłodny i spokojny stosunek do mnie będzie cechować go i w przyszłości).

Brat odnajmował pokój z bardzo dużą kuchnią w jednym z wielkich, drewnianych domów, osadzonych na niskich fundamentach, prawie w ziemi. Kuchnia stała się moim pokojem. Po dwóch tygodniach przyjechał również brat-majsterkowicz. W mieście była jakaś huta. Poszedł tam na praktykanta zgodnie ze swoim zamiłowaniem. Ja zabrałem się za wkuwanie arytmetyki i rosyjskiego. Dotychczas znałem dobrze tylko nasz miasteczkowy żargon, składający się ze słów rosyjsko-polsko-białorusko-swojskich. Z tego powodu spotkały mnie pierwsze drwiny ze strony synalków miejscowych urzędników rosyjskich.

Przed egzaminami w poczekalni gwaro. Do pokoju egzaminacyjnego wchodzi po dwóch kandydatów. Niektórzy z nich liczą sobie zaledwie dziesięć lat. Właśnie jeden z takich mikrusów oczekuje ze mną w kolejce na wejście przed oblicze komisji egzaminacyjnej. Chcąc zaznaczyć, że teraz nasza kolejka, powiedziałem głośno:

– Teraz my oboje.

Kilku rozhukanych młodzieńców zaczęło się śmiać. Jeden z nich krzyknął:

– Patrzcie, jak ich zaraz będą kleić na ścianę.

Nie od razu zrozumiałem, o co chodzi. Potem dowiedziałem się, że po rosyjsku „oboj” oznacza tapety. Przestałem być odważny w moich wypowiedziach.

W międzyczasie wyszło z sali egzaminacyjnej dwóch młodzieniaszków i woźny kazał nam wejść. Od drzwi do stołu, przy którym siedzieli poważni starsi nauczyciele w mundurach, leżał zielony chodnik. Za nim, tuż przy stole – piękny perski dywan. Z boków stały czarne tablice, do których nas skierowano, aby rozwiązać zadania arytmetyczne. Zrobiłem to piorunem i mnie pierwszego zaproszono na część ustną przed oblicze komisji. Po odpowiedzi kazano poczekać i zawołano moją kolekę. Coś mu tam źle poszło, zdenerwował się i raptem spod krótkich spodenek pociekła strużka na dywan. Z przejścia posikał się biedaczek, a potem rozplakał. Członkowie komisji po ojcowsku uspokoili go, ale plamę na dywanie widziałem tylko ja, no i czuł to bohater dnia.

Następnego dnia przy egzaminie z rosyjskiego nie widziałem już tego chłopaczka. Widocznie zrezygnował. Ja natomiast pozdawałem na czwórki i piątki. Zostałem przyjęty do pierwszej gimnazjalnej. Przed sobą miałem zasłużone dwa miesiące wakacji.

Potoczyło się leniwe życie. Wszystko odbywało się jakby podwójnie: ściany domu były tak cienkie, że cokolwiek działo się za ścianą można było słyszeć i nieomal widzieć przy pewnej dozie wyobraźni. Tym bardziej, że sąsiadów zza ściany zdążyliśmy z widzenia poznać. On, starszy urzędnik Izby Skarbowej, z krótką bródką i wąsikami, co rano przebiegał przed naszymi oknami. Wiedzieliśmy, kiedy wychodzi, gdyż przed wyjściem było słychać codzienne pożegnanie: „Pocałuj, duszko, swojego tatuńcia”. „Tatuńciem” nazywał siebie nie bez racji – miał już chyba dobrze pod pięćdziesiątkę, kiedy jego „duszka” mogła liczyć niewiele ponad trzydzieści. W dodatku była kobietą zgrabną i stale uśmiechniętą. Na policzkach uwydatniały się czarujące dołki. Dzieci nie mieli.

Pewnego dnia po wyjściu wszystkich do pracy leżałem na swoim łóżku połowym, które stało tuż przy ścianie do pokoju miłych sąsiadów. Leniuchowałem, przewracając się z boku na bok i czytałem książkę. Było koło południa. Raptem za ścianą usłyszałem wyraźnie kroki – i to z pewnością mężczyzny. Poza tym cisza. Przestałem czytać i zamieniłem się w słuch. Po jakimś czasie dało się słyszeć: „Ty nie wiesz, jak ja ciebie kocham” – i ponownie zapadła cisza. „Musiał wrócić mąż – pomyślałem. – Ale tego nigdy nie robił i nie słyszałem też, żeby mówił o jakiejś tam miłości”. Książkę odłożyłem i leżałem nad słuchując. Usłyszałem szept i urywane słowa: „Kocham... kocham ciebie... czujesz jak... ciebie... kocham...” I znowu cicho. Po półgodzinie rozległ się odgłos męskich kroków w kierunku wyjścia. Potem jej lekkie kroki i cisza. Dalej życie toczyło się jak dawniej, aż do powrotu męża z pracy około godziny czwartej po południu, kiedy można było usły-

szeć: „Witaj, duszko, przytul tatuńcia i pocałuj w czółko”. A po obiedzie: „Co za obiadek dzisiaj, duszko, mniam... mniam”.

Zwierzylem się bratu, który chodził do huty. Ponieważ szepty i westchnienia za ścianą powtarzały się regularnie co drugi dzień, brat pewnego dnia koło południa przybiegł do domu z pracy. Nasłuchiwalismy tym razem obaj, leżąc na jednym łóżku. Na odgłosy za ścianą nie trzeba było długo czekać. Najpierw ciężkawe kroki po lekko skrzypiącej podłodze, potem dłuższa cisza i głos: „Bez ciebie, Wieroczka, żyć nie mogę. Czujesz, jak cię kocham? Całą bym cię zjadł...”

Brat zrobił się czerwony. Zamiast nasłuchiwać, patrzyłem na brata i miałem chyba mocno głupią minę, skoro powiedział do mnie: „Możesz być cielakiem, boś jeszcze młody, ale przecież ona ma kochanka”.

– Co to znaczy? – pytałem natarczywie.

– Masz na to czas, żebyś się dowiedział.

I poleciał do pracy. Ja nadal traciłbym zapewne czas na słuchanie życia za ścianą, gdyby nie pewne zdarzenie. Przed godziną ósmą rano, w piękny sierpniowy poranek, Izba Skarbowa została otoczona przez policję. Na jezdni pełno było gapiów, którzy zadzierali głowy w górę i czasem krzyczeli: „Patrzcie, wysunął głowę z komina”. I rzeczywiście, od czasu do czasu ukazywała się głowa umazana sadzą i znikiała z powrotem. Okazało się, że tej nocy złodzieje włamali się do kasy poprzez sufit. Zaalarmowana policja osaczyła opryszków, którzy się ukryli w kominach. Akcja była przygotowana na dobrowolne zejście kasiarzy i oddanie się w ręce sprawiedliwości. Wyczekiwano. Urzędnicy mieli święto w oczekiwaniu na rozstrzygnięcie akcji policyjnej.

Około południa nasz sąsiad skorzystał z zamieszania i wyskoczył do domu. Zdziwił się trochę, że drzwi były jeszcze zatrzaśnięte na haczyk; Wieroczka wyszła w szlafroku i zamieniła się w słup soli, widząc tatuńcia.

– Ja tylko, duszko, wpadłem, żeby ci powiedzieć o możliwym spóźnieniu dziś na obiad, bo okradli kasę – wyjaśnił jej.

Chciał już wyjść, ale akurat uchylły się drzwi, przez które zobaczył na krześle marynarkę.

– Przecież, duszko, wychodząc rano, marynarki na krześle nie zostawiłem... – mamrotał zdziwiony. – A może i zostawiłem... Muszę schować.

I wszedł do pokoju. A wtedy zobaczył to, czego nie powinien był widzieć dla swojego dobra.

Od tego dnia słyszeliśmy za ścianą tylko ciężkie kroki sąsiada. Rano, po zamknięciu mieszkania na kłódkę, wychodził z opuszczoną głową do pracy. Do jego powrotu panowała tam głęboka cisza. Z mieszkania wyszło życie. Została martwa samotność.

Zbliżał się koniec wakacji, jednak nie było mi dane chodzić do gimnazjum. Los, a raczej dekret carski, zdecydował inaczej: brata przenieśli do innego miasta. Musiałem jechać za nim. Nie było tam, niestety, gimnazjum, tylko miejska czteroklasowa szkoła. Na podstawie wiosennych egzaminów zostałem automatycznie przyjęty do pierwszej klasy. W stosunku do pozostałych uczniów uchodziłem za młodego: większość była starsza ode mnie.

W nowym mieście, a raczej mieście, zamieszkaliśmy w dużym pokoju z kuchnią. Stanowiło to połowę domu miejskiego gospodarza Kojalowicza. Okna nasze wychodziły na ulicę. O dwa domy dalej stała niewielka cerkiewka. Głos popa był taki potężny, że w czasie niedzielnego nabożeństwa dobiegał do naszych uszu poprzez zamknięte witrażowe okna cerkwi. Płaciliśmy za to mieszkanie pięć rubli miesięcznie. Naprzeciw naszego mieszkania znajdował się ubogi warsztat szewski. Na stołku siedział całymi dniami szczupły mizerny majster i reperował stare obuwie. Jego żona, kobieta tęga i silna, gotowała nam obiady w naszej kuchni za pięć rubli miesięcznie. Pamiętam, jak brat mój dawał jej codziennie ćwierć rubla na zakupy żywnościowe i wyznaczał menu obiadowe.

Wracając do domu pierwszy i czekałem godzinę na przyjście brata. Przyzwyczajony od dziecka do pitraszenia wszelkiego pożywienia, najczęściej przebywałem w kuchni, pomagając lub przeszkadzając w przygotowaniu obiadu. Szkołę się na „Ludwika do rondla”. Nie myślałem wtedy o walce kobiet o większe prawa od mężczyzn. Również nie zdawałem sobie sprawy, że kobieta jest motorem wszelakiego dobra i zła.

Polubiłem naszą gospość. Kiedy się smażyły kotlety często prowokowałem ją do walki, popisując się swoją siłą. Brat, jedząc przypalone kotlety, zwracał uwagę kucharce, a ta, zarumieniona, odpowiadała: „A bo panicz mnie przeszkadza”. Na czym polegało to przeszkadzanie, nie było mowy. Wkrótce mój dobry humor został zakłócony pewnym wypracowaniem klasowym na temat historyczny.

Podczas lekcji mieliśmy opisać „Bitwę na Kulikowym Polu”⁶. Temat krótki i prosty: o sławie oręża wielkiego księcia moskiewskiego Dymitra⁷, który w roku 1380 rozgromił Tatarów pod dowództwem chana mongolskiego Mamaja⁸. Kulikowe Pole było wielką równiną w guberni tulskiej przy ujściu rzeki Niepriadwy.

⁶ Bitwa między wojskami ruskimi pod wodzą Dymitra Dońskiego a siłami Złotej Ordy dowodzonymi przez emira Mamaja, stoczona 8 IX 1380 r.

⁷ Wielki książę moskiewski i włodzimierski (1350-1389).

⁸ Wódz tatarski, faktyczny przywódca zachodniej części Złotej Ordy (1335?-1380).

Większość uczniów napisało na dwóch-trzech stronicach zwięzłą relację historyczną bitwy, o heroizmie rosyjskich wojaków, o wielkim zwycięstwie Dymitra Dońskiego. Nie podejrzewaliśmy, że opiewanie sławy oręża rosyjskiego było jak najbardziej na czasie ze względu na nadchodzącą wojnę. Ja rozpisałem się na szesnaście stron. Czegoż tam nie było! I opis jesieni (bitwa odbywała się 15 września) z żółtozłotymi liśćmi, i przeciwników z ich strojami i uzbrojeniem, i rzenie koni w czasie szarży spowitej kurzem, i kłębowisko ciał ludzkich. Jęki umierających i strumienie krwi. Wrzawa i tumult. Tylko Allah sam wie, co tam jeszcze. Najbardziej niespodziewany był wynik walki: Mamaj rozgromił ruskich i zabrawszy dużo jeńców i łupu wszelakiego, wycofał się w swoje niezmierzone stepy.

Na drugi dzień profesor rozdał wszystkim wypracowania. Mojetrzymał w ręku. W klasie zapanowała cisza, którą przerwał, patrząc na mnie:

– Uczniowi (wymienił tu moje nazwisko), chociaż jest on dobrym uczniem, musiałem postawić dwójkę. Nie za to, że za dużo napisał niestworzonych rzeczy, o których historia nie wspomina: że napisał raczej fantazję na temat jakiejś tam dowolnej bitwy, ale napisał najgorszą rzecz niezgodną z prawdą historyczną, a mianowicie: Mamaj rozgromił ruskich. Wiadomym jest wszystkim, że było odwrotnie: Dymitr moskiewski właśnie pobił Tatarów.

Cóż... Profesor zapomniał, że byłem i jestem zresztą potomkiem Mamaja i nie mogłem przecież dopuścić, by on właśnie nie odniósł zwycięstwa. Zeszyt z pierwszą dwójką schowałem pod bluzkę i po powrocie do domu spaliłem w kuchni. Dopiero po otrzymaniu matury przyznałem się swoim opiekunom do tego czynu i żałowałem, że nie miałem możliwości odczytania tego „arcydzieła”.

Drugie wydarzenie, które zdarzyło się w szarym życiu naszej ulicy, miało zakończenie bardziej tragiczne. Jednym z sąsiadów był starszy dystyngowany pan, do którego należało kilka drewnianych domków z oszkłonymi werandami. Odnajmował je lokatorom, z których żył bez większych kłopotów. Był typowym przedstawicielem najbogatszego mieszczaństwa naszego miasta. Gospodarstwo prowadziła mu siostrzenica naszej gospoii, dziewczyna młoda, rumiana i czarnooka. Mieszkała w oddzielnym domku. Mógł sobie na to pozwolić: co miesiąc zbierał pokaźne komorne od lokatorów. Bardzo często uczęszczał do cerkwi, której był głównym fundatorem. Nie skłamałby, mówiąc: „Moja cerkiew na mojej ulicy”. Rzeczywiście, jego posiadłości zajmowały prawie całą naszą niedługą ulicę.

Maj, fatalnego 1914 roku, był wyjątkowo piękny i ciepły. Przy wszystkich ganeczkach naszej ulicy pachniały liliowe bzy. Wróble jak szalone

ćwierkały po krzewach i uganiały się zawzięcie po gałęziach drzew z małenkimi, zielonymi listeczkami. Władze szkolne wykorzystały słoneczne dni, by zwieźć nas do Puszczy Białowieskiej. Pierwszy raz w życiu stanąłem oko w oko ze stadem potężnych żubrów z mocnymi karkami, na których rozpościerały się kudłate grzywy. Szerokie mocne piersi wskazywały na niecodzienną siłę tych niepospolitych zwierząt. Stały wpatrzone nieruchomymi ślepiami w naszą klasę i trudno było powiedzieć, kto komu bardziej się dziwi. Nie spodziewały się zapewne, że za kilkanaście miesięcy przyjdą tu cywilizowani ludzie z Zachodu, by je wyniszczyć.

Potem zwiedziliśmy muzeum przyrodnicze ze sporą ilością okazów rozmaitego ptactwa i zwierząt. Wróciłem z wycieczki szkolnej wcześniej. Gospościa przygotowywała obiad. Nim zdążyłem zajrzeć do rozkładu lekcji na następny dzień, drzwi pokoju raptem się otworzyły, przez które wrzucona niby wichrem wleciała siostrzenica naszej kucharki i wrzasnęła:

– Mój pan umarł!

– Co znaczy umarł? – zapytała ciotka.

– No, powiadam... umarł... nie żyje...

– Jak to?! Wziął i umarł?

– Od razu... Może jedną minutę żył i to nie wiem...

– Bzdury. Jeszcze dziś go rano widziałem, jak szedł do cerkwi, może do batiuszki. Zdrowy jak rydz. Jak zwykle jedną ręką gładził bródkę, a drugą gmerał przy dewizce zegarka. Gadaj no mi do rzeczy, dziewczyno!

– Mój pan umarł na mnie...

– Co ty pleciesz?!

– I znowu cioci źle... Wszystko mam od początku? Po obiedzie pozmywałam naczynia i przyłożyłam się na swoim łóżku odpocząć. Mój pan przysiadł się na skraju łóżka i powiada: „Posuń się trochę, ja się przyłożę”. Posłuchałam. Zaczął mnie ścisnąć, zrobił się taki najpierw czerwony, a potem aż siny. Nie obejrzałam się, jak mój pan przestał oddychać i zwałił się jak kłoda.

– Przynajmniej nie gadaj tych głupstw nikomu obcemu. Leć po doktora i batiuszkę.

– Już tam są.

– I pytali ciebie?

– Pytali.

– I co powiedziałaś?

– No, że położył się po obiedzie odpocząć i umarł.

– I tak zawsze mów, bo narobisz sobie biedy.

– Bieda to już jest.

- Jaka znowu bieda?
- Pan mój obiecywał mnie domek, a teraz wszystko przepadło.
- Trzeba było prosić, żeby odpisał.
- A skąd ja wiedziałam, że tak się skończy.
- Głupiaś ty moja, Anusia, głupiaś, chociaż dawno skończyłaś lat dwadzieścia.

Stałem przed oknem, trzymając w ręku rozkład zajęć. Widziałem niedużo. Całą uwagę skupiłem na słuchaniu urywków gorączkowej rozmowy kucharki z siostrzenicą. Nie bardzo rozumiałem, o co chodzi, ale wiedziałem, że stało się coś strasznego w podejrzanych okolicznościach. Siostrzenica wciąż popłakiwała, potem obie wyszły. Tego dnia musieliśmy sami wziąć obiad i zmywać naczynia.

WAKACJE I WOJNA

Mimo ody na cześć Mamaja, który naprawdę poniósł klęskę na Polu Kulikowym, zostałem promowany do drugiej klasy jako jeden z najlepszych uczniów. Dokuczano mi, co prawda, dłuższy czas tym Mamajem, ale raczej w sposób żartobliwy. Z nosem zadartym do góry pojechałem na wakacje do rodziny, jeżeli dom prowadzony przez macochę można tak nazwać. Wróciłem do zaczarowanego świata dzieciństwa, ale już nieco z innymi poglądami: przybyłem z wielkiego świata, który dawniej był dla mnie wielką niewiadomą. Ubrany jak nigdy dotychczas czułem się obco na własnych niegdyś śmieciach. Dawni koledzy podchodzili z pewnym zażenowaniem. Jedynie koleżanki były raczej dumne z mojego szkolnego mundurku.

Po tygodniu przełamaliśmy lody, gdy wszyscy przekonali się, że moje wnętrze pozostało takie samo w stosunku do spraw naszego dzieciństwa. Ładne buciki poszły w kąć i wyruszyłem boso nad rzeczkę, gdzie jak dawniej pluskałem się z kolegami w jej płytkich wodach. Brykałem po łąkach nad rzeczka niby wypuszczony ze stajni źrebak. Wdychałem rodzinne powietrze jak zbawienny balsam i cieszyłem się każdym przelatującym motylem i każdym wielkim zielonym konikiem polnym. Opanowało mnie jakieś uczucie w stosunku do wszystkiego co żyje, jakbym wrócił nie wiadomo skąd. Zauważyłem u siebie zniknięcie resztek okrucieństwa, tak często charakterystycznego dla dzieciństwa. Ze wstydem wspominałem dokuczanie kotom lub obrywanie skrzydełek muchom. Pozytywne traktowanie wszystkiego żywych istot było chyba rezultatem czytania różnych książek i poznania, chociaż teoretycznie, szerszego świata i ludzi. Dała mi to nie tyle pierwsza klasa szkoły, co nieustanna chaotyczna lektura wszystkiego, co trafiło w moje ręce. Kontroli żadnej pod tym względem nie miałem i kierowałem się własnym instynktem i częściowo zamiłowaniem.

Złe i dobre strony dzieciństwa zaciążyły na mnie na długie lata życia i będą prowadzić mnie przez różne kraje i obce obyczaje, których nie zawsze będę zdolny pojąć. W każdym drgnięciu najcieńszego nerwu, przy każdym silniejszym uderzeniu serca będzie odzywało się dzieciństwo pełne dziwów

i czarów, które przybierały fantastyczne obrazy dzięki chorobliwej wprost wyobraźni. Ziarna zasiane kiedyś kiełkują, dając o sobie znać. Ucinanie łądyg nie zawsze bywa skuteczne: korzenie głęboko zapuszczone będą je wypuszczać ponownie.

Przynajmniej na razie nie przeszkadzało mi to rozkoszować się latem. Ze swoją mleczną siostrą Józią biegałem daleko poza miasteczko, nad brzeg oddalonej i szerokiej rzeczki, by tam, wśród łąkowego kwiecia, podziwiać przyrodę martwą i żywą. Tą żywą była Józia. Bawiliśmy się jako dzieci nieuświadomione i niezające sobie sprawy z tego, co jest zakazane. Szukaliśmy rzeczy dla nas ciekawych i nieznanych. Większość czasu spędzałem w ogródku pod jabłonią i gruszą. Czytałem książki. Maleńka, czarna Cyganeczka, przyrodnia siostra, przynosiła do ogródka świeże, rumiane placki kartoflane. Żyłem życiem moich bohaterów książkowych. Cieszyłem się lub martwiłem. Płakałem lub śmiałem się z nimi. Przeżywałem ich losy jak nigdy później. Kładłem się na plecach i godzinami wpatrywałem w przepływające nade mną białe jak mleko obłoki. Pszczoły przeskakiwały z kwiatu na kwiat. Sprzedałem wtedy duszę Turgieniewowi, niby diabłu, który roztaczał przede mną słodkie piekło.

W tym samym czasie w bruzdach ogrodów warzywnych siedziały kobiety przy pieleniu. Macocha patrzyła krzywym okiem na moje wylegiwanie się. Skarżyła się czasami ojcu, że nie ma komu przypilnować robotnic. Chciałaby mnie tam posyłać. Ojciec był po mojej stronie i cieszył się z tego, że mnie właśnie więcej zajmują książki, niż praca w ogrodach. Jestem mu za to do dzisiaj wdzięczny.

Niebawem w oczach sąsiadów urosłem niemal do rangi człowieka poważnego i wykształconego – zaczęli przychodzić do mnie z prośbami o napisanie listów. Przedtem chodzili z tym do niejakiego „Ministra”. Styl listów, wysyłanych przeważnie do Ameryki, był bardzo dziwny. Pisano co najmniej na czterech stronach, z czego trzy zajmowały ukłony do wszystkich rodzonych i krewnych. O życiu tych, co korespondowali, trudno było się dowiedzieć. Pokłony i ukłony zaciemniały resztę. Ja miałem za sobą już doświadczenie opisu bitwy na Kulikowym Polu.

Najpierw czytałem list otrzymany przez mojego klienta. Potem wypytywałem jak żyją ci, którzy chcą odpowiedzieć na list, jaki jest ich stosunek do piszącego, ich życzenia i marzenia i różne sprawy mające wpływ na treść. Potem kazałem cicho siedzieć lub pogawędzić sobie w kuchni. W ciągu półgodziny zapełniałem cztery strony, na zakończenie przekazywałem pozdrowienia, pocałunki i inne miłe rzeczy od piszącego i jego zazwyczaj obszernej rodziny. Po przeczytaniu podsuwałem list do podpisu, który

w większości wypadków składał się z trzech krzyżyków. Moi klienci kiwali głowami, że tak prawdziwie napisałem o ich życiu.

Były to moje nowe wypracowania, za które nikt nie stawiał stopnia. Kto wie, może bym nie dostał za nie nawet dwójki. Ale w tym otoczeniu byłem, przynajmniej na razie, najwyższą wyrocznią. Staralem się ubarwić nieco ciężkie życie gospodarzy na marnej, piaszczystej ziemi, otaczającej nasze miasteczko. Ziemia była tym bardziej niewdzięczna, gdyż chłopci mało dawali jej nawozu, którego za wiele w oborach nie było, bo i zwierząt domowych było mało, a i nie zawsze podściółki starczało. Krowy często grzęzły po kolana i nie miały odwagi się położyć. Wiosną wychodziły na podwórko z frędzlami własnego zaschniętego łąjna na nogach i bokach. Sam gospodarz był w lepszym położeniu: z braku sławojek szedł zwyczajnie za stodołę na świeże powietrze. Na tym miejscu często kiełkowały ziarna różnych owoców. Młodziutki drzewka przesadzaliśmy do naszych ogródków, w których po kilku latach owocowały. Prawdą jest, że w przyrodzie nic nie ginie. Bieda piszczała po wszystkich kątach i czekała na miotłę. Nim ta miotła przyszła, ludzkość musiała niebawem przejść przez czyściec, by doczekać się istnienia, jakie przysługuje człowiekowi za życia.

Ten czyściec objawił się niebawem. Pewnego słonecznego popołudnia pod koniec wakacji, kiedy już układałem książki i szykowałem się do odjazdu, wpadła do nas sąsiadka i zdyszana wybełkotała:

– Niech no, panicz leci do miasteczka i przeczyta. Podobno tam wiszą papiery o wojnie. Germańcy mają na nas iść. Tak mówią Żydki.

Rzeczywiście na żydowskich kamieniczkach rozklejono ogłoszenia o natychmiastowym powołaniu kilku roczników rezerwistów. O samej wojnie nie było mowy. Przed oczami stanęły mi wojskowe manewry sprzed paru lat. „Widocznie będą nowe wielkie manewry” – pomyślałem i z tym przekonaniem pobiegłem do domu.

– Ładne mi manewry – lamentowała sąsiadka. – Jutro wszyscy młodzi ludzie mają odjechać do wojska. Tyle ludzi. I mój Wasieńka...

Uspokajałem jak mogłem rozdygotane kobiety. Mało pomagało. Lepiej wyczuwały sytuację, niż ja zdolny byłem ocenić ją dziecięcym rozumem. Zresztą z charakteru okazałem się prawdziwym Polakiem: nie wierzyłem w wojnę nawet wtedy, gdy już zaczęto strzelać.

Na drugi dzień na rynku działały się niezwykłe sceny. Stały ciasno zbite furmanki, na których siedziały wiejskie baby i zawodziły, jakby opłakiwały nieboszczyków. Już opłakiwały swoich synów, którzy jeszcze nie włożyli mundurów carskich żołnierzy. Zdrowi mężczyźni, kandydaci na obrońców Wielkiego Imperium, byli podpici (aż dziw, skąd znalazło się tyle

wódki) i wcale nie wyglądali na zmartwionych całym wydarzeniem. Mężowie przyciskali do serc swoje rozplakane żonki, kawalerowie trzymali za ręce dziewczyny, które smutnym wzrokiem żegnały ewentualnych narzeczonych. Dolatywały skądś tony harmonii i chwilami można było pomyśleć, że miasteczko przeżywa wielkie święto.

Ktoś zaciągnął cienkim, ale donośnym głosem: „Ej, jabłoczko, kuda ty kotiszjsja...”⁹ – i raptem urwał. Po chwili z drugiej strony doleciał bas: „Ej, pojdjosz ty na wajnu, no nie worotiszjsja...”¹⁰.

Między wozami kręciły się wojskowe patrole. Śpiewy. Pokrzykiwania i odgłosy muzyki były zagłuszane szlochaniem i chlupaniem matek:

– Oj, ty mój jedynieńki, mój ty gołąbku, nie zobaczę już ja ciebie więcej. Jak dam sobie radę bez ciebie? Dola moja, dola nieszczęśliwa...

Obok dziewczyna pouczała swojego chłopca:

– Uważaj na siebie, mój Janeczku. Nie podstawiaj głowy tam, gdzie nie trzeba. Będę czekała na ciebie, aż wrócisz.

Podchmielony pareń ścisnął jej ręce coraz mocniej i patrzył w dziewczęce mokre oczy.

Inna myślała o całkiem odmiennych sprawach:

– Boję się o ciebie, Michasiu... Ładnyś w cywilu, a co dopiero w mundurze... I na wojnie są dziewczyny. Uważaj, nie zapominaj swojej Maszeńki!

Wszystkie te zwierzenia i zaklęcia zagłuszał ogólny gwar ludzi, parskanie koni i głośne popłakiwaniem matek.

Dowódcy patroli podchodzili do wozów i uspokajali:

– Czego wy, baby i dziewczyny, tak lamentujecie? Za parę tygodni chłopcy wrócą do domów. Jeszcze nie wiadomo, czy wojna będzie. Na razie idą na ćwiczenia. Germaniec nas się boi. Trzeba go nastraszyć. Niech tylko spróbuje z nami. Pokażemy mu, gdzie raki zimują.

I większość naprawdę myślała, że wojna będzie krótka. Za wielką siłę ma car, by Germaniec długo wytrzymał. Tak sądzili ludzie nie tylko w naszym miasteczku i nie tylko ci, co na polityce się nie wyznawali, ale wielu poważnych urzędników, którzy codziennie czytywali gazety.

Pod wieczór rynek opustoszał. Żydzi pozamykali sklepy, a część towarów skrętnie pochowali po różnych kątach. Naprawdę wierzyli w wojnę, która rozpoczęła się wbrew zdrowemu rozsądkowi ludzkiemu. Była to chyba ostatnia przyzwoita wojna między wielkimi cywilizowanymi mocarstwami. Przyzwoitość ta, co prawda została częściowo brutalnie pogwał-

⁹ Ech, jabłuszko, dokąd ty się toczysz... (ros.)

¹⁰ Ech, pójdziesz ty na wojnę, ale nie wrócisz... (ros.)

cona przez użycie gazów bojowych, ale jeszcze można było obejść się bez trybunałów wojskowych i ścięcia głów zbrodniarzom wojennym.

Wakacje się przedłużały. Do szkoły nie pojechałem. Do naszego miasteczka zbliżał się front. Pierwszymi jaskółkami niepowodzeń carskiej armii byli uciekinierzy z Druskiennik. Jechali furmankami, szli pieszo. Biedni i bogaci. Wszyscy jednak chcieli żyć. Zabrali, co mogli ze sklepów i domów. Biedni kłopotu nie mieli – unosili swoje dusze. I na sobie trochę marnego ubrania. Jechali i szli naszą ulicą Żydzi z kurortu nad Niemnem. Wtedy była to duża przeszkoda dla wojsk nacierających. Ojciec wychodził na ulicę i wypytywał uciekinierów o sytuację wojennej.

– Pan się pyta, co tam się dzieje? – dziwili się uciekinierzy. – To chyba pan nie wie co znaczy wojna i co się dzieje na świecie? Niemcy u pana pod nosem, a pan jeszcze pyta.

– Wiem, że wojna, ale przecież Ruscy biją Niemców, aż się kurzy.

– Biją Niemców, pan powiada?

– Tak u nas mówią.

– Źle u was mówią. Żeby było tak, to po co ja bym uciekał? Pan myśli, że dla czyjejś przyjemności rzuciłem dom, z którego żyłem i idę sobie tak na spacer, może szukać na jesień letniska? Pan nie wie chyba, co to jest Druskienniki? Czy pan widział człowieka, który sam idzie z raję do piekła? Niech pan mnie źle nie zrozumie. Raj to był tam do wojny, a teraz tam piekło. A kto się nie boi piekła?

– A może was tylko nastraszyli? – nie dawał za wygraną ojciec.

– Ładnie nastraszyli. Pan chyba w życiu wojny nie widział? Niech pan idzie nad Niemen i zobaczy jak ona wygląda.

– Wiem, że szeroka rzeka.

– Uj, jaki pan śmieszny. Pana trzymają się jeszcze żarty. Pan myśli, że Niemen teraz taki sobie Niemen.

– A jaki teraz?

– Pan chyba nie wszystko ma dobrze w głowie? Niech pan na mnie się nie gniewa. Skąd pan taki się wziął?

– Ja tutejszy i nie święty, żebym wszystko wiedział.

– Niedobrze pan mówi, niedobrze, jak Bóg mi miły. Niemen to nie woda, Niemen to krew ludzka, Niemen czerwony, Niemen z brzegów wychodzi, bo trupy zagrządzają wodzie, żeby ona płynęła, pan nie masz zielonego pojęcia.

– I pan to wszystko widział?

– Co ja mam widzieć? Wystarczy, że ludzie opowiadają. Nie widzisz pan, ilu ludzi ucieka. Pan myśli, że ludzie uciekają z raję, ludzie uciekają z piekła.

Ojciec kiwał niedowierzająco głową. Faktem było, że wojna dawała o sobie znać. Przekonałem się o tym w swoisty sposób – biegałem do lasu w stronę Druskiennik i przykładałem ucho do ziemi. Słyszałem wyraźne odgłosy armatnie. Powtarzałem to kilkakrotnie, wybierając miejsca jak najbardziej zaciszne i jak najbardziej oddalone od dróg. Sposób mój był niezawodny. Natężenie odgłosów wskazywało na kaliber dział. Ich częstotliwość – na intensywność walki. Do huku armat dołączyła się moja wyobraźnia i widziałem wojnę w odległości pięćdziesięciu kilometrów. Wydawało mi się to wszystko romantyczne, chociaż powoli zdawałem sobie sprawę, że Niemcy mogą przejść Niemen i zagrozić naszym rodzinom i domom. Wiedziałem coś niecoś o waleczności Prusaków, ale liczyłem na masy żołnierskie cara, przyzwyczajone do znoszenia trudów żołnierskich i mało wymagające od życia. Nie wiedziałem wtedy o tak zwanej organizacji sztabów dowodzenia i ich znaczeniu. Nie wiedziałem nic o tak zwanej zdradzie i powiązaniu różnych wywiadów z Naczelnymi Dowództwami.

W międzyczasie najstarszego brata, mojego głównego opiekuna, przeniesiono służbowo do Białegostoku. Dwaj inni bracia poszli na front. Pożegnałem jeszcze raz rodzinne strony, strony zaklętych czarów i diabłów i pojechałem do Białegostoku. Nie przeczuwałem wtedy, że tym razem na zawsze żegnam swoje dzieciństwo. Odchodziłem w inny świat – w świat rzeczywistości.

Brat odnajmował duży pokój z balkonem, który wychodził na sad. Na jabłoniach, gruszach i śliwach wisały dorodne owoce. Dom należał do byłego wojskowego. Bodajże starszego podoficera na pensji, nazwiskiem Kozakiewicz. Mieli syna o rok starszego ode mnie, który z czasem został moim wiernym przyjacielem. Matka jego, jeszcze dość młoda kobieta, uwijała się przy gospodarstwie i zdawało się, że dla niej wojna nie istnieje.

Miszka (takie imię nosił syn naszych gospodarzy) chodził do czwartej gimnazjalnej. Ja znalazłem się na rozdrożu. Brat wziął korepetytora, by przez rok przygotował mnie do czwartej klasy, czyli w rok miałem dwie nadrobić. Pierwszą lekcję zaczął ze mną od francuskiego: kazał mi napisać „beaucoup”¹¹. Napisałem chyba „boku”. Nauczyciel za piętnaście rubli miesięcznie pokiwał głową i powiedział: „Trudna będzie sprawa”. Ale został przy swoich obowiązkach: nęciło go wynagrodzenie – gaża początkującego urzędnika, który musiał ślęczeć osiem godzin przy biurku. Lekcje miały trwać dwie godziny dziennie.

¹¹ Wiele, bardzo, dużo (fr.)

Front, jak na dzisiejsze czasy, był bardzo blisko. Wtedy o paręset kilometrów dalej życie toczyło się prawie normalnym trybem. Przynajmniej w pierwszym okresie wojny. Zima mijała szybko przy nadmiarze pracy z podwójnym programem. Do tego wymyśliłem dodatkowe zajęcie – pisanie dziennika. Pierwszy raz w życiu. Dotychczas wszystko nosiłem w głowie. Teraz przelewałem wszelkie sprawy do zeszytu, który skrzętnie chowałem w szufladzie stołu. Notatki robiłem wieczorami, kiedy brat wychodził (a wychodził prawie co wieczór), trzymając zeszyt w otwartej szufladzie, aby przy pierwszych krokach brata na schodach szybko go schować. W pogotowiu miałem zawsze jakiś podręcznik. Zachowywałem się wręcz jak złodziej. Dlaczego tak panicznie bałem się ujawnienia prowadzenia dziennika, nie wiem do dzisiaj. Nie pamiętam jego treści, ale jestem przekonany o jej niewinności i naiwności.

Pierwszy raz nawiązałem bliższy kontakt z myszami, będącymi później moimi ulubionymi zwierzętami. Brat przynosił często suche ciasteczka, które w nocy leżały przykryte papierem na stole. Pewnego wieczora brat długo nie wracał. Znużony wkuwaniem lekcji położyłem się wcześniej spać. Obudziło mnie szuranie w papierach na stole. Wstałem, by zapalić światło i szybko wskoczyłem do łóżka: niezliczona ilość myszek rozbiegła się po wszystkich kątach. Nie mogłem pojąć, skąd raptem tyle myszy przywędrowało do naszego pokoju. Odtąd co wieczór miałem towarzystwo. Nie wstawałem już, żeby je płoszyć – przemawiałem do nich, żeby nie przeszkadzały mi spać, czekałem, aż się pożywią się i wtedy dopiero stukiałem, że one również mają iść spać. Zabawa skończyła się z chwilą, gdy brat przestał przynosić ciastka. Wojna i w ten sposób dawała znać o sobie. Nad Białymstokiem po raz pierwszy ukazały się niemieckie samoloty. Spadła pierwsza bomba i zginęła pierwsza, niewinna szesnastoletnia dziewczyna. Wszyscy później chodzili, by ją rozpoznać. Była uczennicą. Zamknięto szkoły.

Taka była wiosna 1915 roku. Zamiast patrzeć na zielone drzewa i kwiaty, ludzie przyzwyczajali się wpatrywać w niebo, czy przypadkiem nie ukaże się tam wróg. Naloty wzmagaly się i regularnie powtarzały o świcie. Poranki wiosenne były nieskazitelnie czyste, jasne i błękitne. Miasto z lotu ptaka leżało jak na dłoni. Szybko zorganizowano obronę przeciwlotniczą. Ledwo usłyszałem brzęczenie samolotów, wyskakiwałem z łóżka i biegłem na balkon. Wysoko nad miastem krążyły samoloty, niby orły wypatrujące zdobycz. Ze wszystkich stron rozpoczynała się nerwowa, zdawało się, bezładna strzelanina. Z przyjemnością obserwowałem jak wokół napastników pękały pociski. Białe pióropusze otaczały samoloty i zdawało się, że tylko

patrzeć, a lotnik z maszyną polecą na nasze głowy. Niestety, było to tylko złudzenie i marzenie. Traciłem dużo poranków bezskutecznie. Wynik był – bomby nie leciały na miasto. Ptaki odlatywały.

Do porannej strzelaniny tak się przyzwyczaiłem, że kiedy jej nie było, odruchowo wychodziłem na balkon i wyczekiwałem. Po prostu tęskniłem za tym przedstawieniem, niby za teatrem. Może dlatego, że teatru jeszcze nie znałem. Tęsknota za strzelaniną stanie się wkrótce objawem wprost chorobliwym. Wyleczy ją dopiero późniejsze zetknięcie się z różnymi gatunkami śmierci. Okazji ku temu nie poskąpią nadchodzące niedalekie wypadki. Niemieckie wojska posuwały się, rosyjskie zajmowały coraz wygodniejsze pozycje. Zaczynaliśmy lekceważyć naukę. Wałęsaliśmy się z Miszką po miejskim parku i wymyślaliśmy zabawy nie zawsze godne sztubaków w naszym wieku. Jeżeli na ławeczce siedziała jedna lub dwie gimnazjalistki, siadaliśmy również przy nich – jeden z jednej strony, drugi – z drugiej. Zawsze mieliśmy ze sobą książkę lub gazetę do czytania. Najpierw zaczynał czytać jeden z nas. Ledwo przeczytał parę zdań, podawał przed nosem dziewczynkę drugiemu. I zabawa powtarzała się tak długo, dopóki zagniewane dziewczyny nie opuściły parku. My szliśmy wtedy do następnej ławeczki. W kilka godzin park był pusty od uczennic. Przypominając sobie ze wstydem nasze ówczesne zabawy, dodam, że wybieraliśmy przeważnie Żydówce. Był w tym wpływ ojca na charakter Miszki – nie kochał Żydów.

W końcu lipca sytuacja w mieście znacznie się pogorszyła. Życie stawało się coraz bardziej nerwowe. Samoloty zmieniły taktykę – przeniosły naloży na porę wieczorową. Część mieszkańców zaczęła wyjeżdżać na wschód. Niemcy byli pod Warszawą. Odczuwało się drożyznę i brak niektórych towarów. Urzędy szykowały się do ewakuacji. Wiadomości były plotkarskie. Ludzie tracili wiarę w niezwyciężoną armię cara.

Miszka wpadł do mnie i niespodziewanie oświadczył, że jedzie na front jako ochotnik. Prosił, żebym go odprowadził na dworzec. Miał odjechać pociągiem. Ledwo wyszliśmy na ulicę Lipową, zgasło światło elektryczne. Nadleciały samoloty. Na chodniki sypały się popękane szyby. Ludzie biegli do bram. Pod nogami chrzęściło szkło. Dobiegliśmy do mostu. Słupy telefoniczne i inne stały pochylone, płataliśmy się w drutach. Dobrnęliśmy do stacji kolejowej nabitej ludźmi. Podjechał na peron pociąg osobowy. W tym samym momencie nastąpił ogromny wybuch wagonów z amunicją stojących na bocznicach. Ogromny płomień na chwilę oświetlił przez okna i drzwi dużą poczekalnię dworca. Zobaczyłem na moment niecodzienny widok – dużo ludzi leżało pod stołami i krzesłami. Strach przed śmiercią nie ma granic.

Miszka znikł bez pożegnania. Chyba odjechał pociągiem w nieznanym dla mnie kierunku. Odjechał na zawsze – nigdy go w życiu już nie zobaczyłem i nie słyszałem o jego losach. Był jak meteor: szybko wszedł w moje życie i równie szybko oddalił się w nieznaną. Nasz krótki kontakt cechowała nadzwyczajna przyjaźń, choć czasami dochodziło do bijatyki, po której natychmiast do siebie wracaliśmy. Prawdziwych kolegów więcej w życiu nie spotkałem.

Wracałem do domu wąską ciemną uliczką. W połowie drogi usłyszałem jakiś zaprzęg koni w kłusie. Przytuliłem się do płotu z desek i rozpoznałem działon artylerii. Mógł mi połamać kości. Brata w domu nie zastałem. Na stole leżała kartka: „Staraj się znaleźć mnie na dworcu towarowym”. Nie znalazłem. Zostałem sam. Wsiadłem w pociąg odchodzący do Słonimia. Tam na ulicy Tatarskiej spotkałem brata u jakiegoś dalekiego wujka czy dziadka. Brata ewakuowali do Ufy. Jechaliśmy razem do Mińska w dobrym wagonie osobowym. Leżałem na górnej ławce. Brat wyciągnął do mnie rękę z jakimś czerwonym owocem. Spróbowałem i wyrzuciłem za okno. Był to pomidor. Nigdy dotąd czegoś takiego nie jadłem – w naszym miasteczku ich nie znano, a ja nabrałem do pomidorów przekonania dopiero po kilku latach.

W Mińsku rozstałem się z bratem. Zostałem u wujka ze strony matki, który był prezesem Izby Skarbowej i siedział jeszcze spokojnie, wyczekując rozwoju wypadków wojennych. Za chwilowego towarzysza miałem kuchyniarza kadeta z drugiej klasy korpusu. Był dużo młodszy i mniejszy ode mnie. Pewnego popołudnia powiedział: „Zawiozę cię na wielką, naszą górę”. I pojechaliśmy końskim tramwajem. Zeszliśmy na końcowym przystanku. Spojrzałem na prawie równy teren i zapytałem: „A gdzie ta wasza góra?” Wyciągnął kadecką rączkę w stronę niewielkiego kopczyka i dumnie rzekł: „Nie widzisz? Zaraz tam pójdziemy”. Góra była wielkości kuchyniarza. Wydawał się przy niej jeszcze mniejszym. Przyszły oficer był dumny ze swojego odkrycia na swoją miarę.

Mińsk na dłuższą metę nie był dobrym schronieniem. Niemcy deptali po piętach wojskom rosyjskim. Zostałem zdany właściwie na własny los. Bracia się rozsypali na wszystkie strony. Ci, którzy poszli na wojnę, dostali od ojca talizmany – daławary¹² z wersetami z Koranu. Każdy daławar składał się z pięciu „imanów”¹³. Iman – z pięciu przykazań. Niestety, nie znam ich treści. Miały ocalić braci moich od kul wroga. Czy rzeczywiście chroniły – nie wiem, ale bracia wojnę przetrwali. W obliczu śmierci dobrze wierzyć chociażby w cokolwiek, jeżeli kogo nie stać na coś lepszego.

¹² Papierowe zwoje z modlitwami i wersetami z Koranu, składane ze zmarłym do grobu (arab., tur.)

¹³ Wiara w zasady islamu (arab.)

Przypadkowo poznałem dwóch starszych uczniów uciekinierów. Jeden opuścił Kowno i nazywał się Dzienajewicz. Był uczniem szóstej klasy gimnazjalnej. Drugi, Aleksandrowicz – piątej realnej. Obaj zostali zagubieni w świecie. Okazali się dobrymi kolegami w biedzie. Namówili mnie do wędrówki w głąb Rosji, aż do Kurska. Spodziewali się spotkać tam swoje rodziny. Pojechaliśmy. Od wuja, który był zadowolony rozwiązaniem sprawy opieki nade mną, dostałem na drogę kilka rubli.

W SZLACHECKIM RAJU

Wojska cara Mikołaja II walczyły ze zmiennym szczęściem – na jednym froncie ustępowały, na drugim szły powoli naprzód. Silniejszym Niemcom stopniowo oddawały mniej ważne pozycje, natomiast w walkach z żołnierzami Franciszka Józefa, a w szczególności z Turkami, raczej zajmowały strategiczne punkty wroga. Kilkaset kilometrów od frontu życie toczyło się prawie normalnie. Na terenach zajętych przez wroga obcych obywateli traktowano wtedy jeszcze jak ludzi. Żołnierzom w niewoli dawano jeść. Jeszcze nie było panowania nadludzi. Cywilizacja nie osiągnęła szczytu odczłowieczenia i można było patrzeć w oczy wroga z czystym sumieniem. Wystarczało, że na frontach pociski artyleryjskie rozrywały ciała, a patriotyczni żołnierze wbijali bagnety w brzuchy przeciwnika. Szpitale były przepełnione, a pociągi sanitarne bez przerwy szły z zachodu na wschód.

Tymczasem na stacji kolejowej w Kursku siedziało trzech uczniów-uciekierów w rubaszkach, pili herbatę i naradzali się, co dalej robić. Jednemu z nich błysnęła czarodziejska myśl: „Jesteśmy bądź co bądź litewsko-polsko-tatarsko-rosyjską szlachtą. Chociaż zagrodowo-urzędniczą, ale zawsze szlachtą. Skoro w Kursku jest internat dla uczniów szlacheckiego pochodzenia, to dlaczego nie mamy tam spróbować szczęścia?” Postanowiliśmy pójść do przewodniczącego szlachty guberni kurskiej. Wieczorem znaleźliśmy się w internacie, rozlokowani według klas i na drugi dzień poszliśmy do odpowiednich szkół.

Tak znaleźliśmy się w dwupiętrowym murowanym gmachu na długiej, głównej ulicy Kurska. Po dłuższej włóczędze i niedojadaniu trafiliśmy, można śmiało powiedzieć, do raj. Pierwszy wieczór siedzieliśmy przy czysto nakrytych stołach. Służba podawała kolację, dyżurny wychowawca spacerował po sali jadalnej z założonymi rękami z tyłu i przyglądał się swoim pupilom. Na kolację podano parówki z puree. Kartofle zjadłem, parówki zostawiłem. Natychmiast zauważył to wychowawca. Podeszedł i zapytał dlaczego nie jem. Powiedziałem, że jestem muzułmaninem. Kazał podać jajecnicę. Prawosławne oczy kolegów zostały skierowane w moją stronę.

Niektórzy dyskretnie coś szeptali do siebie. Od tego czasu nie podawano nam wieprzowiny.

Pierwsze półrocze upłynęło w atmosferze zapomnienia o wojnie. Czasami odwiedzali nas protektorzy i opiekunowie internatu. Te oficjalne wizyty stawały się wielkimi ceremoniami – ubierano nas w galowe mundury ze srebrnymi lub złotymi guzikami, do boków przypinano szpady i ustawiano w szeregach do przeglądu. Te inspekcje miały swoją dobrą stronę: w tym dniu podawano galowy obiad i takąż kolację. Apetyty mieliśmy niewąskie. Odjadaliśmy biedne dzieciństwo.

Od dni inspekcyjnych lepsze były ferie Bożego Narodzenia i Nowego Roku: mieliśmy nieograniczoną swobodę, żadnych wizyt dostojników i obfite jadło. Wszelkie nasze oczekiwania przyniosła „maślenica”, czyli zapusty. Razem z trzema Polakami – katolikami) poznaliśmy i przeżyliśmy coś, o czym nie mieliśmy żadnego wyobrażenia, tym bardziej w okresie wojennym. Przez kilka dni o każdej porze, kiedy tylko dopisywał nam apetyt, dostawaliśmy ruskie bliny z kawiozem i łososiem. I to na każde zawołanie. Jedliśmy i leżeliśmy, leżeliśmy i jedliśmy, gdy na frontach wszy jadły naszych braci, a w szpitalach jęczeli ciężko ranni nasi obrońcy. Dziś z przykrością notuję te dni rozpusty w zapusty i chyba cierpię za tamte czasy: nie mam nie tylko kawioru i łososia, ale także i blinów.

Wychowankowie starszych klas najbardziej lubili wakacje wielkanocne. Chodzili wtedy do cerkwi, czatowali na piękne dziewczyny przy wyjściu i mówili: „Christos woskries”¹⁴. Dziewczyna musiała odpowiedzieć: „Woistinu woskries”¹⁵ i dać się pocałować. Taki był boski i świąteczny zwyczaj u prawosławnych onych czasów, z czego młodzież męska skwapliwie korzystała.

W dni zajęć w internacie panował rygor nieomal koszarowy – po odrobieniu lekcji pod nadzorem dyżurnego wychowawcy, mieliśmy dwie godziny wolne na napisanie ewentualnych listów, wypoczynek i czytanie książek dozwolonych przez władze. O dziesiątej wieczór szliśmy spać. Sypialnie mieściły po cztery lub pięć łóżek. W nocy co jakiś czas dyżurny wychowawca obchodził sypialnie (drzwi musiały być otwarte) i sprawdzał, czy wychowankowie śpią przepisowo, to znaczy trzymając ręce na kocach. Chodził na paluszkach, czasami dyskretnie świecąc elektryczną latarką.

Nie wolno było czytać literatury zakazanej. Do takiej należały przede wszystkim dzieła Aleksandra Kuprina. Tym bardziej właśnie krążyły jego

¹⁴ Pozdrowienie wiernych Kościoła wschodniego podczas świąt wielkanocnych: Chrystus zmartwychwstał (ros., ukr.).

¹⁵ Odpowiedź na pozdrowienie „Christos woskries” – Zaprawdę zmartwychwstał (ros., ukr.).

książki po naszych sypialniach. Ponieważ nie można było palić światła po dziesiątej, więc czytaliśmy pod kocami, używając latarek elektrycznych. Żeby nas nie przyłapano, uciekaliśmy się do różnych pomysłów. Jednym z nich było przeciąganie przy wejściu w rejon naszych pokoi nitki, na której wieszano jakiś lekki przedmiot. Wychowawca, wchodząc, przerywał niewidoczną nitkę i dawał nam sygnał o niebezpieczeństwie. Im bardziej nie lubiliśmy kogoś z wychowawców, tym grubszą wiązaliśmy nitkę lub zgoła sznurek, co nieraz kończyło się upadkiem kontrolera. Gdy to nie odnosiło skutku, wymyślaliśmy nowe sztuczki.

Kuprina w Kursku widywaliśmy i wiedzieliśmy, że lubi wódkę. Tym bardziej imponował nam swoimi książkami. Ponieważ nie wszystko rozumieliśmy, był dla nas pociągającym pisarzem. Odkrywał nieznaną dla nas tajemniczy świat zagubionych ludzi. Życie jego bohaterów było całkowicie odmienne od naszego i ten kontrast nas fascynował.

W pierwszych miesiącach spałem chyba najgorzej ze wszystkich wychowanków internatu. Zachorowałem na dziwną chorobę: tęsknotę za szumem samolotów i wszelaką strzelaniną do nich. Brakowało mi balkonu w Białymstoku i poranków z błękitnym niebem, na tle którego krążyły stalowe ptaki, do których wypuszczano pociski artyleryjskie. Przez dłuższy czas nie mogłem przyzwyczać się do panującej wokół ciszy. Dzisiaj odnośnie wrażenie, że te podniebne walki zastępowały mi teatr, którego wówczas jeszcze nie widziałem i nieprędko miałem zobaczyć. Ciągnęło mnie do przeżyć z dreszczykiem. Unormowane życie zabijało we mnie wszelką inicjatywę. Mogłem tylko marzeniami wybiegać poza granice określone rygorami i porządkiem szkolnym.

O naszym istnieniu na terenie Kurska dowiedziała się liczna i bogata rodzina kazańskich Tatarów. Prowadziła bufet na dworcu osobowym, posiadała dwa hotele i kino. Chociaż jej członkowie posiadali oddzielne mieszkania, ale do obiadów i kolacji zasiadali zawsze u najstarszego z rodu. Codziennie, dwukrotnie do stołu zasiadało co najmniej dwadzieścia osób obojga płci. Najstarszy dziadek miał lat osiemdziesiąt parę, najmłodsza prawnuczka – dziewięć. Obiady i kolacje spożywano w spokoju, gdyż tego wymagała obfitość jadła, jakie było przygotowywane przez wytrawnych kucharzy.

Pewnego dnia zostaliśmy tam zaproszeni z okazji wielkiego święta mużmańskiego i od tego czasu staliśmy się stałymi bywalcami w salonach gościnnej rodziny Chanbeków. W domu, gdzie odbywały się sute przyjęcia, królowały trzy młode kobiety: dwie starsze siostry i ich kuzynka, najmłod-

sza wiekiem i chyba najładniejsza z całej rodziny. Te kobiety były ozdobą stołu i ogromnego salonu po każdej kolacji. Najstarsza, lat chyba ponad trzydzieści, Nafisa, cicha, zamysłona, jakby zawsze pogrążona w marzeniach, nieco tęgawa, rysy miała raczej Ukrainki. Jej młodsza siostra Najma, o skośnych oczach i śniadej cerze, napełniała dom wesołym świergotem i odznaczała się niecodzienną ruchliwością. Ich kuzynka, osiemnastoletnia Zahira, panna rzadkiej urody o powłóczystym spojrzeniu spod długich czarnych rzęs, przypominała kobiety Bliskiego Wschodu.

Po kolacji z kilku dań gorących i wielu deserach z obfitością konfitur i innych słodczy, tańczyliśmy w salonie przy muzyce z płyt gramofonowych. Syci i zadowoleni zapominaliśmy o wojnie. Najstarszy z nas, widocznie zgodnie z naturą, tańczył i asystował najmłodszej. Mnie przypadła w udziale najstarsza. I w takiej kolejności chodziliśmy na spacer w księżycowe noce. Czyste, gwiazdziste niebo z poświatą księżycową nie przypominało nam o zmaganiach wojennych na wszystkich frontach. Wydawało nam się dziwnym, że ludzie mogą się wzajemni zabijać pod śpiew słowików. Byliśmy śmieszni i zarazem dziecinni. I szczęśliwi. Gdyby było inaczej, światowych układów i tak nie moglibyśmy zmienić. Od tego są królowie i ministrowie.

Po jednej z obfitych kolacji, w czasie tańca, Nafisa mnie zapytała: „Które danie gorące najbardziej ci smakowało?” Wymieniłem niesamowicie smaczną, kruchą pieczeń. Byłem przekonany, że to młoda wołowina. Nafisa powiedziała: „To był najlepiej utrzymany młody źrebak. Tatusz specjalnie hoduje młode koniki na zarżnięcie”. Przystałem tańczyć. Przeprosiłem i wyszedłem na korytarz w pobliże ubikacji. Myślałem, że zwymiotuję. Od tego czasu przy obiedzie lub kolacji nie ruszyłem żadnej pieczeni. Nie wiedziałem, że za kilkanaście lat będę jadł z apetytem stare konie. Mimo wszystko, sympatii do Nafisy nie zmieniłem. Zastępowała mi podświadomie matkę, której nigdy nie znałem. Tym mocniejsze uczucie mnie wiązało z tą spokojną marzycielską kobietą, o której nic właściwie nie wiedziałem.

Zbliżała się wiosna 1916 roku, a z nią także koniec roku szkolnego. W szkole otwieraliśmy okna, by złapać świeży oddech. Do naszych uszu dochodziły niedobre wieści o wojnie. Wiatry wiosenne szeptały o zmianach w nastrojach żołnierzy na froncie, o nieporozumieniach między ministrami, o rzekomych zdradach niektórych generałów i innych wyższych dowódców. Wszystko to docierało do uczniów, którzy z każdym dniem stawali się coraz mniej zdyscyplinowani. Palili w ubikacjach papierosy i opowiadali różne świństwa, do klasy przynosili wróble i wypuszczali je podczas lekcji. Starsi koledzy w internacie wychodzili wieczorami przez okna

(wolno było wychodzić tylko w soboty i niedziele) i uganiał się za sztubaczkami. Niektórzy wychylali się przez okna i z drugiego piętra pluli na kapełuszki co wytworniejszych dam. Oni, synalkowie generałów i największych urzędników carskich, robili to, co raczej mogłyby robić dzieci robotników.

Dopiero parę lat później zrozumiałem, że idee wolnościowe rodzą się głównie w inteligentnych głowach. Masy muszą mieć swoich przywódców. Same niczego dobrego by nie zdziałały.

W tygodniu miałem kilka wolnych godzin w czasie lekcji religii. Z początku wykorzystywałem ten czas na czytanie lub powtórki lekcji. Potem zaintrygowała mnie treść wykładów prawosławnej religii. Zapytałem katechetę, czy mogę zostawać na jego lekcjach. Przyjął to z wielką radością i obserwował moje zainteresowanie jego zajęciami. Już wtedy zaczynały nurtować mnie zagadnienia pojawienia się człowieka na ziemi, pojęcie Boga, życia pozagrobowego i w ogóle wszystkiego, co było związane z życiem duchowym i wiarą rozmaitych nacji. Zadawałem sobie pytania, na które nie mogłem sam odpowiedzieć, ale również nie znajdowałem odpowiedzi w chaotycznie czytanych książkach. Próbowałem znaleźć rozwiązanie przy pomocy dzieł największych niemieckich filozofów. Ma się rozumieć, że odkładałem szybko te, w których czytałem rzeczy dla mnie niezrozumiałe i niedające jasnych odpowiedzi na nurtujące mnie wątpliwości. Pytanie „Co to jest życie i jak należy żyć?” – prześladowało mnie i w późniejszym okresie, doprowadzając do osamotnienia w różnych poglądach.

Katecheta trafił na podatny grunt wątpliwości leżących na samym dnie mej duszy i po rozmowie w czasie przerwy lekcyjnej zaprosił mnie do siebie na herbatę z konfiturami. Był przekonany, że trafił na zbłąkaną owieczkę i wyraźnie postanowił powiększyć prawosławne stado o jedną duszyczkę. Bez wątpliwości byłem zbłąkaną duszą. Ale nie było też wątpliwości, że w poznawaniu świata kierowałem się już racjonalizmem.

Po zachodzie słońca, siedząc przy oknie, podziwiałem kolory wiszących nad horyzontem chmur i błogosławiłem Boga za te cudowne obrazy. To była pierwsza galeria obrazów, jaką w życiu widziałem. Różnokolorowe obłoki przybierały fantastyczne kształty, powiększane wielorako moją wyobraźnią. Widziałem w nich wszystko oprócz samego Stwórcy świata i jego aniołów. Diabłów w chmurach nie szukałem, bo byłem przekonany, że piekło z diabłami może być tylko pod ziemią, a raczej w ziemi. I znowu wpadałem w wątpliwości.

Na te rozterki trafił akurat katecheta. Był uradowany ze spotkania grzesznika, który sam szuka rozgrzeszenia. W niedzielę po obiedzie zacząłem chodzić do popa. Jego żona, wysoka i chuda kobieta w czarnej sukni do

kostek, wpływała z dużym samowarem oraz wiśniowymi konfiturami. Katecheta nauczył mnie pić dużo herbaty, przy której starał się rozgryźć moją skurczoną, zwiniętą niby kłębek, duszyczkę. Namyslał się, za który koniec pociągnąć nitkę, aby mnie nie spłoszyć. Nie podejrzewał, że trafiła kosa na kamień. Słuchałem o zasadach religii prawosławnej; o Trójcy Świętej, Bogu, Synu i Duchu Świętym – dużo jeszcze o różnych cudach. Słuchałem uszami, a oczami patrzyłem czy dużo jeszcze jest konfitur. Wyjątkowo byłem łasy na wiśnie. Pop był zachwycony uważnym słuchaczem i pewnego popołudnia zaprosił mnie do cerkwi na nabożeństwo. Poszedłem. Zostałem oszołomiony kapiącym złotem ołtarzem i świętymi. Najbardziej jednak zachwycił mnie śpiewy popa i diaka. Ich niskie głosy, od których trzęsły się szyby w cerkiewnych oknach, przypominały się później ilekroć słuchałem Szalapina.

Nabożeństwo cerkiewne było moją pierwszą operą. Przy następnej herbacie nie ukrywałem zachwyty obrządkiem liturgicznym w cerkwi, co katecheta przyjął za dobry omen dla swojej boskiej działalności. Popatrzył na moją ożywioną twarz i powiedział:

– Wiedziałem, synu, że sam przekonasz się o wyższości religii prawosławnej nad innymi. Jestem gotów pomóc ci wejść do grona ludzi, których żywot jest pod naszą opieką jako posłanników bożych.

A kiedy po kolejnym nabożeństwie, na którym piękne głosy chóralne zapadały w moje wnętrze niby słodkie konfitury wiśniowe, zachwyciłem się przed popem, ten rzekł z całą powagą:

– Widzisz, mój chłopcze, znaczy to, że twoja dusza potrzebuje naszego błogosławieństwa. Jeżeli zawsze będziesz przychodził do nas, to znajdziesz swoje miejsce w świecie właściwym i będziesz godnym Jezusa Chrystusa, który cię nigdy nie opuści w ciężkiej godzinie życia.

Owszem, chodziłem najczęściej na herbatę z konfiturami i ciasteczkami. Nie zdawałem sobie wtedy sprawy, że byłem okrutnym hipokrytą. Niech mi wszyscy bogowie wybaczą. Błądziłem naprawdę. Tylko także wątpiłem we wszystko, o czym nie wszyscy wiedzieli, a raczej nikt. Kiedy przekonałem się, że katecheta poważnie dobiera się do mojej zjeżonej duszyczki, zaniechałem tych domowych wizyt i zacząłem znikać z lekcji religii. Wstydziłem się za siebie i popa.

Konflikty narastały nie tylko w sferach rządzących i kierujących wojną. Zaczęło się psuć coś w głowach młodych, stojących na pozór daleko od spraw państwowych.

Pewnego kwietniowego dnia siedziałem o zmierzchu przy oknie i podziwiałem kolory zachodzącego słońca. Podszedł do mnie czarnowłosy, pu-

cołowaty kolega, syn generała z Saratowa i piskliwym, zjadliwym głosem powiedział:

– Tatarska łopatka.

Udałem, że nie słyszę i dalej patrzyłem przez okno. Stał i wyczekiwał. Byłem obojętny. Wtedy usiadł na parapecie i drwiąco dodał:

– Ty polska mordo.

Rzadko dotychczas podejmowałem tak błyskawiczne decyzje: moja dłoń nieoczekiwanie spoczęła na policzku syna generała.

Jak spod ziemi wyrósł przed nami dyżurny wychowawca.

– Co się stało? – zapytał.

– On mnie uderzył – odpowiedział spoliczkowany.

– Za co?

– Nazwałem go tatarską łopatką.

– Marsz obaj w ką.

Staliśmy dwie godziny: ja w jednym kącie, on w drugim. Twarzą do ścian. Wychowawca siedział przy stoliku i zerkał na nas. Po skończonej karze kazał nam podać sobie ręce i przyrzec, że więcej się to nie powtórzy. Na drugi dzień moi koledzy, Tatarzy i Polacy, oświadczyli, że ostatnio starszoklasiści ich zaczepiają. Umówiliśmy się nie odpowiadać na żadne prowokacje. Powoli przyklejono nam etykietkę intruzów. Zrozumieliśmy, że nie pasujemy do ich pochodzenia i jemy cudzy chleb. Siedzieliśmy cicho, dopóki nie wydali nam szkolnych świadectw. Był początek czerwca.

Przed wyjazdem na wakacje stoczyliśmy formalną batalię z grupą sy-nalków rosyjskich urzędników, którzy sprowokowali nas różnymi obraźliwymi wyrazami. Władze internatu były zaskoczone. Doszło wszystko do osoby, która kazała nas przyjąć. Oczekiwaliśmy na surową karę, coś w rodzaju deportacji. Mając świadectwa w kieszeni, postanowiliśmy nie czekać na wynik dochodzenia. Pewnego poranka spakowaliśmy swoje rzeczy i w mundurach internatu poszliśmy w kierunku dworca. Nikt nas nie szukał. Dzieńajewicz pojechał w kierunku Archangielska, ja z Aleksandrowiczem w stronę Charkowa, gdzie on został, ja zaś pojechałem dalej na południe. Unosiliśmy ze sobą nieporozumienie, które niebawem miało utonąć w ludzkiej krwi ludzkiej, przynosząc odrodzenie narodu rosyjskiego.

Monotonny stukot kół pociągu unosił mnie w nowe życie. Stałem przy otwartym oknie. Nad lasami wisiało gwiazdzone niebo. Sierp księżycy skakał po wierzchołkach drzew. Żegnały mnie trele kurskich słowików, od czasu do czasu przerywane sapaniem lokomotywy. Pod ich śpiew żegnałem dzieciństwo.



POD NIEBEM KAUKAZU

Albowiem przyszedł dzień on wielki gniewu jego, i któż się ostać może.
(Objawienie św. Jana, rodz. VI w. 17)

Stojąc i leżąc w wagonowym korytarzu ciągnąłem na południe w ciepłe kraje niby ptak przelotny. Dobrnąłem do serca Kaukazu – Tyflisu. Spotkałem się z bratem, który z Ufy został przeniesiony do tyfliskiej „Kazionnej Pałaty”, czegoś w rodzaju Izby Kontroli. Stale awansował w hierarchii urzędniczej. Zamieszkałem wraz z nim w małym pokoiku na trzecim piętrze dużego, starego domu drewnianego. Zamiast okna pokój posiadał wielkie drzwi, wychodzące na sąsiednie dachy. Codziennie biegałem po drewnianych, skrzypiących krzywych schodach do sklepów po zakupy lub do parku w centrum miasta. Chłonałem gorące zakaukaskie powietrze niby astmatyk. Po dwóch miesiącach oddychałem niby ryba w wodzie. Organizm mój szybko dostosował się do gorącego, ale zdrowego klimatu. Łaziłem po okolicznych górach i podziwiałem dolinę rzeki Kury, wzdłuż której rozłożyło się jedno z najcudowniejszych miast świata.

Kończyło się lato i zbliżał się rok szkolny. Bez trudu zostałem przyjęty do piątej klasy realnej. Promienie słoneczne złagodniały i mile łaskotały twarz. Noce stały się chłodniejsze, sen mocniejszy. Liście drzew nieznacznie traciły swoją letnią zielenią. Biały stożek Kazbeku wyglądał spoza szczytów górskich. Zakaukazie, nieznające w zasadzie zimy, pozwalało nam, uczniom, na chodzenie prawie okrągły rok szkolny w białych rubaszkach, zapiętych pod szyją na trzy guziki. Poranki niekiedy bywały chłodne i biegliśmy skurczeni, by zdążyć na „moleben”¹⁶.

W szkołach panował jeszcze carski porządek i rygor. Każdego rana przed lekcjami klasy ustawiały się w wielkiej sali, w której na czołowej ścianie widniał wielki portret cara i pod nadzorem dyrektora z kozią bródką musieliśmy odśpiewać litanie za zdrowie miłościwie nam panującego Mikołaja II.

¹⁶ Nabożeństwo (ros.)

Do uszu dyrektora nie dochodziły zmienione słowa modlitwy: zamiast „Boże, cara chrań”, wyraźnie śpiewało kilku nas „Boże cara chroń” – czasy stały się coraz bardziej niespokojne. Młode serca i umysły chwytały powiewy świeżego powietrza, które poprzez grzbiety gór kaukaskich docierały ze środkowej Rosji, a szczególnie z północy. Niosły polityczne plotki, które niebawem miały przerodzić się w rzeczywistość. Przez Wielkie Imperium Rosyjskie, od brzegu do brzegu, przetaczało się imię Rasputina¹⁷. Najpierw cudotwórca, potem awanturnik, kochanek carycy i dam nadwornych, aż wreszcie szpieg niemiecki. Wszystko to jednocześnie. Żeby przeciąć korupcję na dworze carskim Jusupow i Puryszkiewicz mordują Rasputina. Carska władza chwieje się na nogach. Pierwsze korzenie podcięto.

W tym czasie po ulicach naszego miasta spaceruje coraz więcej wojskowych. Szkoła wojskowa wypuszcza w przyśpieszonym tempie młodych oficerów, o których krąży powiedzonko: „Kurica nie ptica, praporszczyk nie oficer”¹⁸.

Opleceni licznymi pasami i paskami, w długich zielonych koszulach, z pistoletami i szablami przy boku siali postrach wśród szeregowych. Spoliczkowanie żołnierza za nieoddanie honoru było zjawiskiem normalnym. Większość oficerów wierzyła niezachwianie w potęgę carskiego tronu i nie przeczuwała klęski swoich metod wychowawczych. Pogłoski o zaprzedeniu Rosji Niemcom dochodziły do żołnierzy na wszystkich frontach. Szczególnie zachodnim. Po strzeleckich rowach, często wypełnionych po kolana wodą, krążyły ulotki, że wojna potrzebna jest tylko carowi, kapitalistom i obszarnikom. Na froncie było chłodno i najczęściej głodno. Szerzyły się sabotaże z dostawą amunicji.

Zbliżał się rok 1917. Czarna chmura zawisła nad Moskwą i zaczęła rozlać się po całej Wielkiej Rosji. Stronnictwa narodowe i postępowe postanowiły pozbawić cara władzy. Rozkład władzy państwowej dał o sobie znać i w nastrojach wśród uczniów. Zaczęliśmy lekceważyć policjantów. Wypowiadaliśmy pod ich adresem różne przycinki. Udawali, że ich nie słyszą.

Pewnego marcowego poranka dyrektor wszedł na salę, gdzie zwykle odbywała się poranna modlitwa, i z opuszczoną głową rzekł:

¹⁷ Grigorij Rasputin, rosyjski chłop, rzekomy mnich i cudotwórca, faworyt rodziny cara Mikołaja II (1869-1916). Zamordowany przez księcia Feliksa Jusupowa i deputowanego Władimira Puryszkiewicza.

¹⁸ Kura nie ptak, chorąży nie oficer (ros.)

– Dziś „molebny” nie będzie. Car Mikołaj II abdykował.

Była to bomba wielkiego kalibru, która wywołała w naszych, zwartych szeregach rozłam. Uczeń narodowości gruzińskiej podbiegł do portretu cara i przeciął go szczyrykiem od dołu do góry. Tego dnia odwołano lekcje.

Nazajutrz starszym klasom wydano karabiny i zaprowadzono na plac Erywański, gdzie odbyło się złożenie przysięgi na wierność Rządowi Tymczasowemu. Cara zastąpił Kiereński. Wojna miała być prowadzona do „zwycięskiego końca”.

Plany carskich generałów zachwiały się pod uderzeniem hasła „Wolność, pokój, chleb”, wysuniętego przez rady żołniersko-robotnicze. Lenin nie spał. Wiedział, że jeżeli nie teraz, to chyba nigdy. Gorzej było z naszymi młodymi mózgowcami. Chcieliśmy zmian, ale nie widzieliśmy obrazu przyszłości. Rozpaleni romantykami, bohaterami Lermontowa, Byrona i innych wieszczów, chcieliśmy zniszczyć wszystko co stare, nie dając niczego konkretnego w zamian.

W wydawanym przez kilku z nas szkolnym tygodniku literackim umieszczaliśmy teraz opowiadanka i wierszyki nie o nieszczęśliwej miłości lub innych tragediach serc, lecz górnołotne ody o pogrzebie starego porządku i marzeniach nieokreślonej przyszłości:

*Hej, przyjacielu, podaj
Kielich pełen wina.
Niech żyje po wsze czasy
Radosna nam nowina.*

*Wzięli diabli cara,
Wzięli Raspucina.
Wypijmy, przyjaciele,
Głębszy kielich wina.*

*Dajcie nam nie tylko chleba,
Lirę dajcie nam do rąk.
Pieśni pójdą aż do nieba
I oblecą świata krąg.*

I jeszcze dużo innych, bohaterskich, radosnych, ckliwych, romantycznych, burzliwych i naiwnych. Szukaliśmy prawdy, nie znając jej właściwego kształtu. Te poszukiwania zaprowadziły nas na salę „Wolnych myślicieli”. Tam podawano pod wątpliwość wszystkie dotychczasowe świętości. Od-

rzucano wszelkich bogów: z dużej i małej litery. Brano na warsztat Stary i Nowy Testament i dowodzono nonsensu jakichkolwiek cudów. Przypadkowe starsze słuchaczki wychodziły z płaczem, oskarżając nas o bezbożnictwo. Wiele się nie myliły.

Na wiosnę niespodziewanie spadł śnieg tak obfity, że trudno było przejść ulicami. Leżał kilka dni i wreszcie spłynął rwącymi potokami do rzeki Kury. Mimo wypadków politycznych rok szkolny zakończył się normalnie.

Na wojnę szli coraz młodszy i coraz starsi. Z wojny wracały strzępy ludzi. Część mężczyzn w sile wieku unikała frontu, prowadząc życie tułaczce – sobacze. Pomagało im ciepło południa i prawie zawsze gwiaździste, kaukaskie noce. Ludzie ci nie wiedzieli za czyją sprawę mają oddać swoje zdrowe ciała. Pojęcie ojczyzny stawało się trudne do określenia. Wątpliwości i sprzeczności prowadziły wielu na bezdroża.

Tylko Kura toczyła swoje wody ku Morzu Kaspijskiemu. W wielu miejscach z jej brzegów wyrastały kamienne ściany domów. Nad wodą wisiały długie drewniane balkony, na których od wczesnej wiosny do późnej jesieni toczyło się życie. Dopiero podmuchy chłodnego zimnego powietrza z północnych grzbietów zmuszało do przymykania balkonowych drzwi i chowania się w ciemnym wnętrzu.

Pierwszy raz w życiu spotkało mnie podczas wakacji coś, co przypominało o pobycie w otoczeniu górskiej przyrody. Pewnej nocy zostałem kopnięty od dołu przez siatkę łóżka. Lekko podrzucony spadłem na swoje miejsce i po chwili ponownie zasnąłem. Byłem przekonany, że to mi się przyśniło. Ale kiedy znowu coś kopnęło i tynk z sufitu posypał mi się na głowę, zrozumiałem, że to bryka nasza kochana ziemia. Nie słyszałem dotychczas o żadnych poważnych trzęsieniach w okolicach Tyflisu (dziś Tbilisi), jednak poczułem się nieswojo. Nie spałem do świtu, wtedy dopiero zauważyłem rozległe rysy na suficie i ścianach. Na szczęście zakończyło się na strachu.

Wraz z wakacjami nastały gorące dni. Słońce wyżej wisiało nad doliną rzeki i z każdym dniem mocniej nagrzewało płaskie dachy. Tubylcy nosili futrzane czapki, chroniąc głowy od gorących południowych promieni, wręcz przeciwnie niż to robią ludzie północy. Urzędnicy byłego cara chodzą w cienkich marynarkach z czarnej lub białej czesuczy. Na głowach mają słomkowe kapelusze. Moja głowa ostrzyżona na zero nie bała się słońca. Biegałem po parkach i sąsiednich górach jak czarne dziecko Afryki. Siedziałem w Parku Aleksandrowskim na ławce w alei najwyżej położonej

i patrzyłem na tych, co przechodzili dołem. Wydawali mi się mrówkami. Myśląc, że sam jestem również taką mrówką, wracałem smutny do domu i pisałem smutne wiersze.

Zapisywałem całe zeszyty kiepskimi strofami, ale wręcz nie mogłem bez tego wytrzymać. Poznałem rodzinę tatarską i zacząłem tam bywać prawie co dnia. Za każdym razem do albumu dziewczyny w moim wieku wpisywałem krótki wierszyk. Była zawsze smutna i bez uśmiechu patrzyła dużymi, czarnymi oczami. Miała jakiś dziwny, powłóczysty wzrok, w którym kryło się nieokreślone marzenie. Moje wierszyki były krótkie i pogodne. Trochę filozoficzne. Czytała je i nieraz mówiła: „Z pana będzie człowiek”. Nie próbowałem dociec sensu tych słów.

Mam wrażenie, że jej myśli były nazbyt daleko idące i że zawiodłem pokładane we mnie nadzieje. Wszystkie zeszyty z wierszami poszły do pieca. Za dużo było w nich Puszkina, Lermontowa, Byrona i innych sławnych romantyków. Za mało mnie. Byłem bohaterem cudzych arcydzieł, który nazbyt często swoje wiersz kończył patetycznym zawołaniem:

*Dostojnie umrę
Sławą uwieńczony.*

Śmierci bohaterskiej nie znalazłem i błąkałem się po świecie jako zwykły śmiertelnik. Prawie pół wieku później chciałem spotkać się z byłą smutną dziewczyną, odmówiła mi jednak tej przyjemności: była nerwowo chora i nikogo nie chciała widzieć. Z goryczą pomyślałem o ludzkich losach.

Często wstawałem dość wcześnie i wdrapywałem się kamienistą ścieżką na górę św. Dawida. Po drodze odpoczywałem przy grobie Gribojedowa. Na szczycie patrzyłem na miłą mordę młodego misia uwięzowanego do słupa. Dawałem mu cukier. Stawał na łapach i mruczał z zadowolenia. Butelkę ze słodkim płynem trzymał łapami niby człowiek i rozkosznie ciągnął niczym smakosz piwo. Koło południa schodzili się Gruzini, wysocy, z orlimi nosami, i przy stolikach prymitywnej kawiarenki pili kachetyńskie wino. Kiedy mieli w czubie, nucili swoje pieśni. Głosy rozchodziły się po szczytach górskich i znikwały w głębokich przepaściach. Niekiedy odzywały się dźwięki bębna i na twardej, wygładzonej skalistej ziemi uwijały się nogi w leżgince, na którą można patrzeć godzinami i dniami. Ten taniec kilku plemion kaukaskich stał się narodowym tańcem gruzińskim.

Płynne posuwiste ruchy nóg i rąk przechodzą chwilami w zadzierzyste kroki i nagłe podskoki, by znów powrócić do łagodnych rytmów. Ilu tancerzy, tyle różnic w wykonaniu. Romantyzm, bohaterstwo, brawura. W tym

tańcu tkwi dusza wielu synów Kaukazu, a przede wszystkim Lezgina i Gruzina.

O zmierzchu cichną bębny i słycać tylko zgrzyt wagoników funikulo-
ra, kolejki linowej, która pomimo wojny pracuje niezawodnie. Ja schodzę
piechotą, podziwiając rozgwieżdżone niebo nad sobą i prawie takie same
pod sobą: miasto, rozciągnięte w dolinie wzdłuż rzeki, świecące sztuczny-
mi gwiazdami. Poprzez wieczorną ciszę przeciskają się odgłosy ulicznego
ruchu z centrum stolicy pięknej Gruzji. Czasami płyną spokojne pojedyn-
cze chmury, zawsze ze wschodu na zachód lub odwrotnie. Urozmaicają mo-
notonię gwiazdzistego nieba i przynoszą ochłodę. Idąc w dół, przypomnia-
łem sobie wiersz Goethego:

*Któż mi zabroni do woli
Wznosić ku niebu lica
I śpiewać chmurom, jak bardzo
Ich piękność mnie zachwyca.*

Chmurami można zachwycać się tylko leżąc na ziemi, daleko od ludzi,
patrząc na ich majestatyczne przesuwanie się po niebie. Widziałem nie-
mieckiego poetę rozłożonego na ukwieconej łące i patrzącego na płynące
mleczne cumulusy.

Góry są nie mniej czarujące i zwodnicze. Kto nie zapuszczał się samot-
nie chociażby na niewielkie szczyty górskie, ten nie zna ich magnetycznej
siły. Ledwo się wejdzie na jakiś wierzchołek, a przed oczyma wyrasta na-
stępny – wyższy, za nim trzeci, i tak bez końca. Aż do zagubienia można
wędrować coraz bliżej nieba. Góry i niebo. Świat się rozszerza po każdym
kroku i ciągnie nas dalej, jak najdroższa dziewczyna.

Skakałem ze szczytu na szczyt nad głębokimi szczelinami i przepaściami.
Rzucałem na dno głazy i czekałem odgłosu. Dobiegał najczęściej po
długim czasie. Głębokość napawała mnie strachem i szybko wracałem ku
dolinom. Tam kładłem się i podziwiając ciszę, zastanawiałem się dlaczego
ludzie się biją i dlaczego świat jest tak źle urządzony. Przyroda nie dawa-
ła żadnej odpowiedzi i z opuszczoną głową wracałem do swojego pokoiku.
Tarcza słońca znikła za ostatnimi zabudowaniami i opadała za górskie
szczyty. Krótki płomień szybko gasł, przechodząc w zmierzch.

Na takich wędrówkach spędziłem dni wakacji. I dni młodości. Kiedyś,
w świeży nagrzanany poranek, przez otwarte drzwi usłyszałem potężny głos.
Po dachach domów przelewała się aria operowa. Potężny bas rozlewał się
niczym morskie fale. Czegoś takiego jeszcze nie słyszałem. Wrażenie nie-
samowite. Czy to była płyta, czy śpiewał sam Szalapin – nie wiem. Ludzie

mówili, że był to on, Szalapin. Może ćwiczył przed występem. Do tej pory zachwycały mnie kurskie słowiki. Nieco później miałem okazję zachwycić się jeszcze jednym słowikiem na scenicznych deskach: Wertyńskim.

Tego lata przeprowadziłem się do nowego mieszkania, bliżej góry św. Dawida. Duży pokój w małym drewnianym domku wśród krzewów i kwiatów. Gospodarze, bezdzietne małżeństwo, Rosjanie. On z jedną nogą: kawałek drugiej zostawił na froncie. Ona o rumianych policzkach i pogodnej twarzy, kobieta jeszcze młoda, robiła wrażenie osoby zadowolonej z życia. Może dlatego, że mieli własny domek; może dlatego, że mężowi już nie groziła wojna. Ich spokojne życie dodatkowo wpływało na mój charakter. Codziennie nastawiała samowar i rano przynosiła mi do pokoju herbatę. Na drugie śniadanie szklankę mleka, które dostarczała jej służąca, młoda, mocno zbudowana dziewczyna o grubych, czerwonych rękach.

Któregoś dnia drzwi mojego pokoju były uchylone. Dziewczyna wsunęła głowę i zapytała:

- Jesteś sam?
- Widzisz przecież – odpowiedziałem równie poufałym tonem.
- A co robisz?
- Widzisz przecież, że czytam.
- Mogę do ciebie wejść?
- Możesz.

Weszła zażenowana i stała przy ścianie z pustym dzbankiem po mleku.

- Siadaj – podsunąłem jej krzesło.

Usiadła na brzeżku. Z krzesła zwisał okrągły pośladek, godny pędzla Rubensa. Wzrok jej wędrował po ścianach i spoczął na stole.

- Przeszkodziłam czytać? – przerwała ciszę.

- Nie szkodzi. Mam czas. Teraz wakacje.

Miała na sobie zmiętą spódniczkę i lekko przybrudzoną haftowaną bluzkę z dużym dekoltem, pod którym uwidocznił się zarys dużych piersi. Widocznie odczuła mój wzrok – podniosła wyżej brzeg bluzki. Podszedłem do niej i niespodziewanie dla siebie wsunąłem rękę za dekolt. Poczuję duże, okrągłe, gorące piersi. Szybko cofnąłem dłoń, napotykając po drodze na twarde sutki. Byłem zaskoczony swoją bezczelnością więcej niż ona sama. Zareagowała tylko lekkim uśmiechem i rumieńcem twarzy. Potem długo jej nie widziałem. Rano, kiedy przynosiła mleko, siedziałem w ogródku. W cieniu krzewów pisałem wierszyki o tęgiej dziewczynie i niedobrych ludziach, którzy każą żołnierzom umierać w okopach. Potem zabawa w poe-
tę przeminęła z wiatrem i wydarzeniami politycznymi. Żałuję tylko jedne-

go wiersza na cześć Sienkiewicza po jego śmierci. Dziwię się dziś, że pisarz znany mi tylko ze słyszenia, tak poruszył moją wyobraźnię.

Podczas wakacji często bywałem w rodzinie mułły, którego córka uczyła mnie języka tatarskiego. Była dużo starsza i kończyła uniwersytet. Miewałem często czerwone uszy, bo ciągnęła za nie bezceremonialnie. Nauczyłem się jako tako czytać i pisać. Interesował mnie wtedy kazański poeta Tukajew, który wcześniej zmarł. Dom mułły stał przy wąskiej uliczce w tatarskiej dzielnicy. Uliczka ta wiodła na tatarski cmentarz. Po lekcjach siedzieliśmy często na długim balkonie-galerii przy herbacie i patrzyliśmy na rozpalone dachy miasta. Łagodne jesienne słońce stopniowo przesunęło się po poręczy. Pewnego dnia w południe doleciały mnie niewyraźne i mało zrozumiałe słowa. Po chwili ukazała się kolumna obnażonych do pasa mężczyzn o czarnych czuprynach, idących w stronę cmentarza. W rękach trzymali kawałki żelaznych łańcuchów, którymi się biczowali w takt okrzyków: „Szachsej – Wachsej”. Niektórym spływała krew z czoła i piersi. To niesamowite widowisko było częścią szyickich misterii pasyjnych. Odbywały się w rocznicę męczeńskiej śmierci Husajna, wnuka Proroka. Czynione podobno kiedyś próby likwidowania publicznego biczowania się spełzły na niczym. W tym przypadku jakiegokolwiek ingerencje mogą doprowadzić do gwałtownych reakcji rozfanatyzowanego tłumu. Oprócz obchodów pasyjnych szyici udają się na pielgrzymkę do grobu Husajna w mieście Karbali i do grobu imama Rezy w Maszhadzie. Oba znajdują się w Iranie, którego obywatele są przeważnie szyitami.

Niebawem odkryłem u siebie drugą namiętność poza wierszami – mapy. W sklepach nie mogłem obojętnie patrzeć na mapy, które kupowałem zamiast jedzenia. Jeździłem po tych mapach w dalekie podróże. Widziałem pociągi sunące niby węże po szynach całego świata. Rzeki i rzeczki płynące wśród lasów i kwiecistych łąk. Fale morskie bijące o skaliste brzegi. Pola bitew na wszystkich frontach. Umierających i jęczących żołnierzy. Ciekawe, że nie było mi żal oficerów, a tylko szeregowych. Gdy dojeżdżałem do okopów, stawało mi się smutno. Rzuciałem mapy i uciekałem z domu na główną ulicę, gdzie w tłumie przechodniów moje myśli się rozpraszały i mogłem odpocząć.

Niekiedy przychodziły mi do głowy śmieszne rzeczy. Pod wieczór, wpatrzony w uciekające słońce pomyślałem, że gdyby posuwać się z szybkością obrotu ziemi wokół osi, to słońce nigdy nie zdążyłoby od nas uciec i nie mielibyśmy nigdy nocy. Kiedy indziej wydumałem sobie teorię, że wody kuli ziemskiej zajmują dokładnie tyleż kilometrów sześciennych, co skorupa ziemska wystająca ponad ich poziom. Miało to oznaczać, że gdyby

wszystkie wody wyschły i doły zostały zasypane ziemią, otrzymalibyśmy idealnie gładką kulę.

Na podobnych rozważaniach minęły mi wakacje. Rozpoczęliśmy rok szkolny normalnie. Ledwo upłynął miesiąc nauki, gruchnęła wieść o Wielkiej Rewolucji Październikowej. W szkole zaszumiało, zahuczało. Utworzyła się rada uczniowska, która zdjęła ze stanowiska dyrektora z kozią bródką i powołała na jego miejsce lubianego sekretarza szkoły. W radach pedagogicznych zasiedli delegaci starszych klas. Kaukazczycy, szczególnie Gruzini, paradowali po korytarzach z kindżałami przy cienkich taliach. Uczniowie, w odróżnieniu od profesorów, byli pewniejsi swojego jutra. Inteligencja carska ogólnie została uznana za wrogów ludu roboczego. Do głosu dochodziły masy, które ponosiły największy ciężar wojny w czasie, kiedy arystokracja jadła, piła, tańczyła i kochała się. Gniew i nienawiść ludu obróciła się przeciwko upasionym brzuchom rodzonych wrogów.

Lekcje trwały nadal. Pierwsze gromy powoli ucichły. Grupa nasza wciąż wydawała miesięcznik literacki „Świt”. Polityka nie zawładnęła naszymi sercami. Górowały nad nią marzenia nieokreślonej treści. Chcieliśmy wszystko burzyć, nie dając w zamian nic konkretnego. Byliśmy zawieszeni między ziemią a niebem. Krzyczeliśmy: „Precz z pieniędzmi”, ale nie wiedzieliśmy w jaki sposób otrzymamy żywność, bez której nie można istnieć. Tej zimy, po wakacjach noworocznych, pojawiły się obce wojska: Szkoci w spódniczkach i długonodzy Hindusi w zawojach. Jedni i drudzy budzili powszechne zainteresowanie. Szkotom dzieciarnia zaglądała pod spódniczki i zadawała pytanie: „Co ma pan pod spódniczką?”, a Hindusom spoglądano w egzotyczne twarze i pytano w jakim celu przybyli do pięknej Gruzji, skoro gorące słońce mają w swoim kraju. Brodaci, wysmukli żołnierze uśmiechali się tylko i ich uśmiechy podobały się dziewczętom. Kiedy przyszedł czas odjazdu, niektóre płakały.

Rok szkolny skrócono. Po raz ostatni w dziejach tego miasta wydano nam świadectwa na carskim papierze. W kwietniu 1918 roku przedstawiciele narodowości Zakaukazia zwołali demokratyczny sejm, który proklamował niezawisłość Transkaukazji. W końcu maja powstały niezawisłe, burżuazyjne republiki: Gruzja, Armenia i Azerbejdżan. Rząd gruziński zaczął wymieniać carskich urzędników narodowości rosyjskiej na Gruzinów. Miesiąc później na mocy uchwały Uralskiej Rady Obwodowej został stracony były car Mikołaj II. W jego osobie odeszła raz na zawsze władza carska i skończyło się panowanie dynastii Romanowów, która trzymała chłopów w ciemności prawie okrągłe trzysta lat. Lenin rzucił promień światła w naród rosyjski, aby zajął właściwe miejsce w świecie.

W niedalekiej przyszłości będę się zastanawiał nad tym, dlaczego większość królów, monarchów i różnych dyktatorów pozostaje wrogami własnych narodów, pijąc w swych pałacach ich krew i pot.

Po odpłynięciu różnych wojsk obcych państw ze stolicy niepodległej Gruzji, miasto zostało zalane żołnierzami rosyjskimi, którzy masowo opuszczali front kaukaski i szli do upragnionych domów. Z workami napełnionymi żywnością, z bronią na ramieniu, rozpolitykowani, porozpini, brudni, nieogoleni, sobie dowódcy, rozkrzyczani żądali pociągów, aby prędzej dotrzeć do matek, do żon, do dzieci. Nie zdawali sobie sprawy, że ich ojczyzna jest rozdarta, że jeszcze daleko do chleba, wolności, spokoju. Śpieszyli w łapy swoich, którzy takich jak oni nie chcieli. Pozbyli się swoich oficerów, ale na nich czekali tacy sami, albo jeszcze bardziej zawzięci na ich marzenie o władzy chłopów i robotników.

Jechali z jednej wojny na drugą, bardziej okrutną, bo bratobójczą. O tym nie myśleli. Najważniejsze, że opuścili znieawidzone okopy, głód i brud. Wreszcie chcieli się pozbyć wszy, które wysysały resztki ich krwi. Zbierali się na dworcach, wiecowali, wybierali spośród siebie dowódców. Przepływali jak fala za falą. Burzliwi, mściwi, zapamiętali, pełni gniewu, gotowi zmiażdżyć wszystko po drodze. Stanowili prawdziwy naród rosyjski, na który czekała ziemia, by ją orać, siać i zbierać plony. By się napić i najeść do syta. By odetchnąć szeroką, wolną pierśią czystym powietrzem rodzimych pól, łąk i lasów.

Narody Kaukazu organizowały swoją państwowość, tak jak ich nauczyli dawniejsi współpracownicy. Z troską o zachowanie swojego stanu posiadania. Z balastem odziedziczonego systemu carskich rządów. Pasma grzbietów górskich zatrzymywało powiew orzeźwiającego powietrza z dalekiej północy. Do gwałtownych zmian nie było jeszcze odpowiedniej gleby. Pozbywając się cudzych panów, kaukaskie ludy zawierzyły swoje życie własnemu.

Na rok przed maturą zostałem zawieszony między przeszłością a przyszłością. Odezwało się we mnie dziedzictwo Mamaja i Dżyngis-Chana. Przestałem być obywatelem rosyjskim – zostałem obywatelem wolnego powietrza, nadal rozdzieranego gwizdem karabinowych kul. Poszedłem za ich wezwaniem. Początek temu dał pewien wieczór w towarzystwie podpraporszczyka byłej carskiej armii. Nie pamiętam w jakim celu przyniósł do moich znajomych załadowany karabin. Chociaż już w szkole nosiłem broń na ramieniu, ale nigdy jeszcze nie strzelałem. Teraz zacząłem manipulować zamkiem, trzymając lufę do góry. Niechący pociągnąłem za spust i oddałem strzał. Kula przeszła przez sufit i cienki stół, przy którym na dru-

gim piętrze rodzina jadła kolację. Na szczęście trafiłem w sam środek stołu, na którym akurat leżał bochenek chleba. To był mój strzelecki chrzest.

Wciągnięty w zawirowania historyczne Azerbejdżanu nie miałem widoków na dokończenie średniej szkoły. Wszelka pomoc ze strony braci ustała z chwilą działań rewolucyjnych. Byłem zdany wyłącznie na własne utrzymanie. Musiałem przyjąć posadę państwową w jednym z azerskich ministerstw. Moi koledzy kończyli pierwsze półrocze ostatniej klasy przed maturą realną. Dręczyło mnie posiadanie świadectwa za sześć klas, które zamykało przede mną wrota wyższych uczelni. Postanowiłem za wszelką cenę uczyć się na zajęcia drugiego półrocza. Wyjechałem do Tyflisu odległego o osiemset kilometrów od miejsca pracy i poszedłem do dyrekcji szkoły. Przyjmą mnie pod warunkiem zdania w ciągu dwóch tygodni egzaminu z materiału za pierwsze półrocze. Siedem głównych przedmiotów. To znaczy jeden przedmiot co drugi dzień. Bagatela!

Zamieszkałem na swojej dawnej ulicy, w półsuterenie u przyjaciół brata. Oddali do mojej dyspozycji dużą kuchnię, skąd widzieliśmy jedynie nogi przechodniów. Wkuwałem po piętnaście godzin dziennie. Chodziłem po kuchni i powtarzałem głośno różne formuły z matematyki. Przewali mnie „Plus delta”. Niedaleko mieszkał profesor matematyki naszej szkoły, młody Gruzin, który niedawno ukończył uniwersytet w Odessie. Zaofiarował się bezinteresownie pomagać mi w matematyce. Po dwóch tygodniach zostałem uczniem siódmej realnej. Językiem wykładowym pozostał nadal rosyjski. Gruziński był obowiązkowy tylko dla Gruzinów. Wszystko miałem za sobą, oprócz kwestii zabezpieczenia materialnego. Urlop mi się skończył i mieli prawo nie przysyłać mi gaży w wypadku niezgłoszenia się do pracy. Co robić? Rzucić szkołę? To po co był mój wysiłek? „Zachorować! – błysnęła myśl. – Pójść do lekarza, powiedzieć otwarcie o co chodzi i posłać fałszywe świadectwo lekarskie”.

Wziąłem do ręki pierwszą lepszą gazetę, sprawdziłem adresy lekarzy i z podniesioną głową ruszyłem naprzód. Siedziałem w poczekalni i przeglądałem gazetę. Kiedy drzwi od gabinetu otworzyły się i miałem wejść, wzrok mój padł na ogłoszenie tego właśnie lekarza: „Choroby weneryczne”. Było za późno, żeby się wycofać. Wszedłem zaaferowany i czerwony. Zacząłem bełkotać, że właściwie... że to pomyłka... że przyszedłem w całkiem innej sprawie... Zbaraniały lekarz kazał mi usiąść i powiedzieć spokojnie o co chodzi. Wysłuchawszy rzekł: „Całkowicie się zgadzam. Wszystkie środki prowadzą do celu, byle cel był szlachetny. Tylko moje zaświadczenie zamiast sprawę ułatwić, raczej ją skomplikuje. Proszę iść do lekarza szkolnego. Powiedzieć, że ja przysłałem. Podzwonię”.

Wyleciałem spocony z gabinetu. Pacjenci patrzyli na mnie z politowaniem. Świadcstwo jednak dostałem: „Chory z podejrzeniem gruźlicy, wskazany pobyt w górach, niewskazany nad morzem”.

Byłem uratowany. Co miesiąc świadectwa płynęły do ministerstwa, odwrotnie – miesięczne pobory. Każdego rana biegłem z notatkami pod pachą do szkoły. Na nieszczęście, w tym rejonie miasta mieszkała rodzina mojego szefa z biura. Kiedy pewnego dnia przyjechał w odwiedziny, dowiedział się, że świetnie się „kuruję” w górach. Oczekiwałem wstrzymania poborów i ewentualnego zwolnienia. Nic podobnego. Po otrzymaniu świadectwa maturalnego w języku gruzińskim na pierwszej stronie i w rosyjskim na drugiej, pośpieszyłem do pracy. Wchodząc po schodach, natknąłem się od razu na swojego szefa, kierownika jednego z departamentów ministerstwa. Wyciągnął do mnie rękę na powitanie po pięciomiesięcznej „gruźlicy” i rzekł:

– Mam nadzieję, że płuca już w porządku...

A po chwili dodał:

– Winszuję matury i proszę się wziąć za zaległości.

Był ten Rosjanin człowiekiem z dużą kulturą. Poglądy miał nieco odmienne od bolszewickich, ale Denikina też nie lubił. Dzięki niemu zostałem studentem i rok później z paszportem obywatela Azerbejdżanu siedziałem na przystani w Batumi, czekając na statek „Franciszek Józef I” pod flagą włoską. Nad Czarnym Morzem wisiały ciężkie, ciemne chmury. Zapowiadał się sztorm. Mimo tych warunków statek odpłynął kołysany ogromnymi falami, które unosiły mnie w nowy świat, świat odczarowany.

ŚLADAMI OJCZYZNY

Gnany wątpliwościami na burzliwych falach mórz, szukający romantycznych, bohaterskich przygód w różnych krajach, natknąłem się nareszcie na prawdziwe, prozaiczne życie. Wkrótce zobaczyłem autentyczne oblicze swoich marzeń, obdarłe ze wszelkich złudzeń. Mój świat, zbudowany na olśniewających słowach Puszkina, Lermontowa, Turgieniewa, Niekrasowa, Tiutczewa, Byrona, Heinego i wielu innych wielkich poetów i filozofów, zaczął przybierać zgoła inne kształty przy zetknięciu z rzeczywistością, bardziej brutalną i prozaiczną niż mógłbym tego oczekiwać.

Całe dzielnice małych domków w portowej części Konstantynopola ofiarowały rozkosze ziemskich „hurys” wszelkich narodowości, różnego wieku i różnej maści. Raj za życia, z tym że płatny, brudny, weneryczny. Dalej cudo świata: meczet Aja Sofia. Jego wnętrze z niedającą się objąć ciszą, pustką i wielkością każe człowiekowi pochylić głowę i podziwiać moc Allaha. W portach mrowie różnojęzycznych marynarzy, dzięki którym trwa egzystencja małych domków z zatraconymi duszyczkami zbłąkanych dziewcząt, których ciałami rozporządzają doświadczone handlarki żywym towarem. A na mostach i ulicach centrum przepływają potoki czerwonych fezów.

Na dworcach kolejowych Rzymu elegancko ubrani panowie proponują odpoczynek w pięknie urządzonej mieszkaniu prywatnym dostojnej matrony. Ma ona kilka córek, które po herbacie z winem dyskretnie przecho- dzą do swoich pokoiów ze zmęczonymi podróżnikami. Wszystko grzecznie, przyzwoicie jak przystało na porządną rodzinę. Panowie dyskretnie wsuwają pod poduszki liry i jadą na noc do hotelu.

W Paryżu wsuwają wam do ręki adresy luksusowych domów publicznych, gdzie przy wejściu za pięćdziesiąt franków lekarz bada, czy przypadkiem nie macie choroby wenerycznej. Te domy z ich mieszkankami są pod ścisłą opieką wyższych czynników. Tu dbają o wygodę klientów i ich zdrowie. Za dodatkową opłatą możecie mieć dodatkowe przyjemności dotykowe lub wzrokowe. Lokatorki przeszły wyższe studia i w swoim zawodzie są wyśmienite.

Biedni mają hoteliki na godziny. Dyrektorzy odwiedzają swoje sekretarki dwa, trzy razy tygodniowo w prywatnym mieszkaniu, gdzie dziewczyna jada prywatne obiady. Miłość zwiększa apetyt i ułatwia służbowe stosunki. Pani domu przyjmuje starszego pana, od którego pożycza pieniądze, aby później wydać je na syna właśnie tego pana. I wszyscy są zadowoleni.

Życie wre na ulicach, w teatrach, kawiarniach, restauracjach, salonach, w zacisznych mieszkaniach. Gdyby nie sterczące kominy zniszczonych miast na północy Francji, nikt by nie powiedział, że to dopiero dwa lata po zakończeniu wojny. Chłopak od rzeźnika przynosi do mieszkania wyborowe kawałki różnego mięsiva i pyta was, czy należycie do jakiegoś klubu. Jeżeli nie i macie takie życzenie, on może was zaprotegować i wprowadzić tam, gdzie odbywają się taneczne wieczorki i inne zabawy kulturalne. Starszy oficer przyjmuje w swoim domu oficerów, studentów i ślusarzy. Najmocniejszym kandydatem do ręki dorastającej córeczki jest ślusarz, bo najlepiej zarabia.

Modystka ma trzy pokoje z kuchnią. Często chodzi do opery. Wszędzie można coś zgubić lub zapomnieć. Zawsze jednak ktoś zwróci wam zgubę. W sklepie jubilerskim właściciel zostawia klientów przy ladzie, żebyście coś sobie wybrali, nim on zje drugie śniadanie. W tym samym czasie pod drugi sklep jubilerski podjeżdża limuzyna, z której wysiada dwóch młodych mężczyzn. Wchodzą do sklepu, wyciągają z kieszeni rewolwery, zgarniają biżuterię i odjeżdżają. Za nimi, jak szalone, pędzą policyjne wozy.

Wielki, cywilizowany świat ze wszystkimi jego dobrymi i złymi zjawiskami przepływał przed moimi oczami niby kolorowa taśma. W wyższych uczelniach wykładano wszelkie mądrości, z których nie mogłem wyłowić ani jednej odpowiedzi na nurtujące mnie pytania. Wszędzie przygotowywano młodych ludzi do zawodu, który daje dobrobyt, pieniądze, może nawet sławę, ale nigdzie nie mówiono, że na świecie jest dużo zła i co trzeba robi, żeby go nie było. Zmieniałem fakultety i profesorów i wszędzie widziałem rutynę, szablon, dokładność, zwięzłość i ściśle zakreślone ramy naukowych dociekań. Zrażały mnie ciemne, zawile i mętne wywody filozoficzne. Szukałem prostej, zwyczajnej prawdy i natychmiastowych rozstrzygnięć niektórych zagadnień. Nie znalazłem i smutny wracałem do swojego pokoju.

Myśli oscylowały między Kaukazem a moim miasteczkiem na Wileńszczyźnie. W górach pięknej Gruzji zostawiłem młodość, zaś w miasteczku – kiepskie dzieciństwo, które w dalekich krajach nabierało coraz ostrzejszych kolorów. Teraz leżało przecież w Polsce, która zmartwychwstała dzięki milionowym ofiarom żołnierzy całego prawie świata. Ja, papierowy

obywatel, tęskniłem do narodu, z którego pochodziła moja mleczna matka. Przed oczyma przesuwwały się drogi, rzeczki i łąki rodzinnych stron. Na ich tle ojciec z długą brodą i czarna macocha. Czy żyją? Sięgnąłem po kopertę i zaadresowałem ją – po raz pierwszy od siedmiu lat. Tak jakbym pisał zawsze, jakby nic się nie zmieniło. Po siedmiu miesiącach list wrócił. Koperta była pokryta wieloma adnotacjami: „Adresat ubył”, „Wyjechał nie wiadomo dokąd”, „Ubył do nowego miejsca zamieszkania”, „Adres nieznan”. I dużo innych. Tyle, ile koperta mogła zmieścić.

Nie tylko myślałem o ojcu. Przede wszystkim, nie wiem dlaczego, pomyślałem o Polsce: jeżeli list wędrował siedem miesięcy i nie zaginął, to znaczy w tym państwie jest porządek, mimo że dopiero odzyskało niepodległość po wiekowej niewoli. Poczuję jakby mnie coś przyjemnie połaskotało po dniu żołądka. „Petite Polonais”¹⁹, jak mnie nazywano w obcym kraju, urosło do „Grande”. Poczuję się częścią odrodzonego państwa, którego literatury i, można powiedzieć, nawet poprawnego języka nie znam. W dzieciństwie byłem ni pies, ni wydra. Zahukany chłopak wśród podwileńskich lasów. Bez określonego środowiska kulturalnego. Dziecko złej i dobrej przyrody. Raptem jakaś niewidoczna nić pobiegła ku moim rodzinnym stronom.

Powiedzonko „saoul comme un Polonais”²⁰ zaczęło mnie drażnić i próbowałem je obalić historią losów Polski. W okresie panowania trzech zaborców, na Zachodzie przewijało się trochę Polaków, którzy nie mogli żyć bez własnej ojczyzny. Niektórzy byli zmuszeni szukać azylu. W większości byli to ludzie rozczarowani, zagubieni w cudzym świecie, wygnancy na bezdrożach i rozdrożach, bez przyszłości i często bez nadziei. Nic dziwnego, że mogli wielokrotnie zostawiać swoje życie na dnie kieliszka. Do tego doliczyć trzeba trochę obieżyświatów i niebieskich ptaków, których nie brakuje w najlepszym narodzie. I tak powoli tworzyła się legenda o „saoul comme un Polonais”, chociaż wolne od wieków narody również nie wylewają za kołnierz. Mówię o tak krzywdzącej opinii, ma się rozumieć, w okresie odzyskania niepodległości w listopadzie 1918 roku.

W tym czasie, kiedy Polacy błakali się po świecie, częstokroć walcząc nie tylko za swoją sprawę, wielkie mocarstwa uchodziły za dobroczyńców udzielających im łaskawie schronienia za drobną opłatą. Natomiast bogate mieszczaństwo i arystokracja carskiej Rosji sownie wynagradzały wszelkich cudzoziemskich gubernatorów i gubernantki. Szczególnie Francuzów, których język był językiem wielkich salonów. Tworzyli oni legendę o nie-

¹⁹ Mały Polak (fr.)

²⁰ Francuskie powiedzenie: „pijany jak Polak”.

przebranych bogactwach egzotycznego kraju, w którym nigdy nie widzieli „muzyka” i nie znali jego życia mało odbiegającego od egzystencji pierwotnego człowieka. Wszyscy natomiast, w tym niemal i wieśniacy, wiedzieli o jedynym Rosjaninie, który co prawda ubierał się prawie jak muzyk, ale był hrabią, a do tego jeszcze największym pisarzem Rosji i nie tylko Rosji – Tołstojem.

Szczęśliwy, kto ma swoją ojczyznę od urodzenia, używa swojego języka, poznaje jego piękno i może nim wyrazić swoje najgłębsze myśli i uczucia. Stąpa po swojej ukochanej ziemi i w tej ziemi znajduje wieczny spoczynek. Stokroć szczęśliwszy jest tułacz, który doznaje słodczy tęsknoty za własnym dziecięcym podwórkiem, którego nie zastąpią najpiękniejsze kraje. Dlatego może tak pośpiesznie jechałem po zwrocie listu, aby jego śladami wędrować po rodzinnych drogach i ścieżkach w poszukiwaniu dzieciństwa i tego, który mi dał życie. Tylko ci, co w niejednym kraju byli, znają uczucie obcości, które niczym cień stale im tam towarzyszy. Nawet, gdy was Kochają i starają wam zastąpić ojczyznę. Mimo tego myśli wasze lecą daleko wbrew waszej woli i przywołują obrazy miłe sercu. Dążycie do nich, chociażby miały przynieść rozczarowanie.

Nie musiałem na to długo czekać. Że urzędnicy niemieccy zabrali mi niesłusznie pieniądze, mówi się trudno: wrogowie, ale kiedy polscy celnicy poprosili o zapłacenia cła za czekoladę w wysokości jej ceny – byłem nie mile zaskoczony. Cła nie uiściłem, czekoladę rozczęstowałem pomiędzy pasażerów wagonu. Takie było moje pierwsze wymarzone spotkanie z krajem, który miał być mi do śmierci prawdziwą ojczyzną. Nie myślałem wtedy o przepisach i ich egzekwowaniu przez urzędników. Potraktowałem pierwsze wrażenia zbyt uczuciowo, jak spotkanie z wymarzoną dziewczyną, której uczucie do mnie wystygło po kilku latach rozstania.

Po stolicach zachodnich państw Warszawa wydała mi się miastem, które nie powinno przynosić wstydu jego mieszkańcom. Co prawda wystawom daleko do paryskich, ruch samochodowy minimalny, ale każde miasto ma swoje zalety. Stare Miasto, Krakowskie Przedmieście, Aleje Ujazdowskie z parkami rekompensowało wiele innych niedostatków. Zresztą Warszawa na razie nie absorbowwała mojej rozpalonej głowy. Główny kierunek uderzenia – rodzinne okolice. Najpierw Grodno. Miasto z bajki mojego dzieciństwa. Miasto ogromnych jedno- i dwupiętrowych kamienic, miasto szerokich ulic z hałaśliwym tłumem z lat dziecińczych – wyobrażenie przysło niby bańka mydlana. Wydawało się teraz małym miasteczkiem, ale swoim, Kochanym.

Siedząc na worku ze słomą na wozie bałaguły²¹, który miał mnie za-
wieźć na odległe o pięćdziesiąt kilometrów dziecinne podwórko, nie wiem
czemu przypomniałem sobie podróż Balzaka na Ukrainę. Tak jak on gna-
łem z drżeniem serca wciąż naprzód, byle prędzej, byle szybciej. Obu nam
pilno: jemu do kochanej kobiety, mnie do kochanego domu, zaczarowanego
świata dzieciństwa.

W połowie drogi skończyła się szosa i pochłonęły nas wielkie, sosnowe
lasy. Podrzucany korzeniami starych sosen przypomniałem zbłąkanego
w lesie pieska, który siedem lat temu odprowadzał mnie w szeroki świat.
Czy żyje biedaczek? Może znalazł nowego pana, może go wilki rozszarpa-
ły? Niedobrze jest wspominać przykre rzeczy i myśleć o kiepskich losach
żywych stworzeń. Zmęczony jazdą osunąłem się na dno wozu i zdrzemną-
łem się. Było jeszcze ciemno, gdy dotarliśmy na miejsce. Nasza chata przy-
kucnęła ku ziemi i ledwo była widoczna przy pochmurnym niebie. Zapuka-
łem do kuchennego okna. Cisza. Zapukałem mocniej.

– Kto, do licha, wali o tej porze? – odezwał się kobiecy głos.

– Ja, swój – wymieniłem nazwisko.

Zgrzytnęła klamka i drzwi otworzyła wysoka, chuda Białorusinka,
trzymająca w ręku małą lampkę naftową. Wszedłem do kuchni, usiadłem
na ławie przy oknie i patrzyłem na dawny nasz piec chlebowy z przypiec-
kiem, na którym nie tak dawno opowiadaliśmy różne legendy o strachach
i innych dziwnych rzeczach. Przyjemnie było przyciskać się plecami do
ciepłego pieca i w mroźną noc słuchać zamieci za oknami. W kominie wyl
wiatr, ciarki przebiegały po plecach, a w ciemnych kątach kuchni czały się
dziwaczne postaci naszej chłopięcej wyobraźni. Nim te myśli błyskawicz-
nie przebiegły po mojej głowie, usłyszałem cierpkie słowa kobiety:

– Waszego już tutaj nie ma nic. Ojciec nam wszystko sprzedał, po co pan
tutaj przyjechał?

Milczałem. Popatrzyłem na jej nieprzyjazne oczy i odezwałem się spo-
kojnym, znudzonym głosem:

– Ja już jedną noc nie spałem, całą dobę jadę, może by...

– Nic mnie nie obchodzi – przerwała – i proszę sobie jechać dalej.

– Dokąd?

– Tam, gdzie ojciec.

– A gdzie?

– Podobno w Jeziorach.

²¹ Z gwary żydowskiej: woźnica, także jego wóz.

Wyszedłem na podwórko. Konie bałagły wesoło chrupały owies i od czasu do czasu parskały. Świtało. Gwiazdy bladły i stopniowo gasły. Za rzeczką i pagórkami na skraju miasteczka zaróżowiło się niebo. Strzeliły promienie i poranek ukazał się w całej krasie. Rozejrzałem się wkoło. Po żurawiu przy studni ani śladu. Na zrębie leżała długa tyczka z gwoździem do wyciągania wody. Sadzik zniszczony. To samo z ogrodzeniem i bramą. Moje dzieciństwo zostało pogrzebane. Dom stał w pustkowiu. Zaniebany, w tym otoczeniu wyglądał na opuszczony przez ludzi i Boga. Nie miałem ochoty patrzeć na ruinę moich marzeń. Furman szykował wóz do odjazdu. Na pożegnanie wstąpiłem do sąsiadów – dawniejszych wrogów. Ciekaw byłem Rozy, którą trzymałem kiedyś za paluszki przez płot, a dziecięce serduszko było pierwszą miłością, najszczęśliwszą chyba, jaka może być między kobietą i mężczyzną. Zobaczyłem dużą, brzydką dziewczynę. Złudzenia i sny prysnęły. Cisza pokryła rozczarowanie. Siadłem na wóz i pojechałem śladami listu, który rok temu wędrował tak, jak ja teraz.

Nad dużym jeziorem otoczonym lasami leży małe miasteczko z małyńkimi drewnianymi domkami. Wszystko nowe, co wskazuje, że stare musiało być spalone w czasie wojny. To schludne miasteczko od swojego położenia nazywa się Jeziorami. Czternaście kilometrów przejechaliśmy prawie w dwie godziny. Kazałem furmanowi zatrzymać wóz nad jeziorem. Po prawie nieruchomej tafli jeziora igrało czerwcowe słońce. Daleko z szuwarów wypłynęło parę kaczek. Górą przeleciał bocian i osiadł na gnieździe zbudowanym na wielkiej stodole. Patrzyłem na przyrodę, która wydawała się pogrążoną w jakąś zadumę.

– To czemu nie jedziemy do ojca? – wyrwał mnie z zamyślenia furman.

– A gdzie ojciec? – zapytałem.

– Pan mnie pytasz? Żydek ma wiedzieć, gdzie pański ojciec? Mój interes pana wozic za te marne marki, które nic nie będą warte za parę dni.

Rzeczywiście, nie miałem przecież adresu, a marka rzeczywiście była pieniądzem mocno chwiejnym. Wjechaliśmy w główną i chyba jedyną ulicę. Zwróciliśmy na siebie uwagę kobiet, siedzących na ławkach przed zielonymi okiennicami domków.

– Owszem, mieszkał tu jeden taki z brodą i żoną podobną do Cyganki. Podobno był jakiś Tatar. Nie miał tu nic do roboty. Podobno pojechał do Skidla. Tam ma być dużo takich Tatarów, czy jak ich tam – poinformowała nas starsza kobieta, która czyściła kurki świeżo przyniesione z lasu. Mówiła, nie podnosząc oczu. Pilno jej było widocznie z tymi grzybami.

– Jedziemy do Skidla – zdecydowałem.

– Do Skidla? – zdziwił się woźnica. – A kto mi za to zapłaci? Kto da na owies dla konia? Ja też chcę jeść. Już lepiej wracać do Grodna. Tam mam dom i pan może się wypaść. Po co ta męka panu? Pan zdążysz znaleźć ojca, jeżeli żyje.

– Jedziemy do Skidla – powtórzyłem ze złością, dając mu plik marek. – Kup sobie chałę i koniom owsa i zaraz jedziemy.

– Po co pan się gniewa? Ja tylko żartowałem. Ja pana zawiozę, gdzie pan chce. Nawet na koniec świata. Żydek wozi, Żydek żyje. Żebym był tak zdrow, jak interesu na tym nie zrobię, ale mnie szkoda pańskiego ojca. Tyle lat, tyle lat! Taka wojna była. Wszystko może być.

– Nie kracz, szatanie.

– Czy ja mówię, że nie pojedziemy? Ale po co nam ten szatan? Nich on sobie idzie do diabła. Teraz dosyć kiepskich ludzi. Tyle ich jest po wojnie.

– A do wojny wszyscy byli świętymi?

– Oj, panie, pan jest młody i niczego nie widzi i nie pamięta, jak to było kiedyś. I pieniądz był coś wart, a teraz? Pan mi dajesz te marki, a co ja za nie kupię? Wszystko drożeje. Koń nie pyta, ile kosztuje owies. On chce jeść, on musi jeść, inaczej nie chce ciągnąć. Koń to nie człowiek, który może pracować i z głodnym żołądkiem. Człowiek może dużo wytrzymać. Z koniem, panie, gorzej, to jest delikatne stworzenie. A jak w Skidlu nie będzie ojca, to pan każesz mi tak jeździć po całym świecie? Pan wie, co pomyśli moja żona? Pan nie wiesz. Moja żona pomyśli, że mnie dawno wilki zjadły. A pan widział wilki? Nie? To pan jeszcze zobaczy. Teraz, w lecie to ich nie widać, ale zimą. Żeby mnie Pan Bóg dał tyle lat życia, ile wilki zjedli gojom owieczek i świń.

– Dobrze, jedziemy. Wilki też muszą żyć. Nas nie ruszą, wystarczy tłustych pańskich koni.

– Uj, jakie żarty się pana trzymają! Takie głupstwa pan mówi, a mnie strach po krzyżu poleciał. Do Skidla mamy dwadzieścia kilometrów przez same lasy, gdzie rzadko można spotkać człowieka. Kto wie, co może się przytrafić człowiekowi.

– A kto zaczął o wilkach? Ja chudy i mały. Im się nie opłaci zadawać ze mną. Pan to chyba ważysz koło stu kilo?

– Pan stale żartuje i wraca do tych wilków. Po co nam wilki. Niech idą sobie do cholery. Moja żona wcale nie pomyśli, że mnie wilki zjadły...

– A kto?

– Pomyśli, że mnie goje zabili. Teraz takie niedobre czasy dla Żydków. Nawet broda niektórym przeszkadza. Już nie mówię o pejsach. Ale kto te-

raz nosi pejsy? Chyba tylko „miszugine”²². Pan słyszał na pewno o tym, że niedawno w lesie zabili całą rodzinę za parę marnych groszy. Wracali z targu, gdzie sprzedali krowę. Wzięli dużo pieniędzy, ale co warte te pieniądze? Lepiej ich wcale nie mieć.

Podczas naszego gadania konie żwawo ciągnęły wóz po rzadko uczęszczanym leśnym gościńcu. Co kilkaset kroków parskały, na co furman za każdym razem odpowiadał: „Zdrów!” Powoli mijaliśmy stare sosny, wypuszczające długie krzywe korzenie, na których skakały koła i podrzucaly nas na workach słomy. Skrzypienie wozu i prychanie koni uciekało po leśnej ciszy i zanikało w głębi lasu. Nagrzane powietrze pachniało żywicą i wpływało kojąco na niewypoczęty organizm. Wpadłem w drzemkę i ledwo przymknąłem oczy, a tu las się skończył i wjechaliśmy na otwartą przestrzeń. Po obu stronach piaszczystego gościńca biegły różnej szerokości zagony, na których żyto, jęczmień, owies, koniczyna, kartofle, groch i inne rośliny drzemały w czerwcowej spiekocie. Kłosa zbóż chyliły się w pokłonie ku ziemi niby baletnice przed publicznością, a przy kwitnącej koniczynie i grochu uwijały się pszczoły i inne owady.

Ponad tym wszystkim, daleko na horyzoncie, ukazały się dachy miasteczka. Wjechaliśmy w ulicę Tatarską. Owszem, nowina radosna – ojciec żyje, ale tu już nie mieszka. Macocha pociągnęła w swoje rodzinne strony w okolice Lidy – do Iwia. Nie dziwiła mnie teraz wędrówka listu do ojca. Z ulicy Tatarskiej pojechałem na Szpitalną, gdzie podobno ojciec przez jakiś czas mieszkał. Przed domem na progu siedziała tęga, młoda, niska blondyna i tłukła masło w „bojce”²³. Klepiąc śmietaną, opowiedziała o wędrówkach ojca i o tym, że rok temu przyszła na świat druga moja przyrodnia siostra, że nie jest taką Cyganichą jak pierwsza, tylko biała, podobna do mnie. Współczułem siostrzyczce z powodu mojego szpetnego wyglądu, ale z drugiej strony cieszyło mnie przyjście na świat kogoś o moim obliczu.

Przez dziurę w pokrywce „bojki” ukazały się odrobiny świeżutkiego białego masła. Gospodyni uniosła jasne oczy w moją stronę i zapytała:

– Może ma pan chęć na szklanekę maślanki?

Wypiłem i zostałem jako lokator. Dostałem do dyspozycji największy pokój, coś w rodzaju salonu lub pokoju gościnnego. Na oknach stały doniczki z kwiatami, w rogu figus. Przy ścianie wejściowej kanapa do spania. Pośrodku duży stół i parę krzeseł. Wymarzone lokum do wypoczynku i pracy. Ale jakiej? Nie miałem żadnego wyobrażenia przyszłości. Byłem bezradny. Jedynym moim bogactwem była młodość i nic więcej. Jedno ubranie

²² Poprawnie miszuga. W jidysz: wariat, człowiek niespełna rozumu.

²³ Masłobojka: maszyna do ubijania masła.

na sobie, jesionka, kapelusze i parę tysięcy marek. Nadawałem się do rajy Mahometa jako goły... tylko nie święty. Gospodyni miała trzech synalków. Zaczęłem ich uczyć. Otrzymałem za to mieszkanie z utrzymaniem. W miasteczku znalazło się parę młodych, ładnych Żydóweczek, które marzyły o wyruszeniu na Zachód. Zaczęły przychodzić na lekcje francuskiego. Miałem na drobne wydatki. Trochę odpocząłem po podróżach i wyruszyłem tropami ojca.

W Lidzie przesiadka na Mołodeczno. Zamiast pociągu osobowego – towarowy i tylko zasadniczo dla wojskowych. W wagonach jadą ułani. Do nich pchają się cywile. Nie wszystkich przyjmują. W pierwszej kolejności odpadają Żydzi. Zresztą oni sami niechętnie widzą towarzystwo ułanów, którzy jakoby szablami obcinają im brody. Przede mną pakuje się pop, ja za nim. Ułani nic nie mówią, tylko trochę krzywo patrzą. Jedziemy. Wyciągam z kieszeni jesionki „Kurier Warszawski” i zaczynam czytać. Ułani wyciągają z plecaków kiełbasę i zajądają. Zdejmują z niej skórki i próbują położyć mi na rondo kapelusza (widzę to, zerkając do tyłu). Powiadam do pięknych chłopców w rogatywkach z kolorowymi otokami: „Proszę kawałków nie robić”.

Ułani uśmiechają się do siebie. Jeden mówi: „Zostaw go, on jada tylko koszerne”. Drugi – „Ale gazeta polska też koszerne”. Przekonani, że jestem Żydem. Zaczyna mnie to bawić. Na drugim przystanku wypraszają popa. Dają mi do zrozumienia, że chętnie by widzieli, abym poszedł w jego ślady. Udaję greka i pytam jak daleko do stacji Iwie. Odpowiadają: „Pięć minut piechotą”. Powiadam: „To już lepiej pojadę”. Śmieją się, a któryś rzuca: „Patrzcie, jaki gieroj! Dajcie mu kawałek za to kiełbasy wieprzowej”. „Owszem, jestem głodny” – odrzekłem. Pękają ze śmiechu. Koła wałęsają się po szynach, podłoga podskakuje. „Kiełbasy szkoda, dajcie mu skórki” – woła któryś z rogu. „Skórkę możesz zawieść swojej narzeczonej” – mówię głośno, żeby wszyscy słyszeli. „Może on nie od naszych?” – rzuca pytanie ktoś z drugiego strony wagonu. – Dajcie mu spokój”.

Cisza. Przystanek. Wyglądam, aby nie przegapić swojej stacji. Ruszamy. „Jak Bożę kocham, podobny pan do Żydka, ale może się mylimy i panu dokuczamy?” – zagląda mi w oczy stojący obok dziarski ułan. – Ale na Polaka to pan też nie wyglądasz”. „Bo i niezupełnie nim jestem” – powiadam. „To kim pan jest, u licha?” – pyta wesoło wysoki, chudy ułan. „I tak na pewno nic wam z tego nie przyjdzie, bo takich może nigdy nie spotkaliście – śmieję się do kawalerzystów. – Na przykład: może taki Tatar polski”.

„Niech żyje tatarska jazda!” – podchwycili ułani i zaczęli mnie huścić, aż kapelusze zleciały. „Chłopcy, przeprosicie za dokuczanie!” – dał się słyszeć

niski głos z rozweselonej kompanii. Pilnowali, żebym nie przejechał swojej stacji. Pożegnali uściskiem mocnych dłoni. Tego pierwszego spotkania z polskim żołnierzem odrodzonej Polski nigdy nie zapomnę.

Stacja była tuż przy lesie. Osada tatarska kilometr za miasteczkiem, do którego prowadziło jedenaście kilometrów drogą przez las. Nim o wszystkim dowiedziałem się od zawiadowcy, słońce schowało się za wierzchołkiem sosen. Zapadał zmierzch. Miałem do wyboru: iść od razu piechotą lub nocować na stacji. Byłem naprawdę głodny. Wybrałem pierwsze rozwiązanie. Kiedy kolejarze usłyszeli moją decyzję, na ich twarzach pojawiło się coś w rodzaju zdumienia. Na pytanie, czemu się dziwią, jeden z nich powiedział:

- Teraz? Nocą?
- A czemu by nie? – odpowiedziałem pytaniem.
- Jeżeli panu życie nie miłe – rzekł drugi – to proszę bardzo.
- A to z jakiego powodu?
- No chociażby wilki, może inne strachy – kiwali głowami.

Nie posłuchałem ich rad i wyruszyłem zapewniony, że szeroki gościniec zaprowadzi mnie prosto do miasteczka. Po wejściu w las otoczyły mnie nieprzebrane ciemności. Po raz pierwszy i ostatni w życiu zostałem wielkim wyczynowcem. Pobiłem na łeb na szyję wszystkich słynnych długodystansowców. Wpatrzony w jasny pasek drogi wśród ciemnych ścian lasu czułem się lekkim piórkiem gnany przez wiatr. Stopy ledwo dotykały ziemi. Włosy unosiły lekko kapelusz do góry. Na czole i nosie krople potu. Oczy rozszerzone do ostatniej możliwości. Każdy cień – człowiek. Każdy trzask – wilk. Bodźców co niemiara. Brak tylko wiwatów publiczności. O sercu zapomniałem: wraz z duszą musiało znajdować się w piętach, które fruwały niby wystraszony ptak. Dopiero po godzinie i dziesięciu minutach, kiedy za lasem zarysowały się dachy domów, wszystkie organa mojego ciała wróciły na miejsce i odetchnąłem spokojnie.

Miasteczko spało. Za nim również tatarska osada Murawszczyzna (?). Na podwórkach odezwały się psy. Zapukałem do pierwszej z brzegu chaty. „Ojciec? Owszem. Zaraz zaprowadzę”. Duży dom w ogrodzie. Niski mężczyzna, rysów którego nie mogłem rozpoznać w ciemnościach, zastukał do drzwi. Po kilku minutach w oknie błysnęło mizerne światło i rozległy się kroki.

- Kto tam? – padło zza drzwi głuche pytanie.
- Pański syn przyjechał – odpowiedział przewodnik.

Można było wyczuć nerwowe, pośpieszne otwieranie i przede mną stanął wysoki, chudy człowiek z długą siwiejącą brodą. Oczy powoli się

zamykały, z których spłynęły wielkie krople łez. Patrzyłem na niego ze zdumieniem, jakby na obcego człowieka, i chyba pierwszy raz świadomie pocałowałem ojca w rękę. Nie padliśmy sobie w ramiona. Zdawało się, że obaj pojawiliśmy się z zaświatów.

Nasze spotkanie po siedmiu latach nastąpiło trzy dni przed Kurban Bajramem. Osada składała się z blisko pięciuset dusz. Domy ciągnęły się po obu stronach szerokiej ulicy. W środku stał nieduży drewniany meczet. Mieszkańcy o rysach mongolskich, czarni i smagli. Tacy jak macocha, która nie ujawniała zbyt radości z mojego powtórnego przyjścia na świat. Wcale jej się nie dziwiłem: byłem w dzieciństwie niezbyt uprzejmy w stosunku do niej. Wybaczę się tylko rodzonym dzieciom, a i to nie zawsze.

Ojciec wśród tych czarnuchów wyglądał niby misjonarz w Afryce. W pierwszy dzień święta przed meczetem złożono ofiarę Allahowi: zarżnięto starego buhaja i kilka baranów. Mięso rozdano pośród wiernych. Tego dnia jadłem kołduny, smak których przypominał moje miasteczko i lata chłopięce.

Na drugi dzień odbył się ślub młodej pary, która stała przed dużym stołem na świeżo wygarbowanym kozuch. Zwyczaj ten ma zapewnić nowożeńcom dostatnie i ciepłe życie. Na stole duży talerz z cukierkami. Za nim mój ojciec w czerwonym fezie z czarnym chwastem i długim czarnym ubraniu z szerokimi rękawami. Symbole posługi duchownej. Po odczytaniu kilku wersetów z Koranu, nie dla wszystkich zrozumiałych, ojciec spojrzął w stronę rodziny młodej i zapytał:

– Oddajecie?

– Oddajemy – padła chóralna odpowiedź.

Potem patrząc w stronę rodziny młodego:

– Przyjmujecie?

– Przyjmujemy! – gruchnęło z drugiej strony izby.

Młodzi podali sobie ręce, ojciec nałożył im obrączki i nie zdążył dokończyć ostatniego błogosławieństwa, kiedy raptem cała młodzież rzuciła się na talerz z cukierkami, które rozsypały się po podłodze, a talerz spadł na miękki kozuch. Zadaniem kawalerów i panien jest zdobycie pierwszego cukierka, który ma przynieść zwycięzcy rychłą miłość i wejście na kobierzec ślubny w najbliższej przyszłości.

W drugim domu, w dużej izbie, na gości czekały suto zastawione stoły i grajkowie. Posadzono mnie na honorowym miejscu pomiędzy rodzicami młodych. Kiedyś wspominałem, że na weselu mojej siostry stłuczono mi kolano. Tym razem uderzyła mnie w głowę gorzałka, której nigdy dotychczas nie próbowałem. Nalano błędnemu studentowi szklaneczkę, którą

bohatersko wychylił jednym haustem za zdrowie młodej pary i po półgodzinie był gotów. Wyszedłem chwiejnym krokiem na ulicę, wstąpiłem na czyjeś podwórko, gdzie leżało świeże pachnące siano i oszołomiony zapadłem w jego objęciach. Tańczono całą noc, a ja śniłem zamorskie podróże po nieznanym krajach. Kiedy rano obudziły mnie pierwsze promienie słoneczne, nie zdawałem sobie sprawy, że noc minęła i dziwiłem się, czemu grajkowie poszli już do domu i nikt nie tańczy.

Po kilku dniach opuściłem czarny raj, w którym nie było dla mnie miejsca. Wróciłem do Skidla i zostałem guwernerem biednej rodziny, która żyła dostatnio dzięki pracowitości. Wziąłem dodatkowo korepetycje w domu aptekarza. Pomagałem w odrabianiu lekcji z arytmetyki i polskiego dziesięcioletniej miłej dziewczynce. Na moje nieszczęście, a na szczęście mojej uczennicy lekcjom przysłuchiwała się jej babcia, kobieta starej daty, mówiąca piękną polszczyzną. Po kilku dniach babcia poprosiła mnie do swojego pokoju i rzekła:

– Bardzo przepraszam. Jest pan ogromnie miły i lubię, kiedy pan uczy odrabiania zadań z arytmetyki, ale nie mogę się zgodzić, żeby uczył pan wnuczkę języka polskiego. Pan nie zna zasad polskiej gramatyki i często używa rusycyzmów. Nie życzę sobie teraz, gdy odzyskailiśmy niepodległość, żeby moja wnuczka nie była chowana i kształcona według najlepszych zasad polskiego starego rodu, który pamięta powstanie przeciw Moskałom.

Nie potrzebowałem długich wywodów zacnej babci – znałem swoje braki. Potrzebowałem pieniędzy. Musiałem zrezygnować z pracy w domu aptekarza i bardziej przysiąc nad polską gramatyką, co szło mi z wielką trudnością. Chłopców uczyłem jak umiałem. W ich domu nie było polskiej starej babci. Była natomiast tłuściutka dwuletnia dziewczynka z wielkimi, czarnymi oczkami. Co rano przychodziła do mojego pokoju i budziła mnie łaskotaniem w pięty maleńkimi, okrągłutkimi paluszkami. Nazywałem ją „Czarnym Okiem”. Przydomek ten przetrwał długie lata. Nazywano ją tak, nawet wtedy gdy wyszła za męża. Matka jej miała jasne, zawsze uśmiechnięte oczy i dziwnie przyciągające dołki na obu policzkach. Trzy razy dziennie podawała mi posiłki do pokoju (sami jadali w kuchni). Pewnego dnia mroźnego przyszła podlać kwiaty. Miała czerwone policzki od mrozu. Wziąłem ją w ramiona i siarczyście pocałowałem po bratersku w dołek w policzku. Wyszła obrażona i przez trzy tygodnie podawała mi jedzenie bez słowa, patrząc na wielki kaflowy piec. Jednak w jej opuszczonych oczach nie widziałem właściwie złości. Odwrotnie – miała twarz pogodną i nie wróżącą niczego złego.

Chcąc zażegnać milczenie i przejść nad całą sprawą do porządku dziennego, gdy podała mi kotlet siekany i odchodziła, patrząc na piec, powiedziała:

– Ale ładny ten piec kaflowy, prawda?

– Bardzo ładny i... grzeczny – dodała.

Podając wieczorem kolację, popatrzyła na mnie z uśmiechem, który uwydatniał dołki na policzkach i jeszcze raz powiedziała:

– Ale piec grzeczniejszy jednakże od pana.

– Bo jest przedmiotem martwym i czasami zimnym – palnąłem.

Chyba zrozumiała dosłownie, gdyż rzekła:

– To trzeba napalić.

– Właśnie o tym myślałem.

Życie potoczyło się bez zakłóceń. Wiosenne słońce coraz mocniej przygrzewało. Śniegi stopniały, na ulicach miasteczka stały kałuże. Na krzewach ukazały się zielone listki. Wróble uganiały się i sowim świergotem napełniały podwórka. Po kilku ładnych dniach gospodarze przystąpili do pracy w ogrodach. Nad koniem z pługiem śpiewał skowronek. Nadszedł czas na podjęcie decyzji, co robić dalej. Tak dalej żyć nie można.



ŻEGNAM WOLNOŚĆ

Pewnego czerwcowego dnia leżałem na szerokiej kanapie z rękami pod głową, patrzyłem w sufit i medytowałem o ostatecznym swoim losie. Analizowałem miesiąc po miesiącu od chwili zrobienia matury. Wcale nie byłem zachwycony wynikiem swojej dotychczasowej działalności. Owszem, zapisałem się na medycynę w jednym z miast Zakaukazia. Ale kiedy pewnego dnia poproszono nas na salę prosektoryjną, gdzie leżał nadęty i śmierdzący trupiszon, którego każdy z nas miał obmacywać – zaraz wyszedłem z sali i więcej na ten wydział nie wróciłem.

Na tymże uniwerku zapisałem się na wydział filologii polskiej. Posłuchałem nudnych wywodów lektorki o literaturze polskiej średniowiecza i również więcej tam nie poszedłem. Może lektorka nie miała dobrej metody wykładowej, może w ogóle nic nie rozumiałem. Chyba raczej to ostatnie, zważywszy, że wtedy zaledwie czytałem po polsku, a nigdy nie pisałem. Do kogo miałem mieć żal? Przede wszystkim do siebie. Kiedy znowu na uniwerku francuskim dano mi miłą żabkę zieloną, która skakała w słoiku i kazano mi ją krajać i opisywać różne mięśnie i ich odruchy, to moim odruchem był wstręt do tej mokrej roboty. I też zrejterowałem. Dokąd? Na filozofię. Chodziłem, poważnie słuchałem wykładów. Chociaż francuski znałem już dość dobrze, to jednakże zawiłe abstrakcyjne wywody ledwo docierały do mojej świadomości. Bolał łeb od wysiłku i chęci zrozumienia choć w pięćdziesięciu procentach treści wykładów.

Czekałem z niecierpliwością na bardziej konkretne wyjaśnienia nurtujących mnie zagadnień. A zajmowały mnie bardzo prymitywne dezyderaty lub postulaty: jak należy postępować w stosunku do tych, którzy czynią ludzkość nieszczęśliwą; co należy zrobić, by usunąć wszelką niesprawiedliwość społeczną; dlaczego sądy zabawiają się miesiącami i latami nad sprawą kryminalną, która jest oczywista; dlaczego jeden zarabia za dużo, zaś drugi za mało – i wiele innych. Czy byłem wówczas bolszewikiem? W pewnym sensie tak. Równocześnie jednak mógłbym być socjalistą i może nawet monarchistą. Wtedy nie przywiązywałem wagi do słowa, lecz czynu.

Przyjąłbym każdy sprawiedliwy ustrój. Mniejsza z jego nazwą. Chodziło mi o stosunek do człowieka.

W rezultacie byłem wyalienowany z otaczającej mnie społeczności, która tylko częściowo mi odpowiadała. Z czasem przyszedłem do przekonania, że przyjąłbym zlepek kilku cywilizacji, biorąc z każdej odpowiadające mi wycinki kulturowe. W rezultacie pozostawałem mało przydatnym do prawdziwego życia. Dzisiaj najbardziej realną rzeczą na świecie jest technika. Co z tego, kiedy przechodząc koło niej zadzieram głowę ku górze, by podziwiać piękne chmury lub wschody i zachody słońca. Jestem niepoprawny pod tym względem do dzisiaj. W tym tkwi moja życiowa klęska. Ponieważ z braku zdolności lub, jeżeli kto chce talentu, nie mogłem w żaden dostępny sposób wyrazić piękna otaczającej mnie natury, chodziłem więc smutny i zły jednocześnie.

Chęć wyrażenia jakiegoś obrazu lub zjawiska słowem na papierze kończyła się w większości wypadków klęską i zniechęceniem. Czasami snem o tym samym i ze łzami w oczach powstawało kilka zdań, o których marzyłem tygodniami. A potem znowu długo nic... Najpierw w języku rosyjskim, potem próby we francuskim i znów wielkie nic

Kiedy pewnego razu starsza o kilka lat ode mnie dziewczyna zapytała poważnie, kim mam zamiar zostać w życiu, odpowiedziałem bez wahania:
– Pisarzem.

– Pan nie zna życia – powiedziała dziewczyna.

Miała rację. Nie żyłem wtedy na ziemi. Chodziłem po niej nogami, ale głowa była całkowicie oderwana. To moja największa życiowa klęska. Mając dwadzieścia lat, byłem dzieckiem. Dzieckiem o rozpalonej i nieuporządkowanej głowie. Dorosłym dzieckiem o różnych dziwactwach, z których inni mogli tylko się wyśmiewać, a które skrzętnie starałem się chować w zanadrzu.

W takim mniej więcej nastroju jechałem do Warszawy, aby powąchać stołeczne powietrze i rozejrzeć się w sytuacji. W Alejach Ujazdowskich, w cieniu kasztanów i innych drzew, przesuwały się tłumy dobrze ubranych ludzi. Dużo młodzieży i wojskowych. Wszyscy wyglądali na zadowolonych z życia. W pewnym stopniu musiała przyczyniać się do tego piękna, słoneczna pogoda. Starsi szepotali do siebie dyskretnie, młodzież zachowywała się hałaśliwie.

Po przeciwnej stronie na chodniku przy długich budynkach widniała kolejka młodych ludzi. Jedni ubrani normalnie, przyzwoicie po cywilnemu, drudzy w starych marynarkach wyglądający na obieżyświatów. Podszedłem do jednego z nich i zapytałem za czym tak stoją.

– Po czekoladki – odpowiedział głośno z ironicznym uśmiechem.

Zarumieniony poszedłem w kierunku wejścia do gmachu. W okienku zobaczyłem oficera dyżurnego z paskiem pod brodą. Przyjmował podania od kandydatów do podchorążówki.

Niepodległa Polska potrzebowała młodych oficerów. Dotychczasowa kadra składała się z oficerów zawodowych byłych armii państw zaborczych. Od roku w Szkole Podchorążych piechociarsko-kawaleryjsko-artyleryjskiej szkolono różnych ochotników ze średnim wykształceniem jako kandydatów do szkół oficerskich wszystkich rodzajów broni. Dziś takiej już nie ma. Po jej ukończeniu uczniowie otrzymywali stopień kaprala, plutonowego lub sierżanta podchorążego. Potem szli do dwu- lub trzyletnich szkół oficerskich, z których wychodzili do jednostek podporucznikami.

Musiałem prędko wracać do Grodna, gdzie czekała na mnie sprawa sądowa w związku z chęcią odzyskania ojcowizny, którą ojciec niesłusznie sprzedał. Właściwie należałoby nazwać ją raczej „matczyzną”, gdyż dom z placami i kawałkiem łąki przylegającej do rzeczki należał od dawna do mojej babki i matki, a ojciec, jak już kiedyś wspominałem, przyszedł do mojej matki w „primy”. Nie traktowałem tego jako wartościowego majątku, a raczej ze względów uczuciowych. Sprawę prowadził ówczesny prezydent Grodna Nielubowicz, który jednocześnie był adwokatem. Mogłem wygrać, ale kosztem odpowiedzialności ojca za sprzedaż niezgodną z przepisami. W związku z tym zrezygnowałem z „wielkiego majątku” szlacheckiego. Przy okazji miałem przygodę, która ostatecznie przypieczętowała moje pożegnanie z życiem studenta-tułacza i oddanie się służbie wojskowej.

Koń i ostrogi, o których marzyłem od dnia manewrów wojskowych sprzed wojny, wzięły górę nad innymi marzeniami. Łudziłem się, że wojsko doprowadzi mnie do upragnionych celów. Okazało się, że nie o takim wojsku myślałem. W tym czasie mój rocznik odbywał zasadniczą służbę wojskową. Idąc do sądu okręgowego zostałem zatrzymany przez policjanta i poproszony do Komisariatu. Na podwórzu było pełno młodych ludzi. Dowiedziałem się, że w nocy z koszar uciekło około trzystu rekrutów. W związku z tym przeprowadzono obławę. Dałem policjantowi swój zagraniczny paszport z wizami różnych państw, by przedstawił go komisarzowi z nakazem zwolnienia mnie, gdyż mam pilną sprawę w sądzie.

Otrzymałem polecenie czekania do końca sprawowania wszystkich zastrzymany. Trwało to kilka godzin. Byłem wściekły. Gdy sale i podwórko wreszcie opustoszały, podszedł do mnie policjant.

– Komisarz prosi – powiedział.

Za biurkiem siedział przystojny mężczyzna lat trzydziestu. Wskazał na krzesło:

– Siadajcie.

Oficjalny ton nieco mnie speszył, ale poczułem smak politycznej przygody. Miałem za sobą doświadczenie z Francji. Pachniało tym samym. Tylko tam był donos, a tutaj? Chyba wojna 1920 roku z bolszewikami. Różnie myślałem. Chwilowe milczenie, które pozwoliło na wzajemne przyjrzenie się sobie, przerwał komisarz:

– Skąd przyjechaliście do Polski?

– Z zachodu.

– Widzę z paszportu. Ale skąd przyjechaliście na Zachód?

– Z Kaukazu.

– Mianowicie?

– Z Baku.

– Co robiliście na Kaukazie?

– Uczyłem się.

– Gdzie?

– W Tyflisie.

– W jakiej szkole?

– Realnej.

– Na jakiej ulicy?

Zawahałem się. Na twarzy komisarza ukazał się zadowolony, lekko uchwytny uśmiezek.

– Mam wrażenie, żeście tam skończyli szkołę realną tak jak ja. Tak niedawno, a już zapomnieliście. Baku, Tyflis, Rzym, Krym...

Wyliczał miasta i kraje i świdrował mnie oczyma. Zaczynał mnie bawić. Postanowiłem zaostrzyć rozmowę.

– W Rzymie byliście?

– Owszem.

– I papieża...

– Nie interesował mnie.

– Nie bądźcie dowcipni. Jakie znacie ulice w Tyflisie?

Wymieniłem kilka głównych ulic i placów i przypomniałem sobie, że szkoła realna była przy Zaułku Szkolnym.

– Widzę, że rzeczywiście znacie Tyflis. Po rewolucji mogliście wrócić do Polski. Jesteście przecież Polakiem?

– I tak, i nie.

– Nie rozumiem.

– Pochodzę z Tatarów.

– A gdzie ojciec?

– W Iwju, koło Lidy.

- Co robi?
- Jest mułłą.
- Co to jest?
- Taki tatarski ksiądz.
- To wygląda na bajkę... wschodnią...
- Może być, ale tak jest.
- A gdzie jeszcze byliście na Kaukazie?
- Na przykład w Jelisawietpolu.
- Polaków tam nie spotykaliście?
- Owszem.
- W jakich okolicznościach?
- Kiedy zdemobilizowani żołnierze wracali do Polski.
- Rozmawialiście z nimi?
- Powitałem ich czurekiem, wie pan komisarz, to taki kaukaski chleb w postaci placka, taki niby podpłomyk...
- Bardzo mi smakował – uśmiechnął się komisarz.
- Co? – wytrzeszczyłem oczy.
- Tak, to ja prowadziłem ten oddział. Wszystko w porządku. Teraz jestem w obowiązku pana przeprosić. Wie pan o czym myślałem?
- Wiem. I to mnie właśnie bawiło.
- Ta pewność, że trafił do nas agent bolszewicki.
- Chyba tak.
- A czy naprawdę nie mogłoby być tak?
- W moim wypadku nie, bo nie lubię polityki.
- A gdyby ją pan lubił?
- Chyba też nie.
- Z powodu?
- Nie umiem kłamać.
- To co pan ma zamiar robić dalej?
- Chyba pójdę do wojska.
- Na zawodowego
- Chyba tak.
- Powodzenia i do zobaczenia.

Rozstaliśmy się jak przyjaciele i więcej w życiu nigdy się nie spotkaliśmy.

Po kilku dniach zdałem paszport zagraniczny do starostwa grodzieńskiego i otrzymałem zaświadczenie obywatelstwa polskiego jako urodzony w powiecie lidzkim, niekraszuńskiej parafii muzułmańskiej. Następnego dnia zgłosiłem się do PKU (WKR) z prośbą o skierowanie do jednostki wojskowej. Jednocześnie wysłałem podanie do Szkoły Podchorążych o przyję-

cie na najbliższy rok szkolny (był miesiąc lipiec 1922 roku). Zostałem tymczasowo skierowany do 29 Pułku Artylerii Lekkiej. Znowu zadecydowały ostrogi i koń. Stało się. Przestałem być studentem – zostałem żołnierzem. Pierwszy raz w życiu zobaczyłem Wilno.

W niskich i starych murowanych budynkach nad rzeką Wilią zapukałem do adiutantury. Za biurkiem siedział młody, jeszcze przystojny kapitan z zielonymi akselbantami. Chociaż byłem po cywilnemu, przyjąłem postawę zasadniczą:

– Panie kapitanie, melduję posłusznie swój przydział do 29 PAL-u.

Spojrzał z lekkim uśmiechem i nie wstając z miejsca zapytał:

– Kto was nauczył meldowania się?

– Wojna, panie kapitanie – odpowiedziałem.

– Jaka?

– Wielka, światowa.

– Zawód?

– Były student.

– Student? – wstał z miejsca i wlepił wzrok w moim kierunku.

– Tak jest, panie kapitanie, dotychczas student, a teraz rekrut.

– To po jaką cholerę pan przyszedł do pułku, jeżeli był pan studentem?

– Chcę do Szkoły Podchorążych.

– To co ja mam z panem robić? – przeszedł na rozmowę bardziej koleżeńską.

– Nauczyć jeździć konno i w ogóle wojska.

Wziął za słuchawkę. Po kilku minutach wszedł plutonowy z paskiem pod brodą.

– Odprowadźcie tego pana na salę podoficerów nadterminowych i każcie przygotować łóżko. No i przyslijcie zaraz do mnie szefa pierwszej baterii.

Odmeldowałem się również przepisowo. Pożegnał mnie uściskiem dłoni. Idąc przez podwórko widziałem adiutanta przy oknie, który obserwował mnie niczym jakieś egzotyczne stworzenie.

Biedne było wtedy wojsko pod każdym prawie względem. Szczególnie, jeśli chodzi o umundurowanie: kiedy bateria jedna szła na końską jazdę, to druga w tym czasie ćwiczyła prawie boso w rejonie Zamkowej Góry. Antokol, Zamkowa Góra, Cielętnik. Niezapomniane nazwy!

Tylko zupy były mocno kraszone słoniną. Obiady przynosił na salę podoficerską służbowy kanonier baterii. Po wierzchu pływało dużo skwarek. Do wieprzowiny próbowałem się przyzwyczaić, mając dziewiętnaście lat. Szło mi ciężko: przeszkadzała specyficzny zapach. Ze skwarkami przez całe

życie miałem różne historie. Przestałem wreszcie jadać żołnierskie obiady i chodziłem do niedalekiej knajpki. Taki to był ze mnie żołnierz i w dodatku rekrut-kanonier! W baterii plotkowali o jakimś Żydzie, którego nikt nie zagnał do szorowania podłóg ani mycia ustępów. Podejrzewano pokrewieństwo i różne inne niewyraźne sprawy. W wolnych chwilach przychodził na naszą salę podoficerską wachmistrz, szef baterii. Czasami grano w karty. Obowiązkowo na gotówkę i przeważnie w oczko. Mnie najbardziej frapowała gra z wachmistrzem w zakłady na szybkość zjadania czekolady. Półkilogramowy blok twardej, wedlowskiej czekolady znikał w jego ustach w niesamowitym tempie. Mógłby wtrąbić nawet więcej. Zawsze wygrywał i nigdy nie słyszałem, żeby taka ilość mu kiedyś zaszkodziła.

Sensacją dnia w pułku było odczytanie rozkazu dziennego o święcie tatarskim i zwolnieniu z zajęć żołnierzy tego wyznania. Moje zniknięcie na trzy dni zlikwidowało plotki o bogatym Żydzie. Biedny Tatar zajadał darmowe kołduny w domach polsko-litewskich Tatarów i w dodatku z noclegiem. Te czasy gościnne będą trwały dość długo, żeby z czasem przejść do historii.



SZKOŁA PODCHORAŻYCH

Trafiłem do 1 kompanii porucznika Cymera i szefa, starszego sierżanta Zająca. Obaj na zawsze pozostali w moim i nie tylko moim życiu, zawodowymi żołnierzami z urodzenia. Byli w swoim fachu artystami. Kompania zajmowała jedną z wielkich sal w stojących do dziś budynkach w Alejach Ujazdowskich naprzeciw parków. Wtedy było to bezsprzecznie najładniejsze miejsce Warszawy. Bliskość Belwederu dodawało powagi i splendoru.

Kolumny dzieliły salę na cztery części. W każdej był rozlokowany pluton. Przez trzy pierwsze dni połowa z nas, przyjęta bez egzaminów, wylegiwała się na siennikach po cywilnemu. Druga połowa uzupełniała w tym czasie wiedzę w zakresie niedokończonyj matury. Zdawali z polskiego i ogólnej wiedzy o Polsce. Na pewno bym nie zdał. Czasami szef Zajac przebiegał przez salę z opuszczoną głową, nikt jeszcze nie krzychał „bacznosc”, nawet nie było służbowego. Wszystko zaczęło się dopiero po trzech dniach. Ruszyło przygotowywanie nas do ciężkiej zawodowej służby we wszystkich warunkach. Szczególnie w różnych warunkach atmosferycznych i działaniach nocnych. Bez względu na temperaturę zimy nie wolno było nosić płaszczy. W razie silnych mrozów pozwalano wkładać pod bluzę sweter. W nocy starano się zrywać nas jak najczęściej, byśmy wyrobili w sobie orientację. Dowódcami plutonów byli młodzi, zdrowi i przystojni podporucznicy lub porucznicy. Moim plutonem dowodził porucznik Grot, o twarzy zawsze skupionej, spokojny, zdecydowany, bez nerwów. Wszelkie rozkazy wydawał spokojnym głosem i nie było mowy, aby ktoś ośmielił się na jakieś niestosowne uwagi. Jednym słowem, każdy z nas miał trzech bogów wszechobecných i dwóch wielkich, których można było zobaczyć przy nadzwyczajnych okazjach. Wysoki, szczupły pułkownik Młodzianowski – komendant szkoły, i również wysoki, ale tęgi o jowialnym obliczu mjr S. – dowódca baonu²⁴ szkolnego.

O paręset metrów dalej, w Belwederze, siedział człowiek, który przechodził powoli do legendy, człowiek o krzaczastych brwiach, z maciejówką na głowie, w niebieskawym długim płaszczu. Siedział niby na Olimpie i bacz-

²⁴ Skrócona nazwa batalionu.

nie przyglądał się swoim dzieciom, najmniejszym bożkom, przyszłym dowódcom i obrońcom Rzeczypospolitej Polskiej, która dopiero stawiała pierwsze kroki samodzielnego życia.

Sześć godzin tygodniowo spędzaliśmy na ujeżdżalni 1 Pułku Szwoleżerów, słynnych i wiernych synów „Dziadka”. Do tych zajęć zakładaliśmy na łydki sztylpy. Do wszystkich innych ćwiczeń owijacze, które albo próbowały uciekać z łydki, albo znowu zbyt ścisnęły. Wyższą umiejętność zakładania owijaczy posiadał tylko sam szef Zajac. Miał wszakże w tym zakresie nie byle jakie doświadczenie.

Dowódca szwadronu, rotmistrz Szymański, trzy razy w tygodniu odbierał raport, po czym pozdrowiał nas: „Czołem, chłopcy”. Naprzeciw kompanii luzacy trzymali w szeregu setkę koni, do których szliśmy zawsze po komendzie: „Do koni”. Za każdym razem każdy z nas dosiadał innego wierzchowca. W ten sposób prawie każdemu trafiały się „sztosery”. Potem podoficerowie prowadzili sekcjami. Ci dopiero mieli okazję i satysfakcję odgrywać się na „maminsynkach”. Słownictwo był wyborne, na które cenzura nie pozwalała. Jazda w kółko bez strzemion, ze strzemionami. Wolta w lewo, wolta w prawo. Kłus, galop. Ręce w bok, kłusem marsz przez barierki położone na ziemi, potem wyżej, potem kilka. Koń musi iść, bo inaczej z tyłu batem. Czasem po zadzie konia, czasem po plecach podchorążego. Ofermy się nie liczą. Ofermy leczą na ziemię. „Co tam jest? Koń uciekł? Noga? Złamana? Co za oferma!” I dalej normalnie. Na setkę podchorążych około dziesięciu różne uszkodzenia ciała w ciągu roku. Cóż to jednak znaczy?

W ciągu roku zaliczyłem osiem upadków, w tym dwa ciężkie. Niektórzy więcej, niektórzy ani razu, choć takich było mało. Najlepsza i najprzyjemniejsza była jazda terenowa. Trójkami zawadiacko ze śpiewem przez Aleje, żeby panny podziwiały. W terenie przez błoto, wodę – galopem, potem karierem. Umyślnie, żeby ochlapać nas błotem jak najdokładniej, potem rozkaz nie wycierać mundurów, twarzy, by znowu przejechać przez Aleje, gdzie najwięcej młodzieży. Śpiew i diabelskie uśmiechy do dziewczyn, do młodych kobiet. I tak przez cały rok, co tydzień, co drugi dzień. Bez względu na pogodę. To my ułani, chłopcy malowani...

Kiedy chłopcy malowani okrzykli i nabrali tupetu wojskowego, chcieli by ich nazywano podchorążymi. Szczególnie na maneżu, w czasie końskiej jazdy, żeby pokazać „bucom” podoficerom, że my nie byle co spod końskiego ogona. Dlatego pewnego dnia, kiedy rotmistrz pozdrowił nas „Czołem, chłopcy”, odpowiedzieliśmy: „Chłopcy są u szewca”. Rotmistrz udał, że wszystko jest jak najbardziej w porządku i od tego dnia pozdrowiał nas już tylko per: „Czołem, podchorążowie”.

Nie przeszkadzało to podoficerom zaostrzyć tempo i dyscyplinę ćwiczeń. Częściej bez strzemion, drobny kłus w kółko. Tak, żeby pośladki „panów podchorążych” były czerwone, żeby później, wieczorem w koszarach smarowali je sobie wazeliną. I rzeczywiście wielu smarowało i siadywało półgębkiem na stołkach. Szczególnie delikatne pośladki mieli delikatnie wychowani synalkowie mieszczańskich, bogatych rodzin, co to nigdy w życiu konia innego nie widzieli, jak tylko w warszawskich dorożkach.

Zniechęceni bezceremonialnym traktowaniem przy każdej okazji składali prośby o zwolnienie do cywila z powodu słabego zdrowia, chociaż wazyli po osiemdziesiąt kilogramów i mieli ponad sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu. Mięśnie i charaktery ich były za delikatne i nie nadawały się do „chamskich wygibasów fizycznych i umysłowych”.

Podstawą szkolenia nie był koń ani armata. Była nią kochana nasza ziemia. Szczęśliwice, Pole Mokotowskie, Parysów, Wawrzyszew. Mocno naładowane plecaki, karabiny, maski przeciwgazowe, łopatki, ładownice ze ślepakami. Więcej marszu niż ćwiczeń. Tak trzeba. Nowoczesny piechur musi pokonywać bez trudu wiele kilometrów. Szczególnie w odwrocie. Im więcej potu w czasie pokoju, tym więcej tego owego na wojnie. I w dzień i w nocy. Żeby wszystko grało mamy dwóch niezastąpionych: dowódcę kompanii i szefa. Obaj pełni energii i zapału w wykonywaniu swoich obowiązków. Salonowy porucznik jest artystą w każdym calu i przy każdej okazji. Jego komendy są romantyczną poezją, kiedy mówi: „Bacność. Na ramię broń. Kierunek brama numer jeden, brama numer dwa, Wawrzyszew. Równym krokiem kompania marsz”. Po wyjściu w Aleje: „Odrąbiono. Kompania śpiewa”. Śpiewamy, drzemy się tak, by śpiew nasz odbijał się głośnym echem od otaczających pięknych budynków, żeby doleciał do uszu pięknych panienek w Alejach. Słuchajcie nas wszyscy. My, wasi przyszli obrońcy, my, wasi tancerze, my, wasi przyszli mężowie. Patrzcie i podziwiajcie nas. Dzięki wam my jesteśmy silni i wytrzymali.

Jeżeli na Wawrzyszew, to przez całe miasto: przez Nalewki, przez ulice inne „od naszych”. Czasami odpoczynek. W „kozy broń” na ulicy. Otaczają nas dzieci żydowskie. Umorusani chłopcy. Koledzy śmieją się, pokazując palcami w moim kierunku: „Patrzcie na swojego gieroja, fajniejsze gieroj, nie?” I młode Żydki podchodzą do mnie, przyglądają się z niedowierzaniem, ale po moim odezwaniu się z akcentem żydowskim nabierają zaufania i w ich oczach stają się naprawdę bohaterem. Kto by się spodziewał, że za kilkanaście lat to oni będą naprawdę bohaterami, a ci, którzy cudem ocaleją przed piecem hitlerowskim, kilkanaście lat później zostaną jeszcze

większymi bohaterami i przyjaciółmi tych, którzy nie zdążyli ich wykończyć. Różnie się to wszystko plecie na świecie. Pieniądz więcej czasami wart niż człowiek. Szczególnie w rozgrywkach politycznych.

Naszym dowódcom nie brakowało fantazji. Powoli udzielała się ona i nam. Najczęściej szliśmy na Szczęśliwice, na pustkowie podwarszawskie. Polne drogi z kałużami po deszczach. Dowódca nie zbacza, idzie środkiem kałuży. Ogląda się: kompania samowolnie bez komendy omija kałużę. Pada komenda: „W tył, na lewo” i maszerujemy jeszcze raz, ale tym razem przez środek kałuży pod zmrużonym okiem dowódcy. Dowódca ma buty z cholewami, podchorążowie trzewiki z owijaczami. Buty dowódcy oczyści ordynans, mokre nogi podchorążych wyschną same, a trzewiki wyczyszczą podchorążowie szuwaksem kupionym w kantynie za swój żołd. Muszą umieć wszystko, by później wymagać tego od swoich podwładnych. Wojsko jest taśmą fabryczną: wszystko ma swoją kolejność i czas.

W każdej drużynie podchorążowie na zmianę niosą lekki karabin maszynowy. Najgorzej temu ostatniemu, bo już nie ma komu go przekazać, a gdy koledzy nie chcą przyjąć i podać do przodu. Wtedy ostatni stawia lkm pod krzakiem i nic nie mówi. Dopiero po przejściu trzystu metrów krzyczy, że zapomniał zabrać karabin. Dowódca ogłasza alarm gazowy. Kompania w maskach wraca po karabin i zostaje w maskach tak długo, jak podoba się dowódcy. Trzeba zapamiętać, że podobnych kawałów robić nie można. Żeby lepiej podchorążowie pamiętali i nie mogli się uśmiechać do ładnych dziewczyn w Alejach, pada jeszcze rozkaz „alarm gazowy” i kompania wkracza w maskach do najpiękniejszego centrum miasta. Podchorążowie w maskach próbują śpiewać mruzcando, śpiew dolatuje do uszu dowódcy. Tego już za dużo: nie wolno było mówić w maskach. Śmieszne, co? Należy ukarać. „Klęknij, powstań, klęknij, powstań”. I tak trzysta metrów, od Belwederu do bramy wejściowej. Panny się śmieją, podchorążowie się śmieją. Podchorążowie ze „świńskimi ryjami” trudni są do rozpoznania, panny przez zapocone okulary masek są niewidoczne. Ubaw po pachy, jak się mówi dziś. Różne rzeczy nazywają się wstawianiem jaj. Im tego więcej, tym lepszymi będą dowódcami. Potrafią to samo robić.

Musztra odbywała się na placu szkolnym, odgrodzonym wysokim murem od Bagateli i Alej Ujazdowskich. Zbiórki do wszelkich ćwiczeń przeprowadzał niezapomniany szef, starszy sierżant Zajac. Nazwisko pasowało do niego jak ulał: był zawołanym piechociarzem i przez to podwójnym zajacem. Dopiero druga wojna światowa zabiła i pogrzebała zajaca: dziś wszystkie rodzaje wojsk ważne i jednakie. Wszyscy inżynierowie. Technika likwidowania człowieka dorównuje jego ambicjom patriotycznym. Dawniej

pif-paf i żołnierzyk padał, a dziś nie ma tak źle: lepiej od razu tysiączek, a może milionik. Tak sobie przynajmniej marzy wielu prezydentów i marszałków. Oni się nie boją: mogą w każdej chwili zamieszkać pod ziemią. Zapominają tylko czasami o jednym: Hitler też mieszkał pod ziemią.

Ale wróćmy do naszego kochanego szefa Zająca, który utkwiał w pamięci podchorążych mocniej od wielu sławnych generałów. Przez rok był nieodłącznym atrybutem naszego koszarowego życia. O każdej porze wyrastał w sali sypialnianej niby zjawą. Zawsze przyjmował nienaganną postawę na baczność, nim wydał jakiś rozkaz lub komendę. Najchętniej robił to na dziedzińcu, gdzie odbywały się zbiórki do raportu. Pod ścianą leżał tam zawsze węgiel. Codziennie kilka razy miał satysfakcję wydać komendę: „Na węgiel... Biegiem marsz!” Dobry żołnierz zawsze znajdzie pretekst, by czynność powtórzyć. Chociażby i nie było potrzeby.

Musztra odbywała się plutonami. W moim czwartym plutonie był kolega niższy ode mnie o centymetr. Wołali do niego: „Ej, ty, mały!” Do mnie nigdy. Dopiero tutaj poznałem wartość centymetra. Dowodził plutonem porucznik G. Spokojny, niewzruszony, z lekką ledwo zauważalną kroplą uśmiechu na twarzy, bez względu na pogodę wydawał zawsze dobrze akcentowane komendy. Kiedy padał deszcz i zatykaliśmy potajemnie lufy papierem, zarządzał przegląd broni i najspokojniej w świecie powtarzał komendy: „Na ramię broń. Prezentuj broń. Do nogi broń.” Jeżeli zauważył, że podchorążowie denerwują się z powodu deszczu, to przedłużał ćwiczenia na parę minut, by nasze twarze przybrały wyraz spokoju, jaki panował na jego obliczu.

Moim utrapieniem była musztra piesza. Kiedy trzeba było akurat wykonać jakiś zwrot, szczególnie w marszu, zazwyczaj właśnie o czymś innym myślałem lub patrzyłem na coś ciekawszego od musztry. Czasem słyszałem pod swoim adresem niemiłe epitety. Starłem się udawać, że mnie one nie dotyczą.

Dwie godziny tygodniowo poświęcano artylerii. Instruktorem był kapitan P. Nie uznawał żadnych żartów i spoufaleń. Patrzył na podchorążych z góry, jak na coś drobnego i mało znaczącego. Stojąc wokół polówki 75 słuchaliśmy o częściach składowych armaty i ich współdziałaniu. Zajęcie mało atrakcyjnie dla tych, którzy nie zamierzali iść do artylerii. Ja z początku miałem chęć (i znowu z powodu konia i ostróg), ale gdy na zakończenie roku szkolnego dostałem trójkę, pogniewałem się na kapitana i postanowiłem zemścić się zdradą. Najbardziej zniechęciło mnie skakanie w kłusie na jaszczce²⁵ i jazda na twardym żelazie po kocich łbach. Ostatecznym utra-

²⁵ Jaszcz: jednoosiowy pojazd do przewożenia amunicji artyleryjskiej.

pieniem było odczytywanie bębna i kręgów w czasie wiatrów i nastawianie celowników. Byłem krótkowidzem, musiałem w czasie ćwiczeń nakładać okulary. I już wtedy zaczynałem cierpieć na łzawienie. Nakładając maskę, musiałem zdejmować okulary. Wtedy niewiele przed sobą widziałem. W boju nie ma czasu na przecieranie oczu ani na manipulacje z okularami. To wszystko przypieczętowało moją rezygnację z artylerii.

Uczono nas również drylu wojskowego, jaki powinien panować w dobrej szkole i wojsku w ogóle. Uczono przede wszystkim porządku koszarowego. Słania łóżek z kantem, układania kostek z ubrań i oporzędzenia, porządku w szafkach. Szef Zajac kochał nocne kontrole i zawsze miał pretekst, zresztą najczęściej uzasadniony, do zerwania nas nocą z łóżek choć na parę minut. Najuroczyściej odbywało się wynoszenie zapałki na kocu przez drużynę, w rejonie której zapałkę znaleziono. Czasem trzeba było poprawić czystość zelówek trzewików, innym znowu razem inaczej ułożyć rzeczy w szafce lub usunąć z niej resztki żywności. Często przynosiliśmy z miasta ciastka. Najpierw zagnieżdżyły się tam myszy, które jednak nie przeszkadzały nam spać. Gorzej było, gdy zwabione żywnością pewnej nocy zjawiły się szczury. Ktoś z nas położył resztkę ciasta przy łóżku. Szczur pomylił się widocznie i chwycił podchorążego za ucho. Ten obudził się z krzykiem: „szczury!” Kompania zerwała się na nogi, sięgnęła po łopatkę i rozpoczęło się polowanie. Szczury uciekały pod szafki i znikwały, by za kilka dni zrobić najście ponownie.

Łopatkę były używane nie tylko na szczury. Jednym z uczniów był plutonowy, który poprzednio pracował w kancelarii szkoły. Po jakimś czasie zauważyliśmy, że dowódcy znają zbyt dobrze nasze życie pozasłużbowe i niektóre anegdotki o naszych wodzach. Ktoś, najpewniej on, musiał przekazywać te wiadomości do komendy. Takiego przekonania nabrała większość podchorążych. Postanowili ukarać rzekomego donosiciela. Pewnej nocy usłyszałem walenie łopatkami o koce. Uniosłem głowę. Mój sąsiad szybko wskoczył pod koc i udawał śpiącego. To samo zrobiło kilku innych. Był plutonowy W. wygrzebał się spod koców i usiłował rozpoznać napastników. Ponieważ podniosłem głowę, był święcie przekonany, że uczestniczyłem w kocowie. Stracił do mnie zaufanie na zawsze. Zresztą nie spotkaliśmy się już nigdy.

Pomimo ciężkiej sytuacji gospodarczej Odrodzonej Polski, karmili nas nieźle. To nie znaczy, że kantyna nie miała wieczorami powodzenia. Herbata i słodczyce schodziły masowo. Szczególnie pączki. Z nimi to bywało różnie. Podchorążowie lubili niewinny hazard.

W kompanii był prawdziwy srebrny podchorąży. Nosił srebrny sznur pośrodku naramienników. Zdobył go w kompanii na Kijów. Srebrny podchorąży Głębicki lubił w kantynie zakładać się z kolegami o ilość zjedzonych

pączków. Zaczął od dwudziestu i zakłady wygrywał. Co dzień podwyższał stawkę o pięć pączków i dalej wygrywał. Tak dociągnął do trzydziestu. Pewnego wieczora założył się o czterdzieści. Jadł spokojnie i zapijał herbatą. Przy trzydziestym szóstym stracił przytomność. Koledzy wzięli na ręce i zanieśli na salę sypialną. Położyli na łóżku i posłali służbowego po lekarza. W międzyczasie każdy z nas podchodził do łóżka, naciskał palcem na brzuch nieprzytomnego i mówił: „Pączek”. Potem przyszedł lekarz, kazał odnieść go na izbę chorych, gdzie wypłukali mu żołądek i nasz gracz wrócił przytomny na salę. Od tego dnia został na zawsze Pączkiem. Wcale się nie gniewał. Miał duże poczucie humoru i sporo przeżył. W przyszłości będzie naszym bohaterem jeszcze niejedyn raz, aby ostatecznie jako porucznik zakończyć tragicznie życie w niecodziennych okolicznościach.

Najciekawszym typem był jednak bez wątpliwości podchorąży Łapa. Wysoki, dobrze zbudowany, z artystycznym zacięciem. Gimnazjum skończył gdzieś na Bliskim Wschodzie, bodajże w Bejrucie lub Kairze. Po powrocie miał się różnych zajęć, ale nigdzie nie mógł długo zagrzać miejsca. Zaczynał naukę w rozmaitych szkołach, nawet marynarki wojennej. Szybko wylewali go z powodu złych postępów w nauce lub różnych kawałów. Często znikał z naszej kompanii. Miewał podobno znajomości za kulisami teatrów. Był powszechnie lubiany. Na poligonie oswoił polną myszkę, która stale siedziała u niego na ramieniu pod naramiennikiem i w stołówce schodziła na stół, spożywać służbowe posiłki. Zaproponował, aby ją zaprowiantowano. Kiedy ukończył podchorążówkę z ostatnią lokatę, krzyknął radośnie: „Pierwszy raz w życiu ukończyłem nareszcie wojskową szkołę”. Poszedł do Oficerskiej Szkoły Marynarki Wojennej. Czy ją ukończył, nie wiem. Ślad po miłym Łapie zaginął, a szkoda. Łapa, gdzieś ty?

W soboty i niedziele chodziliśmy na przepustki. Wcześniej odbyła się przysięga. W owym czasie w Warszawie nie było duchownego muzułmańskiego, który pełniłby obowiązki kapelana. Mieli ze mną nie lada kłopot. Nie przywiązywałem wtedy żadnej wagi do przysięgi wojskowej. Mówiłem, że jeżeli zechcę zdradzić, nie pomoże żadna przysięga. Trochę śmieli się, trochę kiwali głowami. Miano mnie prowadzić na przysięgę bodaj, aż do Belwederu. Potem dano sobie z tym spokój i dopiero kilka lat później przy awansie na porucznika wykryto, że w moich aktach personalnych brak papierka o złożeniu przysięgi. Złożyłem ją w gabinecie dowódcy pułku, patrząc na stojący w rogu w szafie sztandar i podpisałem odpowiedni blankiet.

Z przepustek wracaliśmy w ostatnich sekundach. Przed wejściem do szkoły można było wówczas obserwować stumetrówki. Czas liczył się od rozpoczęcia słów: „Melduję posłusznie...”

W życiu koszarowym bywały nie tylko miłe i zabawne rzeczy. Miałem nieprzyjemną sprawę z podchorążym B., który w dodatku pochodził z Wiłszczyzny. Od jakiegoś czasu krzywo spoglądał w moją stronę i czułem, że podejrzewa mnie o żydowskie pochodzenie. Tym bardziej zacząłem się zachowywać tak, żeby w tym go utwierdzić. Stał się agresywny. Przeszkadzał mi w odpoczynku po ćwiczeniach i obiedzie. Siadał zwykle na moim łóżku i opowiadał różne bzdury, nie dając mi czytać ani spać. Pewnego popołudnia wróciliśmy po ciężkich ćwiczeniach. Ledwo pozbyłem się plecaka, rzuciłem się na łóżko i chciałem zasnąć. Miszka podszedł i usiadł na mnie okraciem.

– Nie dam ci, Żydzie, spać – powiedział.

– Zejdz, Miszka.

– A właśnie nie zejde.

– Zejdz, bo dostaniesz w mordę.

– A spróbuj, Żydzie.

Otrzymał tak mocny policzek, że zleciał na podłogę.

Długi czas nie rozmawialiśmy. Po kilku dniach koledzy dali mu koca i starał się mnie omijać. Miałem święty spokój. Na wakacje Bożego Narodzenia pojechał do Wilna i trafił na studencki bal sylwestrowy. Zaprosił do tańca studentkę Olę, moją kuzynką. W tańcu zobaczyła u niego oznaki podchorążówki i spytała:

– To może pan jest razem z moim kuzynem? – i wymieniła moje imię i nazwisko.

Był zmieszany i nie przyznał się do zajścia w szkole. Jak tylko wrócił z wakacji, podszedł do mnie, wyciągnął rękę i powiedział:

– Przepraszam cię. Teraz wiem, że jesteś Tatarem. Tańczyłem z Olą.

Uściskaliśmy się i zostaliśmy kolegami. Poszedł do ułanów, chociaż był drobnej budowy. Miał młodzieńczy zapał.

Nasz rok szkolny był urozmaicony nie tylko wypadkami w służbie i zabawami w wolnym czasie. Historia i polityka nie poskąpiły swych atrakcji. Jedną z nich była wizyta „Dziadka”. Bez żadnej zapowiedzi wszedł na salę oficer dyżurny i krzyknął „Bacność!” Na sali zapanowała martwa cisza. Wszedł On w asyście komendanta szkoły i dowódcy baonu szkolnego. Na głowie maciejówka, długi płaszcz koloru szaroniebieskiego, lewa ręka oparta na rękojeści szabli, która wystawała z lewej kieszeni płaszcza. Pod zwisającymi gęstymi brwiami nieruchome oczy. Drobnym kroczkiem przechodzi przed wyprężonymi podchorążymi. Nic nie mówi. Przeszywa wzrokiem, ocenia i milcząco posuwa się dalej. Dwóch podchorążych zapytał skąd pochodzą. I jednego – jak karmią.

Belweder blisko, bóg daleko. Pałace z ogrodami niedostępne, myśli bogów mało znane.

O polityce w wojsku wtedy nie mówiono. Wojsko miało być apolityczne. Wojsko musiało słuchać rozkazów i ślepo je wykonywać. Bez względu na to, czy rozkaz był słuszny, czy nie. Zresztą, rozkaz w wojsku zawsze musiał być słuszny. Wojskowy nie potrzebował wiedzieć, co dzieje się w jego kraju lub na świecie. Grunt dyscyplina. Niekoniecznie świadoma.

Wiedzieliśmy tylko, że z finansami jest niedobrze. Odczuwaliśmy to na własnej skórze, płacąc ciężkie tysiące marek za szklankę herbaty z ciastkami. Ale kiedy zamordowano prezydenta Narutowicza, to podchorążowie nie wiedzieli właściwie o co i komu chodziło. Kazano nam tylko pilnować porządku na ulicach Warszawy, zalanych tłumem, szczególnie studentami. Przed wyjściem rozdano nam po raz pierwszy po sto dwadzieścia sztuk amunicji i powiedziano, żeby bez względu na prowokacje bez rozkazu nie strzelać. Posuwaliśmy się ulicami spokojnie, w szyku trójkąta, z bagnietami do przodu. Nazywano nas pacholkami, rzucano w naszą stronę błotem. Tłum wolno się cofał, gniótl młodzież, słychać było popłakiwania i piskliwe jęki.

I tak chodziliśmy przez trzy doby. Była to dla nas rozrywka. Potem, po wyborach nowego prezydenta, przez jakiś czas pełniliśmy wartę przy Belwederze. Prezentowaliśmy broń wysokiemu, smutnemu panu z bródką. Odpowiadał nam uśmiechem. Wojciechowski²⁶ robił wrażenie dobrego, spokojnego człowieka. Nie czuliśmy tego wielkiego dystansu, jaki zwykle istnieje między małym obywatelem a głową państwa.

Z tego burzliwego okresu najbardziej zapadło mi w pamięć powiedzenie kogoś z tłumu, gdy stałem na posterunku przy Belwederze:

– Wszystko rozumiem, ale żeby Żyda postawić przy Prezydencie...

Miałem chęć odpowiedzieć. Nie mogłem jednak, bo stałem na baczność z bronią na ramieniu.

Potem przyszła wiosna. W Alejach zazieleniło się i zakwitło. Zaroiło się od spacerowiczów, łaknących promieni słonecznych i zieleni. W sobotnie popołudnia i niedziele podchorążowie uganiali się za pannami, mając przewagę nad cywilami. Przecież za mundurem panny sznurem.

W związku z przyjacielskimi stosunkami z Rumunią przyjechał król Ferdynand I z małżonką. Wcześniej tłukliśmy bruki krokiem defiladowym, by pokazać moc militarną Odrodzonej Ojczyzny. W przyszłości defilady staną się trwałym przeżyciem w monotonnym życiu wojskowym. Do

²⁶ Chodzi o Prezydenta RP Stanisława Wojciechowskiego (1869-1953).

nich dołączą manewry i ćwiczenia. Będziemy częstokroć bohaterami nieznanym nikomu, nigdy nienakręconych filmów.

Przed zakończeniem roku szkolnego wymarsz na poligon w Rembertowie. Batalion szkolny stoi w Alejach gotów do odmarszu. Wyładowane plecaki wrzynają się pasami w ramiona. Podpieramy je karabinami w oczekiwaniu na raport komendantowi szkoły. Potem maszerujemy w gorący, wiosenny dzień. Na czele wodzowie na koniach. Po kilku godzinach zaskoczeniem widzimy pustynię, która leży tak blisko stolicy. Trzewiki grzęzną w gorącym piasku, owijacze ściskają łydki. Pot ścieka z czoła na nos, z nosa kapie na spragniony wody piasek. Wodzowie już nas wyprzedzili, już stoją na pagórku i czekają na przyjęcie defilady. Z wielkim trudem unosimy stopy i patrzymy w prawo. Pragnienie tylko jednego: jak najszybciej pozbyć się plecaka. Komendę „Do nogi broń” wykonujemy niedbałym zsunięciem karabinów z ramion. Ręce mdleją.

Wreszcie jesteśmy w namiotach, płuczemy się zimną wodą do pasa, już młodość na wierzchu. Dni upalne, noce zimne z przymrozkami. Rano woda w miednicach pokryta warstewką lodu. Od tej lodowatej wody mamy twarze czerwone i zdrowe. Wszelkie delikatne charaktery odpadały w garnizonie do cywila. Zostało samo pospółstwo: obieżyświaty, zagubieni, sieroty, samodzielnicy od najwcześniejszych lat życia. Ci, co wcześniej przeszli szkołę życia. Często gorzką, ale wiele dającą. Młodzi ludzie, dla których koń, szablą, armata, karabin nie były nowością. Ludzie, którzy się żyli z wiatrem, deszczem, piaskiem i kurzem. Którzy z niejednego garnka jadaliby rzeczy dobre i kiepskie.

Przez miesiąc deptaliśmy głęboki piasek, nacierając i broniąc się. Strzelaliśmy do tarcz, do biegnących figur i pewnego dnia zastrzeliliśmy zabłąkaną krowę w krzakach. Kiedy miał przyjechać szef Sztabu Generalnego Wielkiej Brytanii, niez mordowanie ćwiczyliśmy trzy doby, aby pokazać jak żołnierz polski potrafi nacierać i ewentualnie zwyciężać przy małych stratach własnych. Każdy kierunek, każda ścieżka każdego podchorążego była dokładnie wytyczona i wymierzona. Wybrano specjalne miejsca przeprawy przez wodę po pas. Wszystkie miejsca, gdzie ktoś z nas miał być ranny lub zabity dokładnie oznaczono. Reżyserami byli różni dowódcy i rozjemcy. Wszystko musiało grać dokładnie jak na scenie. My mieliśmy być tam artystami. I widocznie zagraliśmy dobrze, bo omawiając ćwiczenia, gość powiedział: „Jeżeli Polska będzie w rękach takich przyszłych dowódców, to losom jej nikt nie zagrozi”. Przyszłość pokazała co innego, a ojczyzna naszego wielkiego gościa w dużej mierze przyczyniła się do przyspieszenia naszej klęski szesnastu lat później.

Na zakończenie poligonu przyjechał generał Żelichowski. Zarządzili ostatnie ćwiczenie, którym kierował wysoki, mocno zbudowany major o okrągłej, zawsze lekko uśmiechniętej twarzy – dowódca baonu szkolnego S. Nasz kochany major chciał błysnąć brawurą i wysunął się za bardzo przed nacierającymi kompaniami. Kiedy generał omawiał ćwiczenie, powiedział między innymi: „A panu, majorze, proponuję na przyszłość nogę przywiązać do >>wierówki<<, żeby pana nie zastrzelili jak kaczkę, bo co to będzie za batalion bez dowódcy”.

Trzeba dodać, że obaj byli z kresów i carskiego wojska i mówili żargonem wileńsko-rosyjskim. Od tego czasu nasz dowódca przez dłuższy czas stał się dla nas „wierówką”. W gruncie rzeczy major S. był człowiekiem sympatycznym, z którym los związał mnie na długie lata. Stosunki układały się między nami różnie, w zależności od moich wybryków w sanacyjnej armii. Ale o tym później.

Wróciliśmy pełni chwały do garnizonu na zamknięcie roku szkolnego i naszego przydziału do szkół oficerskich. Jak już wspominałem, z artylerii zrezygnowałem. Najbliżsi koledzy szli do oficerskiej szkoły inżynierii, która obiecywała dyplom inżyniera wojsk lądowych. Namówili. Poszedłem za nimi. Oficerowie-saperzy jeździli na koniach i nosili ostrogi. Marzeniem stało się zadość. Przed wakacjami miesięczna praktyka w pułkach piechoty. Wybrałem 6 Pułk Piechoty Legionów w Wilnie, którego jeszcze nie znałem. Jako sierżant-podchorąży z pięcioma kolegami udałem się do Wilna, które było dla mnie Mekką.



PRAKTYKA I ŚLISKA DROGA

W długim pokoju koszarowym stało sześć żelaznych łóżek z zardzewiałymi siatkami. To nasze lokum na okres praktyki. Do tego stół z nieheblowanych desek na krzyżakach, kubeł na wodę, taboret i stara miednica. Ściany brudne, po kątach dziury w podłodze wyrzeźbione przez gryzonie. Jedzenie w kasynie oficerskim: podchorąży należał już do kasty oficerskiej. Koszary w środku miasta. Szkolimy młodych żołnierzy na placu tuż przy koszarach. Występujemy w roli zastępców dowódców plutonów. Młodszy oficerowie korzystają z okazji do bumelowania.

W czasie ćwiczeń asystują nam chłopcy od dziesięciu do dwunastu lat. Tacy, którzy wojnę pamiętają jako coś atrakcyjnego, romantycznego, bohaterskiego. Chcą być żołnierzami jak wszyscy chłopcy w ich wieku na całym świecie. Jeszcze nie mają powodów, by kląć świat z jego wojenną machiną. Są bezpośredni i naiwni. Przyjmują wszystko za dobrą monetę. Nie mogą tylko zrozumieć naszych komend, wrzasków, urywanych słów i dziwią się mocno, że żołnierze wykonują tak jednocześnie różne ruchy. Podchodzą mali wilniuki i piskliwym, śpiewnym głosem pytają:

– Co panowie mówią do nich, my nic nie rozumiemy?

– Podrośniesz, bratku, pójdiesz do wojska, to wszystko zrozumiesz – odpowiadamy chłopcom i wymieniamy parę regulaminowych komend.

Tulą się do siebie z zażenowanym uśmiechem i stoją, aż do końca ćwiczeń. Chcieliby być podchorążymi. Niektórzy z nich na pewno będą, może nawet generałami. Nam wszystkim już dawno temu obiecywano buławy marszałkowskie.

Pociągało mnie nie tyle piękno Wilna, co raczej potomkowie Dżyngis-chana oraz tatarskie kołduny. Co wieczór odwiedzałem kolejne tatarskie rodziny, a szczególnie te, gdzie były młode panny. Po tłustych kołdunach tańczyliśmy różne walczyki pod muzykę matek lub starych płyt. Matki patrzyły na mnie jako na ewentualnego zięcia i nie mogły się nadziwić moim gospodarskim zainteresowaniom, praktycznym podejściem do życia. Widziały we mnie przyszłego sknerę w dobrym znaczeniu tego słowa.

Od małego lubiłem prowadzić rozmowy ze starszymi od siebie osobami i to utwierdziło ich o moim poważnym traktowaniu życia. Nie wyczuwali lekceważenia wielu rzeczy przestarzałych, wiejskich tradycji, przebrzmiałych poglądów i wielu innych spraw, które moim zdaniem powinny dawno temu umrzeć lub przynajmniej przejść do lamusa.

Koledzy wieczorami nudzili się jak mopsy i zazdrościli mi wyżerek po kominach i hulankach z młodymi Tatarkami, hulankach niewinnych, ale wyrastających w ich oczach do olbrzymich rozmiarów graniczących z rozpusztą haremową. Jak grubo się mylili: Tatarkom nawet nie przychodziły do głowy najprostsze pocałunki pod nieobecność mamy. Cnotliwe dziewczyny wszystko co miały chowały dla przyszłych swoich mężów – nieraz do staropanieńskich lat, czego później czasami żałowały. Często brutalne życie niweczyło ich wszystkie dziewczęce marzenia.

Prawie co wieczór wracałem bardzo późno. Paliłem światło i tym samym budziłem kolegów. Byli źli, wymyślali mi od „zamazanych Turków”. Obmyślili zemstę w postaci podłożenia pod prześcieradło napełnionej wodą prezerwatywy, którą zawiązywali sznurkiem. Gdy kładłem się do łóżka prezerwatywa pękała i musiałem zmieniać pościel. Byli zachwyceni, że zmęczony „Turek” nie mógł spać. Potem wymyślili inne sposoby. Odpinali siatkę łóżka, pozostawiając ją na kilku zaledwie uchwytych. Pod łóżko stawiali miednicę z wodą. Leciałem z siatką i pościelą do miednicy. Bawili się jak mogli moim kosztem w sposób raczej koleżeński. Sami wychodzili rzadko, bo żołąd nie pozwalał na hulanki. Jednym z kolegów był miły chłopiec, syn miejscowego dyrektora Robót Publicznych, w domu którego bywaliśmy raz w tygodniu na dobrej kolacji. Przychodziliśmy zwykle, a raczej wpadaliśmy jak szarańcza, w szyku i synalek meldował matce sześciu obżartuchów do kolacji. Jadło było obfite. Kolega miał starszą siostrę, która traktowała nas jako dorastającą młodzież, z której dopiero miało coś wyrosnąć.

Pewnego wieczora, kiedy w najlepszych humorach siedzieliśmy przy stole, przyszedł jakiś interesant do ojca kolegi. Rodzice jego zatrudniali w charakterze gosposi młodą kobietę z kresów, słabo piśmienną i niewiele orientującą się w nazwach urzędów państwowych. Kiedy interesant natarczywie tłumaczył jej, że w pilnej sprawie musi koniecznie widzieć dyrektora Robót Publicznych, gosposi ze złości wszystko się w głowie pokręciło i weszła do pokoju stołowego ze słowami:

– Jakiś pan chce koniecznie zobaczyć się z dyrektorem Domu Publicznego.

Mało co nie pospadaliśmy z krzesel i cały wieczór, patrząc na gosposię, krzyczeliśmy: „Niech żyje dyrektor...” Gosposia nie mogła się połapać, co

nas tak bawi. Wreszcie kolega zaczął ją w kuchni uświadamiać i więcej się nie pokazała w stołowym. Po naszym wyjściu pocałowała dyrektora w rękę i chciała odejść, ale był człowiekiem pełnym humoru życiowego i przy następnej kolacji wszystko odbywało się *comme il faut*²⁷.

Nieźłą rozrywką nocną były szczury w naszym pokoju. Rano niektórzy nie mogli doliczyć się skarpetek. Okazało się, że szczury zaciągały je do swoich nor pod podłogą. Widocznie nęciły ich zapaszki rzadko pranych skarpetek. Ale pewnego poranka nie mogliśmy się nadziwić, gdy jeden z kolegów stwierdził brak zegarka – cebuli z długim srebrnym łańcuszkiem. Zegarek leżał przy dziurze. Szczury wciągnęły tylko łańcuszek, a sam zegarek zahaczył się w wąskiej szparze. Czyżby znały się na czasie i godzinach?

I tak minęła praktyka, która miała nas wychować i wyszkolić na przyszłych dowódców. Dowództwo pułku nie zajmowało się nami. Nie było to wtedy w modzie. Charaktery dojrzewały samorzutnie.

Wakacje spędzałem w Grodnie w gronie dobranych koleżków. Student S. był krótko w podchorążówce i został zwolniony w związku z chorobą płuc. Był synem majora, szefa służby zdrowia korpusu. On właśnie wprowadził mnie w swoje towarzystwo. Była to dobrana paczka synalków miejscowych dygnitarzy wojskowych i cywilnych. Część uczyła się, część pracowała. Dziewięciu cywilów i ja, dziesiąty na okrasę. Co może robić dziesięciu młodych, zdrowych byczków w wolnym czasie? Brykać. I brykaliśmy jak młode byczki wypuszczone na wolność z zatęchłej obory na świeże, słoneczne powietrze. Chodziliśmy nad Niemen. Jedni kąpali się, pływali, drudzy siedzieli na brzegu, gryźli zielone źdźbła trawy i rzucali kamykami do wody. Potem szli gromadą wąskim chodnikiem głównej ulicy, grzecznie ustępując młodym i ładnym kobietom i niegrzecznie zagradzając drogę niewyraźnym typom.

Wieczorem ci bogatsi z nas kupowali litr, dwa monopolowej i szli do domu któregoś z kumpli. Pierwszy wchodził zwykle młody gospodarz i obejmując swoją mamę, trzymał mowę:

– Kochana mamo, jesteśmy szalenie spragnieni, daj nam dużo ogórków, chleba i trochę kiełbasy. Do tego jeden nóż, jeden widelec i jeden talerz. Resztę mamy swoje.

I stawał na stół dwie siwuchy. Matka krzywym uśmiechem obrzucała alkohol i szła do spiżarni po zagrychę.

Tak było prawie co wieczór, coraz to w innym domu, z tą różnicą, że za każdym razem zwiększała się ilość butelek. Trenowaliśmy nasze głowy

²⁷ Jak należy, jak trzeba, jak wypada (fr.)

niby do zawodów. Kiedy mieliśmy w czubach, wychodziliśmy na spacer po mieście. Siadywaliśmy na ławkach na placu Batorego i śpiewaliśmy do północy. Czy byliśmy chuliganami w dzisiejszym pojęciu? Chyba nie. Nawet na pewno nie. Niczego nie niszczyliśmy, na nikogo nie napadaliśmy. Tym bardziej nikomu nie przyszłoby do głowy zrobienia komuś jakiegoś świństwa lub krzywdy. Byliśmy raczej księżycowymi bohaterami własnej młodości, której nadmiar szukał ujścia.

Po kilku tygodniach znaleźliśmy nowy sposób spędzania wieczorów. W Grodnie znajdował się hotel Royal, w którym mieściło się kasyno garnizonowe. Była tam na ów czas najlepsza chyba restauracja z małą sceną do występów. Upodobaliśmy sobie ten lokal. Przychodziliśmy dość wcześnie, aby zająć kilka połączonych stolików tuż przy scenie. Kelnerzy ustawiali baterię półlitrówek czystej i skromnej zakąski. Niekiedy na scenie występowały dziewczuszki, fikały nóżkami i słabymi głosikami próbowały lansować różne piosenki.

Któregoś wieczora, kiedy mieliśmy rozkoszne humory, wyszła na scenę niebrzydka dziewczyna z niezłym głosem. W pierwszej chwili na sali ucichło, wszyscy ze skupieniem słuchali śpiewu. Ale kiedy piosenkarka wyciągnęła ręce w stronę naszych stołów i zaczęła wprost wołać: „Chodź kochany do mnie, chodź. Już dawno tęsknię za tobą”, jeden z nas krzyknął: „Staszek, jak Bóg miły ona woła ciebie”.

Czterech z naszej paczki wstało, wzięło Staszka na ręce, rozhuštało i rzuciło na scenę. Dziewczyna uciekła za kulisy, a Staszek za nią. Następnego dnia ojcowie młodzieńców mówili swoim synalkom: „Że wy sami bawicie się, to trudno, ale po co psujecie przyszłego oficera”.

Nie zepsuli. Po tych wybrykach przestałem zupełnie pić wódkę. Nim to jednak nastąpiło, dalej odstawialiśmy niesmaczne częstokroć kawały. Po wyczerpaniu wszelkich pomysłów wychodziliśmy o północy na ulicę Batorego. W mieście panowała cisza. Czasami słyhać było z daleka kroki policjanta.

– Wiecie co? – wyskoczył jeden z naszej podchmielonej paczki. – Zaraz was zabawię. Znam prawie wszystkie mieszkania żydowskie.

Podszedł do jakichś drzwi i nacisnął dzwonek. Po pewnym czasie dały się słyszeć miękkie kroki na schodach. Drzwi się otworzyły i stanął przed nim człowiek z brodą w długim chałacie i nocnych bamboszach.

– Po co pan dzwoni? – zapytał.

– Ja dzwonię? – zdziwił się kolega.

– A kto dzwonił?

– Dzwonek dzwonił.

- Uj, pan taki dorosły, a taki niegrzeczny. Jak tak można.
- Bo chcę zrobić kupkę.
- To rób pan kupkę. Kto panu przeszkadza? Czy ja muszę wiedzieć o tym? Pan potrzebujesz do tego świadka?
- Świadek mi niepotrzebny.
- To co panu potrzeba?
- Mnie potrzebny miękki papier.
- To ja od tego, żeby panu dawać papier. Pan taki śmieszny.
- To pan jest śmieszny. Po co pan wychodził?
- A skąd ja mam wiedzieć kto i w jakim interesie do mnie dzwoni? Dlaczego nie może, dajmy na to, do mnie przyjechać teściowa? To będzie stała na ulicy?
- Niech szlag trafi pańską teściową, to pan mnie wspomni dobrym słowem.
- A skąd pan może wiedzieć, że moja teściowa jest kiepskim człowiekiem. Niech Pan Bóg da panu taką teściową, która ma dwa sklepy w Wołkowysku.
- Niech ją wobec tego podwójnie szlag trafi, to pan będzie miał trzy sklepy.
- Uj, jak pan umie żartować. Czekał pan, zdaje się, że ja znam pańskiego ojca.

Ostatnie słowo podziało orzeźwiająco na naszego przyjaciela, który zaniechał dalszych rozhovorów.

Hałaśliwe zachowywanie się ściągnęło na nas policjanta. Noc była ciemna. Miasto słabiutko oświetlone kilkoma latarniami. Policjant przyjrzał się bliżej paczce i rozpoznał niektórych synalków miejscowych dygnitarzy. Prosił, żebyśmy poszli spać. Z bocznej ulicy wyjechała dorożka. Policjant kazał nas zawieźć do domów i nie brać od nas pieniędzy.

- To już moja sprawa - powiedział do nas i dorożkarza. - Najważniejsze, żeby zniknęli z miasta i poszli do łóżek.

Policjant bał się komisarza. My nikogo. Nim ostatni z nas wszedł na swoje podwórko - gdzieś daleko, na dole, w pobliżu Niemna zapał kogut.

Na wschodzie zaróżowiło się niebo.



OFICERSKA SZKOŁA INŻYNIERII

Ilekroć mijam dzisiaj róg Nowowiejskiej i Niepodległości, przed oczyma przesuwają mi się taśmy filmowe z trzyletniego życia w Oficerskiej Szkole Inżynierii w latach 1923–1926. Z biciem serca patrzę na jednopiętrowy budynek, w którym spałem trzy lata i w którym słuchałem pierwszych wykładów. Patrzę na mocny, murowany rozkraczony budynek na podwórku, gdzie była nasza stołówka, a dzisiaj mieści się kabaret studencki „Stodoła”. Aż się dziwię, że te staroświeckie budowle ostały się naporowi współczesnego budownictwa. Do tego kompletu brak Pomnika Saperom. Na jego miejscu stoją teraz auta, a szkoda.

Byliśmy drugim rocznikiem podchorążych odrodzonej Polski. Na pierwszym było nas dwudziestu pięciu z początkowych czterdziestu dziewięciu. Po kilku tygodniach zajęć profesorowie Politechniki Warszawskiej oświadczyli komendantowi szkoły, że wielu podchorążych nie rozumie treści wykładów. Zarządzono egzaminy z matematyki. Siedemnastu skierowano do innych rodzajów broni, przede wszystkim do piechoty. Zostało nas trzydziestu dwóch.

Rozpoczęło się życie pełne drobnych kawałów i poważnej pracy. Szkoła miała być załącznikiem wyższej uczelni technicznej. W rezultacie wyszło coś pośredniego, można powiedzieć ni pies, ni wydra. Pierwszym nieporozumieniem okazał się nasz stosunek do dowódcy plutonu, porucznika K., o ile się nie mylę byłego wychowanka armii niemieckiej. Poculiśmy do niego automatyczną antypatię, można rzec bez żadnych widocznych powodów. Chyba dlatego, że był oficerem łączności. Nazywaliśmy go „Drucikiem” i to przewzasko towarzyszyło mu na każdym kroku. Musiał o tym słyszeć, bo raptem zaostrzył mocno dyscyplinę w stosunku do nas. Ale z nami sprawa była trudna. On sam zaś niewiele starszy od niektórych podchorążych.

Wojna światowa, a szczególnie jedna i druga rewolucja w Rosji nie dały byłym oficerom armii zaborczych zbyt wiele doświadczenia. Większość żyła w starym świecie i trzymała się starych metod szkolenia pozbawionych sfery wychowawczej. Do szkoły zaczęły przenikać niezdrowe tradycje

wychowanków szkół królewskich i carskich. Bezapelacyjne posłuszeństwo miało stanowić podstawę morale przyszłego oficera. Jakikolwiek rezonostwo wykluczone. A jeżeli było, doprowadzało niechybnie do otwartej niezdrowej wojny podjazdowej między wychowankami a przełożonymi.

Taka pierwsza, dziecinna można rzec, wojna wynikła między nami a „Drucikiem”. Postanowiliśmy pozbyć się go z naszej kompanii. Obraliśmy metodę najprostszą, graniczącą z buntem przeciwko dyscyplinie wojskowej. Nasze zachowanie się doprowadziło „Drucika” do pruskiej wściekłości. Postanowił wstawiać nam przy każdej okazji „jaja”. Obróciło to się przeciwko niemu. Zastosowaliśmy bojkot w wykonywaniu komend na zbiórkach. Kiedy trzeba było stać na baczność, staliśmy na spoczyn. Zamiast zwrotów w prawo, robiliśmy zwroty w lewo. Takie sztuczki wywoływały u niego białą gorączkę. Zostawiał pluton w korytarzu i biegł po dowódcę kompanii, którym był kapitan Helman, wysoki, o kawaleryjskich nogach oficer. Kiedy przychodził i sam wydawał komendy, wykonywaliśmy je nie tylko prawidłowo, lecz wręcz artystycznie. Kapitan wzruszał ramionami i odchodził. Gdy komendę ponownie przejmował „Drucik” historia się powtarzała. Po tygodniu porucznika K. przeniesiono ze szkoły do jednostki. Na jego miejsce przyszedł nadzwyczaj miły porucznik saperów, który zmarł jako podpułkownik ludowego Wojska Polskiego kilka lat temu. Nazywał się Hryniewicz.

Był taktowny, inteligentny i bardzo przez nas lubiany. W dniu jego imienin urządziliśmy bibkę w sali wykładowej. Podrzucaliśmy go do góry i nie pamiętam w jakim celu ustawiliśmy piramidę taboretów, na którą wwindował się nasz kochany dowódca plutonu, który w scenie końcowej zleciał tak niefortunnie, że uszkodził sobie nos. Musiał iść do lekarza.

Podstawowym zajęciem były wykłady kilku znanych profesorów Politechniki Warszawskiej, kilku profesorów w mundurach i dodatkowe zajęcia wojskowe. Oprócz przedmiotów saperskich przerabialiśmy równoległe program piechoty i kawalerii. Nie można było uważać się na monotonię zajęć. Jak w kalejdoskopie zajęcia przesuwwały się jedne za drugimi od siódmej rano do czwartej po południu. Rano zamiast gimnastyki najczęściej jazda na koniach. Mielśmy swój szwadron i swojego znanego w kręgach kawaleryjskich i miłośników zawodów końskich instruktora porucznika S. Jak przystało na ułana, język miał siarczysty, dobitny i czasami wręcz nieprzyzwoity. Porównywanie nas do bab na nocnikach, do kur na płotach i wielu innych małych zniechęcało niektórych podchorążych do tych zajęć do tego stopnia, że najlepszy uczeń przez trzy lata unikał w najrozmaitszy sposób końskiej jazdy, co nie przeszkodziło mu ukończyć szkołę z pierwszą lokatą.

Drugim ułanem, który pozostał na zawsze w naszej pamięci był porucznik W., znany z podręczników matematyki. Wykładał geometrię analityczną i w tym akurat był niedościgniony. Chodził zawsze w mundurze ułańskim, trzymając uroczyście przed sobą szablę na długich rapciach. Na koniu chyba nigdy nie siedział i nigdy o tym nie wspominał. W wolnym czasie często przesiadywał w kawiarniach, zapisując moc serwetek obliczeniami matematycznymi i różnymi zadaniami. W klasie uznawał wyłącznie bardzo biegłych w matematyce i właściwie prowadził wykłady jedynie dla nich. Prawdę mówiąc, tylko z nimi rozmawiał. Szczególnie upodobał sobie podchorążego Swinarskiego i wzywając go do tablicy, mówił zawsze: „Ty, frajer, idź do tablicy, oni (to znaczy reszta) i tak niczego nie rozumieją”. Wykładał, zdaje się, w szkołach średnich i układał podręczniki do matematyki. Był jednym z prawdziwych profesorów starego pokolenia ze wszystkimi ich zaletami.

Wielu profesorów i wykładowców pozostawiło w naszych wspomnieniach niezatarte obrazy. Jedni samą powagą profesorską, jak prof. Pszenicki²⁸ od budowy mostów. Jego klarowne, zrozumiałe dla wszystkich słuchaczy wykłady przykuwały uwagę do wielkich czarnych tablic, na których kreślił różne kratownice i inne części składowe. Podawane obliczenia były przekonywujące i przejrzyste jak woda źródłana.

Albo taka powaga naukowa jak prof. Miszke²⁹ od budowy kolei żelaznych, który miał miłego i zdolnego starszego asystenta, majora Piaseckiego³⁰, późniejszego wiceministra komunikacji.

Ale byli i tacy wielcy profesorowie, dzięki którym czas upływał szybko, nieraz w całkiem wesołej atmosferze. Taki na przykład prof. Kunicki³¹ od statyki budowli. Mały, siwy starszy pan, który swoją wielką wiedzę przekazywał nam w sposób swoisty i oryginalny. Nie interesowały go żadne raporty służbowego podchorążego. Po wejściu na salę wykładową brał szybko kredę i zapełniał dwie wielkie tablice obliczeniami i rysunkami tak drobnymi, że z trudnością mogliśmy je rozszyfrować. Na słuchaczy nie zwracał uwagi. Zdawało się, że pozostawiał ich własnym medytacjom. Jeżeli zabrakło miejsca wzdłuż, pisał w poprzek, albo stawał na taborecie i zapisywał wolną część

²⁸ Andrzej Pszenicki, prof. zw. dr inż. (ur. 29 listopada 1869 r. w Pabianicach, zm. w 1941 r.) – polski inżynier budowlany i konstruktor.

²⁹ Aleksander Jan Gustaw Miszke (ur. 6 września 1882 r. w Warszawie, zm. ?) – polski inżynier, specjalista inżynierii kolejowej, profesor zwyczajny.

³⁰ Julian Marian Piasecki, (ur. 13 lutego 1896 r., zm. 3 sierpnia 1944 r. w Warszawie – inżynier, I wiceminister komunikacji, mjr dypl. WP.

³¹ Stanisław Kunicki (1859-1942), profesor, w latach 1919-1921 rektor Instytutu Inżynierów Komunikacji w Petersburgu. Po roku 1921 wykładowca statyki w Politechnice Warszawskiej.

tablicy u góry. Co pięćdziesiąt minut służbowy meldował o przerwie. Mel-dunku profesor nie słyszał lub nie chciał słyszeć, a może nawet nie zdawał sobie sprawy o co w ogóle chodzi i mimo dwukrotnego powtarzania podcho-rążego o przerwie, dalej pisał swoje obliczenia. Gorliwi wszystko dokładnie odrysowywali i odpisywali, a część wychodziła na korytarz.

Niektórzy z nas prowadzili niedokładne notatki, licząc na pomoc kole-gów przed egzaminami. Jakie było nasze zdziwienie, kiedy pewnego dnia zamiast jak zwykle przystąpić do wykładu, kazał nam wyłożyć notatki. Wyciągnął mały notesik z naszymi nazwiskami i oglądając notatki stawiał przy każdym nazwisku ocenę, która była dla nas tajemnicą. Wpadliśmy w popłoch i zaczęliśmy na nowo zakładać porządne notatki. Gdy przyszedł okres kolokwiów, po odpowiedzi ustnej zaglądał do notesiku i mówił: „No-tatki to pan miał słabe” – i obniżał odpowiedź o jeden stopień. System oce-ny był wtedy dwunastostopniowy. Cztery oznaczało słabiutką trójeczkę. Dziesięć – celująco.

Do asów Politechniki Warszawskiej należał również prof. Karasiń-ski³², zwany po prostu „Karasiem”. Wykładał wytrzymałość tworzyw. W przeciwieństwie do prof. Kunickiego chętnie i uroczyście przyjmował wszelkie raporty podchorążych, przyjmując postawę zasadniczą. Uży-wał niesamowite ilości perfum o ciężkich i duszących zapachach. Przy zamkniętych oknach trudno było oddychać. W czasie przerwy otwiera-liśmy je szeroko, żeby przewietrzyć salę. Był zawsze nienagannie ubra-ny i wyglądał tak uroczyście, jakby dopiero co wrócił z wielkich salonów. Jego asystentem był mocno zbudowany, ciężki, ale życzliwy i miły mjr Zaleski. Za kołnierz nie wylewał. Jeździł po Warszawie motocyklem i nie przestrzegał przepisów ruchu drogowego. Policjanci woleli zejść mu z drogi niż interweniować. Prowadził z nami wszystkie ćwiczenia i trak-tował nas jako starszych kolegów.

Do najbardziej oryginalnych profesorów należał chyba prof. dr mgr inż. Doryng od geometrii wykreślnej, posiadacz nie wiadomo ilu jeszcze tytu-łów i stopni naukowych. Wpadał zawsze z dużym opóźnieniem i mocno zaaferowany. Najczęściej bez krawata, który wystawał mu z kieszeni. Wy-kładał bez przerw i po przedstawieniu przeznaczonego materiału wynosił się równie szybko i nieprzytomnie jak przychodził. Zimą zjawiał się zawsze z łyżwami na butach pod pachą. Był bowiem zawziętym łyżwiarzem. Roz-targnienie jego przynależne było wybitnym umysłem, które żyją w swoim odrębnym świecie.

³² Leon Karasinski (1879-1945), inżynier mechanik, od roku 1919 profesor Politechniki Warszawskiej. Zginął w hitlerowskim obozie koncentracyjnym.

Mechanikę teoretyczną wykladał prof. płk Takliński³³. Okrągłutki i tłusciutki, z małymi ślipkami, które z daleka znakomicie wszystko widziały. Wykładając, przesywał słuchaczy wzrokiem i zdawał się być bardzo daleki od siedzących tuż przed nim podchorążych. Po pierwszym semestrze nikt nie chciał pierwszy iść na egzamin. Kiedy wepchaliśmy wreszcie do gabinetu najmocniejszego, który wyszedł dość szybko i oświadczył, że nie taki straszny diabeł jak go malują, i że profesor postawił mu w swoim notesie „b maleńkie” i „d maleńkie”, nabraliśmy odwagi. Każdy twierdził, że dostał „b maleńkie” lub „d maleńkie”, lub „z”. Po kilku dniach dowiedziliśmy się, że te literki oznaczały w większości wypadków same dwóje. Ogarnęła nas konsternacja. Musieliśmy wziąć się za tomy mechaniki i przeszliśmy cichego pułkownika „A maleńkie, b maleńkie”. To jedyne, co mogliśmy zrobić we własnej obronie. Innej broni nie mieliśmy. Nie były to przedmioty wojskowe, które nieraz można było lekceważyć i wyjść obronną ręką.

Tak chociażby wydarzyło się z pułkownikiem Nawratilem³⁴, który uczył nas mostów pontonowych. Był nieprzytomnym pontonierem z armii austriackiej. Przedmiot swój traktował jak zbawienie wszystkich żołnierzy od śmierci na wojnie. Wszelkie czynności przy ćwiczeniach praktycznych musiały być wykonane na tempa. Przy tym dużo dyscypliny, żadnych uwag, pogaduszek lub uśmieszków. I tu właśnie nas poniosło. Zaczęliśmy odstawiać przy każdej nadającej się okazji ironiczną subordynację w taki sposób, by nas nie ukarano. Doprowadzaliśmy pułkownika do stanu nerwowego napięcia i swoim zachowaniem zmusiliśmy do złożenia skargi komendantowi szkoły. Przegrał. Został przeniesiony na stanowisko inspektora szkolenia jednostek. Tam dopiero sobie używał. Jedną z jego sztuczek było chowanie się w krzakach i podglądanie kompanii lub batalionów maszerujących na ćwiczenia. W pewnym momencie wyskakiwał na drogę i wołał do siebie dowódcę oddziału. Wezwany musiał biec, inaczej był zwracany do powtórki. Potem, po zameldowaniu się, płk Nawratil zaczynał mu wymyślać i pouczać jak oddziały muszą maszerować, śpiewać itp.

Jeżeli w jednostce był znany termin inspekcji, część oficerów kładła się do łóżek jako chorzy. Niektórzy nie wytrzymywali narzucanego drylu. Tego rodzaju dowódcy robili armii więcej złego niż dobrego, ale i sami szybko się wykańczali. Nie sprawdzali się w nowych czasach, chociaż nie były zbytnio wybiegające naprzód.

³³ Być może chodzi o profesora Władysława Taklińskiego (ur. w 1875 r. w Warszawie, zamordowany w 1940 r. w Sachsenhausen).

³⁴ Płk Zygmunt Nawratil, inspektor saperów w Departamencie V Inżynierii i Saperów Ministerstwa Spraw Wojskowych II RP.

Kadra dowódcza i profesorska była dość liczna jak na taką ilość podchorążych. Oprócz Polaków znajdowało się w niej dwóch Francuzów. Płk Bost wykładał taktykę. Wymagał tłumacza na język polski. Najczęściej w tej roli występował dowódca baonu szkolnego mjr S., który ukończył we Francji Ecole de Genie (Szkołę Saperów). Kiedy go nie było, ja musiałem pełnić tę funkcję. Znałem język raczej literacki, bez terminologii wojskowej. Często popełniałem błędy przy tłumaczeniu na żywo. Uważnie słuchał i czasami przerywał: „Non, non” – i mnie poprawiał.

Drugim Francuzem był ksiądz, paradujący z Krzyżem Walecznych na surducie. Zdobył go w roku 1920 jako kapelan wojsk polskich maszerujących na Kijów. Wykłady prowadził bez żadnej metody, chaotycznie i na wesoło. Chociaż tę wesołą atmosferę stwarzaliśmy my sami. Na jego wykładach panowała nieograniczona swoboda pogaduszek na wszelkie możliwe tematy. Kiedy wykładowca próbował gniewać się na zbyt rozchukane towarzystwo to wszyscy krzyczeli: „To Soliman Rouge” (Sulejman Czerwony). Tak mnie przewalili z powodu łatwego i szybkiego czerwienienia się przy byle okazji. I Le Monnier (tak zdaje się nazywał nasz belfer od francuskiego) naprawdę wierzył, że to ja wyczyniam te wszystkie psoty na jego lekcjach. Chociaż dobrze znałem francuski, nie postawił mi oceny celującej. Zemścił się za bałagan, który rzekomo wywoływałem. Ku radości kolegów nie próbowałem wyprowadzić go z błędu.

Wielu Francuzów, a szczególnie Francuzek, straciło po rewolucji posady w Rosji. Mają oni wielki sentyment do narodu rosyjskiego, którego nigdy nie poznali: znali tylko wielką arystokrację, bogate mieszczaństwo i kupiectwo, które opływało w dostatki kosztem robotników i chłopstwa. Pracowali jako guwernerzy i guwernantki i zachwycali się rozrzutnością swoich chlebobawców. Najczęściej nigdy nie widzieli wsi rosyjskiej oraz biednych robotniczych domów. Polska była za biedna, aby imponować cudzoziemcom. Nie należało zresztą temu się dziwić po wielowiekowej niewoli. Zachowało się co prawda kilka rodów magnackich, ale i te nie zdążyły jeszcze okrzepnąć, obrosnąć w pewność swoich posiadłości.

Nie wspominam o wielu, wielu innych wykładowcach, którzy przekazywali nam wiedzę ogólną i wojskową w sposób lepszy lub gorszy. Byli ludźmi normalnymi i niczym się nie wyróżniali poza swoją pracowitością i porządnością. Po trzech latach studiów należało w końcowym rozrachunku uzyskać z trzydziestu jeden przedmiotów co najmniej stopień dostateczny, żeby ukończyć szkołę.

Miewaliśmy uciechy nie tylko z profesorami i dowódcami. Bawiliśmy się również i we własnym gronie. Kilku nas nie wołano po nazwisku lub

imieniu. Wielu miało przezwiska, które pozostały przy nich na zawsze. Wspominałem już sławnego srebrnego podchorążego „Pączka”. Młody maturzysta-kadet, bardzo biegły w matematyce, został „Sinusem”. Kolegę, mocnego w geometrii analitycznej, z niewiadomych przyczyn wychowawca ochrzcił „Starym”. Był rzeczywiście jednym ze starszych, ale byli jeszcze od niego starsi. Niski, krępy, z okrągłą twarzą był „Chaziajem”, bo na dalekich kresach jego matka miała chałupinę i trzy morgi pola. Jeden z kolegów miał głowę w postaci ściętego stożka i nie wołano go inaczej jak „Stożek”. Drugi znowu miał tak krótką szyję, że w czasie komendy „Na prawo patrz” musiał skręcać się całym tułowiem. Szczególnie było to widoczne, gdy dobrze zjadł i wypił. Do tego oczy wychodziły mu na wierzch i wyglądało wtedy jakby w ogóle nie miał szyi. Na okrzyk „Krótka szyja”, odwracał się całym ciałem ze złośliwą miną i obrzucał wołającego stekiem mało zrozumiałych wyzwisk. Był jedynym, którego przezwisko tak bardzo poruszało, co powodowało jego częstsze używanie. Najwyższy, z twarzą zawsze uśmiechniętą i dobroduszną, zyskał miano „Bimbolo”. Najmniejszy, okrągłutki i zdolny, został „Kabuzym”. Nikt nie wiedział co to znaczy i skąd się wzięło, ale jeszcze dziś nazywamy tak poważnego inżyniera.

Najciekawsze, że niektórzy posiadacze tych przezwisk tworzyli dobraną i nierozłączną paczkę, zarówno w służbie, jak i w czasie wolnym. Miał do niej należeć również syn artysty-malarza S. Niestety, ten nadzwyczaj miły chłopak, który wprowadził mnie pewnego razu do domu Branickich w Wilanowie, tak się przejął nieotrzymaniem promocji na drugi rok studiów, że próbował samobójstwa. Strzelił sobie w usta z jakiegoś przestarzałego pistoletu i kula utkwiała w czaszce nad lewym okiem. Zwolniony ze szkoły długo nic nie robił. Tył tylko strasznie i zachowywał się niczym kołowaty. Potem zaczął pracować, odzyskał uśmiech, tylko na pamiątkę nosił w głowie kulę. Nic więcej o nim nie wiem. Byliśmy w szkole szczerze przygnębieni tym wypadkiem. Trudno powiedzieć dlaczego nie zdał odpowiednich egzaminów: nigdy nie zwracał się do kogokolwiek o pomoc w nauce, a po każdym semestrze szykowaliśmy się do egzaminów w grupach. Nigdy go nie widziałem wieczorami wśród nas. Może bliskość rodziny, mieszkali w Warszawie, tuż przy Placu Unii Lubelskiej, zaważyła na jego losach. Miał kilka siostr. Oprócz mnie nikt u niego nie bywał.

Przed wakacjami po pierwszym roku pojechaliśmy na miesięczną praktykę do jednostek. Tym razem już do jednostek saperskich. Ja, jak zwykle, do Wilna, do 3 Pułku Saperów. I tym razem pociągnęła mnie Tataria. Pułk stał na Antokolu w pobliżu parku Cielętnik. W czasie budowy szosy na dziedzińcu wojskowego szpitala dostałem przypadkowo po głowie dyszlem

od walca drogowego. Straciłem przytomność. Potem leżałem w łóżku coś ze dwa tygodnie. Nie mogłem żykać, nie mogłem się śmiać, co było najgorsze, bo koledzy przy mnie dyżurowali i zabawiali kawałami. W ten sposób zyskałem jeszcze jedno przezwisko, a mianowicie: „W ciemni bity”.

Zajmowaliśmy pokój w budynku koszarowym, który należał do I baonu. Jego dowódcą był major D. Oznaczał się wielkim drylem wojskowym i podobny był w wielu wypadkach do znanego już nam pułkownika Nawratila. A w wielu przypadkach może nawet go przewyższał. Wpadał czasami do naszej kwatery i sprawdzał porządek, przede wszystkim czystość. Po złożeniu raportu podchodził do któregoś łóżka i raptem znikał. Za moment wyłaził spod łóżka i oglądał swój mundur, czy przypadkiem nie jest zakurzony. Owszem, bywał. I to niewąsko. Wtedy zaczynał nas rozstawiać po kątach. Innym razem wycierał ręką wierzch szafy lub miednicę i znowu rozstawiał nas na wszystkie strony świata. Pouczał, jaki powinien być przyszły oficer. Kiedy mieliśmy już dość tych inspekcji, znaleźliśmy i na nie sposób. Jeden wychodził i zamykał pokój na kłódkę, a sam wracał oknem. Siedzieliśmy lub spaliśmy bez obawy, że zjawi się w naszych apartamentach.

Oprócz normalnych zajęć wyznaczono nas na oficerów rontowych³⁵. Z szablą przy boku i paskiem pod brodą chodziliśmy wieczorami po mieście i sprawdzaliśmy przepustki szeregowych, zaglądaliśmy do lokali publicznych i podejrzanych spelunek, czy tam nie ma żołnierzy. Chodziło przede wszystkim o zwalczanie chorób wenerycznych u żołnierzy. W niektórych okolicach prostytutek było co niemiara. Najchętniej polowały na żołnierzy, jako element najbardziej podatny i spragniony uciech. Niekiedy dziewczynka taka wieszkała się u szyi podchorążego, by żołnierze zdążyli ukryć się lub po prostu odejść.

I tak tygodnie upływały, przychodziła pora wakacyjna najmiłsza ze wszystkich okresów i wracaliśmy ponownie na Nowowiejską do niskiego budyneczku. Przez ten czas w podwórzu wyrósł wielopiętrowy gmach, nazwany budynkiem H. Mieściły się w nim sale wykładowe, kreślarnie i laboratoria do zajęć praktycznych. Obok pobudowano budynek z kasynem dla kadry oficerskiej. Życie służbowe i prywatne układało się coraz lepiej. Nastąpiła reforma walutowa. Ożywiła się gospodarka. Zastaliśmy nowy młody rocznik. Na najstarszym słuchacze byli już podporucznikami. Wróciliśmy ponownie do szkoły jako słuchacze drugiego kursu i kandydaci na podporuczników. Na rocznik najmłodszy, czyli pierwszy, zaczęliśmy patrzeć z góry. Bliżsi byliśmy młodych oficerów.

³⁵ Tzn. pełniących służbę patrolową.

Pewnego dnia rozeszła się wieść, że nie otrzymamy stopni oficerskich po drugim, lecz dopiero po trzecim roku. Uderzyliśmy na alarm. Podpisaliśmy zobowiązania do służby zawodowej na warunkach takich samych warunkach jak rocznik poprzedni. Wysłaliśmy delegację do komendanta. Zagroziliśmy strajkiem. Pomogło. Zarządzenia cofnięto i przywrócono nam stare prawa. Nie przeszkodziło to wprowadzić niebawem kolejne zarządzenie i zlikwidować trzeci kurs słuchaczy w stopniach oficerskich, które podchorążowie otrzymywali dopiero po całkowitym ukończeniu szkoły.

Zostało nas trzydziestu jeden. Nasz rocznik odznaczał się intensywnym życiem prywatnym i wzmoczoną nauką. Kilku kolegów wprowadziłem do swoich znajomych, bezdzietnego małżeństwa. Pan domu nałogowo grywał w preferka³⁶. Potrzebował partnerów, których znalazł w moich kolegach. Co sobotę grywali od wieczora do rana. Pani domu umilała czas grą na pianinie i całkiem niezłym śpiewem. Ponoć kiedyś występowała nawet w filharmonii warszawskiej. W ciągu nocnej gry karcianej podawano parę razy smaczne gorące kolacje, suto podlewane różnymi wódkami. W przerwach tańczono z panią domu pod płyty shimmy, fokstroty i inne modne wtedy tańce, przyśpiewując różne „Czy pani mieszka sama”, „Czy pani Marta jest grzechu warta”, „Taka jest noc i oprócz niej nie mamy nic”, i temu podobne śmieszne, rzewne i sentymentalne przyśpiewki ku zadowoleniu pana domu, który patrzył w swoją żonkę jak w obraz Matki Boskiej, całował rączki i mówił do wszystkich: „Nie ma jak moja kochana Halusia”. A Halusia tańczyła z młodymi podchorążymi, którzy przyciskali ją mocno w tańcu i szeptali do ucha: „Pani diabeł, nie kobieta”. Miało to znaczyć, że pani domu jest zalotna i namiętna. Karafki co rusz barwiły się innym kolorem smacznych wódek, a półmiski zjawiały się na stole z coraz pikantniejszym daniem. Wszyscy byli zachwyceni i dziwili się, że na kartach się nie rozumiem, wódki pić nie umiem i drzemię na kanapie, oczekując końca gry przed świtem.

Wieczory karciane odbywały się czasami z niedzieli na poniedziałek. Wtedy niewyspani, trochę przepici podchorążowie śpieszyli prosto na wykłady, na których drzemali, co ułatwiało jeszcze wielu profesorów nieprzytomnie zajętych kreśleniami i obliczeniami na tablicach. Pozwalaliśmy sobie nieraz na wprost karygodne czyny. Pewnego dnia jeden z kolegów wrócił pijaniusieńki. O słuchaniu wykładów mowy być nie mogło, pozostawienie go w sali sypialnej w łóżku również nie wchodziło w grę, gdyż codziennie dowódca kompanii wizytował sale sypialne, sprawdzał kanty i za-

³⁶ Staromodna gra w karty.

glądał pod materace. Należało więc zabrać kolegę na zajęcia. Ale co z nim zrobić? Ułożyliśmy go na podłodze pod stołami. Tam na twardych deskach spał i próbował czasem pochrapywać. Za każdym chrapnięciem dostawał od nas kopniaka i znowu następowała cisza.

Ale tej zabawy czasem było nam mało. Któregoś dnia wpadliśmy na niesmaczny kawał z takim zawianym. Wysmarowaliśmy mu genitalia atramentem i zamknęliśmy jądra na kłódkę. Kiedy się wyspał i wytrzeźwiał wprost zbaraniał, widząc kolory swojego przyrodzenia. Dopiero kłódeczka nasunęła mu myśl o dowcipach z naszej strony. Błagał o kluczyk, który otrzymał po przyrzeczeniu, że na przyszłość nie będzie się upijał przed wykładami. Poskutkowało.

W tym niepokojącym budyneczku znajdowała się dość okazała sala do urządzenia w karnawale zabaw tanecznych. Nazywała się salą „Błękitną”. Zapraszaliśmy znajome panienki z całej Warszawy, częstokroć nawet bez mamus, które obdarzały wielu z nas pełnym zaufaniem. Tego zaufania nigdy nie nadużyliśmy, nie dlatego, że byliśmy zbyt cnotliwi i porządni, lecz raczej z racji panującego wówczas poszanowania młodych kobiet i ich wstrzemięźliwego zachowania się w stosunku do młodych mężczyzn. Piliśmy wino przy stolikach, jedliśmy ciastka, kręciliśmy panny do upadłego i rano odstawialiśmy je grzecznie pod skrzydełka mamus.

Mamusie później zapraszały nas na kolacyjki sobotnie, nieraz proponowały nawet nocleg, by razem spędzić niedzielę. Niektóre uważały, że w ten sposób wychowują sobie ewentualnego przyszłego zięcia. Bywało i tak. W większości zaś wypadków podchorąży i późniejszy podporucznik po wielu wyżerkach i często pocałunkach panny odpływał do jednostki, jak to dziś powiadają, w siną dal i więcej o nim nie wspominało.

Były też próby wprowadzenia do szkoły różnych niesławnych tradycji w stosunkach między poszczególnymi rocznikami. Przede wszystkim nie tolerowano niewinnych chłopczków, jeżeli w takim środowisku mogli się tacy przytrafić. Było z tym trudno, ale zdarzało się. Pierwsza metoda to opowiadanie w obecności niewinnego chłopczka różnych tłustych kawałów i innych świństw. Jeżeli nie palił, zmuszano go do palenia, picia. Namawiano do pójścia na dziewczynki, ma się rozumieć te pod latarnią, których za czasów sanacyjnych nie brakowało. Chmielna, Piękna, Wilcza i inne zresztą ulice roiły się od polujących na mężczyzn kobiet w różnym wieku. Wiele było przyzwoicie ubranych, wyglądały z daleka zupełnie na damy i gdyby nie zerkwały i nie prowokowały do rozmów, można byłoby pomyśleć o nich dużo dobrego. Ale krótka propozycja: „Może pan pójdzie do mnie”, lub „Chodź, chłopczyku, do mnie” usposabiała nieraz do lekceważenia i od-

rzucania propozycji brakiem czasu, chęci, gotówki. Mówiła: „Trudno” i szła dalej. W niektórych oknach, szczególnie suterren, wystawiane były widome symbole domu uciech, jak na przykład zawieszony w oknie rower. Konkurencja wśród tych kobiet była duża i stąd znaczna rozpiętość cen za dostarczane uciechy: cena nieraz była wysoka, bo prowadziła niedoświadczonego młodzieńca do lekarza. Nie wszystkie zawodowe prostytutki były pod kontrolą i nie wszystkie przechodziły badania okresowe. Dużo spelunek było ukrytych, dokąd policja nie chciała najczęściej chodzić z różnych powodów.

Dziś naprawdę przyjemnie spacerować ulicami bez obawy o nagabywanie ze strony kobiet sprzedających swe ciała. To nie znaczy, że proceder przestał istnieć. Owszem istnieje, tylko w bardziej zamaskowanej formie. Albo w paskudnych pijackich norach z podejrzanymi typami, skąd można wyjść oczyszczonym ze wszystkiego, czasami nawet z życia. Nie mówią już o chorobach. Albo pięknie ubrane panie w eleganckich lokalach samotnie oczekujące na spragnionych damskiego towarzystwa. Odbywa się wszystko dyskretnie, a kończy się normalną umową o kupnie i sprzedaży w sposób wielkopański.

Konkurencję dla kobiet zawodowo tym się zajmujących są osoby samotne, stęsknione pieścizot, a że miły pan, przecież grzeczny i dobrze wychowany, poczuwa się do rewanżu, to rewanż ten przyjmuje się z wdzięcznością. Świntuchem nazywa się tego, który skorzystał z upragnionej miłości i uważał, że nie wypada niczego proponować, oprócz czekoladek i to małego pudełka. Tego pana więcej w domu się nie przyjmuje i rozgląda się za innym. I tak życie leci. Narzeka się na ciężkie czasy, pije się dobre wino i zagrza pieczonym kurczakiem lub kaczuszką.

Do wojny pracowało się za sto dwadzieścia złotych, żyło skromnie i chwaliło władze, a dzisiaj jeździ się samochodem, przyjmuje dwadzieścia osób na imieniny, aby przy obfitym żarciu i podlewaniu alkoholem popsoczyć trochę na ciężkie czasy, na różnych dyrektorów i ministrów, że tak jest ciężko zarobić, że mało płacą za kiepską robotę, za częste przerwy i śniadania w godzinach służbowych, że wszystko wszystkim darmo państwo oddaje, a swoim żałuje. Najwięcej narzekają ci, co to przed wojną mieli bardzo źle, natomiast dziś żyją jak nigdy im się nie śniło i nigdy nie myślą o tym, że siebie i innych okłamują. Taka jest dzisiaj moda i należy parę kawałów opowiedzieć o dostojnikach państwowych, bo powiedzą że nie znasz życia towarzyskiego.

Rozgadałem się, a wszystko przez te kobiety. Kobiety zawsze jednakie, zawsze słabe i zawsze dyktują mocnym mężczyznom, co ci mają robić, żeby utrzymać się na powierzchni życia. Poza uświadamianiem seksualnym

imały się nas inne, bardziej niewinne wybryki jak próby budzenia podchorążego młodszego rocznika i wydanie mu rozkazu odwiezienia starszego na barana do ubikacji. Ten akurat zwyczaj się nie przyjął.

Drugi rok zakończył się w pełnym składzie słuchaczy i przed promocją na podporuczników pojechaliśmy na miesięczną praktykę do jednostek saperskich. Dublowaliśmy dowódców plutonów. Pojechałem jak zwykle do Wilna. Odwiedzałem domy tatarskie i uczyłem, a raczej pomagałem dziewczynie przed maturą w matematyce. Była to miła blondyneczka. Lat miała szesnaście i kto wie czy nie zostałaaby kimś w rodzaju narzeczonej, gdyby nie jej matka, z pochodzenia Niemka. Pilnowała nas na każdym kroku i wyczuwałem, że najchętniej sama odegrałaby rolę czynnej narzeczonej, co wkrótce wypłoszyło mnie z ich domu. Dziewczyna po maturze w rzeczywistości wyszła za mąż za oficera.

W garnizonie byliśmy krótko, bowiem wyruszyliśmy na manewry w okolicy Grodna, z zadaniem zbudowania w jak najkrótszym czasie mostu pontonowego przez Niemen. Z obozu letniego jeździłem konno do znajomych z Grodna. Pewnego wieczoru zasiedziałem się przy kolacji do północy. Do obozu miałem osiemnaście kilometrów, przeważnie przez las. Na Grodzieńszczyźnie nie brakowało wilków. W lecie nie były głodne i nie należało ich się bać. Ale strach ma wielkie oczy. Kiedy wjechałem do ciemnego lasu odległego o pięć kilometrów od wioski, gdzie były nasze kwatery, koń zaczął najpierw stawiać uszy i niespokojnie się zachowywać. Potem lekko chrapać, coraz wyraźniej strzyc uszami, rozglądać się na boki. Czułem, że skóra konia pod siodłem porusza się i przebiegły mi ciarki po krzyżu, zaś po głowie myśl o wilkach. Zacząłem wyęźać wzrok i w pewnej chwili zobaczyłem miganie jakby światełek. Wyciągnąłem szablę z pochwy i przygotowałem pistolet. Zdawało mi się, że ogniki się zbliżają. Ściągnąłem wodze, nacisnąłem ostrogami i puściłem się w galop. Nie zauważyłem, kiedy przede mną wyłoniły się chałupy. Ze wstydem schowałem prędko szablę i pistolet na swoje miejsce. Jechałem kłusa, potem stępa przez wieś i śmiałem się z własnego tchórzostwa i bujnej wyobraźni. A wszystko przez konia, który zwykle nie myli się co do niebezpieczeństwa. Może i były tam wilki. Kto je wie. Naprawdę widziałem kilka w tych okolicach, ale z pociągu. Bliżej zapoznamy się innym razem.

Zakończeniem manewrów była przeprawa przez Niemen. Zadaniem saperów było zbudowanie pontonowego mostu. Po raz pierwszy wystąpiłem w roli tak zwanego oficera czołowego, zadaniem którego jest kierowanie wprowadzaniem członów pontonowych w linie mostową i łączenie ich.

Musiało iść nam sprawnie, gdyż po godzinie i piętnastu minutach różne rodzaje wojsk ruszyły do natarcia. Gdzieś tam padł pocisk artyleryjski nieprzyjaciela, ale wiadomo – nie trafiał nigdy w cel i niebiescy szli do przodu, a czerwoni uciekali, bo nie można dopuścić, żeby wróg odnosił sukcesy. Byłoby to niemoralne, niewychowawcze, nieetyczne. Wielu czerwonych zginęło i wielu wzięto do niewoli, naszych było paru rannych, ale to się nie liczy. Swoich zawsze trudniej policzyć. Nieprzyjaciel to co innego. Łatwo go rozpoznać po mundurach. Niech nie zaczynają, jeżeli nie umieją wojować.

Dalekie okrzyki rozległy się po drugiej stronie rzeki i powoli zanikły: znaczy, że nasi poszli daleko naprzód, bo oto już przez most przeprawiają się tabory i różne zabezpieczenia tyłowe.

Za nimi zjawiają się wyżsi dowódcy, chwałą saperów i jadą autem za tymi, którzy torują dla nich drogę bezpieczną i pewną, by później mogli przypinać orderzy tym, co przeżyli i uczcić chwilą ciszy pamięć poległych. Wszystko jak w teatrze, bo czym jest wojna jak nie teatrem, na scenie którego odbywa się nieraz komedia (w czasie pokoju) i tragedia (w czasie wojny). Wszyscy się biją w obronie własnych interesów. Nawet kiedy ktoś napada. Zawsze znajdzie się jakiś pretekst. Jeżeli parę tysięcy białych rządzi czterem milionami czarnych, to tym ostatnim nie wolno rzucić się na swoich ciemniejszych, bo złamaliby przepisy państwowe, ustalone tylko przez białych. Czarni – do czarnej roboty i czarnego chleba, biali – do wszystkiego co białe.

Takie dygresje powstają w czasie wspomnień lat młodych, które mijają jak chmury po granatowym niebie.

Po praktyce promocja na podporucznika, uroczysty obiad, pierwsze wyjście na miasto w eleganckich oficerkach z ostrogami od Niedzińskiego – i złote wakacje.

Jako podporucznicy – słuchacze trzeciego roku byliśmy już maleńkimi bogami. Powierzano nam pełnienie funkcji oficera służbowego w naszym budynku. Z tej racji stawaliśmy się wtedy przełożonymi wszystkich innych słuchaczy. Służba ta wypadła prawie dokładnie raz w miesiącu, gdyż było nas na początku roku trzydziestu jeden. Mówię na początku roku szkolnego, bo jak się później okaże, skończy szkołę tylko dwudziestu ośmiu. Rozpoczęliśmy podchorążówkę w roku bogatym w wydarzenia polityczne, zakończymy zaś wydarzeniami bardziej tragicznymi, gdyż nadszedł rok 1926.

Zanim to nastąpiło, nauka odbywała się normalnym trybem. Otrzymywaliśmy normalne pobory, którymi opłacaliśmy wyżywienie w kasynie, a reszta była do naszej wyłącznej dyspozycji. Jedni oszczędzali i odnosili

co miesiąc parę złotych do PKO, drudzy wydawali wszystko i często przed pierwszym zaciągali drobne pożyczki od kolegów. Nasza paczka nadal jeździła do moich przyjaciół na preferka i opróżniała coraz więcej karafek i półmisków. Pan domu o kilku nazwiskach był zachwycony towarzystwem młodych oficerów, a pani domu miała niespożyty temperament. Pani Halina miała co prawda dwoje dzieci, ładnego chłopczyka Janka i miłą córeczką Halusię, ale wychowywała je babka, która uważała atmosferę w domu rodziców za niezbyt odpowiednią. Babka nie rozumiała nadchodzących czasów, prowadziła dom według starych zasad, jakie wpajała niegdyś swojej córce, czyli ich matce. Trzymała w odosobnieniu od zepsutego świata i unikała wszelkiego uświadomienia życiowego. Pozostawiała to przyszłemu mężowi.

I kiedy pani Halina, ledwo ukończywszy szesnaście lat, wyszła za starszego od siebie o dwanaście lat pana o potrójnym nazwisku Trzaska-Ruciński-Michalski, to po nocy poślubnej pobiegła natychmiast do matki, by oznajmić, że Julek ciężko zachorował. Gdy przestraszona matka, nakładając na głowę wielki kapelusz z ogrodem kwiatowym, wypytywała o objawy choroby, dowiedziała się raptem, że Julkowi pewna część ciała bardzo spuchła i córka nie wie, co robić. Matka zrozumiała wreszcie, o jaką chorobę chodzi, uśmieła się i powiedziała do dobrze wychowanej córki: „Idź do domu i połóż się z nim do łóżka, to mu przejdzie”.

Wnuczka natomiast musiała się uświadamiać widocznie wcześniej od koleżanek na pensji, bo mając lat dziesięć powiedziała do mnie, gdy w obecności matki i gości chciałem ją po ojcowsku przytulić: „Niech pan tak nie dowala się do mnie”. A innym razem, kiedy była modna piosenka „Co pani ma tam pod sukienką”, przyszła do matki, usiadła na kanapie i zapytała: „Mamusiu, nie rozumiem, po co wciąż śpiewają i pytają, co ma pani pod sukienką, jakby to nikt nie wiedział i było to wielką tajemnicą”. Takie zaczęły rosnąć nowe dzieci i wpływy babci były na nic.

W ciepłe dni wyruszaliśmy na przejażdżki konne, pokonując różne przeszkody terenowe, szczególnie wzgórki i pagórki. Za każdym razem mieliśmy zabawę w galopowaniu ponad leżącym podporucznikiem G., który zawsze zlatywał z rumaka w środku niewielkiego zwariowanego szwadronu na czele ze zwariowanym porucznikiem S. Dziwiłem się zawsze mądrości koni, które nie robiły krzywdy leżącemu jeźdźcowi. Potrafiły go skręcić parę razy nogami, ale nie uderzały kopytami. Widocznie leżącego człowieka konie uważają za przeszkodę.

Zimową porą ćwiczenia odbywały się w krytym maneżu. Tam znowu niewialiśmy inne zabawy. Co rusz ktoś leciał z konia i odbijał się od ochronnych desek, które wydawały echo na cały maneż. Wtedy padała komenda

„Stój”, by złapać konia i usadzić z powrotem delikwenta. Miły i bliski mi kolega „Kabuzi” spadał co najmniej raz w ciągu dwugodzinnej jazdy. Nie mógł jakoś osiąść tajemnicy trzymania się udami. Z urodzenia był warszawiakiem i przed szkołą nigdy w życiu na koniu nie siedział. Dowódca szwadronu nie szczędził nam dosadnych słów, mimo że byliśmy już oficerami. Czasami tym bardziej popisывał się swoim żargonem ułańskim.

Poważne zajęcia i kolokwia umilaliśmy sobie w najrozmaitszy sposób. Czas pozasłużbowy każdy spędzał wśród swoich znajomych. Niekiedy dobiegali się koledzy, którzy nie rozstawali się na krok od siebie. Taką parą nierozłączną był „Pączek” z „Krótką Szyją”. Obaj za kołnierz nie wylewali. „Pączek” pod gazem był zawsze wesoły i lubił odstawiać kawały, nawet ledwo przytomny. Był prawdziwym wiarusem i trudno nie mieć do niego sympatii. „Krótka Szyja” odwrotnie: trzeźwy był jeszcze jako tako podobny do człowieka, kiedy zaś porządnie wypił, oczy mu wylaziły na wierzch, twarz miał nabrzmiąłą, a szyja kurczyła się niesamowicie. Po wyjściu wieczorem z knajpy zaczepiali nie tylko młode kobiety. Jeżeli było to po deszczu i na chodnikach stały kałuże, ustawiali się po ich bokach i pozwalali je omijać tylko kobietom, zaś mężczyznom kazali skakać, co przysparzało im sporej rozrywki. Lekceważyć ich życzeń nie było warto i rzadko kto miał na to odwagę, widząc dwóch podchmielonych oficerów z bronią.

Pewnego wieczoru samotny „Pączek” wracał w dobrym humorze i rozglądał się na Marszałkowskiej za przystojnymi kobietami. Zauważył elegancko ubraną damę lat około trzydziestu pięciu. Przypuścił szturm i o dziwo dama wdała się z nim w rozmowę i pozwoliła się odprowadzić. Przeszli Marszałkowską, potem Śniadecką i wyszli na Nowowiejską. Minęli Politechnikę. „Pączek” zaczął się czuć trochę nieswojo. Wyglądało, że kobieta jest sąsiadką szkoły, skoro szła w tym właśnie kierunku. Nie wypadło rejterować. Jakby to wyglądało? Gdzie honor oficerski? Więc szli dalej, aż doszli do bramy szkoły. Przy bramie na widok damy wartownik sprezentował broń, ona zaś powiedziała: „Dziękuję panu porucznikowi za odprowadzenie. Jestem Dąbkowska”.

Była żoną komendanta... Zachowała się jednak bardzo dyskretnie, skoro nawet mężowi nie powiedziała o tym wydarzeniu. Jedyne w kasynie oficerskim kadry, kiedy po kilku tygodniach zobaczyła „Pączka”, uśmiechnęła się i nawet zatańczyła z nim, mówiąc że w swoich podbojach winien być ostrożniejszy i bardziej oględny. O tym incydencie wiedziało tylko kilku z nas, najbliższych kolegów.

„Pączek” i „Krótka Szyja” w ogóle zapisali się trwale w naszej szkolnej pamięci. Chociażby taka przygoda. Obaj poszli na jakiś bal w karnawale,

porządnie popili i nad ranem wracali taksówką do szkoły. „Krótka Szyja” zasnął w taksówce. „Pączek” drzemał i przyśniło mu się, że już jest na swojej sali, siedzi na łóżku i zdejmuje lakierki z ostrogami. Zdjął jeden bucik i mówiąc: „Masz, trzymaj”, rzucił go na jezdnię. Za moment zrobił to samo z drugim. Kiedy trzeba było wysiadać, „Krótka Szyja” popatrzył na stopy „Pączka” i zapytał:

– Gdzie lakierki?

– No, przecież ci dałem... – padła mętna odpowiedź.

Kilka godzin później u oficera służbowego zameldował się policjant z butami. Znalazł je na ulicy Nowowiejskiej w okolicy Politechniki i doskonale wiedział, że mogą być tylko własnością wychowanków Oficerskiej Szkoły Inżynierii.

Nawet konduktorzy tramwajowi znali nas dobrze. Udałem się któregoś dnia na bal oficerski w kasynie jednej z jednostek. Jednocześnie odbywała się tam zabawa w kasynie podoficerskim, do którego zasadniczo nie było w zwyczaju chodzić prywatnie. Byli jednak w armii tak zwani żelazni chorążowie. Stopień ten otrzymywali zasłużeni starsi sierżanci. Chociaż często pełnili funkcje oficerskie, towarzysko należeli do korpusu podoficerskiego. Z jedną taką rodziną chorążego bardzo się zaprzyjaźniłem, mieli bowiem dwie ładne i zgrabne córki. Kiedy dowiedziałem się, że rodzinka chorążego bawi się w kasynie podoficerskim, natychmiast się tam udałem. Zachwyceni obecnością oficera, który nie uznawał podziału zawodowych wojskowych na kasty, chorąży z kolegami podoficerami porządnie mnie spoili. Po zakończeniu zabawy wsiałem w tramwaj i szybko zasnąłem. Kiedy zbliżaliśmy się do przystanku w pobliżu szkoły, konduktor obudził mnie, mówiąc: „Panie poruczniku, przyjechaliśmy”.

Złoty polski stał się w tym czasie mocną walutą. Można było się bawić. Nasza paczka butów na ulicę nie wyrzucała, ale również miewała swoje fantazje. Nieraz preferek na Puławskiej przeciągał się do późnego rana w poniedziałek. Wychodziliśmy pół godziny przed wykładami. W obawie przed spóźnieniem na zajęcia braliśmy dwie lub trzy taksówki i mówiliśmy do kierowców: „Kto będzie pierwszy, ten dostanie podwójną zapłatę”.

I zaczynał się wyścig taksówek. Można było sobie na to pozwolić z racji minimalnego ruchu samochodowego w stolicy. Ale kiedy auta spotkały się u zbiegu ulic Polnej, Śniadeckiej i Nowowiejskiej, chcąc wyprzedzić jedno drugie, wpadły na chodniki i cudem nie roztrzaskały się o drzewa. Byłby to koniec żałosnych eskapad. Dziś, co prawda, i bez hazardu ginie codziennie mnóstwo ludzi, w wielu przypadkach również z lekkomyślności. Świat nie zmienia się pod wieloma względami, a często zmienia na gorsze. Staje się

z każdym rokiem coraz bardziej okrutny, jakby postęp cywilizacji technicznej zaciemniał humanizm w ludzkich umysłach.

I tak mijały miesiące, pociliśmy się przy zdawaniu kolokwii i chodziliśmy na zabawy taneczne na Politechnikę, do „zajaków”, czyli Oficerskiej Szkoły Piechoty w Alejach. Mimo zaproszeń oni nie przychodzili na nasze bale, urządzone w karnawale. Mieli uraz na tle niższości i zdawało się, że naprawdę patrzemy na królową broni krzywym okiem.

Dziś takich zabaw się nie urządza. Minęły czasy romantyczne. Sala Błękitna stanowiła tylko centrum balu. Oprócz tego w małych salkach były urządzone kąciki: sala cygańska, sala wschodnia, sala leśna, łąkowo-rzeczno-sielankowa i sporo innych. Światła zielone, różowe, niebieskie, światła dyskretne, światła nastrojowe. Orkiestra w Sali Błękitnej, małe zespoły w pozostałych. Pary siedzą przy kominkach, przy ogniskach – po turecku, po japońsku; pólężą, marzą wpatrzeni w siebie, niekoniecznie zakochani, wystarczy sympatia, wystarczy znajomość. Dziś jednakowo patrzą na świat, na rozrywkę; jutro pójdzie każde do swoich zajęć, będą tylko wspominać i czekać na następne spotkanie.

Pary upojone trochę winem, trochę wódką, trochę koniakiem, w nieprzytomnym uścisku pod rzewne melodie tanga ocierają się o siebie niby ryby w czasie tarła; są jak ryby uparte, nierozłączne, zapamiętałe. Potem idą do małych pokoików – saloników, odpocząć, dojść do siebie, wrócić do człowieczeństwa. Potem ruszają na wielką salę, gdzie sto, dwieście par w jednym tempie młóci nogami kolejny taniec. Aż dziw, że stropy wytrzymują, że cały ten oszalały tłumek nie leci z posadzką na dół. Taki skromny budynek, a taki mocny.

Potem znowu „Ta ostatnia niedziela” i znowu pary snują się niczym lunatycy: oprócz siebie nie widzą świata, zajęci tylko sobą, pochłonięci swoimi marzeniami, swoimi uściskami. Spleceni w jedno ciało, głowa przy głowie, policzek przy policzku, rozpaleni....

Po balu ludzie normalni, grzeczni, chłodni, wychowani, poważni. W parkach spacerują bez trzymania się za rączki, na ławkach nie siedzą w objęciach. Jeszcze na to nie przyszła moda.

Dziś tańce inne, raczej gimnastyczne, zdrowe dla ducha i ciała. Uściski i pocałunki poszły w tłum, do tramwaju, na ławkę, na ulicę. Inne czasy, inne zwyczaje. Wszystkie są dobre, jeżeli dobrze się kończą. Młodość ma wszelkie prawa, nawet do robienia pomyłek życiowych i głupstw. Kto ich nie robił w różnym wieku i w różnych epokach? Ale co będzie za lat pięćset, tysiąc? Wszystko będzie, póki człowiek gruntownie się nie zmieni. Czy jest możliwość zmiany człowieka? Historia wskazuje, że tak, tylko niestety na

gorsze. Świat szaleje za ludzką doskonałością, jednak zapomina często, że człowiek jest częścią natury.

Poza normalnymi zajęciami mieliśmy odbyć praktykę instruktorską z okazji szkolenia przy naszej szkole zawodowych oficerów z byłych armii zaborczych, od porucznika do majora. Co jakiś czas przysyłano do nas kilkudziesięciu takich starszych wiekiem saperów, my zaś występowaliśmy w roli instruktorów. Byłoby nam czasami przykro wydawać im rozkazy, gdyby nie ich zachowanie się na wykładach. Byli zazwyczaj poważni tak długo, dopóki nie trafili do stadła podobnych sobie. Wzajemne towarzystwo cudownie ich odmładza i często zachowują się jak dzieci. Jest to zjawisko zadziwiająco zdrowe, bowiem przeżywają ponownie lata sztabackie. Tak było z naszymi oficerami, w większości wypadków zacnymi mężami i ojcami dorosłych dzieci. Ale co się tu z nimi wyprawiało, wiedzą wyłącznie ich bliżsi współpracownicy.

Na wykładach zachowywali się nie lepiej od dziesięcioletnich dzieci. Dokuczali profesorom, dokuczali sobie nawzajem. Ciągnęli za uszy, wsadzali za kołnierz różne śmiecie. Jednym słowem dokazywali, bawili się i zapominali o powadze. Gdy niejeden tatuś raptem został wywołany z wykładów do żony lub córeczki, to przed gościem stanął taki sobie starszy pan z nosem umazanym atramentem lub z inną jeszcze lepszą ozdobą.

Pozwalaliśmy sobie w stosunku do nich na inne całkiem niewinne posunięcia: ustawialiśmy w pierwszej czwórce oficerów najgrubszych, z największymi bandziochami, a za nimi szła czwórka najwyższych i najchudszych, których głowy wystawały ponad tłuściochów. Do prowadzenia kompanii wyznaczaliśmy najmniejszego wzrostem i w miarę możliwości najszczuplejszego. Wygląd czoła kompanii był pyszny: wszyscy przechodnie zatrzymywali się i podziwiali wiarusów w oficerskich mundurach. Czy zdawali sobie z tego sprawę, czy tylko my? Chyba obie strony miały świadomość takiego stanu rzeczy, bo każda była zadowolona.

Piękne dni majowe roku 1926 ukazały, że zło leży często w naturze człowieka. Od władzy odsunął się na ochotnika największy mąż stanu. Gdyby chciał, mógłby ponownie sięgnąć po nią legalnie, środkami pokojowymi, ale to nie leży w zwyczaju niektórych polityków. Lepiej zabłysnąć jak wielka gwiazda i spaść raptownie w sam środek narodu, otoczyć go swoim opiekuńczym ramieniem i prowadzić do celu bliżej nieokreślonego.

Były Naczelnik Państwa, Marszałek Polski, nasz największy bóg z roku 1922, który patrzył nam w oczy spod krzaczastych brwi, przygotował nam, podporucznikom, na zakończenie szkolnego roku po czterech latach stu-

diów, chrzest bojowy. Dał nam możliwość poznać smak prawdziwego frontu i zobaczyć krew płynącą z człowieka lub jego nagłe odejście z tego świata. Zobaczy krew rodzonych braci i zawziętość ludzi, którzy nieraz wbrew swojej woli muszą stanąć po tej lub tamtej stronie barykady. Najgorzej, kiedy żołnierz strzela bez przekonania o słuszności sprawy. A jeszcze gorzej, kiedy ginie nie wiedząc, czy śmierć jego przynosi ojczyźnie pożytek.

12 maja, dokładnie o godzinie 15.30, w momencie kiedy trzymałem łyżkę z zupą w pół drogi między talerzem a ustami, wszedł na stołówkę oficer służbowy i głośno oznajmił: „Alarm!” Czterdzieści minut potem na szkolnym dziedzińcu stały trzy roczniki w pełnym rynsztunku.

Od rana dochodziły do nas wiadomości, że coś tam Piłsudski kombinuje, czegoś żąda, prowadzi jakieś rozmowy z legalnymi władzami na czele z prezydentem Wojciechowskim. Nie informowano nas początkowo o wypadkach politycznych w myśl zasady, że wojsko to wojsko, a nie polityka. Jednakże najstarszy wojskowy złamał tę zasadę i postanowił właśnie zająć się polityką kosztem nieświadomych obywateli. Jakoby w Sulejówku ktoś przeszkadzał „Dziadkowi” odpoczywać, ktoś naruszał jego spokój, nawet jakoby próbował strzelać. Pozostawiam to historykom. Podaję garść wspomnień związanych z bezpośrednią sytuacją w naszej szkole i losy niektórych wychowanków.

Z dwóch młodszych roczników sformowano trzyplutonową kompanię pod dowództwem jednego ze starszych oficerów. Dowódcami plutonów zostali podporucznicy z najstarszego rocznika. Kompania natychmiast, bez obiadu, odmaszerowała w kierunku Krakowskiego Przedmieścia. Pierwszy punkt docelowy – Komenda Miasta. Potem przerzucono ją do gmachu Rady Ministrów i tam zasadniczo znalazła się w pułapce. Została na rozdrożu i nie wiedziała, z którego pieca chleb wyjmować.

Równie niezdecydowanie zachowywało się nasze wyższe dowództwo szkolne. Każdemu chodziło o własne stanowisko i własny prestiż. Po wyjściu kompanii podchorążych na miasto, reszta oficerów pozostawała bezczynna i nasłuchiwała wiadomości o coraz ostrzejszym rozwoju wydarzeń, które szybko przybierały formę wojny domowej. Wszystkie zajęcia zawieszono. Niektórzy z nas wychodzili na zwiady. Nie mogli się połapać gdzie nasi, gdzie wróg, czyli piłsudczycy. Szkoła, zgodnie z przysięgą, stała na stanowisku wierności rządowi i prezydentowi. Oprócz kadry i naszego kursu w szkole pozostawało około osiemdziesięciu zawodowych oficerów z kursu przeszkolenia. Wszyscy oczekiwali na decyzje i rozkazy przełożonych, którzy wyczekiwali wyjaśnienia sytuacji. Tymczasem z centrum miasta coraz częściej dobiegały nas odgłosy strzałów.

W nocy na wszelki wypadek zaopatrzyliśmy się w ciężkie karabiny maszynowe z dostateczną ilością amunicji oraz karabiny. Pierwszą noc spaliliśmy prawie normalnie. Ponieważ walki w drugim dniu rozgorzały na dobre, wysłaliśmy delegację do komendanta szkoły z żądaniem wyraźnych decyzji co do naszego stanowiska. Orzekł, że udziela obecnym w szkole podporucznikom kilkudniowe urlopy i daje wolną rękę co do zachowania się na czas wypadków. Zezwała na ewentualne opuszczenie miasta nawet po cywilnemu. Zostaliśmy bez dowódców, zdani na samych siebie. Taka odpowiedź odniosła błyskawiczne skutki. Na kursie nastąpił rozłam. Kilku podporuczników zabrało broń i poszło do piłsudczyków. Większość pozostała w szkole wierna przysiędze. Kilku odpłynęło w nieznanym kierunku. Ostatecznie pozostała nas mała garstka.

Byliśmy wierni murom szkoły i ktoś wysunął hasło neutralności. Nie będziemy strzelać, jeżeli do szkoły nie wejdą żadne oddziały. Koledzy, którzy wracali z wypadów bliżej linii „frontu”, przynosili coraz gorsze wiadomości. Nawet takie, że strzelcy Piłsudskiego jeńcom obcinają uszy itp. Potem rozeszła się fama, że piłsudczycy rozdają broń robotnikom, bezrobotnym i innym niezadowolonych z rządu Witosa, że Piłsudski prowadzi naród do rewolucji socjalistycznej, o mały włos nie komunistycznej. Polacy stojący z dala od rzeczywistości i zakulisowej polityki nie wiedzieli właściwie co jest prawdą, a co propagandą. W międzyczasie piłsudczycy posuwali się coraz bliżej Belwederu. Młodzi wychowankowie podchorążówki stawiali opór jak wytrawni, zahartowani w boju żołnierze. Pułkownik Paszkiewicz był dumny ze swoich wychowanków, sam będąc najlepszym przykładem żołnierza.

13 maja po południu na podwórko naszej szkoły spadły pierwsze odłamki pocisków moździerzowych. Były ofiary wśród kadry oficerskiej. Wodzowie trochę się obudzili i zaczęli myśleć. Zebrali wszystkich oficerów w Sali Błękitnej i zaproponowali organizację obrony szkoły. Postanowiliśmy objąć swoim rejonem Wyższą Szkołę Wojenną. Powstał prostokąt zamknięty ulicami: Niepodległości, Koszykową, Suchą (obecnie Krzywickiego) i Nowowiejską. Na każdym rogu miał być ustawiony ciężki karabin maszynowy, żeby nie dopuścić w ten rejon oddziałów Piłsudskiego. Kiedy zapytano, kto może objąć te stanowiska, na sali zapadła cisza. Wtedy nieoczekiwanie wystąpiło czterech podporuczników. Wśród nich i ja.

Przypadł mi róg ulicy Nowowiejskiej i Suchej tuż przy murze filtrów³⁷. Zaraz po południu zajęliśmy stanowiska. Do pomocy otrzymałem trzech

³⁷ Zespół Stacji Filtrów.

starszych podoficerów. Ustawiliśmy „Hotchkissa”³⁸ wprost na chodniku i ułożyliśmy obok mnóstwo taśm z nabojami. Podlegałem majorowi W., który był dowódcą mojego odcinka. Siedzieliśmy na murze. Przed nami stały niskie budynki stajni naszego szwadronu. Konie chrupały owies i nastawiały uszu przy wybuchach moździerzowych, które co jakiś czas rozlegały się na szkolnym podwórku od strony filtrów.

Kiedy zaproponowałem moim podoficerom zerwanie płyt chodnikowych i na wszelki wypadek wykopanie choćby dołka w ziemi, wrzucili ramionami i woleli wygrzewać się na słońcu. A pogoda dopisała jak nigdy. Słońce z czystego, błękitnego nieba zagrzewało do walki kolegów przeciw kolegom, braci przeciw braciom, Polaków przeciw Polakom. Dziś dziwimy się nieraz „dzikusom”, którzy ledwo odzyskali niepodległość, a już się rzną między sobą. A my niby uchodziliśmy za cywilizowanych i to samo. Rozbudzać ludzką głupotę jest bardzo łatwo. Wiele mamy tego dzisiaj przykładów. Ale to już inna sprawa. Wracajmy do naszych starych błędów.

Siedzieliśmy na chodniku, dopóki nie przyleciało parę pocisków armatnich. Kiedy niedaleko naszych uszu zagwizdały odłamki, stał się cud z moimi podoficerami. Zanim się obejrzałem, jak płyty chodnikowe poleciały w bok i w ciągu może piętnastu minut mieliśmy dół do pasa. Usypali ładne przedpiersie z biało-żółtego piaseczku, ustawili karabin jak należy i już siedzieliśmy w dole, wysuwając głowy do obserwacji. Za każdym wybuchem patrzyliśmy na stajnie. Podczas niebezpieczeństwa powstają nieraz, można by powiedzieć, dziwne uczucia. Na przykład, że koni żal bardziej niż ludzi. Myślałem z początku, że jedynie mnie to dręczyło, ale zauważyłem, że za każdym pociskiem podoficerowie powtarzali: „Żeby tylko nie w stajnię”.

Następny ranek nie przyniósł jakichkolwiek decydujących przesunięć na naszym odcinku. Noc przedrzemaliśmy na piaseczku. Trzeci i ostatni dzień działań wojennych od samego świtu był opromieniony porannym majowym słońcem. Błękitna kopuła nieba przykrywała bratobójczą bezsensowną walkę. Raniutko żony podoficerów i oficerów doniosły nam kawę i pieczywo. Żyliśmy nieomal jak na prawdziwym froncie. Byliśmy rozleniwieni pod wpływem pieszczotliwych promieni słonecznych i przyznam się, że z początku było nawet nudno. Wyskoczyłem do mieszkania starszego sierżanta Jeziorskiego i pożyczyłem tom wierszy Mickiewicza. Leżałem na wznak na ciepłym piasku i czytałem. Kilkanaście minut później coś gwizdnęło mi przy uchu, kopnęło w piasek i odrobiny wleciały za kołnierz. Przestałem czytać i położyłem się na brzuchu. Syknęło ponownie. Zaczę-

³⁸ Ciężki karabin maszynowy (ckm), kaliber 8 mm.

łem obserwować, skąd lecą kulki. Z małego okienka narożnego domu wystawała lufa karabinu. Jakiś zapaleniak Piłsudskiego wlaź na strych i stamtąd próbował nas ustrzelić.

Musiał być bardzo złym strzelcem, skoro z odległości niecałych dwustu metrów nie mógł trafić w nieruchome cele. Ale w każdym bądź razie stał się niebezpiecznym i niepotrzebnym wrogiem pod samym nosem. Byłem zły, że przeszkadza mi czytać i w ogóle narusza nasz poranny względny spokój. Wysłałem podoficera do dowódcy odcinka z prośbą o przysłanie patrolu. Zrobiłem wielkie oczy, kiedy przede mną stanął wykładowca, a raczej profesor od geometrii analitycznej, porucznik W. jako dowódca patrolu zwiadowczego, w składzie trzech starszych oficerów i czterech ułanów – luzaków z naszego szwadronu szkolnego. Przybrałem minę wielkiego wodza, pokazałem okienko na strychu i kazałem patrolowi zdjąć ze stanowiska kiepskiego snajpera. Po półgodzinie patrol wrócił i zameldował, że niko na strychu nie znalazł. Ale skutek był oczywisty: z okienka więcej nie strzelano.

Ożywiły się za to znacznie działania od strony filtrów. Przed moim stanowiskiem ckm-u znajdowała się drewniana brama w odległości nie większej niż osiemdziesiąt metrów. Istnieje zresztą do dziś, gdyż jest główną bramą wjazdową. Z niej to właśnie w pewnym momencie wyskoczyło ze dwudziestu żołnierzy pułku, który zajął filtry, i biegli prosto na nas. Zdążyłem krzyknąć do celowniczego: „Serię ponad głowami!”

Jedna taśma wyskoczyła pusta. Dwadzieścia pięć naboji poleciało do nieba. Wyrzałem z okopu: ani śladu po atakujących. Wycofali się za bramę i więcej już nie pokazali. Mieli takie świetne rozpoznanie o naszym stanowisku i mogli bardzo prosto zlikwidować nas granatami ręcznymi spoza muru, jednak nie zrobili tego. Możliwe, że rewanżowali się za nasze strzelanie do Pana Boga, bo przecież łatwo mogliśmy co najmniej połowę z nich wysłać na łono Abrahama.

Strzelanina z armat i moździerzy przybierała na sile. Nasi ułani strzelali w stronę piłsudczyków z okienek stajennych ponad murami na teren filtrów, gdzie gromadziło się coraz więcej wrogich oddziałów. Sytuacja stała się coraz bardziej krytyczna. Dowódca baonu szkolnego major S. spacerował po terenie z letnim płaszczem na rękę. Zaglądał do naszych stanowisk. Dwóch kolegów zostało rannych. Byłem przekonany, że nie wyjdę cało z tej opresji. Napisałem kartkę z adresem ojca i podałem ją majorowi S. z prośbą napisania do rodziny, jeżeli mnie ustrzelą na amen.

Około południa ostrzał szkoły wzmógł się na tyle, że dowódcy odcinków wydali rozkaz wycofania się w kierunku kolonii Staszica. W tym czasie

podchorążówka okopała się na ulicy Puławskiej w rejonie lotniczych koszar. Ledwo zdążyliśmy wyjść ze szkoły i zająć południowe krańce niewykończonych willi na koloni, gdy zaatakowali nas spieszeni szwoleżerowie. Na pomoc przyszło im kilka mniejszych pododdziałów z pułków popierających Piłsudskiego. Rozpoczęła się kotłowanina, w której trudno było rozpoznać wroga. Przeciwnicy niczym od siebie się nie różnili. Jedyne ułanów można było rozpoznać po czapkach. Niektórzy z obu stron dopiero przy bliższym spotkaniu krzyczeli: „Nie strzelać. Swoi!” Można było również oszukiwać. Wojna odbywała się w ciemno.

Czy żołnierz wyczuwa śmierć? W pewnym momencie podszedł do mnie z sąsiedniego odcinka podporucznik Jędrychowski. Był blady, zniechęcony. Miał dość tej głupiej wojaczki.

– Czuję się tak, jakbym miał was wszystkich pożegnać. Zbrzydł mi cały ten świat – powiedział, patrząc w ziemię.

Potem uniósł głowę, uśmiechnął się i dodał:

– Pójdę do plutonu i spróbuję jeszcze raz ich poderwać. Musimy tych ułanów wyrzucić, niech idą do swoich koni.

I odszedł. Odszedł na zawsze. Podoficerowie z jego plutonu powiedzieli mi później, że z pistoletem w ręku pierwszy wyskoczył do ataku i zginął bez słowa po otrzymaniu kuli prosto w serce.

Słuchając o jego śmierci, uwierzyłem, że żołnierz może przeczuwać swój los. W tym samym momencie, kiedy ginął podporucznik Jędrychowski, ułani poderwali się ze stanowisk i okrążyli grupę naszych starszych przełożonych, chcąc wziąć ich do niewoli. Los jeńców nie był taki tragiczny i raczej gwarantował im przeżycie. Siedzieli w odosobnieniu i mogli nawet grać w karty. Uszu nikt im nie obcinał.

Po zagarnięciu naszej starszyny, która wciąż zachowywała się niezdecydowanie, rozpoczęliśmy ponowne utarczki między budynkami. Kiedy amunicja do ckm-u się skończyła, kazałem podoficerom rozebrać karabin i pozostawić części w różnych miejscach, żeby nieprzyjaciel nie skorzystał. Dowódca odcinka, major W. wściekł się na mnie i kazał je pozbierać i ponownie złożyć karabin. Czołgałem się pod ostrzałem, szukając tak długo, że nawet nie zauważyłem, że nasze pododdziały wycofały się i zostałem sam na polu chwały między szwoleżerami a naszymi, którzy byli hen daleko na Polu Mokotowskim. Miałem przy sobie karabinek z dwunastoma nabojami. Na głowie oficerską rogatywkę, na sobie normalny mundur. Leżałem na zielonej trawce i czekałem, co z tego wyniknie. Po chwili zobaczyłem dwóch ułanów, którzy ustawiają lkm i kierują lufę w moją stronę. Odwróciłem się bokiem do nich i pomyślałem: „Jak mają trafić, to byle nie

w głowę”. Obejrzałem się: na horyzoncie widziałem swoich. Wyjąłem z kieszeni chusteczkę i zacząłem dawać sygnał do natarcia, gdyż przeciwnik nie posiadał większych sił. Ułani zrozumieli to prawdopodobnie jako sygnał mojego poddania się i odwrócili lkm na bok. Otarłem pot z czoła i nosa i uspokoiłem się. Po jakichś pięciu minutach usłyszałem silne detonacje z rejonu pierwszej linii przeciwnika, który poderwał się i wycofał. Wykorzystałem moment i pobiegłem w stronę koszar lotniczych, które były już zajęte przez piłsudczyków.

Przeszedłem przez dziedziniec. Nikt na mnie nie zwrócił uwagi. Bo któż mógł wiedzieć po czyjej stronie jestem? Żadnych widomych oznak na zewnątrz, a do środka jeszcze nie nauczyli się zaglądać. Myśl człowieka jest chyba najbardziej zagadkowym zjawiskiem. Wyszedłem przez bramę na ulicę Puławską. Leżeli tam okopani podchorążowie Paszkiewicza. Na mój widok kilku poruszyło się i skierowało karabiny w moim kierunku. Szybko podniosłem rękę do góry i zatoczyłem półkole nad głową. Uwierzyli, że jestem swój i odłożyli broń. Podszedłem do nich. Mieli zrezygnowane miny, bowiem ich dowódcy oświadczyli o rychłym wycofaniu się w kierunku Wilanowa, ponieważ piłsudczycy są już na końcu Puławskiej. Wobec tego powiedziałem: „Czołem” i udałem się tam pod numer 85, gdzie przez parę lat odbywały się preferki u moich przyjaciół. W domu zastałem tylko panią Halinę. Postawiłem karabin za piec, naboje na toaletkę w sypialnym, przebrałem się w ubranie cywilne męża i położyłem na kanapie. Ze zmęczenia nie odczuwałem głodu. Ledwo otworzyłem usta, aby powiedzieć trochę szczegółów o naszych rozbitkach, zapukano do drzwi. Pani domu otworzyła. Przed nią stało dwóch oficerów. Jeden zapytał:

– Czy u pani jest oficer?

Leżałem i słuchałem rozmowy.

– Owszem, był, wypił szklanekę wody i zaraz wyszedł – kłamała jak nąjęta.

Uwierzyli. Poszli. Na mój ślad naprowadzili ich chłopcy z ulicy, którzy mnie widzieli.

Po odpoczynku wypiliśmy kieliszek wina i po raz pierwszy od trzech dni zjadłem kawałek kielbasy z chlebem. Mijały godziny. Ponownie rozległ się dzwonek. Pani Halina otworzyła drzwi i o mało się nie przewróciła się: przed nią stał „Chaziaj”. Wszedł do pokoju, spojrzał na mnie i z uśmiechem na zmęczonej i spoconej okrągłej twarzy powiedział:

– Mam cię, „Mułła”. Powiniennem na dobrą sprawę cię aresztować.

– Dobra – odpowiedziałem. – Najpierw siadaj, napij się wody i weź za żarcie, bo chyba Piłsudski nie nakarmił cię jeszcze za twoje bohaterstwo.

Zrobił, co powiedziałem. Wiedzieliśmy o sobie, kto komu służył w te tragiczne dni. On właśnie jako jeden z pierwszych złamał przysięgę i uciekł z kcm-em do piłsudczyków, ciągnąc za sobą kilku kolegów. On właśnie zajechał tankietkami³⁹ z naszymi przeciwnikami na tyły od końca Puławskiej i właśnie wpadł, odpocząć i odżywić się. Akcja zbliżała się ku końcowi. Był 14 maja.

Gdy zobaczył naboje i karabin powiedział pół żartem, pół serio:

- Powinienem cię rozbroić, „Turku”.
- Owszem, ale na pewnych warunkach – rzekłem.
- Jakich?
- Przyniesiesz mi ze swojego obozu szablę.
- Po co ci?
- Moja rzecz.

Wyszedł i po godzinie wrócił z szablą. Po kolacji zabrał karabin i poszedł do swoich. Naboje zostawiłem na pamiątkę u pani Haliny.

Przez całą noc słychać było pojedyncze strzały. Rzadko kiedy serię z karabinu maszynowego. Resztki rządowców nie dawały za wygraną. Rano, 15 maja, wszystko ucichło. Po śniadaniu przypiąłem szablę do boku, pasek od czapki pod brodę i ruszyłem piechotą do szkoły. Ciekaw byłem, czy ocalały nasze rzeczy w szafach i walizkach. Chodziły plotki, że szkoła została zajęta przez strzelców i splądrowana. Okazało się, że nie było to prawdą. Po drodze wszyscy młodszy ode mnie i czasem nawet oficerowie starsi oddawali mi honory, nie mówiąc już o szeregowcach. Byli przekonani, że jestem oficerem rontowym, czy jakimś inspekcyjnym. W ten sposób bez przeszkód dobrnąłem do bramy szkoły, przy której stał kolega F. W takim samym stroju. Gdy tylko mnie zobaczył, natychmiast się ożywił, nawet ucieszył i oznajmił:

- Jesteś aresztowany.
- Wypchaj się sianem – odpowiedziałem. – Wojna skończona i teraz jestem zainteresowany tylko moimi osobistymi rzeczami.

Przekroczyłem śmiało bramę i poszedłem prosto do swojego pokoju. Oprócz zepsutych drzwi z pierwszego dnia walk, reszta była mniej więcej na swoim miejscu. Zlikwidowałem swoje insygnia władzy i położyłem się na łóżku. Przez cały dzień napływali koledzy. Wróciła kompania podchorążych. Nazajutrz wrócili koledzy z niewoli piłsudczyków. Straty szkoły po obu stronach wynosiły pięciu zabitych i dziewięciu rannych. Zginęło trzech naszych kursantów podporuczników. O Jędrzychowskim już wspomina-

³⁹ Mały, najczęściej bezwieżowy czołg z dwuosobową załogą.

łem. Gdzieś w okolicach Pięknej z okna został zastrzelony Mazurkiewicz i dokładnie nie wiem w jakich okolicznościach Zieliński otrzymał śmiertelny postrzał w brzuch. Biedak długo się męczył w szpitalu przed zgonem. Rodzina przyjechała po ciało. Odprawialiśmy trumnę na dworzec. Wagon był umajony zielenią. Ksiądz proboszcz odprawił krótką mszę. Ja pożegnałem w imieniu kolegów. Mówiłem w ten dzień majowy zbyt rzewnie o odejściu jednego z najzdolniejszych i najmłodszych wiekiem słuchaczy szkoły. Wycisnąłem łzy u wielu obecnych.

Życie wracało do normy. Rozpoczęły się wykłady. Z trzydziestu jeden zostało nas dwudziestu ośmiu. Odeszło trzech sympatycznych i zdolnych wychowanków. Ponieważ przeważająca większość została wierna rządowi, dokuczaliśmy kilku piłsudczykom i nazywaliśmy ich zdrajcami, co ujemnie wpływało na naukę. Polityczne spory doszły nie tylko do komendy szkoły, ale nawet daleko poza nią. Otrzymaliśmy rozkaz zapomnieć o nieporozumieniach z powodu zamachu stanu, zaprzestać politykowania i przejść do normalnych zajęć.

Po kilku dniach skierowano mnie jako oficera łącznikowego do polowego sztabu zwycięzców. Siedziałem przy stoliku w wielkim gabinecie, gdzie starsi oficerowie przy wielkim planie Warszawy debatowali o przeprowadzonej błyskawicznie akcji, która doprowadziła do objęcia władzy przez Piłsudskiego. Jeden z nich popatrzył na mnie i powiedział:

– Ale niektórzy stawiali nawet porządną opór, szczególnie ci podchorążowie. Nieprawdaż, panie poruczniku?

– Tak jest, panie pułkowniku – odpowiedziałem z uśmiechem.

Po dwóch dniach odwołano mnie do szkoły na naukę.

Zakończyła się wielka epopeja rozgorączkowanych serc i umysłów. Zdaliśmy ostatnie egzaminy i zamiast dyplomów otrzymaliśmy świadectwa o ukończeniu trzyletniej Oficerskiej Szkoły Inżynierii. Dostaliśmy też przydziały do jednostek. Pożegnaliśmy mały budynek, który stoi do dziś i wygląda tak biednie w nowej Warszawie. Przeżył wielu swoich wychowanków. Ci, którzy jeszcze żyją, są rozproszeni po całym świecie. W Polsce z naszych najstarszych roczników można policzyć wszystkich prawie przy pomocy palców jednej ręki. Świat się zmienia razem z ludźmi, gdyż to oni go tworzą.

SŁUŻBA ZAWODOWA

Jesienią zameldowałem się w pułku saperów w twierdzy nad Bugiem. Rozpocząłem samodzielne życie zawodowego oficera. Po przybyciu do jednostki pierwszą czynnością życia pozasłużbowego było w godzinach popołudniowych złożenie wizyt wszystkim oficerom. Galowy mundur, szabla, rękawiczki i jazda od mieszkania do mieszkania. Jeżeli drzwi nikt nie otworzy, można w nich zostawić bilecik wizytowy. I czasu szkoda, i chciałoby się zobaczyć jak wygląda mieszkanie, które często w dużej mierze świadczy o charakterach jego mieszkańców. Dlatego często musiałem wizyty ponawiać. Proszę sobie wyobrazić ile zabrało to czasu, skoro w jednostce było około osiemdziesięciu oficerów. Zasadniczo się siedzi piętnaście minut, ale jeżeli miła i młoda pani mocno zaprasza na szklanekę herbaty (kawa nie była wtedy w modzie), wówczas wizyta się przedłuża nieraz i do godziny. Przełamuje się od razu lody i tworzy podstawę do ewentualnego bywania w tym domu w przyszłości.

Na ostatnim, drugim piętrze niewielkiego bloku oficerskiego znajduje się jedenaście kawalerskich pokoi. Zajmują je podporucznicy i porucznicy. Trochę już starsi mieszkają pojedynczo; najmłodsi, którzy tylko co przybyli, po dwóch w pokoju. Ja dzielę kwaterę z wysokim blondynem o melancholijnym usposobieniu. W czasie wolnym od zajęć przeważnie leży na łóżku, trochę czyta i nuci nieznaną mi piosenkę, refren której co rusz powtarza: „Łazi, łazi baj po ścianie...”

Co to jest „baj” nie wiem, ale się domyślam, że mój współlokator musi być trochę zakochany i marzy o swojej dziewczynie. Jest porządnym spokojnym chłopcem i zasługuje na ułożenie sobie życia według wymarzonego wzorca. Marzenia w przyszłości się spełnią, ożeni się i będzie nucił tę samą piosenkę.

Inni koledzy są cwaniakami i próbują prowadzić życie raczej pasożytnicze. Chodzą na kolacyjki do domów, gdzie mieszkają przystojne panie domów lub podlotki – kandydatki na przyszłe żony.

Służba zajmuje nam prawie cały dzień z przerwą obiadową. Kasyno oficerskie mieści się w pięknym „Białym Domu”, gdzie odbywają się często

zabawy taneczne pod patronatem sympatycznego generała, dowódcy korpusu.

Z najciekawszych starych wiarusów jest kapitan M. Mocno zbudowany, silny, krępy i gruby. Głos ma donośny, a jego mowa w czasie ćwiczeń nad rzeką jest nieskazitelna pod względem treści tak bardzo, że panie woła omijać plac ćwiczeń o paręset metrów, nie chcąc razić swojego słuchu na wiązanki pięknej polszczyzny z najbardziej ekskluzywnych salonów dawnej Woli lub podmiejskich barów. Spotkamy się z tym człowiekiem w przyszłości w innych okolicznościach.

Młodzi oficerowie są w wielu wypadkach za delikatni w stosunku do żołnierzy. Rugają ich ze złością, ale te wymyślenia nie są ciekawe i na tyle soczyste, aby trzeba było od nich uciekać. Tym bardziej, że w wypadku zbliżania się osoby płci pięknej, młody instruktor z zażenowaniem urywa głos. Wręcz odwrotnie robi kapitan M., który wtedy dobiera co pikantniejsze słowa i głos jego roznosi się dalekim echem nad rzeką i ginie pomiędzy budynkami twierdzy.

Przygotowuje się obywatele młodych do obrony ojczyzny, nigdy nic nie mówiąc im o tej ojczyźnie. Naród sobie, żołnierz sobie. A kiedy wróci z wojska do swojej wioski, będzie opowiadać o złych podoficerach i oficerach, którzy piją, jedzą, bawią się do wschodu słońca, a później bez śniadania biegną, by dać im szkołę. Bo przecież bale w „Białym Domu” trwają do białego rana i kończą się nie tylko białym mazurem: także wesołym nastrojem podpitych zdrowych mężczyzn, którzy po zakończeniu balu bawią się turaniem pustych butelek po lśniącej posadzce, a niekiedy także strzelaniem do żarówek. Do ostatniej zabawy jest szczególnie predestynowany wysoki blondyn, porucznik W., syn właścicieli dóbr ziemskich. Rodzice pozwalali mu na wszystko, czemuż miałby sobie żałować uciechy w towarzystwie pięknych kobiet i przy zmrużonym oku najwyższych przełożonych.

Bataliony stoją na placu i czekają na swoich młodszych dowódców, którzy prosto z sali balowej w szaserach i lakierkach biegną rozpocząć zajęcia. A potem będą się wymykać, żeby się przebrać w strój służbowy. I jakoś życie leci, obróć się szkoła, kucharze kręcą się przy kotłach, mieszają zupy wielkimi chochlami i smażą na wielkich patelniach stosy siekanych kotletów. Tak, proszę was, same prawdziwe wołowe kotlety. I trzeba ich nasmażyć wiele setek. Jeśli nie kotlety, to porcja mięsa na patyku. Waga gotowanej porcji 110-125 gramów zależy od gatunku mięsa, które zależy od oficera żywnościowego i dostawcy. Na obiad saperzy nie narzekają, ale śniadanko i kolacja mogły być lepsze, jednak norma nie podlega dyskusji.

Silni saperzy, synowie chłopów i rzemieślników, mają apetyty nie z tej ziemi, szczególnie po kilkugodzinnym wiosłowaniu lub noszeniu belek i pontonów. Mechanizacji wtedy prawie nie było. Niemal wszystko opierało się na ludzkich mięśniach i sprycie.

Czasem monotonne życie podoficerów i szeregowców również jest urozmaicone tanecznymi zabawami. Żołnierze są narodem najspokojniejszym pod słońcem, bawią się spokojnie i grzecznie, bo inaczej nie mogą z powodu braku alkoholu na ich zabawach. Co innego podoficerowie zawodowi. Tam zazwyczaj łało się morze szerokie i dochodziło nieraz do nieporozumień na tak wielką skalę, że oficer inspekcyjny musiał alarmować wartę. Nim do tego doszło wszyscy się wytańczyli i wypili, odstawiając różne popisy, naśladując oficerów w stylu nieco odmiennym. Na przykład jeden starszy sierżant po wypiciu dobrego litra popisywał się gryzieniem szklanek. Usta co prawda miał pokaleczone, ale na drugi dzień normalnie stawiał się do służby. Takich rzeczy dzisiaj już nie zobaczymy. Dobre, ale jednocześnie liche...

Żonaty to jeszcze ma życie jakie takie. Czasem miłość, czasem przekomarzania, czasem karty. A kawalerowie? Różnie bywało. Monotonię przerywały niekiedy „ptaki przelotne”. Łączyły się w stada po trzy, pięć i nawiadzały pewnego pięknego wieczora górę kawalerską. Były to dziewczyny po osiemnaście, dwadzieścia lat, nigdzie i nigdy niepracujące, kochające swobodę i niezależność, nieuznające żadnych konwenansów towarzyskich, niczym nieskrępowane.

Blondynki, brunetki, rude i wszelkiej innej maści – do koloru i wyboru. Latały po garnizonach wojskowych z rekomendacjami, od kolegów do kolegów. Czy były prostytutkami? Broń Boże. Za takie posądzenie można było stracić ich względy i więcej nie zobaczyć. Przyjmowały jedynie poczęstunki i pieniądze na bilet do „odlotu”. Musiały to robić, bo były gołe jak święty turecki... Uznawały podzielną, wolną miłość i pozostawały czyste (przynajmniej za takie się uznawały) jak łąza. Po kilku dniach, wyposażone w bilety na nowy kierunek, odjeżdżały bez żalu, aby za parę miesięcy powrócić. Jaki los czekał je w przyszłości? Trudno powiedzieć. Może dom otwarty dla wszystkich, może takż dom poza granicami kraju. Nie wykluczone, że któraś zostawała czyjąś przykładną żoną. Tyle cudownych rzeczy dzieje się na świecie.

Te wizyty nie przeszkadzały, żeby ktoś z kawalerskiego grona nie zadurzył się poważnie w żonie kóregoś ze starszych kolegów. Żona majora N., według plotek Rosjanka z pochodzenia, młoda i pulchniutka dama przed trzydziestką, przyciągała uwagę swoim rozkosznym, melancholijnym uśmiechem. Kiedy dyskretnie się uśmiechała, na jej rumianych policzkach pojawiały się dwa dołeczki, które zwróciły szczególne zainteresowanie jed-

nego z najładniejszych poruczników. Zaczął bywać coraz częściej w domu pięknej pani. Najpierw na kolacyjkach w obecności męża, później wpadał ot, tak sobie, przechodząc koło domu, by powiedzieć dzień dobry, zapytać, czy nie poszliby przypadkiem do kasyna potańczyć. Siedział kwadrans, siedział dwa. Jeżeli pani domu zatrzymywała, zostawał dłużej i tak powolutku wizyty coraz częściej przeciągnęły się do późnego wieczora. Pili herbatę, porucznik patrzył w nią jak w obraz, do którego bał się zbliżyć. Miała przystojnego, dość młodego męża, który lubił posiedzieć w kasynie, zagrać w karty. Gra niewinna. Ona też grała niewinnie na uczuciach młodego człowieka. Bez wątpienia wiedziała, że chłopak może się zadurzyć: znała wartość i urok swojego ciała.

Pewnego wieczora długo siedzieli na kanapie. Mąż jakoś nie wracał. Porucznik zachęcony życzliwością kobiety, ujął jej głowę w dłoń i ucałował policzki. Tak niby po rodzinnemu, niby po koleżeńsku. Odpowiedziała lekkim uśmieszkiem i zagroziła paluszkiem. Chwycił paluszek i zaczął mocno całować. Położyła drugą rękę na jego głowie i zapuściła palce we włosy. Poczul miłe dreszcze. Wstał i pociągnął ją na środek pokoju. Patrzył na nią nieprzytomnym, błagalnym wzrokiem, skierowanym w stronę otwartych drzwi sypialni. Zrozumiała. Z jej czarnych, błyszczących oczu stoczyły się łzy na policzki i spadły na posadzkę. Porucznik usiadł na krześle, oparł głowę o stół i starał się nie patrzeć na panią domu, która najspokojniej zajęła miejsce na kanapie. Dwie łzy wybawiły go z kłopotliwej sytuacji.

Porucznik Z. przez dłuższy czas nie pokazał się w domu majora. Przyszła wiosna. Ponure otoczenie zazieleniło się. Krzewy i drzewa zapełniły się ćwierkającym ptactwem. Zdawało się, że nad twierdzą rozłożyło się szeroko jasne, wesołe niebo. W niedzielne popołudnia wyjeżdżaliśmy konno do najbliższego majątku na herbatki z wiśniowymi konfiturami. Asystowaliśmy dorosłym latoroślom dziedziczki, która promieniała na nasz przyjazd i była wręcz przekonana o załączkach miłości do jej niezbyt ponętnych córek. Wizyty skończyły się na herbatkach i nikt z nas nie wpadł w sidła rodzinne.

Kiedy po wielu, wielu latach wszedłem do jednego z dziekanatów pewnej politechniki i chciałem uzyskać wiadomość o postępach podopiecznego, poczułem na sobie uparty wzrok starszej, brzydkiej i zniszczonej kobiety, która po obejrzeniu mnie ze wszystkich możliwych stron, powiedziała: „Widzicie go, jaki ważny. Nawet nie poznaje tej, do której przyjeżdżał konno na herbatki, kiedy miał jeszcze mleko pod nosem”.

Rzeczywiście była to pani Maria, dawniejsza Marysia z majątku. Czas jest najokrutniejszym wrogiem młodości.

Majorowa N. zaczęła wyjeżdżać powozem na spacer. Kilka razy zabrała ze sobą porucznika Z. Bardzo go lubiła. Czy on ją kochał? Chyba tak. Mówiły o tym wszystkie znaki na niebie. Zaraz po służbie przebierał się i znikał. Chodził zamyślony i często zdenerwowany. Coś go gryzło. Prawdopodobnie kotka z dołeczkami na policzkach i schowanymi pazurkami. Bawiła się ze swoją przystojną myszką. Siedzieli w powozie ramię przy ramieniu i jechali zacienioną szosą. Wysiedli i poszli łąką w stronę rzeki. Ujął ja drżącymi rękami i przyciągnął do siebie. Odsunęła go od siebie.

– Okrutna – wycedził przez zęby.

– Taka wdzięczność za spacer? – wlepiła w niego czarne oczy i nachmurzyła się.

– Myślałem, że pani mnie...

– Co pan myślał? – przerwała

– Że pani mnie choć trochę kocha...

– Trochę lubię. To nie wystarczy?

– Nie, nie wystarczy.

Stali przed sobą jak dwaj wrogowie, gotowi zaatakować się nawzajem.

– Jak pan będzie niegrzeczny, to...

– To co? – przerwał jej raptownie.

– To pan nie będzie mógł do nas przychodzić.

– I co jeszcze?

– I nie będziemy jeździć na spacer.

– Poważnie?

– Zupełnie poważnie.

– Żeby pani nie żałowała.

– Groźba?

– Ostrzeżenie tylko.

– Na nic się nie przyda.

– Dla pani nie. Może dla mnie.

– Nie rozumiem.

– Pani zrozumie.

– Kiedy?

– Chociażby wkrótce.

– I dalej nie rozumiem.

Położył prawą rękę na kaburze pistoletu. Zauważyła.

– Chce pan mnie zabić? – zapytała.

– Panią?

– To kogo?

– To moja rzecz.

– Niech pan robi, co się panu podoba.

Był wściekły i jednocześnie zrozpaczony. Wyciągnął pistolet i strzelił sobie w okolice serca. Upadł. Ona zawróciła i szybko odeszła w stronę powozu.

– Proszę szybko jechać na łękę i zawieźć zaraz porucznika do szpitala. Źle się czuje i nie może iść. Ja wrócę piechotą.

Tak skończył się niewydarzony romans młodego oficera z okrutną damą. Wyzdrowiał i przeniósł się do innej jednostki. Więcej w życiu się nie spotkali.

Wkrótce i ja miałem być przeniesiony z równoczesną nominacją na porucznika. Nim to nastąpiło, spotkały mnie dwie śmieszne przygody.

Czy można się stać niewinnym nałogowcem najprostszych rzeczy? Chyba tak. Należy tylko przyzwyczaić organizm do czegoś i pozwolić rządzić wbrew waszej woli. Na przykład takie niewinne zajęcie jak picie wody sodowej. Zacząłem od jednej szklanki dziennie przed obiadem. Po kilku tygodniach nie mogłem bez niej jeść obiadu. Mało tego. Przestały mi smakować śniadania i kolacje bez wody sodowej. Zacząłem ją pić przy lada okazji. Między posiłkami wstępowałem do bufetu na szklaneczkę. Woda sodowa stała się mi niezbędną do życia jak powietrze dla ryby.

Zauważyłem, że przechodząc przed kasynem i widząc przez okno bufet, nie mogłem obojętnie go minąć i wchodziłem rozkoszować się tym płynem. Po kilku dniach stwierdziłem, że moje ręce lekko drżą, biorąc szklankę z wodą. To były pierwsze oznaki choroby, która może się wydać śmieszna. Ta śmieszność powoli przeszła w tragedię. Kilka kroków przed kasynem dostawałem drgawek całego ciała i śpieszyłem zaspokoić namiętność, która stała się pełną władczynią mojej woli. Piłem do dwudziestu szklanek dziennie i co najdziwniejsze nie czułem nigdy ugaszonego pragnienia. Mógłbym wypić chyba beczkę przez dzień i nie mieć wrażenia wypełnionego żołądka. Byłem u kresu wytrzymałości. Powziąłem decyzję: nie tknę więcej szklanki z wodą sodową. Wykonałem to natychmiast po powzięciu decyzji i zacząłem obojętnie patrzeć na syfony. Skutek okazał się zbawiennym. Powróciłem do normalnego życia. Możliwe, że wypilem wtedy normę wody sodowej na całe życie, gdyż od tamtego czasu w zasadzie nigdy nie chce mi się jej pić. Szczególnie w czasie upałów. Patrę z pewnym pobłażaniem na kolejki do różnych automatów i saturatorów.

Druga przygoda miała całkiem odmienny charakter. Była przedwiosenna, marcowa pora. W takim okresie saperzy odżywają jak ryby w świeżych wodach: jadą nad rzeki bronić mostów i ludzi przed powodzią i pocho-

dem lodów. Z mojego batalionu wyjechało kilka drużyn w różne strony i na różne rzeczki. Słaby lód trzymał jeszcze brzegów i leżał na podmokłych łąkach Polesia.

Pewnego popołudnia wsiadłem na klacz zastępcy dowódcy pułku i pojechałem sprawdzić pracę patroli i obejrzeć sytuację powodziową w terenie. Dzień był wietrzny i chłodny. Zimny wiatr ciął policzki w kłusie i musiałem często jechać stępa. Przejechałem mostek dopływu Muchawca. Rzeczka przybierała, ale jeszcze nie sięgała pomostu. Wjechałem na obszerne łąki, na których stała woda, a pod nią trzymał znacznej grubości lód. Koń opierał się i niechętnie szedł po lodzie. Był mądrzejszy ode mnie, gdyż jego niepodkute kopyta niepewnie trzymały się błyszczącej tafli. Odwracałem go tyłem i próbowałem uspokoić. Tym razem dał się przekonać i jakoś dotarliśmy do kilku miejsc pracy. Nim pogadałem z dowódcami, słońce chyliło się ku zachodowi i zabarwiało stopniowo cienkie chmurki na niebie na kolory wróżące zimny jutrzejszy poranek.

Pożegnałem się i pośpieszyłem w drogę powrotną, gdyż miałem osiemnaście kilometrów do koszar. Gdy podjechałem do mostku, który poprzednio przekroczyłem bez kłopotów, zobaczyłem rwąca przezeń wartką wodę. Rzeczka mocno przybrała i stała się groźną przeszkodą. Byłem jednak przekonany, że mój koń pójdzie bez obawy przez wodę na moście. Niestety, klacz nie miała zamiaru ruszyć się ani przodem, ani tyłem. Zeskoczyłem z siodła, wziąłem za wodze, pogłaskałem zwierzę i poszedłem naprzód. Nic z tego: koń przed mostkiem zapierał się wszystkimi czterema nogami jak osioł i znaleźliśmy się w sytuacji „ja sobie, on sobie”. Próbowałem kilka razy. Nadaremnie. W pobliżu nie było żadnego domu, w którym mógłbym ewentualnie przenocować. Wracać do patroli po łąkach lodowych nie miałem chęci. Musiałem za wszelką cenę przebyć rzeczkę. Ale jak? Chyba tylko w bród. Przejechałem kilkaset metrów w poszukiwaniu możliwie płytkiego miejsca. Natrafiłem na stare ślady wozów. Nabrałem przekonania, że w tym miejscu koń będzie mógł przejść zanurzony najwyżej po brzuch.

Na wszelki wypadek narzuciłem strzemiona na końską szyję. Byłem przygotowany na każdą ewentualność, nawet na płnięcie obok, bowiem uparcie nie chciał wejść do zimnej i wartkiej wody. Nacisnąłem lekko ostrogami. Wszedł na jakiś metr do wody i tyle pamiętałem. Po jakimś czasie zobaczyłem siebie z gołą i mokrą głową stojącego przy koniu na drugim brzegu. Z rękawów płaszcza wyciekała woda. Koń stał skurczony i zziębnięty. Musiałem instynktownie przy nim płynąć. W każdym bądź razie koń okazał się w tym wypadku mądrzejszy ode mnie i prawdopodobnie uratował mi życie. Czapka popłynęła. Przebiegłem wzdłuż rzeczki. Ślad po niej zaginał. Trud-

no. Wyjąłem z kieszeni chusteczkę od nosa i zawiązałem na głowie. Żeby się rozgrzać próbowałem biec przy koniu, o którego zdrowie się obawiałem. O sobie nie myślałem. Byłem jeszcze zbyt młody, by nad tym się rozczulać.

Sytuacja pogorszyła się, gdy wyjechałem na szeroki gliniasty gości-niec. Rozmokłe błoto kleiło się kilogramami do butów i nie mogłem iść dość szybko, aby nadążyć za koniem. Wgramoliłem się na siodło i jecha-łem stępa z oblodzoną głową i mokrym płaszczem. Zapadał zmrok, kiedy wyjechałem na szosę, na której spotkałem parę furmanek. Jechały szybciej od mnie w kierunku twierdzy. Miałem jeszcze dziesięć kilometrów. Nim dotarłem do kasyna, zebrani tam oficerowie czekali z niecierpliwością na mój powrót. Mieli już wiadomości, że jakiś oficer wraca na koniu z „zaban-dażowaną” głową. Musiał mieć jakiś wypadek. Wszedłem do kasyna, powi-tany okrzykiem: „Niech żyje ułan spod Samosierry”. Obejrzano moją głowę i zapytano gdzie czapka. Nie miałem czasu na odpowiadanie. Podszedłem do bufetu, kazałem dać pół litra spirytusu, zawołałem luzaka i zleciłem nar-tarcie konia spirytusem. Sam zamówiłem szklankę herbaty, usiadłem przy stole i opowiedziałem swoją dziecinną przygodę, która mogłaby zakończyć się pożegnaniem raz na zawsze kłopotów żyjącego człowieka.

Przed przeniesieniem pojechałem na sześciotygodniowy urlop wypo-czynkowo-kuracyjny, gdyż przygoda z koniem spowodowała nieznaczne zaćmienie szczytów płucnych, chociaż świetnie się czułem.

W tamtych czasach, w powiecie oszmiańskim, wśród lasów sosnowych, pól i łąk, znajdowało się kilka wielkich majątków należących do starej her-bowej szlachty. Wywodzili się z nich również najwięksi urzędnicy państwo-wi, przeważnie prawnicy i oficerowie. Podwójne dochody pozwalały tym rodzinom prowadzić domy w majątkach i równoległe w miastach na sze-roką skalę. O tym wiedzą tylko oni sami i ci, co z różnych powodów mieli okazję zetknąć się z tym życiem.

Wstęp do tego ekskluzywnego towarzystwa dała mi gwiazdka na na-ramiennikach. Nim ją otrzymałem byłem pariasem, którego nie tylko nie zapraszano, lecz nie zawsze podawano przedtem rękę. Jak oszałamiająco działał w tamtejszych stosunkach stopień oficerski niech służą następujące przykłady. Kiedy pewnego lata przyjechałem do Wilna i po zatrzymaniu się gościnnie u wachmistrza dak-u⁴⁰, złożyłem wizytę generałowi R., Polakowi pochodzenia tatarskiego. Na drugi dzień zjechał on ze swojego majątku po-wozem z rewizytą. Dziś nie przestrzega się składania wizyt i podporucznik rzadko może trafić w towarzystwo generałów. Ale teraz plutonowy może

⁴⁰ Dywizjon artylerii konnej.

tańczyć przypadkowo z żoną ministra. Czasy się zmieniają i tradycje nabierają odmiennego charakteru.

Drugą wizytę złożyłem zacnemu prezesowi Sądu Okręgowego i obawiałem się, że nie potrafię zachować odpowiedniej etykiety. Gdy podczas obiadu zasiedliśmy do stołu, zostałem mile zaskoczony chlupaniem zupy przez pana domu, co ośmieliło mnie do swobodnego zachowania się. Stale siedział ktoś obcy przy stole i stali bywalcy mieli swoje miejsca, które zostawały wolne i czekały na nich z nakryciem. Nigdy nie sadzano tam nowego gościa. Bez zaproszenia można było przyjść zawsze o określonej godzinie obiadowej, a nawet z usprawiedliwionym opóźnieniem. Zupa była jednakowa dla wszystkich, ale drugie danie według życzeń gościa. Kucharka w białym fartuszk podchodziła i pytała, co kto sobie życzy. Tak jak w najlepszej restauracji – *a la carte*⁴¹. Wydatki w takich domach nie grały roli, bo i gaża pozwalała na wiele rzeczy, i uzupełnienie szło z majątku. Czasy Zagłoby minęły i wydają się dziś daleką bajką. Nim to nastąpiło spędziłem sporo miłych chwil w tatarskich majątkach.

Majątki te leżały blisko siebie, dlatego miałem możliwość wędrować od rodziny do rodziny, by lepiej poznać życie dziedziczek i dziedziców. Najbliższych znajomych obierałem za podstawę i od nich zapuszczałem maczki w różnych kierunkach. Tam zetknąłem się po raz pierwszy z wileńskim muftim dr. Sz.⁴² Był starym kawalerem, sporo starszym ode mnie. Zawzięcie go swatano. W jednym domu były dwie siostry. Jedna wysoka siedemnastoletnia zgrabna blondyna, dobrze zbudowana, z miłym uśmiechem i dużą dozą inteligencji, z ciągotami do życia wielkomiejskiego. Druga, sporo starsza od siostry, niska, okrągła, silna i zapobiegliwa gospodyni ziemiska o małych oczkach. Z powodu swojej energii nadawała się na rządzącą wielkich obszarów. Nie tęskniła nigdy do wielkich miast i dbała jedynie o ilość siana i zbóż z hektara.

Mufti, jak przystało na czterdziestoparoletniego kawalera, wybrał sobie młodszą. Mnie zaczęto swatać starszą. Liczono zapewne na moje niebogatę pochodzenie oraz małe doświadczenie życiowe co do kobiet. Między nami, konkurentami, była ta różnica, że muftiemu nie wypadało być kawalerem na tak poważnym stanowisku, a mnie raczej nie wypadało być żonatym. W wojsku przedwojennym oficer w zasadzie mógł uzyskać zgodę na żeniactwę od stopnia kapitana, w przeciwnym wypadku różnica poborów musiała być zagwarantowana majątkiem narzeczonej. Oficer zakocha-

⁴¹ Z karty, danie do wyboru z jadłospisu (fr.)

⁴² Mowa o muftim dr. Jakubie Szynkiewicz.

ny w biednej dziewczynie dawał sobie radę w każdym wypadku – zawsze można było sprokurować fałszywe obietnice.

Najgroźniejszą dla swatek była w ogóle moja niechęć do stanu małżeńskiego, opartego na znanym powiedzeniu niektórych mężczyzn: „Co ja z nią będę robił?”

Mufti się ożenił. Młoda pani domu nie pasowała do męża i po kilku miesiącach żaliła się mamusi na swój los. Ale jako dziewczyna dobrze wychowana nie mogła sobie pozwolić na jakieś niestosowne wybryki (co by powiedzieli sąsiedzi) i ciągnęła swoje obowiązki żony i pani domu, póki czas nie zniósł wszelkich konwenansów.

Widząc moją niewyraźną minę pod adresem starszej zaczęto mi swatać młodą, kruchą blondyneczkę w sąsiednim majątku. Tu przeszkadzała mi przystojna wysoka czarnula, córka prezesa sądu, na którą miałem chrapkę. Rodzicom nie ujawniałem swoich zamiarów w stosunku do ich jedynaczki, ale kiedy pewnego popołudnia, stojąc przy pianinie, na którym czarnula wygrywała rozmaite melodyjki, nachyliłem się i złożyłem delikatny pocałunek na długich gładko przyczesanych włosach. Przestała grać, uniosła głowę i karcąco spojrzała na mnie powłóczyстым wzrokiem. Od tego momentu odechciało mi się amorów w stosunku do tej pięknej dziewczyny.

Zresztą, jakim to kandydatem byłem dla niej? Biedny, goły porucznik z kawalerskiej górki, pochodzący z rodziny, której oni nie uznawali. W dodatku nie wiedziałem, że jej matka wraz z drugą taką samą paniusią uchwałyły pożenić młodego przystojnego pułkownika z tych samych majątków właśnie z tą czarną dziewczyną. Zawsze co dwa majątki to nie jeden. I rzeczywiście marzenia rodzicom się ziściły. Po ślubie młodzi wyjechali daleko, bo aż do samej Warszawy, gdzie jak niebawem się okazało, elegancki pułkownik miał przyjaciółkę i nawet dziecko. Chociaż młoda Tatarka, zgodnie z zasadami islamu, w zasadzie powinna być przygotowana na harem, jednakże zbuntowała się i po roku wróciła z malutkim dzieckiem do rodziców. Nie przeszkodziło to jej wyjść wkrótce za bardzo bogatego ziemianina z Litwy, pana S. Kiedy wojenna zawierucha zabrała wszystko, pani S., już jako wdowa, znalazła się na warszawskim bruku. Zahaczyła się o pracę biurową pewnych wielkich zakładów i gdy ją spotkałem, była dumna nie tyle ze swojego stanowiska, ile z tego faktu, że działa w związkach zawodowych i jest mężem zaufania robotników.

Kiedyś było inaczej: w lecie we dworze zasiadało do stołu po piętnaście osób rodziny i gości. Co parę dni bryczka odwoziła na stację kilka osób i przywoziła nowych gości. Koledzy synów, koleżanki córki i różni inni. Dla wszystkich było miejsce i obfite jedzenie. Dom ten był niby pensjonat, niby

zajazd, niby dworzec przyjazdowo-odjazdowy. Po śniadaniu młodzież szła w pole na szerokie pachnące miedze z dzikimi gruszami wśród kwitnącego żyta, jęczmienia, owsa, gryki, koniczyzny lub innych darów boskich. Jeżeli dzień upalny to nad rzeczkę. Przed obiadem odpoczynek, po obiedzie odpoczynek. Raz po dalekim spacerze, drugi raz po obfitym obiedzie. Dwie kucharki z dziewczynami do pomocy dbają, by pańskie żołądki były napełnione jadłem nie byle jakim.

Kiedyś w czasie obiadu wszedł do stołowego niespodziewanie chłopczyk, mniej więcej dziesięcioletni. Stał w kącie i przyglądał się ludziom, którzy z apetytem zajadali różne mięsiwa. Zauważyłem, że się oblizwał. Musiała to również zauważyć pani domu, gdyż wstała od stołu, sięgnęła widelcem po kawałek mięsa, podała chłopakowi do ręki i kazała wyjść na podwórze. Kurczak utknął mi w gardle: dojrzałem w tej roli siebie samego... Raptem stanęło mi przed oczami moje biedne dzieciństwo. Posmutniałem i do dziś nie mogę zapomnieć tego widoku. Szkoda, że nie jestem Chełmońskim. Byłby pyszny obraz. Nazwa? Może „Głodny”, może „Syty i głodny”, może po prostu „Smak mięsa”. Tytuły są moją obsesją. Można z nich ułożyć całe życie.

Wieczorami spacery od majątku do majątku, tańce pod gramofon lub pianino. Matrony szepczą kogo by tu wydać za mąż i kogo ożenić, młodzież nie myśli o tym wcale i spędza wieczory dla samego zabicia czasu, bo innego poważniejszego zajęcia nikt nie wymyślił.

Uczyłem żonę prokuratora konnej jazdy po męsku. Pulchna rudawa Polka żyła się ze społeczeństwem tatarskim i czuła się w majątku jak na własnych odwiecznych śmieciach. Mieli tam kiepskie siodła i otarła sobie o sprzączki kolana do krwi. Schodziliśmy z koni. Pokazywała obolałe miejsce. Mówiłem, że się zagoją i jechaliśmy dalej. O czym mogła myśleć? Chyba tylko o moim grzecznym niedołęstwie w stosunku do kobiet. Przestała ze mną jeździć, kiedy przyjechała do niej na kilka dni koleżanka. Wtedy chodziły nad rzeczkę kąpać się. Było piękne lato. Pewnego razu prokurator powiedział:

- Chodźmy nad rzeczkę w pobliskie krzaczki.
- Po co? - zapytałem.
- A będziemy podglądać moją żonę z koleżanką - odpowiedział najspokojniej w świecie.

Byłem zaskoczony propozycją, której nie przyjąłem ze zrozumiałych względów. Rozczarowany zostawił mnie samego i wrócił do gabinetu. Nie wiedziałem, że miał zamiar wkrótce rozwieść się z żoną. Podglądać chyba pragnął nie tyle własną żonę, ile jej koleżankę, z którą nie wiem, czy

przypadkiem nie ożenił się później. Człowiek jest kapryśny w swoich pomysłach, szczególnie kiedy mu się dobrze powodzi. A jeszcze gorzej, jeżeli powodzi mu się za dobrze.

Jeden stary człowiek, analfabeta, żalił mi się niedawno, że jego zięć zostawił córkę z dorosłymi dziećmi i poszedł do siedemnastoletniej dziewczyny. Zapytany o powody, odpowiedział:

– Panie, póki miał siedem tysięcy miesięcznie, to jeszcze było jako tako. Kiedy zaczął zarabiać piętnaście, to mu się przewróciło w głowie.

– Szkoda, że nie zupełnie – pomyślałem sobie.

W największym majątku spacerowałem po alejach topolowych i szerokich gościńcach dębowych z Tanią A. Poświęta księżycowa nastrajała do zwierzeń. Podobną scenerię mało gdzie spotyka się na świecie. Takie bywają tylko drogi wiodące do najładniejszych pałaców. Nocna cisza przykrywała okolice. Czasami gdzieś daleko zaśpiewał ptak i urwał swoją melodię, jakby czymś lub kimś spłoszony. Siedzieliśmy na wielkich przydrożnych pniach i rozmawialiśmy o przyszłości. Tania, mimo dobrobytu, nie czuła się szczęśliwą. Tęskniła do pracy dla ludzi. Nie znosiła snobistycznej atmosfery wielkiego ziemiaństwa. Nie wiem, niestety, jak urządziła sobie życie.

Wróciłem do garnizonu i zastałem rozkaz o przeniesieniu również do twierdzy, ale blisko Warszawy. Ponieważ uchodziłem za niepijącego, dowódca zarządził na pożegnanie słodkie przyjęcie i kazał żonatym oficerom stawić się z małżonkami, czego dotychczas nie praktykowano przy pożegnaniach kawalerów. Przed odjazdem trzeba ponownie złożyć wszystkim oficerom wizyty pożegnalne, takie same jak po przybyciu. Odbywa się już w atmosferze bardziej rodzinnej i skróconej.

Obowiązkowo składało się osobiste wizyty oficerom starszym. Innym starano się pod ich nieobecność wetknąć w drzwi bileciki wizytowe. O tym uciążliwym obowiązku dobrze wiedziały żony oficerów, które plotkując przed blokiem oficerskim w ładne letnie popołudnie i widząc wygalowanego nieszczęśnika z szablą u boku, mówiły wesoło: „Leć pan szybko i wtykaj bileciki, póki nas w domu nie ma”.

Tak pożegnałem swoją pierwszą twierdzę, swój pierwszy garnizon, pierwsze występy służbowe, pierwsze powodzenia i rozczarowania.

Moim drugim i ostatnim garnizonem była również twierdza. Chociaż położona bardzo blisko stolicy robiła wrażenie oddalonej o tysiące kilometrów od cywilizacji. Może jeszcze bardziej odciskająca piętno osamotnienia, niż tamta na dalekich kresach, ale za to stokroć bardziej malownicza.

Jej urok, a raczej otoczenie, uzupełniało brak bezpośredniego codziennego kontaktu ze światem cywilizowanym, z wielkomijskim życiem.

Od rana do nocy mogłem nasycać wzrok widokiem szerokiej dobrej matki Wisły ze swoimi dziećmi, Bugiem i Narwią. Ich wody od wieków łączą się tuż przy kamiennym cyplu, na którym od wieków stoi stara polska mennica. Potężne murowane ściany przetrwały wieki. Wewnątrz, po zniszczonych piętach, wiatry wyprawiają harce, zaś z zewnątrz po dziś dzień patrzą na nas pobłaźliwie różnorodne maszkarony. Szarawe wody Wisły spotykają się z jaśniejszymi wodami Bugo-Narwi i tak płyną obok siebie, by po kilkuset metrach stopić się w jednaki kolor, zależny od pory roku. Po zimowym śnie, rzeki w tym miejscu pokazują wiosną swoją ukrytą siłę, czasem złość i matka Wisła odpycha swoje dzieci w górę, zalewając sąsiednie łąki i osiedla. Przewala się wtedy wielkimi taflami gruba kra, po przejściu której spienione wody gonią wyrwane krzewy i drzewa, nieraz nawet domowe sprzęty. Kiedy minie wzburzona fala, Wisła przyciska do swego łona wielkie dopływy, by wędrować razem do morza.

W gorących letnich miesiącach nasza wielka rzeka staje się skromną panią, pokazując to tu, to tam łysiny w postaci miłego, czystego piasku. Cudowne, kolorowe zachody słońca nad Zakroczymiem pozostaną w mojej pamięci jako jedno z jasnych przeżyć kilkuletniej służby wojskowej. Niestety, jak się okaże, więcej było tych ciemnych.

Do nowej jednostki przybyłem w dniu odprawy oficerskiej. W adiutancie siedziało około trzydziestu oficerów. Adiutant z zielonymi akselbantami oświadczył, że dziś nie mogą być przyjęty, ponieważ dowódca przygotowuje się do odprawy.

– Proszę mnie zameldować – rzekłem, podając swoje nazwisko.

Tylko ja wiedziałem, że dowódcą był mój dawniejszy, pięcioletni przełożony. Natychmiast wyszedł z gabinetu, wziął mnie pod rękę i wprowadził do siebie. Odprawa odbyła się z półgodzinnym opóźnieniem. Wychodząc od dowódcy, poczułem na sobie trzydzieści par oczu.

Fort byłej twierdzy modlińskiej przystosowany do ulokowania jednostki o jedynej wtedy w Polsce specjalności leży na lewym brzegu Wisły. Jej rozlane szeroko w tym miejscu wody są odgradzone od reszty niskiego terenu wysokim wałem, który bohatersko przeciwstawiał się od wielu, wielu lat naporowi wód wiosennych. Przy wale szosa z kocich łbów biegnie do Warszawy jako jedyna bezpośrednia arteria komunikacyjna, gdyż most przez Wisłę został zniszczony w czasie pierwszej wojny światowej i czekał na odbudowę. Sześć parterowych, niskich, mocno wrośniętych w ziemię murowanych budynków z czerwonej cegły stało równolegle szczytami w stronę

rzeki. Skanalizowane, przed każdym kwiatowe i owocowe ogródki. Są to oficerskie i częściowo podoficerskie mieszkania. Pokoiki kawalerskie bez wygod. W pierwszym budynku mieszka dowódca i zastępca. Od szczytu kasyno oficerskie i dwie kwatery kawalerskie. W jednej z nich Miecio S., porucznik sporo starszy ode mnie. Fizyk i filozof. Jest pajęczarzem. Wiecznie kombinuje radia detektorowe i słucha wesołej muzyczki, a szczególnie Szczepcia i Tońcia⁴³. Ich lwowski akcent wystarczy za dowcipy, które też nie są złe. Drugi pokójk przydzielono mnie. Wąski, długi o jednym oknie wychodzącym na ogródek. Za drzwiami pod sam sufit okrągły piec obity blachą, dzieło czasów carskich. Zresztą jak i te budynki. Nim się wprowadziłem, pierwszą noc spałem u majora B.

Kiedy w południe zapukałem do jego mieszkania, drzwi mi otworzyła kobieta niskiego wzrostu z płaską, brzydką twarzą. Miała na sobie fartuch niepierwszej świeżości. Byłem przekonany, że jest to gosposia.

– Mąż wróci późno na obiad, ale każe ordynansowi przygotować pokój.

Zaskoczony słowem „mąż” stuknąłem obcasami i przedstawiłem się, całując brudną i spracowaną rękę majorowej. Jak się później okazało, była to zacna, pracowita kobieta, poznanianka z pochodzenia. Ordynansa traktowała jako „wynieś-przynieś”. Sama wykonywała wszelkie roboty w ogródku i domu włącznie z praniem bielizny. Na zimę szykowała beczki kapusty i ogórków oraz wędliny własnej roboty. Była jednym słowem gospodynią na „sto dwa”, jakie zawsze podobają się mężom, a prawie nigdy mężczyznom. Przyszłość to pokaże.

Przy domkach mały park z altanką dla batalionowej orkiestry pod dyrekcją starszego sierżanta Witczaka. Jest dumny ze swoich czternastu dmuchaczy w dęte instrumenty i popisuje się co niedziela porannymi koncertami dla kilku pań i niań z dziećmi. Nie chodzi o ilość, chodzi o jakość. Ma się rozumieć nie utworów wykonanych przez orkiestrę, a jakość niektórych niań, które wyglądają dużo powabniej od wielu swoich pań. Tak sobie zresztą życzyli panowie domu. Miło i przyjemnie, kiedy w mieszkaniu płącze się takie rumiane, młode dziewczę trochę ze wsi, trochę z miasta.

Od furtki dowódcy baonu aleja wysadzana kasztanami prowadzi prosto do małego budynekczku, stojącego na urwisku tuż nad Wisłą. Jest to dowództwo. Tu mieści się cały aparat dowódczy i zaopatrzeniowy. Dwieście metrów dalej znajduje się własna niewielka elektrownia dla niewielkich potrzeb o niewielkiej mocy. Jej kierownik, chudy chorąży P. jest osobą tak ważną, jak kapelmistrz orkiestry, a może jeszcze ważniejszą, bo jeśli

⁴³ Postaci z bardzo popularnej w przedwojennym Lwowie audycji radiowej – „Wesoła lwowska fala”.

z koła napędowego zleci pas, to garnizon zniknie w nieprzejranych ciemnościach.

Za elektrownią brama do właściwych koszar, nad którą widoczna jest wielka litera „M”, symbol specjalności naszej jednostki. Budujemy mosty (czasem dla starosty) drewniane i żelazne na palach drewnianych. Najwięcej ćwiczebnych dla wprawy. Bawimy się jak dzieci: hocki-klocki. Złożył i rozebrał. Robią to kompanie rozmieszczone w półkolistym piętrowym budynku z czerwonej cegły. Na podwórku murowane latryny. Cały teren wojskowy otoczony z tyłu wysokimi wałami i chroniony przed ewentualnym starym wrogiem głęboką fosą, obecnie siedliskiem komarów, które wieczorami umilają życie żołnierzom i swoim brzęczeniem nad kocami kołyszają ich do snu.

Na obszernym placu przy koszarach dawna prawosławna cerkiewka, dziś kościółek, do którego co niedziela idą kompanie na nabożeństwo. Funkcje kapelana baonu pełni ksiądz proboszcz z pobliskiej parafii. Dookoła teren porośły wierzzbami, różnymi krzewami, szczególnie łożą. Trochę osiki, jesionów, klonów. Jednym słowem miejsce w ciepłym letnim okresie dla człowieka, w innym czasie raczej dla złych duchów.

Dalsze okolice piaszczyste i lesiste. Bogate kolonie niemieckie i biedne polskie wsie. Sady pełne owoców i słabe zboża na jałowych gruntach. W większych wsiach szkoły podstawowe, do których powinny uczęszczać wszystkie dzieci, ale za mało miejsc i nauczycieli. Likwiduje się pod Warszawą analfabetyzm, który przetrwa aż do roku 1950. Tak łatwo mówić, a trudno czytać i pisać. Powinno to być zrobione, zdawałoby się, w dwa – trzy lata, zaś trwa dziesiątki. Brak zapału i systemu. Gdyby tak pracowały mrówki, nie miałyby nigdy kopców. Siedzimy często na dole, bo tam wiatr w oczy nie wieje i czekamy, żeby kto inny wystawił głowę wyżej. Ale ten odważny wystawia tylko za siebie i dla siebie. Ten, kto się ogląda, zawsze będzie szedł z tyłu. I byliśmy długo krótkowzroczni, aż posłano nas do pieców krematoryjnych. Dla niektórych i tego było mało. Potrafią jeszcze dziś błogosławić stare czasy, chociaż było im dużo gorzej.

Ledwo zamieszkałem w swoim pokoiku i ledwo zdążyłem złożyć oficjalne wizyty, gdy pewnego wieczora zapukano do moich drzwi. Przyszło kilku młodszych oficerów. Na czele stary porucznik o rumianych policzkach. Trzymając w ręku wielki puchar napełniony wódką, zrobił uroczystą minę i przemówił:

– Jeżeli chcesz, żebyśmy oto przyjęli cię do naszego klubu pijących, wychyl ten puchar jednym haustem, a będziesz godnym członkiem naszej, tak potrzebnej tutaj organizacji.

Popatrzyłem na zalane towarzystwo, wziąłem od niego czarę i roztrząsałem o próg. Skonsternowani delegaci w milczeniu wyszli z pokoju. Zrobiłem tak nie dlatego, że nie mogłem wypić. Owszem, w pewnych wypadkach za kołnierz nie wylewałem, ale przymusu żadnego nie uznawałem. Na atakujących mnie pijaków miałem swój sposób: kazałem im wypić to, co mógłbym wypić sam. W skład mojego napoju wchodziło trochę wódki, trochę likieru, trochę piwa, trochę lemoniady lub wody sodowej, szczypta innych alkoholowych trunków i wreszcie łyżeczka soli. Wszystko to należało zamieszać i szybko wlać do gardła. Ja to wytrzymałem. Może dlatego, że zasadniczo nie piłem alkoholu. Inni po kilku minutach leżeli pod stołem lub szybko biegli w ustronne miejsca. Po takiej próbie miałem spokój na dłuższy czas.

Po miesięcznym pobycie w nowej jednostce dowiedziałem się ciekawej rzeczy. W batalionie służył porucznik dyplomowany D., który z bardzo dobrą lokatą ukończył Wyższą Szkołę Wojenną w Warszawie. Z wielkim zamiłowaniem studiował historię Polski i bardzo przejmował się jej losami w przeszłości i przyszłości. Szczególnie chodziło mu o to, aby nasz kraj nie stał się więcej poligonem wojennym. Wieczorami przesiadywał nad mapami i wyciągał wnioski z jego geograficznego położenia, niestety, jak najbardziej pesymistyczne. Polska jest ściśnięta pomiędzy wielkimi mocarstwami o odmiennych ustrojach politycznych i o różnych koncepcjach uszczęśliwienia ludzi. Czy wcześniej, czy później musi dojść do konfliktu i ponownie staniemy się ofiarą wielkich mocarstw. Co należy uczynić, żeby temu zapobiec? Nad tym myślał całymi wieczorami porucznik D. i długo nie mógł zasnąć. Powyższa sprawa stała się jego *idee fixe*, nieopuszczająca go ani w dzień, ani w nocy.

Wreszcie pewnej niedzieli wpadł na genialny, jego zdaniem, pomysł: trzeba Polskę prehandlować. W tym celu należy zwrócić się do wielkiego obszarem Związku Radzieckiego o przydzielenie Polakom odpowiedniego terenu, tam ich przesiedlić, a Polskę zasiedlić Rosjanami. Polacy będą pozbawieni wiecznych konfliktów wojennych, zaś Niemców szlag trafi, gdy zobaczą pod nosem bolszewika. I przystąpił do dzieła.

Przez cały wolny od służby czas prowadził obliczenia. Ułożył całe tabele przewozu ludzi, sprzętu, dobytku, przemysłu, koni, rogacizny i nierogacizny. Rosły tabele z wykazami czasu i ilości różnego rodzaju wagonów i samochodów. Sprawdzał, kreślił. Kiedy koledzy chcieli wyciągnąć go z domu na zabawę lub spacer, zasłaniał się brakiem czasu z powodu opracowywania planów uzdrowienia ojczyzny. Potem rozeszła się pogłoska, że ów porucznik tworzy niebywałe i fantastyczne plany uszczęśliwienia Polski. Ni-

kogo nie dopuszczał do swoich tajemniczych planów, niby średniowieczny alchemik poszukujący kamienia filozoficznego.

Po ukończeniu swego dzieła, rozpoczął starania o audiencję u szefa Sztabu Generalnego, którym był wtedy, o ile mnie pamięć nie myli, generał Gąsiorowski. Zameldował się tam z teczką tablic i wykresów. Generał podobno długo słuchał i nie mógł początkowo pojąć o co chodzi. Autorowi genialnego pomysłu tak się w rezultacie wszystko pomieszało, aż biedaczek rozpląkał się i dopiero wtedy generał zrozumiał, że ma do czynienia z młodym zdolnym oficerem, który naszpikowany historią wojen nie mógł sobie poradzić z rzeczywistością. Smutny był finał tej historii – porucznika musiano skierować na leczenie do zakładu dla umysłowo chorych.

Jestem zastępcą dowódcy szkolnej kompanii liczącej stu dwudziestu uczniów. Dowódcą jest nasz stary znajomy kapitan znad Buga. Jego gromki głos podczas ćwiczeń słychać hen, daleko, aż przez Wisłę w Zakroczymiu, gdzie wielu mieszkańców zna nawet nazwisko kapitana. Niektórzy podobno określają czas po jego głosie: słychać bowiem kiedy rozpoczyna zajęcia, ogłasza przerwy, obiad i kiedy zarządza odmarsz. Kapitan wydaje się niski, ponieważ jest bardzo szeroki w sobie. Waży ponad sto kilogramów i potrzebuje pomocnika do zdjęcia butów. Tę rolę odgrywa ordynans, który staje do dowódcy tyłem, łapiąc za but na jednej nodze. Wódz popycha go drugą z zadek i gruba łydka wyłazi z cholewy. Tę czynność powtarza się jeszcze z drugim butem. Kapitan ożenił się jako stary kawaler z wdową, kobietą przystojną, trochę wyższą od siebie i szerokością niewiele mu ustępującą. Waży też zapewne tyle co mąż.

Kiedy do ich domu przychodzą oficerowie stanu wolnego na kolacyjki z racji obecności w rodzinie dwóch miłych pasierbic w wieku jak najbardziej odpowiednim do asystowania, kawalerowie po kilku kieliszkach wódki pytają dyskretnie pana domu, czy aby łóżka meblowe w sypialni są dobrze obliczone pod względem wytrzymałości. Kapitan uśmiecha się i daje im do zrozumienia, że są różne sposoby na zaradzenie ewentualnej katastrofie. Jeżeli ktoś radzi, by mniej jadał, otwiera oczy ze zdziwieniem i wylicza małe ilości potraw, które spożywa, szczególnie na kolację. Co to znaczy dziesięć czy dwadzieścia deka szynki lub głupie trzy, cztery jajka na kolację. Przy stole może siedzieć do późnej nocy, tylko musi chwileczkę się zdrzemnąć. Robi to dyskretnie i co najwyżej przez pięć minut.

W ogóle dom bardzo miły dzięki bezustannej nadziei papy i mamy na połknięcie haczyka przez któregoś ze stałych bywalców. Grono ich znacznie powiększy się w przyszłości, kiedy kapitan awansuje na majora i zosta-

nie zastępcą dowódcy baonu. I pieniędzy wtedy więcej na kolacyjki, i panny podrosną. Każdego roku przybywa kilku nowych wychowanków ze szkoły wojskowej i jeden z nich, sentymentalny chłopak, połknie bakcyła do starszej pasierbicy. Będzie chodził i płakał, i szlochał jak dziecko, natomiast dziewczyna będzie uciekała, bo nie lubi takich rozmazanych wielbicielei, a sama jest wcale ładna.

Szefem kompanii szkolnej jest przystojny starszy sierżant P. Równy jak struna, z *Virtuti Militari* na piersiach za marsz na Kijów 1920 roku, stoi przed kompanią w asyście pisarza kompanijnego, który zapisuje wszystko, co szef każe, bowiem szef „ni czytaty, ni pisaty”. Za to głos, komenda, niech się wszyscy schowają. Ma ładną żonę, dość inteligentną jak na jego wykształcenie. Przy różnych okazjach chętnie z nią rozmawiają oficerowie, o czym on wie i jest awansem zazdrosny i podejrzliwy. Chociaż w domu żyją dobrze, ale mąż na wszelki wypadek stosuje środek zapobiegawczy i daje żonie po cichu kilka klapsów. Musi to robić dyskretnie, bo naprzeciwko mieszka podporucznik, który może usłyszeć. Kiedyś dotarło do niego przypadkiem, że żona poskarżyła się na nieprzepisowe naruszenie jej ciała. Zamknął wówczas drzwi, nastawił patefon i pod głośną melodię złoił żonie skórę. Sąsiad dowiedział się o tym na drugi dzień, gdy pokazała mu siniaki na skórze. Od tego czasu nie wiadomo, czy pod muzykę w tym mieszkaniu się tańczy, czy płacze. Sprawa oparła się wreszcie o dowództwo i zawstydzony mąż dał spokój żonie, która niewinnie cierpiała, bo naprawdę nie myślała cudzołożyć. Gdyby tak było, na pewno dałaby sobie radę inaczej, nie ryzykując pasami pod fokstrota.

Takie były czasy i takie rzeczy się działy. Nic może nowego pod słońcem, ale zawsze ktoś wpada na jakiś pomysł. Chociażby dwóch innych podoficerów, którzy zamienili się żonami na trzy miesiące. Pewnie to już lepsze od bicia żon bez zdania racji. Wszystko zależy jednak od filozofii życiowej i działania mózgu pod czaszką. Podobno jest w nim (na nim?) bardzo dużo cienkich i delikatnych niteczek, które mogą być niewłaściwie naciągnięte i w rezultacie dawać niepożądane efekty.

Po roku otrzymałem kompanię mostową. Rekrutów przysyłali nam niemal z całej Polski. Z Polesia trochę wodniaków, z rejonów przemysłowych różnych rzemieślników. Najdowcipniejsi pochodzili z biednych dzielnic Warszawy. Prawdziwy proletariat, ale mało uświadomiony, chociaż cwany. Wielu na różny sposób starało się wymigać od zajęć. Największymi ich wrogami byli zawodowi podoficerowie, którzy znali takich jak własne palce. W soboty i niedziele wielu wyrывało się bez przepustek. Najczęściej

warszawiacy, którzy akurat najmniej na nie zasługiwali. Nie brakło takich, którzy za wszelką cenę kombinowali zwolnienie ze służby wojskowej w ogóle. Na przykład pewien Żyd z Kobrynia, nazwiskiem Natanson. Zostawił tam ponoć piękną narzeczoną, chociaż sam był pokraką. Mimo, że na święta żydowskie dostawał przepustki, postanowił symulować chorobę serca. I to w dodatku w sposób zbyt prymitywny, żeby na tym się nie poznać. Codziennie stawał na lewym skrzydle do zwolnienia lub zapisywał się do lekarza. Ten wciąż wpisywał w książce chorych „zdrów”, musiałem więc ukarać symulanta aresztem. Nie pomogło.

Zastosowałem inną metodę, aby sprawdzić, czy rzeczywiście tylko udaje chorobę. Dobierałem kilku wysokich saperów, dołączałem do nich Natansona i kazałem przenieść belkę na ramionach. Ponieważ był niższy od pozostałych, więc belka nie dotykała jego ramion, ledwo dotykał jej rękami, za to krzyczał: „Boli! Już umieram!” Saperzy się śmieli i zaczęli go trochę prześladować. Kiedy zamiast gimnastyki kazałem mu zamiatać podwórko, przewrócił się oświadczając, że nie ma sił i boli go serce. Ukarałem ponownie. Myślałem, że rozmyślania w pace doprowadzą do jakichś pozytywnych rezultatów. Ale i to nie odniosło skutku. Zaczął mnie gniewać naprawdę.

Pewnego poranka po odebraniu raportu obrugałem go przed kompanią i ostrzegłem, że jeżeli od następnego dnia nie przestanie symulować choroby, to nie odpowiadam za siebie. Kompania zaaprobowała moje posunięcie, nie wiedząc właściwie o dalszych moich zamiarach. A miałem bojowego szefa – sierżanta T. Podziwiałem dyscyplinę tego pijaka. Nie pił często, ale w nocy każdej niedzieli potrafił wyłazić z autobusu warszawskiego przed koszarami na czworakach. Nie przeszkadzało mu to być na pobudce w poniedziałek rano zupełnie trzeźwym. Kiedy usłyszał, że jestem u kresu walki z symulacją sapera Natansona, przykręcił mu trochę śrubę, a jak później się okazało, polecił drużynowemu wytrzeć kurz na stole kompanijnym Natansonem.

Następnego dnia Natanson zwolnił się z gimnastyki porannej. Wykorzystał nieobecność służbowego na sali, wyciągnął z kuferka brzytwę, postawił na parapecie okiennym lusterko i poderżnął sobie gardło. Najspokojniej w świecie jadłem sobie śniadanie w kasynie, kiedy wpadł zadyszany służbowy i przejęty złożył mi meldunek: „Panie poruczniku, melduję posłusznie, że Natanson się zarżnął brzytwą”.

Zostałem go leżącego na podłodze. W przeciętej tchawicy świstało powietrze i sączyła się krew. Kazałem szefowi posłać po lekarza i przynieść czysty ręcznik oraz watę z apteczki podręcznej. Nim zdążyłem przykryć ranę, przyszedł lekarz z sanitariuszami. Zarządził natychmiastowe od-

wiezienie niedoszłego samobójcy do szpitala, znajdującego się na drugim brzegu Wisły. Gdy kładli go na noszach, zwróciłem się po cichu do lekarza: „Chyba z tego symulanta już nic nie będzie”.

Natanson szybko otworzył oczy, popatrzył na mnie i nie czekając na pomoc sanitariuszy sam położył drugą nogę na nosze. Nawet w takiej sytuacji ukrywał swój prawdziwy stan. „Uważajcie, żeby wam nie wyskoczył z puchówki” – powiedziałem do wioślarzy. Nie wyskoczył. Leżał najspokojniej i patrzył na uciekającą spod łodzi falę. Zawiadomiłem dowódcę żandarmerii, który przejrzał kuferek Natansona. Znalazł w nim listy od narzeczonej. Treść tych listów wybawiła mnie od nieprzyjemności u prokuratora. W listach były podkreślone czerwonym ołówkiem takie zdania: „Jesteś niemądry i z tą symulacją choroby serca nic nie wyjdzie”; „Masz takiego dobrego dowódcę i lepiej poproś o przepustkę. Tyle razy byłeś i nigdy ci nie odmówił”; „Głupio robisz z tą chorobą serca. Oni znowu się poznają i wsadzą cię do paki. Po co ci to wszystko. Czas minie i wrócisz szybko do domu. Nieprawda, że cię zdradzam. Są to złośliwe plotki”; „Widzisz, wyszło na moje: znowu siedziałeś w pace. I po co to ci było potrzebne? Nie prościej trochę pracować jak inni?”

Natanson dopiął swojego: został zwolniony z wojska i wrócił do narzeczonej z rurką w krtani do oddychania. Nie wiem tylko, czy dziewczyna nadal kocha swojego bohatera. Wiem natomiast, że w żandarmerii nagadał niestworzonych rzeczy na przełożonych, którzy go maltretowali. Wszystko to poszło do prokuratora wraz z listami od narzeczonej. Prokurator zdziwił się mojej wychowawczej cierpliwości i stwierdził, że trzeba było oddać sprawę do sądu i nie byłoby tej hecy z samobójstwem. Powiedziałem prokuratorowi: „Żałuję, że nie zastrzeliłem go przed frontem za niewykonywanie rozkazów, ale tego nie mogłem zrobić, bo wojna dawno minęła”. Szefa kompanii i drużynowego z polecenia prokuratora ukarałem we własnym zakresie.

Nie tylko ja miałem takie kłopoty. Dwa miesiące później w drugiej kompanii popełniło samobójstwo dwóch saperów. Byli to cwaniacy nie z tej ziemi: bumelanci i uciekający często bez przepustek. Obaj chorowali na kiłę, ukrywali jednak chorobę przed prostytutkami najbliższego miasteczka, zarażali je i później chwali się swoim kolegom, jak się mszczą na nich, bo przecież otrzymali ją od ich koleżanek. Zapomnieli tylko, że zarażone przez nich kobiety obdarzały tą królewską chorobą ich kolegów.

Kiedy wreszcie znudziło się im rozpustne życie, schowali po jednym naboju karabinowym na strzelniczy i w czasie czyszczenia broni na sali załadowali swoje karabiny, zdjęli prawe buty, wsadzili lufy do ust i pociągnęli

za spust. Wykonali czystą i precyzyjną robotę. Śmierć nastąpiła natychmiastowo. Mózg przez dziury w czaszce poleciał na ścianę i dwóch niespokojnych obywateli wybawiło państwo z kłopotu. Dowódca kompanii miał dochodzenie o brak właściwej organizacji na strzelnicy i brak odpowiedniej kontroli przy wydawaniu amunicji. Podobne wypadki bywały nie tylko w naszej jednostce. W życie żołnierzy poza służbą nie wnikano za bardzo. Najczęściej zostawiano ich na pastwę drużynowych, najwyżej szefa. A ci bywali zbyt różni i każdy z nich stosował swoją indywidualną metodę wychowawczą, jeżeli taką w ogóle posiadał. Najczęściej polegała na podniesieniu głosu w odpowiedniej chwili.

Oficerowie też pozostawali odmienni w swoich poglądach szkoleniowych i wychowawczych. Jednym z dowódców kompanii był wysoki, potężnie zbudowany porucznik M., zwany przez kolegów „Buniem”. Otóż ten „Bunio” chciał wszelkie sukcesy osiągnąć krzykiem i uporem. Między innymi kompanie konkurowały w marszach na defiladach i w śpiewie. Kiedy kompania „Bunia” śpiewała gorzej od innych, to „Bunio” trzymał ją długo bez obiadu lub kolacji. Kiedy gorzej przeszła na defiladzie, „Bunio” tłukł godzinami musztrę i doprowadzał do tego, że saperzy zamiast skandować w równym kroku na powitanie przełożonych: „Czołem, panie majorze”, „Czołem, panie generale”, odpowiadali: „ My chcemy do koszar”. „Bunio” udawał, że nie słyszy i za karę przedłużał ćwiczenia o pół godziny, czym osiągał coraz gorsze rezultaty. Trudno wygrać sprawę upartemu, jeżeli przeciwko niemu uprze się stu innych. Tego nie chciał zrozumieć. Przypadkowo spotkam „Bunia” po raz ostatni w czasie kampanii wrześniowej, w niezbyt chlubnej sytuacji jako zawodowego krzykacza.

Dobre chęci w stosunku do podoficerów zawodowych i szeregowych służby czynnej miały miejsce ze strony władz wojskowych. Oficerów politycznych wtedy nie znano, ale w każdej jednostce był tak zwany oficer oświatowy. Jego zadaniem było angażowanie nauczycieli szkół powszechnych do dokształcania podoficerów, których u nas było około setki. Nie zawsze mieli ukończoną szkołę podstawową, której program wojsko starało się uzupełnić. Pomocniczym ośrodkiem kulturalnym były placówki Białego Krzyża, który organizował dla żołnierzy świetlice z biblioteczką. Naszą świetliczanką była pani Zosia, zawsze uśmiechnięta panna w starszym wieku o wystających nieco przednich zębach. Tęskniła za męskim towarzystwem, zapraszała oficerów na skromne herbatki w swoim służbowym pokoiku. Niechętnie co prawda godziła się na wizyty osób samotnych chyba w obawie o swoją cnotę i brak wiary w siłę woli w pewnych okolicznościach. Po kilku kieliszkach była natomiast bardzo wesoła, uwodziła w swoisty

sposób, prowokowała, śmiała się, piszczała przy każdym dotknięciu jej cnotliwego ciała i w ten sposób jakoś się wyżywała.

Do dyspozycji oficerów była biblioteka przy kasynie oficerskim. Prowadziła ją wysoka, szczupła i górnie się nosząca żona dowódcy, z którą zaraz po przybyciu do jednostki miałem scysję w związku z szafą. Miałem mały pokój, a kwatermistrz dał mi ogromną przeszkloną szafę na ubranie. Wypatrzyłem niebawem, że w bibliotece oficerskiej stoi mała, zgrabna szafka nieoszkłona, w sam raz do mojego pokoiku, odpowiednia na kilka mundurów. Długo się nie namyślając, kazałem saperom zanieść moją wielką szafę do biblioteki, przełożyć książki – i przynieść do mojego pokoju szafkę małą.

Kiedy parę dni później majorowa weszła do biblioteki – zdębiała i wpadła w złość. Dowiedziała się szybko, kto jest sprawcą i pobieгла do sztabu ze skargą do męża i zażądała ukarania winnego. Major charakter miał dobroduszny, wysłuchał, uśmiechnął się i powiedział żonie, żeby się uspokoiła do rozpatrzenia sprawy. Po jakimś czasie zawołał mnie do gabinetu i powiedział:

– Co pan tam wojuje z moją żoną? Zamienia podobno jakieś tam szafy?

– Chciałem zrobić miłą niespodziankę: dałem oszkłoną, dużą szafę.

– Żona jej nie chce. Wie pan jak to z babami? Trzeba było z żoną pomóc przedtem.

– To by żona się nie zgodziła.

– Bo kobiety zawsze są uparte...

Nie mogłem powiedzieć przełożonemu, że jego żona jest apodyktyczna i w swoim mniemaniu zbyt ważna, żeby konferować z byle porucznikiem na ten temat i szafy, naprawdę szpetnej, by nie przyjęła. Szafy, ma się rozumieć, nie oddałem, wojna trwała dwa tygodnie, szafka została u mnie i nie zostałem ukarany, bo jakby mógł major karać swojego byłego wychowanka ze szkoły oficerskiej. Byłem na tyle złośliwy, że przy różnych okolicznościach pytałem majorową: „Jak się pani podoba szafa?” O mały włos nie ułożyłem odpowiedniej piosenki. Gdyby tak się stało, byłbym prekursorem nowej piosenki lirycznej lat sześćdziesiątych naszego kochanego i rozśpiewanego wieku XX. Śpiewamy i słuchamy dziś piosenki i piosenkarzy. Gdzie się podziały pieśni i co się stało ze śpiewakami? Ptaki przecież głosu nie zmieniły. Dlaczego człowiek nie naśladuje przyrody – tej, która jest zawsze piękna?

Nasza majorowa naśladowała i zresztą utrzymywała stosunki towarzyskie w stylu godnym wielkiego podziwu. Do żon podwładnych męża mówiła: „Pani kapitanowo”, „Pani porucznikowo” lub „Pani sierżantowo”. Jeżeli któraś z młodszych dam powiedziała do niej „Proszę pani”, natychmiast

zostawała pouczona: „Do żony swojego dowódcy nie mówi się >>proszę pani<<, tylko: >>Proszę panią majorową<<”. Z tego powodu co inteligentniejsze panie starały się unikać sytuacji, w której konieczne było tytułowanie.

W kasynie oficerskim odbywały się obowiązkowe czwartki tańczące. Znużonym żonom też się coś należało. Kawalerowie mieli rozkaz stawić się na zabawie, a żonaci przychodzili chętnie, mając jeden oficjalny dzień przy bufecie, zamiast wykręcania się w domu kontrolą pododdziałów lub innymi zajęciami służbowymi, które w tak małym garnizonie łatwo były do sprawdzenia. Wystarczyło zajrzeć przez okno do kasyna i widać było ja na dłoni urzędowanie mężów.

Cała nadzieja spoczywała w kawalerach, których było zwykle około trzydziestu procent. Zabawy te nazywaliśmy zazwyczaj „przesuwaniem szaf”. Składało się na to wiele przyczyn. Większość pań była już w zaawansowanym wieku. Inne znowu odznaczały się nader poważną budową. Trzecie wreszcie były małe i brzydkie. Wszystkie razem rzadko bywały na balach i ich znajomość tańca pozostawiała wiele do życzenia. Kawalerowie najpierw siedzieli przy bufecie, tankując ciała do poruszania się po dość dobrym parkiecie. Początkowo jakoś szło. Potem młoda gwardia chowała się do pokoju bufetowego i dowódca z trudnością przywoływał ich do grzeczności w stosunku do siedzących dam pod ścianą: „Czego tak stoicie w drzwiach, proście panie do tańca, co to za kawalerowie?”

Jeden wypychał drugiego, byle dociągnąć do północy, kiedy zgodnie ze zwyczajem powinna skończyć się ta rozrywkowa impreza. Pod koniec zabawy wyznaczaliśmy kto i z kim ma zatańczyć. O północy panie starały się przedłużyć o pół godziny tę miłą rodzinną uroczystość, czemu dowódca zwykle ulegał i zatrzymywał kawalerkę, która próbowała po cichu prysnąć. Zaczynał się wtedy handel czasu straconego na tańce na późniejszy czas stawienia się na ćwiczenia. Panie atakowały wodza, wódz nas i po pewnych pertraktacjach dochodziliśmy do zgody – tańczyliśmy, odrabiając pańszczyznę „przesuwania szaf” i następnego dnia wstawaliśmy dwie godziny później.

Raz, może dwa do roku odbywały się zabawy w rozszerzonym gronie. Przychodzili oficerowie z żonami z innych jednostek, zza Wisły. Ożywiało to imprezę. My rzucaliśmy się na panie bardziej nam obce, a przybysze na nasze matrony. Dowódca chodził z rozpromienioną twarzą, niby księżyc w pełni, dopóki nie zaczęły się jakieś wybryki ze strony kawalerów. Na przykład pewnego razu porucznik K. przyprowadził swoją przyjaciółkę o zbyt swobodnych manierach. Gdy siadała na krześle, nogi trzymała szeroko rozwarte i każdy mógł nasycić się do woli widokiem taniego *des-*

sous⁴⁴. Innym razem, po szalonym tangu siadała raptem, niby niechcący, na kolanach dowódcy. Pani majorowa dostawała szoku nerwowego i żądała, by natychmiast opuściła salę. Owszem wychodziła, ale ze swoim najdroższym. Chociaż za te wybryki kolega został dyscyplinarnie przeniesiony do innej jednostki (w lepszym garnizonie), i tak ożenił się z tą damą „salonową” bez posagu.

Bywały bardziej przykre wysoki ze strony podpitych oficerów. Jeden taki, otrzymawszy od szpetnej majorowej B. propozycję zatańczenia z nią, potrafił odpowiedzieć: „Ja? Z panią? Ładnie by to wyglądało”. Dama się rozplakała i poskarżyła mężowi. Mąż zażądał satysfakcji honorowej. O mało nie doszło do pojedynku, które jeszcze były w modzie. Dopiero moja mediacja doprowadziła do przeprosin i obłania tego faktu przy bufecie.

Niekiedy zjawiał się na zabawie dowódca plutonu żandarmerii. Wszystko było dobrze, dopóki oficerowie nie mieli w czubie. W kulminacyjnym punkcie zabawy kilku oficerów zaczynało śpiewać: „Zdechł kanarek, zdechł...” Kanarkami nazywano żandarmów z powodu otoków ich czapek. Nie lubili tego na równi z policjantami, których jak wszędzie nazywają glinami.

Tak bawiono się w kasynach oficerskich małych garnizonów. Ze stolicą komunikację mieliśmy utrudnioną z powodu braku mostu przez Wisłę. Chodził co prawda prywatny autobus, ale trudno było stosować pobyt na przykład w teatrze do rozkładu jazdy.

Podoficerowie zawodowi bawili się w swoim kasynie, do którego zaglądał czasem oficer służbowy. Przyszedłem prywatnie na jedną z zabaw, co było już wykroczeniem towarzyskim. Ale kiedy jeszcze zaprosiłem kucharkę z kasyna, Sabinę, to nazajutrz, w domach oficerskich, szczególnie wśród żon, zawrzało. Po kilku dniach zostałem wezwany przez dowódcę baonu do raportu karnego.

– Jak pan tak może pospolitować się z kucharkami i tańczyć w kasynie podoficerskim – tłumaczył mi dowódca.

– Nie widzę w tym nic złego – odpowiedziałem. – Sądzę, że wszystkie kobiety są jednakowo porządne, jedynie może czasami inaczej pachną. Ale gdyby je jednakowo umyć i jednakowo ubrać...

– Od kiedy pan wygaduje takie głupstwa? – przerwał mi. – Taki porządnym oficer... Co z panem się dzieje?

– Nic. Normalnie – odrzekłem.

⁴⁴ Z francuskiego: spodnia bielizna damska.

Na tym raport się skończył. Tym razem mój wódz w zasadzie stanął na wysokości zadania i nie ośmieszył się ukaraniem.

Ponownie wywołałem rumieńce na twarzach oficerskich żon, kiedy dowiedziały się, że nie tylko byłem na zabawie tanecznej w świetlicy żołnierskiej, ale nawet tańczyłem i piłem piwo. Ubolewano nad moją zbląkaną duszą. Pani majorowa patrzyła na mnie z przymrużeniem oka i dawała odczuć swoje głębokie rozczerowanie z powodu mojego upadku moralnego.

W tym przekonaniu utwierdziło ją również zebranie oficerskie w sprawie wyposażenia biblioteki. Kiedy skrytykowałem katalog książek, które w większości były zbieraniną kryminałów i innych mało wartościowych powieści oraz romansów i zgłosiłem propozycję sprowadzenia książek znanych z literatury światowej i nawet trochę o treściach społeczno-filozoficznych, dowódca popatrzył na mnie, uśmiechnął się od ucha do ucha, na ile tylko pozwalała mu okrągła twarz, i rzekł: „Widzicie go, tylko dać mu jeszcze Marksa i Lenina i zaraz będzie bolszewikiem”. Ze względu na zażyłość z wodzem chciałem powiedzieć, co o tym sędzę, lecz zaniechałem dalszych zadrażnień i prowokacji.

Kilka lat później będę miał jeszcze inny zatarg w sprawie lektury, a to z powodu zakazu prenumerowania i czytania przez oficerów „Wiadomości Literackich”. O ile się nie mylę spowodowane to było opublikowaniem tam opowiadania Zbigniewa Uniłowskiego, który przedstawił w złym świetle polskie wojsko. „Wiadomości Literackie” zawsze czytałem i uważałem za bodaj jedyne wartościowe pismo, w którym Antoni Słonimski umieszczał swoje złośliwe i cudowne felietony, a Karol Zawodziński rzetelnie krytykował bieżącą prozę i poezję, zaś wielu innych krytyków, prozaików i poetów publikowało zajmujące artykuły.

W międzyczasie mój wódz awansował do stopnia podpułkownika. Z tego powodu odbyło się w kasynie przyjęcie i nawet ja wypilem parę kieliszków i składając mu gratulacje między innymi powiedziałem: „Nareszcie nasz dowódca dorównał mi ilością gwiazdek na naramiennikach”.

Porucznicy nosili wtedy dwie gwiazdki. To porównanie tak się wodzowi podobało, że jeszcze przez wiele lat po wojnie wspominał je przy różnych okazjach.

Kawalerowie urozmaicali pozasłużbowe życie jak tylko mogli. Najbardziej udzielał się w tym mój najbliższy sąsiad, Miecio. Czerwony na twarzy, z czerwonymi zawsze rękami o okrągłych jak serdelki palcach, bił wszelkie rekordy w niepohamowanej konkurencji w sprawach miłosnych. Nachodziły go dziewczynki spod ciemnej gwiazdy. Niektóre zatrzymywały się w jego po-

koiku przez dłuższy okres. Przyzwyczajały się do zjadania zimnych zakąsek przynoszonych z kasyna i zapijania ich wódką lub piwem. Nie zawsze jednak życie Miecia było usłane różami. Weźmy chociażby taką oto sytuację.

Pewnego dnia stałem późnym wieczorem na przystanku tramwajowym w Warszawie. Podeszła do mnie młoda dziewczyna i od razu spytała:

– Czy Miecio może być w domu?

Otworzyłem szeroko oczy i domyśliłem się, że pewnie to jedna ze starych bywalczyń u Miecia, która musiała mnie znać z widzenia.

– Powinien raczej być – odpowiedziałem zdawkowo.

– To ja z panem pojadę – wyszczebiotała żywym głosem. – Pan autobusem?

– Aha – mruknąłem.

Jechaliśmy tramwajem. Na trzecim przystanku mignęła mi twarz Miecia. Gdy jej o tym powiedziałem, ucieszyła się z miłej niespodzianki, jaką mu szykowałem. Tak ją przecież kocha od paru miesięcy. W autobusie jadącym przez most Miecia nie było. Oznaczało to, że pojechał ostatnim pociągiem, który nazywano samobójczym. Docierał na stację o pierwszej dwadzieścia. Do naszych koszar pozostawały jeszcze trzy kilometry. Wielka rozlana szeroko Wisła wyglądała nocą bardzo groźnie. Most jeszcze nie był odbudowany. Stojąc na jednym brzegu należało krzyknąć: „Py-y-y-chówka!” Łódka saperska, zwana tak od konieczności popychania przy brzegu lub na płytkiej wodzie, czekała na drugim brzegu, jeżeli była zamówiona u oficera dyżurnego lub nakazano tak ordynansowi. W innym przypadku można było długo sobie krzyknąć i czekać do białego rana.

W tych okolicznościach Miecio nie mógł być w domu wcześniej niż o drugiej nad ranem, my zaś autobusem o północy. Jadąc, rozmyślałem co pocznę z dziewczyną, nim przyjedzie Miecio. Jego pokój był zamknięty. Nie dałem rady go otworzyć. Trudno, musiałem zabrać pannę do siebie. Poszliśmy spać. Kazałem jej czuwać, a sam odwróciłem się do ściany i udawałem, że śpię. Dziewczyna kręciła się niespokojnie i po pewnym czasie powiedziała: „Dziwny jesteś. Leżysz przy kobiecie i nic ci się nie chce. Chyba nie jesteś taki zmęczony?”

Odparłem, że faktycznie jestem strasznie zmęczony i że niczego poza spaniem mi się nie chce. Wzruszyła ramionami i niby obrażona odwróciła się do mnie plecami. Chciałem po prostu powiedzieć jej, że nie jest kobietą dla mnie, ale bałem się urazić jej dziewczęcą bądź co bądź dumę. Czas mijał szybko i w pewnym momencie usłyszeliśmy zgrzyt klucza w przedpokoj. Wracał Miecio. Chciałem wyjść i uprzedzić go o gościu. Dziewczyna jednak powstrzymała mnie:

– Nic mu nie mów. Jak tylko się położy, wskoczę mu do łóżka. Wyobrażam sobie, jak się ucieszy.

Niech tak będzie, pomyślałem. Po kilkunastu minutach wzięła swoje manatki i po cichutku wślizgnęła się do pokoju Miecia. Natychmiast usłyszałem jej słowa:

– Wynos się natychmiast, małego jedna. Patrzcie go. Sprowadza taką wycieruchę i jeszcze się śmieje.

Chwilami zapadała tam cisza, podczas której Miecio próbował doprowadzić do porozumienia. Rywalki stawały się wszakże coraz bardziej bojowe i skakały sobie do gardeł. Dokąd przecież można pójść ciemną nocą na takim pustkowiu? Poza tym obie uważały się za jedyne w obdarzaniu Miecia swoimi pieścizotami. Gdy ta, która przyjechała ze mną, zobaczyła, że druga nie ma zamiaru wynosić się po dobremu, chwyciła nóż, przecięła poduszkę, otworzyła okno i dawaj wytrząsać pierze na podwórko, wrzeszcząc jednocześnie co sił starczyło:

– Masz, ty lafiryndo jedna. Nie będziesz mi spała na poduszkach mojego kochanego Miecia. Wszystko pójdzie za okno, jeśli zaraz mi się nie wyniesiesz!

Nim wojna się skończyła, sąsiedzi pootwierali okna i zaspanymi oczami obserwowali nocny spektakl. Właściwie noc się kończyła i pierze fruwało w powietrzu nadchodzącego poranka.

Dziewczyna, którą Miecio przywiózł, musiała ustąpić i odejść w kierunku Warszawy. Zwycięzczyni została na kilka dni i możliwe, że wszystko przeszłoby bez echa, gdyby pani pułkownikowa nie przechodziła pewnego dnia tuż pod oknem Miecia, przy którym siedziała dziewczyna. Kiedy pułkownikowa chciała jej się przyjrzeć, ta wywaliła na kilometr jęzor. Żona dowódcy oburzyła się i złożyła skargę na Miecia, który został ukarany trzydniowym aresztem domowym.

Różnie i z różnym skutkiem bawili się kawalerowie. U naszego cywilnego fryzjera pracowała dość młoda manikiurzystka. Jeżeli Pan Bóg może dać coś ładnego kobiecie, to tym razem dał jej ładne nogi. To, co w jej ciele najlepszego i najładniejszego spłynęło w dół i umieściło się właśnie w nogach. Te nogi spędzały często sen z oczu naszemu potężnemu „Buniowi”. Pewnego pięknego i ciepłego wieczora wracał z koszar, gdzie ogłosił alarm swojej kompanii. Manikiurzystka siedziała na ławeczce przy zakładzie. Zaczęli rozmawiać i nagle znaleźli się w jego pokoju.

Po kilku tygodniach „Bunio” zaczął odwiedzać intymnego lekarza. Chorobę ukrywał. Ale co da się długo ukryć w takim wielkim garnizonie, gdzie stacjonuje jeden batalion? Żeby nie leżeć w szpitalu, „Bunio” jeździł

motocyklem na różne zabiegi w Warszawie. Jazda mu zaszkodziła i chodził, rozstawiając szeroko nogi. Koledzy wyśmiewali się z tego i musiał się przyznać, która oblubienica obdarzyła go tak cennym podarkiem. Kiedy ujawnił swoją namiętność do pięknych nóg, zaraz po usłyszeniu złośliwych plotek zniknęły one z naszego garnizonu. Na insynuacje kolegów, co do niesamowicie brzydkiej twarzy manikiurzystki, „Bunio” odpowiadał: „Nie widziałem, bo było ciemno”.

To powiedzenie przypominało mi rozmowę starszych ludzi o sprawach pożycia małżeńskiego. Pewien starszy pan w obecności małżonki twierdził, że w ciągu trzydziestoletniego pożycia nigdy nie widział swojej małżonki nagiej. Żona, słysząc to, rzekła: „Bo zawsze było ciemno”.

Nie zawsze ciemności bywają błogosławione, jak w przypadku naszego przyjaciela.

Zdarzyło się, że wyjechałem na obronę mostu przed lodem do Płocka. Była wtedy bardzo mroźna i długa zima. Lód na Wiśle osiągnął osiemdziesiąt centymetrów grubości. Stał tam długi żelazny most kratowy na drewnianych palach. Most potrzebny państwu, a niepotrzebny bogatej firmie Górnickich. Mieli kilka domów tuż nad Wisłą, na pięknym wysokim brzegu od strony miasta. Naprzeciw, za rzeką elektrownię, zaś na rzece sporo własnych statków. Byli ludźmi bardzo bogatymi i chcieli być jeszcze bogatszymi. Dlatego życzyli sobie, żeby most popłynął z wiosenną wodą. Nim nowy most zbudowano, zbili duży kapitał na przewozach przez rzekę towarów i ludzi.

Ponieważ starosta wyznaczył dla mnie kwatery właśnie u tych bogatych obywateli miasta, przyjęli mnie nadzwyczaj gościnnie, spodziewając się znaleźć sojusznika do realizacji marzeń. Zostałem ulokowany w gościnnym pokoju, do którego musiałem przechodzić przez pokój pokojówki. Ona miała sprawować nade mną opiekę i czuwać nad moim poruszaniem się w kierunku rzeki. Zależało im, bym spędzał jak najwięcej czasu w domu i nie zajmował się sprawą obrony mostu. Jeden z synów, pan Stasio, kawaler w odpowiednich latach, został moim przybocznym fotografem. Żeby zająć czym innym, zaprosili przystojną siwą, ale jeszcze w sile wieku, znajomą obywatelkę ziemską, która przyjeżdżała zamkniętą karetą i zabierała nas na spacer. Prawdopodobnie chętnie zabrałaby mnie na kilka dni do swojego majątku, gdybym tylko wyraził takie życzenie. Mile się uśmiechała, kiedy siedziałem naprzeciw niej i wodziłem ślepiami po ładnych i zgrabnych nogach w jedwabnych, czarnych pończochach, tak wtedy modnych. Na szczęście i tak więcej myślałem o moście niż o rozrywkach

i szybko uciekałem do swoich saperów. Miałem cudownego sapera w osobie starszego sierżanta Kamińskiego, który swoją inteligencją, taktem i znajomością spraw saperskich przewyższał niejednego oficera-młodzika, co to przychodzi do jednostki naszpikowany teorią, a praktyki ma za trzy złamane grosze.

Tego właśnie sierżanta uświadomiłem o niewłaściwych podjazdach bogatej rodzinie i byłem spokojny o losy mostu w czasie mojej nieobecności. Ponieważ mieszkałem na parterze, w razie jakiegokolwiek wypadku goniec miał pukać do okna o każdej porze nocy, o czym nie wiedzieli moi opiekunowie.

W pierwszej fazie kruszyliśmy materiałem wybuchowym pokrywę lodową w okolicach mostu. Oczyszczaliśmy górę i dół rzeki od lodu, by uniknąć pierwszego szturm kry bezpośrednio na izbice i podpory mostu. Niekiedy, w związku z zapowiedzią przyjazdu kogoś z wyższych dowódców, zakładaliśmy jednocześnie dużo ładunków. Po obu stronach rzeki gromadziły się tłumy mieszkańców, wstrzymywano ruch na moście, porządek utrzymywała policja pod osobistym kierunkiem komisarza w porozumieniu z kierownikiem zarządu dróg, niskim i grubym kawalerem. Kiedy widzowie, na czele z generałem, byli gotowi, kilkanaście ładunków leciało do góry razem z bryłami lodu i spadały na pochylone grzbiety stojących tuż na moście. Niby święto wianków, niby fajerwerki lub inny festyn. Saperzy byli dumni ze swojego dzieła, które pan Stasio próbował uchwycić na kliszy. Kucharka jego matki na tę intencję szykowała lepszy obiad i przybiegała na most z wieścią, że zupa na stole i pani czeka.

Wieczorem inżynier drogowy zapraszał do siebie na wódkę mnie i komisarza policji, który służbowym wozem wiozł nas na spacer z szybkością stu kilometrów na godzinę i mocno się dziwię, że po tych przejażdżkach jeszcze dziś żyję. W międzyczasie lód zmieniał kolor, woda występowała przy brzegach i na powierzchni, co było oznaką rychłego kruszenia kry. Przygotowaliśmy dużo ładunków i innych sposobów do obrony mostu i byliśmy spokojni – aż do pewnej krytycznej nocy. Kto nigdy nie stał na dużym moście na drewnianych podporach w czasie ruszenia lodów, ten nie zna uczucia grozy i zdenerwowania, jakie ogarnia człowieka, bezradnego wobec zjawisk przyrody.

Ledwo świt próbował sączyć się poprzez nocną ciemność, kiedy zapukano do moich okien. Ubrałem się błyskawicznie i w pięć minut byłem na moście. Wzdłuż mostu stali saperzy z ładunkami i nasłuchiwali dalekiego szemrania. Raptem usłyszeliśmy wolny, długi trzask, potem zgrzyt i nastąpił szturm lodów na izbice. Pierwsza linia obrony zgrzytnęła i piszczała,

krusząc ogromne tafle na mniejsze. Żelazne okucia izbic w postaci kątowników zawijały się w ślimaki, pale znikały pod wodą i po niecałej półgodzinie mało co po nich zostało.

Wtedy właśnie poczuliśmy pod nogami drżenie mostu, które przeszło w taniec św. Wita. Most zaczął niby to rosnać, niby opadać, chwiał się w różne strony i zdawało się, że w każdej chwili pójdzie razem z rzeką. Dałem saperom rozkaz natychmiastowego zejścia, wycofując połowę na jeden i połowę na drugi brzeg. W tej fazie człowiek wobec żywiołu był niczym. Wróciliśmy na most drgający po pierwszym uderzeniu. Teraz rozpoczęła się nasza właściwa robota: rozbijanie dużych tafli, które nie mieściły się między podporami, i likwidowanie zatorów, rosnących z godziny na godzinę. Rzucanie i zakładanie ładunków trwało bez przerwy dzień i noc. Kra zaczęła podcinać pale właściwych podpór mostu. Groziła zawaleniem kilku środkowych przęsł. Postanowiliśmy ratować most za wszelką cenę. Z narażeniem życia saperzy dostawali się na resztki izbic, aby stamtąd rzucać ładunki i spuszczać się po linach z mostu w celu zakładania ładunków w zatorach. Rzucaliśmy drewniane ochraniacze na podpory najbardziej zagrożone. Saperzy nie mieli czasu jeść i nawet o tym nie wspominali. Aż się dziwiłem ich zapałowi. Byłem wciąż zachwycony i wszelkie próby odciążenia mnie od mostu przez gościnnych gospodarzy zawiodły. Wtedy pani domu przysyłała obiad na most, ale posiłki zabierała z powrotem, bo jak mogłem jeść w obecności głodnych saperów?

Po trzech dniach batalia została wygrana. Wody niosły coraz mniejsze i cieńsze tafle lodu. W pewnych godzinach zaczęliśmy otwierać na krótko most dla ruchu, w czasie którego saperzy bawili się zachowaniem wiejskich kobiet, które przy chwianiu mostu kucały na jezdni i ze strachu sikały. Mój nadworny fotograf nie był zbyt zachwycony drobnymi wybuchami i błagał o efektowne zdjęcie. Akurat w dole rzeki w pobliżu ich domów zebrał się spory zator. Kazałem sierżantowi przygotować większy ładunek trotylu i udaliśmy się na miejsce, gdzie po wybuchu kra leciała do góry co najmniej na sto metrów. Zdjęcie wyszło efektownie i tego dnia jego matka nie chciała nam dać obiadu, bo w mieszkaniu od wybuchu poodpadały tynki z sufitów. Tak myślałem przedtem.

Po wymyślaniach pani domu wybaczyła naszym saperom i kazała im posłać placek. Całym winowajcą okazał się jej synalek Stasio, który na drugi dzień pokazał mamie wysoką fontannę z kawałków lodu na fotografii. Pan Stasio był w ogóle człowiekiem wysokiej kultury i wysokich wymagań od życia. Codziennie brał kąpiel, w czasie której pokojówka zawsze nacierała mu plecy. Do dzisiaj widzę wysoką postać pana Stasia na golasa

wychodzącego z łazienki do swojego pokoju, a za nim dość młodą jeszcze dziewczynę. Lubię takie nieskrępowane życie ludzi, którym pieniążki jakoś same włożą do kieszeni. Trzeba umieć czas zapełnić, by nie oszaleć. Pan Stasio, ku zadowoleniu mamy, umiał to robić wyśmienicie. Wciąż pozostawał dla mnie małym dzieckiem, chociaż ważył pewnie z osiemdziesiąt kilogramów, a mierzył sobie prawie dwa metry. Żenić się Stasio nie miał chęci, gdyż namiętności swoje mógł bez kłopotów realizować w warunkach domowych, ustalanych przez mamusię.

Z podobną sytuacją zetknąłem się kilka lat później u jednej pani aptekarzowej na dalekich kresach. W roli pomocy domowej zatrudniała młodą, ładną dziewczynę o rumianych policzkach. Dziewczyna była analfabatką, jak większość jej rodaczek na Polesiu. Któregoś dnia odwiedziłem tę rodzinę i przypadkowo zajrzałem do pokoiku gosposi. Zobaczyłem na ścianach pełno obrazków z opakowań prezerwatyw. Na mój zarzut, jak można tak psuć dziewczynę, pani domu odpowiedziała: „Niech pan jej nie uświadamia, ona i tak czytać nie umie i nie wie, od czego to jest. Skoro się jej podoba, niech tak będzie”.

Może bym się nawet zgodził z jej poglądem, gdyby nie przyjazd synalka, młodego studenta prawa. Pewnego poranka zauważyłem brak jego i gosposi przy śniadaniu i zapytałem o nich, aptekarzowa odpowiedziała:

– Janek uczy Marysię (u niej wszystkie gosposie musiały być Marysiami, taki był jeden z warunków przyjęcia) czytać i pisać.

– Żeby przypadkiem nie nauczył jej czego innego...

– Nie szkodzi – uśmiechnęła się aptekarzowa. – Jest zdrowa i przynajmniej nie będzie musiała płacić lekarza.

Takie poglądy miewały paniusie z dobrych domów i nieskazitelných pensji. Moralność zależała od ilości wpływających do kieszeni złotych, za które można było kupić wszystko. Pieniądz jest zdradliwym magnesem, od którego odrywają się niektórzy po niewczasie.

Przed samym moim odjazdem do garnizonu, z miejscowości odległej od Płocka o osiemnaście kilometrów przyjechał furmanką chłop z prośbą o ratowanie młyna i mostku, którym zagrażała powódź i spływ kry. Nie miałem prawa odmówić. Kazałem przygotować sporo ładunków, zaopatrzyć je od razu w sponki i krótkie lonty i pojechałem tą samą furmanką. Siedziałem na worku ze słomą, trzymając na kolanach ostre ładunki i modliłem się po cichu, gdy wóz skakał po kocich łbach. Nikt nie wiedział, jakie popełniamy głupstwo i w jakim stopniu narażam siebie i furmana z koniem. Była to głupia brawura. Na miejscu zastałem krytyczną sytuację. Chłopi ze wsi stali po obu brzegach rzeki i bezradnie czekali na ostateczny wynik

walki żywiołu z człowiekiem. Przejście wody pod mostem było zatarasowane grubymi bryłami lodu. Słaby mostek wytrzymywał napór, bo woda znalazła ujście po bokach i szorowała spieniona niby szalona, podmywając z jednej strony fundamenty młyna.

Nie miałem dużo czasu do namysłu. Należało natychmiast zrobić przejście pod mostem, w przeciwnym razie i most, i młyn mogły polec w tej walce. Musiałem zaryzykować: albo most pójdzie, a młyn zostanie, lub przy udanej akcji – uratuję jedno i drugie. Kazałem ludziom odejść na bezpieczną odległość, stanąłem na moście z ładunkami, przebiłem dziury w lodzie, założyłem ładunki i gdybym był chrześcijaninem – to przed potarciem zapalki przyłożonej do lontu bym się przeżegnał. Schowałem się za najbliższym drzewem i liczyłem sekundy. Kra poleciała do góry, woda z szumem runęła pod most. Pokruszone kawałki przepychały się między słabymi podporami mostku, które dzielnie przeciwstawiały się naporowi wody ze skruszonym lodem. Woda przy brzegach zaczęła opadać. Młynarz uściskał mi rękę. Nie był w stanie nic powiedzieć z zadowolenia. Ja byłem zadowolony w połowie, gdyż na mostek co rusz nacierały wielkie tafle lodu. Rzucąłem na nie z brzegu ładunki, które łamały je na części mogące przejść pod mostem. Po trzech godzinach zziębnięty i zadowolony spokojnie usiadłem przy rozpalonym piecu do gotowania obiadu. Patrzone na mnie jak na cudotwórcę. Byłem zadowolony: miałem poczucie wykonania dla ludzi rzeczy, z której byli zadowoleni. Uczucie, jakiego człowiek nieczęsto może doznać w życiu.

Od jakiegoś czasu przeszkadzało mi spać szuranie za piecem. Nasłuchiwałem i przyszedłem do przekonania, że jest tam gniazdo myszy. Kupiłem pułapkę i postawiłem z kawałeczkiem słoniny. Po kilkudziesięciu minutach drzwiczki chlapnęły. Co miałem robić z niewolnicą? Wyniosłem na podwórko i wypuściłem. W ciągu dwóch godzin wyniosłem sześć sztuk. Przestały szurać. Minęło kilkanaście dni. Musiałem powtórzyć operację. I tak zacząłem mieszkac z myszami, do których bardzo się przywiązałem i które wyrzucałem tylko wtedy, kiedy naprawdę nie pozwalały mi zasnąć. Nie wiem, czy wracały zawsze te same, czy przychodziły inne. Żałuję, że nie znaczyłem wyrzucanych na swobodę myszek. Od tego okresu zacznie się moja bliższa styczność ze zwierzętami różnego rodzaju.

Zostałem zaproszony przez polską rodzinę w gościnę. Pani domu na moją cześć przygotowała półmisek tatarską, chcąc mnie specjalnie ugościć. Kiedy zobaczyła, że nie tknąłem tego jadła, rzekła:

– Co z pana za Tatar, jeżeli pan nie je tatarą.

Wyjaśniłem rozczarowanej gospodyni, że Tatarzy nie jadają surowego mięsa. Zdziwiona tą informacją rzekła ponownie:

– Ale przecież Tatarzy jedzą mięso spod siodła, pod które kładą żeby skruszało.

– Tatarzy wożą mięso przy siodle, żeby przy najbliższej okazji wsadzić je na rożen – powiedziałem.

– Już naprawdę nie wiem, kto ma rację i po co historia podaje takie rzeczy?

– Nie czytałem nigdy o tych rzeczach w historii, proszę kochanej do brodziejki. Należy raczej przypuszczać, że historia ustna naszych babek...

A *propos* babek... Poznałem kiedyś w Warszawie potężnie zbudowaną młodą blondynę. Była to bardzo kulturalna i mądra dziewczyna. W czasie przewrotu majowego czołgała się po Placu Zbawiciela, chcąc zobaczyć jak kochani podchorążowie walczą z piłsudczykami. Podarła pończochy i miała czerwone kolana. Kiedy mnie zobaczyła, raptem powiedziała:

– Twój pradziadek zarżnął moją prababkę.

– I co z tego?

– Muszę pilnować, żeby jakieś Mongoły nie napadły ponownie na nasze ziemie.

– Nic by się nie stało. Najwyżej wzięliby cię do haremu.

– Uważaj tylko, żeby ciebie nie wzięła jakaś katoliczka.

Wzięła. Tylko nie blondyna.

Wielu rekrutów na całym świecie kombinuje, żeby nie pójść do wojska. Wojsko jest kochane przez społeczeństwo, ale wielu chce życie spędzić bez tej miłości. Wymyślają różne sztuczki kosztem zdrowia. Przynajmniej tak robili do drugiej wojny światowej. Jedli tytoń i różne inne rzeczy. Jeden nasz saper, stojąc siarczystą mroźną noc na posterunku przy magazynie mobilizacyjnym przyłożył język do dużej kłódki i potem bał się go oderwać, bo bardzo bolało. Zaalarmował dowódcę warty strzałem karabinowym i nim ten przybiegł wybawić nieszczęśnika, część jęzora została na kłódce. Musiał iść na izbę chorych, ale zamiast zwolnienia z wojska, dostał pięć dni ścisłego aresztu za uszkodzenie ciała z premedytacją. Umysł ludzki nie zna granic dobrych ani złych, szczególnie tych ostatnich. Nim trochę podbito kosmos i postawiono nogę na Księżycu, już zaczęto zawierać umowy o demilitaryzację tej planety; nim tylko dotknięto stopą dna morskiego, już powstała myśl o zawarciu umów o nieumieszczaniu na dnie ładunków nuklearnych. Ciekawa jest ludzka myśl, biegnąca szybciej do złego, niżli

do dobrego. A najciekawsze w tym wszystkim jest to, że myśli te powstają u mężów stanu, którzy z racji swej odpowiedzialności wobec społeczeństw winni nawet nie dopuszczać do siebie takich pomysłów.

„Szczur w zupie” – zameldował mi zastępca pewnego dnia, kiedy miałem służbę oficera dyżurnego baonu. Wyszedłem na dziedziniec koszarowy. Setki żołnierzy wylewało zupę z kociołków do ubikacji. Wyglądało na zbiorowy bunt. Po dokładniejszym zbadaniu okazało się, że w pewnej chwili kucharz zakręcił chochlą w kotle, chcąc nalać zupę jednemu z saperów, ten zobaczył, że wynurzyło się przy tym coś włochatego i zniknęło na dnie. Saper wyskoczył na dziedziniec i wrzasnął: „Szczur w zupie!” Momentalnie wszyscy przestali jeść. Kto już zjadł przedtem i był delikatniejszy oraz bardziej obrzydliwy, wymiotował.

Wziąłem chochlę i zacząłem wyławiać szczura. Owszem, wyłowilem włochate stworzenie, ale w postaci kawałka skóry wołowej z sierścią. Nie dodaje to co prawda apetytu, ale znowu nie było powodem do takiego strachu. Mimo pokazania saperom tego „szczura”, nikt w to nie uwierzył i osiemset ludzi zbojkotowało zupę. Musiałem kazać wydać produkty zastępcze. Człowiek jest bardzo skory wierzyć plotkom, ale niechętny im zaprzeczyć. Łatwo spowodować popłoch tłumu, tylko potem ciężko go powstrzymać. Łatwiej jest pchnąć żołnierza przeciw wrogowi, ale trudniej go pohamować, kiedy wróg ściga. Łatwiej jest obiecać narodowi dobrobyt, niż taki stan zrealizować. Nie należy pochopnie obiecywać tego, czego nie możemy dać.

W porcie za Wisłą stała nasza kompania przepraw rzecznych. Była wyposażona w różne łodzie motorowe, holowniki i niewielkie rzeczne statki. Dowódca kompanii, czarny zarośnięty porucznik z białymi zębami, był dobrym mechanikiem. Małżonka ministra od sławojek, z pochodzenia Francuzka, zachciała koniecznie popłynąć specjalną motorówką na spacer w górę Narwi.

Dowódca dostał rozkaz zbudowania łodzi. Na sprawdzenie postępu robót przyjechał sam minister z ministrową. Kiedy auto dotarło nad rzekę, wysiadł z niego człowiek w białych spodenkach, któremu należało złożyć raport. Za nim pojawiła się młoda elegancka dama o wyglądzie cudzoziemki. Porucznik wyszczerzył dwa rzędy śnieżnobiałych zębów i nie wiedział, co zrobić w takiej sytuacji. Minister, nie czekając na meldunek, wyciągnął rękę, a Francuzka zaszczębiotała kilka słów, których porucznik nie rozumiał.

Przeszli na plac ćwiczeń obejrzyć przyszły wehikuł wodny. Małżonka ministra długo się przyglądała i w pewnym momencie zapytała porucznika:

– A gdzie będzie wygodka?

Porucznik popatrzył na nią ze zdziwieniem i rzekł:

– Naturalne potrzeby najprzyjemniej załatwiać na łonie natury pod krzaczkiem.

Minister musiał żonie to przetłumaczyć, co też zrobił nader żartobliwie. Francuzka nie zgodziła się na takie rozwiązanie i zażądała na łodzi toalety ze wszystkimi szykanami. Porucznik był człowiekiem z humorem i nie z tych, którzy na słowo „minister” padają przed nim plackiem. Spojrzał na elegancką kobietę i wyjaśnił:

– Skoro każemy budować budki za stodołą, należy dawać przykład i nie robić samemu tego w swoim domu.

Minister udał, że nie słyszy i odszedł na bok. Małżonka uczepiła się pasa porucznika i trajkotała:

– Ja nie chce łąka. Ja chce łódka.

Trudno. Trzeba było na dwa tygodnie opóźnić wykończenie łodzi. Ostatecznie, z powodu tych wszelkich dodatków okazała się zbyt ciężka i podróż trwała do pierwszej lepszej łachy, na której ugrzęzła wśród podmokłych łąk. W pobliżu nie było żadnego domu z telefonem i nasi goście musieli iść parę kilometrów do najbliższej stacji kolejowej. Tak się wzruszyli wycieczką, że nie pokazali się w batalionie do wybuchu wojny. Łódź, co prawda, sporo kosztowała, podobnie jak i przywiezienie jej do koszar, ale mieliśmy już święty spokój z podobnymi gośćmi.

Porucznik miał nie tylko ładne zęby, ale był też znanym pływakiem. Kochał wodę w każdej postaci. Czy ciepło, czy zimno skakał do Wisły i przepływał ją tam i z powrotem. Rzeka nie była tam znowu taka wąska i nie zawsze śpiąca. Kiedy przychodzą dolne wiatry potrafi pokazać swoją złość. Fale nacierają i woda wrze niczym w dużym kotle. Podczas nocnej burzy można być bliskim nieszczęścia jak na prawdziwym morzu. Spróbujcie w ciemną burzliwą porę przepłynąć Wisłę w niedużej łodzi, bez znajomości rzeki i zasad wiosłowania.

Ale trudno oczekiwać, żeby nasz porucznik-saper od przepraw rzecznych i porucznik Marynarki Wojennej nie znali się na kaprysach kochanej Wisły. A jednak... Popłynęli nocą kiepską psychówką na przeprawę i wywalili się w ubraniach, nawet w płaszczach, prosto na środku rzeki. Najciekawsze i najtragiczniejsze było w tej przygodzie to, że nasz porucznik nawet zdjął z ręki zegarek, wziął go w zęby i tak dopłynął do brzegu, a zawodowy marynarz utonął. Może nie dlatego, że gorzej pływał, ale przede wszystkim

w ciemnościach nie orientował się w sytuacji i popłynął z prądem prosto na cypel, gdzie woda rwie z wielką siłą po kamieniach, i tam wyczerpany uległ żywiołowi.

Dzielny saper, współuczestnik nieszczęsnej przeprawy, od tego czasu przywiązywał jeszcze większą wagę do pływania i kiedy urodził się mu syn i miał już cztery latka, brał go za nóżkę i rzucał na głęboką wodę. Dzieciak łomotał po kozacku rączkami i nóżkami i krzyczał wniebogłose, a tata stał na brzegu i szczyrzył zęby. Kobiety dostawały spazmów, wymyślały tacie, który z uśmiechem skakał do wody i wyciągał synalka. Ćwiczenia takie przyniosły rezultaty nie z tej ziemi: mały czarny, wykapany ojciec mając lat osiem przepływał Wisłę. Dziś prawdopodobnie zdobywałby złote puchary. Wtedy nie było to zbyt w modzie.

Chociaż nazywano mnie „Turkiem”, często zaglądałem do różnych kościołów, chcąc popatrzeć na twarze modlących się i podziwiać niektóre kazania. Często bardzo rozumne i głęboko filozoficzne. Takie mądre kazania wygłaszał ksiądz kanonik w kościele na Pradze. Niektórzy specjalnie przychodzili wyłącznie na nie. Ich treść była nasycona wiedzą o życiu człowieka i celu jego istnienia. Miałem zawsze tylko jedno zastrzeżenie – nie były one nasycone miłością do biednych i wciąż zalecały im posłuszeństwo wobec Boga i władz. Nawet najmądrzejsi kaznodzieje nie widzieli człowieka zgarbionego pod nadmiarem ciężarów codziennych zmagają o kawałek chleba.

Większość kazań w kościołach kończyła się apelem: „Módl się i pracuj”. Módl się do Boga i pracuj dla swoich panów, którzy z dobra korzystają. Ciekawa rzecz, że ci wielcy filozofowie i wykształceni ludzie duchowni nie zwracali uwagi na ubogich i żebraków zapełniających chodnik przy wejściu do kościoła. Nigdy nie zapomnę szpaleru nędzarzy na długich chodnikach po obu stronach wejścia do kościoła Wizytek w Warszawie. Wychodząc z mszy można było zobaczyć dziesiątki błagalnych, wyczekujących wsparcia oczu. Wyciągnięte po prośbie ręce zagradały przejście i jeżeli nie otrzymały choćby byle drobnika, wzrok tych nędzników stawał się bardziej przenikający, gesty i błagania bardziej natarczywe, aż przechodziły w wymyślanie i wyraźne ataki wobec wychodzących z kościoła.

Co wtedy mogli o nas pomyśleć cudzoziemcy, widzący takie sceny z najbardziej części miasta? Na pewno nic dobrego. Kilka lat później na długości prawie kilometra zobaczę szeregi proszących od przedmieścia Grodna do cmentarza nad Niemnem. Będą to zupełnie inne typy. Biedne, obdarte, ale dobroduszne. Niepatrzące złośliwie, jeżeli nic nie dostaną. Nie będą wy-

ciągać błagalnie rąk i atakować kogokolwiek gestem i słowami. Modlą się po cichu i nadstawiają z łagodnym spojrzeniem rękę i czapkę. Większość to prawosławni. Tutaj jest wspólny Bóg w tej społeczności – brak kawałka chleba. Chleba, w dosłownym znaczeniu tego słowa.

To były nasze kresy, którymi rząd się szczylił, ale które pozostawały pod opieką Boską. Tylko dobroć i zadowalanie się byle czym ratowało tych ludzi od krańcowej nieraz nędzy. Kawałek ogarka do oświetlenia izby, kawałek chleba razowego z zabelanym postnym barszczem już ich zadowalało. Ludziska dzielili się z proszącymi ostatnią łyżką strawy, której nie brakło, bo pokrzywy za stodołą, lebiody w ogrodzie i szczawiu na łąkach było zawsze pod dostatkiem. Żyli sobie ludzie jak u pana Boga za piecem. Nie zastanawiali się tam nad jakimś kosmosem czy księżycem, jeno patrzyli czy ich żytko na piasku rośnie i czy będzie co wsadzić do pieca. Takie to były szczęśliwe, spokojne czasy nieświadomości żywota własnego na tej marnej ziemi. Wstał człowiek ze słomy lub siana, wyszedł do studni, nachylił głowę nad drewnianym kubłem, pociągnął parę łyków zimnej źródlanej wody bez chloru i poszedł kosić siano. Usiadł przy zapachu świeżo ściętej trawy i zjadał kawałek razowca własnej roboty z kiszonym ogórkiem lub kawałkiem białego sera. Śmietana szła na masło, masło do Żyda za naftę i sól, jajko do Żyda za zapalki i śledzia. I tak się żyło bez męcznienia mózgu lotami kosmicznymi albo rozstrzygnięciem politycznych problemów.

Dziś w kościołach też pełno ludzi. Czy wszyscy szczerze modlą się do Boga? Jeżeli odrzucić chodzących tam z tradycji i przyzwyczajenia, chcących pokazać znajomym, że się modlą oraz młodzież, która szuka własnej drogi duchowej, to w kościele zostałoby pewnie niewielu szczerych wyznawców Chrystusa. Podkreślam Chrystusa, a nie Boga. Bo chrześcijanie idą najpierw do Chrystusa, całują jego nogi, modlą się do niego i najświętszej Matki Boskiej, a dopiero za ich pośrednictwem trafiają do Boga Najwyższego. Powie ktoś, że nawet partyjni chodzą do kościoła i wobec tego oni mogą również być religijnymi. Wierutne kłamstwo. Albo ktoś wierzy w tradycyjną religijność kościelną i nie jest komunistą, albo ktoś jest tym komunistą i wtedy nie może wierzyć w kościół. Jedno z drugim nie współgra i sojusz taki może być tylko u judaszów i jeżusków.

Człowiek niewierzący nie musi być zaraz wyzuty z głęboko duchowego rozumienia świata jako takiego, z jego nie zawsze jasnymi dla każdego zjawiskami. Nasz mały świat i wielki wszechświat są nazbyt skomplikowane i tajemnicze, żebyśmy pozbawieni byli różnych wątpliwości. Są wszelako niezaprzeczone rzeczy, które docierają jednako do wszystkich śmiertelników – na przykład życie ludzkie i jego minimalne potrzeby

do tego życia. Musi zabezpieczyć sobie pożywienie, ubranie, mieszkanie i rozrywkę.

Takie różne myśli przychodzą mi do głowy w maju, gdy patrzę przez okno na kwitnące ogrody. Przyroda odnawia się co roku. Człowiek również powinien się odnawiać. Jeżeli on sam nie potrafi, trzeba mu w tym pomóc.

Osoba bardzo interesującą był w naszym baonie skarbnik. Małomówny, zawsze z lekkim uśmiechem pod nosem, który siedział na okrągłej pulchnej twarzy. Lubił wypić, ale rzadko go można było spotkać w towarzystwie. Pił po cichu w domu po, nie za wiele naraz. Żył skromnie i niczym się nie wyróżniał. Chyba tylko tym, że miał miłą pulchną żonę o ciemnych włosach, która była sympatią pewnego porucznika. O tym ćwierkały wróble na wszystkich krzewach, jedynie skarbnik nic nie słyszał. Ze swoim pomocnikiem sierżantem był zajęty czym innym. Układali listę martwych dusz i wypłacali sobie za nie żołąd. Trwało to blisko trzy lata, podczas których było kilka kontroli i wszystko jakoś grało. Pewnego dnia zjechał na kontrolę skromny mały porucznik z Warszawy. Posiedział trzy dni i naliczył, że Władzio (tak miał na imię nasz skarbnik) w taki cichy zwykły sposób wypłacił sobie około pięćdziesięciu tysięcy złotych. Suma na ówczesne czasy była ogromna. Dzisiaj w przybliżeniu pół miliona. Władzio powędrował do sądu i dostał pięć latek. Roczek za każde dziesięć tysięcy.

Żona mocno się dziwiła i twierdziła, że nigdy na życie domowe nie wydawała więcej niż gazę męża. Pozostało tajemnicą skarbnika na co te pieniądze wydawał. Ciekawe w tym wszystkim było tylko to, że pozbawiona mężowskich poborów małżonka wiodła życie nie gorsze niż przedtem i pocieszała się swoim amantem, za którego jakoby miała nawet wyjść za mąż. Nie ma tego złego, co by nie wyszło na dobre, ale komu innemu.

W garnizonie, jednym z domów, który przyjmował gości była bezdzietna rodzina batalionowego lekarza, kapitana Ż. Miły i przystojny był ten lekarz. Taka samą była jego żona. Nie wiodło im się z dziećmi, które umierały niedonoszone lub tuż po urodzeniu. Wszyscy się dziwili, patrząc na tę przystojną i dobrze zbudowaną parę. Zdawało się, że tylko powinni płodzić dzieci ku chwale ojczyzny, która zawsze potrzebuje obrońców. Nic z tego. Kiedy przy kolacji suto podlanej alkoholem dokuczano pani domu i dawano do zrozumienia, że lekarz nie taki znowu niedołęga w sprawach miłosnych, małżonka krzywiła się i mówiła: „Włodeczek? Mój Włodeczek? Ta niedołęga życiowa! On byłby zdatny do uwiedzenia kobiety? Koń by się uśmieł”.

Koń w tym wypadku nie uśmiełby się, ale Włodeczek dyskretnie się uśmiechał i myślał o tych sprawach wręcz inaczej. W tygodniu, w letnie, ciepłe wieczory Włodek czasami znikał z pola widzenia. Jako lekarz był proszony wielokrotnie do chorych w okolicznych wsiach. Dawało mu to pewne dodatkowe dochody do i tak przyzwoitych poborów, a co najważniejsze swobodę, której często nadużywał. Poznał córkę bogatego gospodarza, starszą panienkę z dzieckiem. Tym dzieckiem była piękna dziewczynka lat dwunastu. Zaczął się spotykać z jej matką na ósmym forcie i niewątpliwie potrafił udowodnić swoją męskość. Jako lekarz wybrnął z tego łatwo i tanim kosztem i wcale nie zaniedbywał starej panny. Dalej spotykali się na odludnym ósmym forcie. Dookoła pola i łąki. Bunkry mroczne i porośnięte zielskiem. Długa na kilometry miedza prowadziła prosto do domu gospodarza, zaś krzywe ścieżki do koszar. Ich sekretne spotkania były trudne do odkrycia. Zresztą nikt nie zamierzał ich śledzić. Nie śniło się to nawet pani doktorowej, która przy kolacji przygadywała swojemu mężowi o niedołęstwie życiowym – i w ogóle. Pewnego razu Włodek miał widać tego dość i pochwalił się, że właśnie nie tak dawno temu uwiódl młodą niebrzydka kobietę. Żona uśmieła się jeszcze głośniejsz niż zazwyczaj i powiedziała: „Nie chwał się, Włodeczku, i tak ci nikt nie uwierzy”.

Nikt, to znaczyło przede wszystkim ona. Bo niektórzy koledzy myśleli wręcz odwrotnie. Od Włodeczka szedł podejrzany zapaszek. Wymykanie się z kasyna ze spotkań wieczorowych w gronie kawalerów dawało dużo do myślenia. Pomaleńku koledzy wybadali, w jakim kierunku znika lekarz i podczas konnej przejażdżki wykryli miłosne gniazdko. Lekarz zmienił taktykę i wyznaczał randki, gdy wszyscy byli na ćwiczeniach. Bo co miał robić lekarz, który rano do godziny dziewiątej przyjął dwudziestu paru saperów rzeczywiście chorych i symulantów, podpisał kilka książek chorych i zasadniczo skończył już pracę? Na strzelnicę posyłał sanitariusza i to już właściwie wszystko. Jeszcze czasami pogadanka sanitarna raz w tygodniu. Rodziny oficerskie i podoficerskie rzadko zapadały na choroby. Wieś ze względów oszczędnościowych w miarę możliwości leczyła się sama. Chyba, że coś nagłego, co potrzebowało natychmiastowej pomocy w celu ratowania życia. Włodek miał dużo czasu, był zdrowy na ciele i umyśle. Nie brakowało mu niczego oprócz dzieci.

Pewnego dnia przy spotkaniu ze swoją miłością powiedział do niej:

– Szkoda, żeś przyszła sama. Trzeba było przyjąć z córeczką.

Dziewczyna zrobiła wielkie oczy.

– Czemu się dziwisz? – zapytał.

– Nie rozumiem, a po co córka? Jest już dość duża i wiele rzeczy rozumie. Tylko by nam przeszkadzała.

– Nic by nie przeszkadzała – odpowiedział zagadkowo.

Minęło sporo dni. Dziewczyna przestała pokazywać się na forcie. Włodek tęsknił za dziewczynką, córeczką kochanki. Zdał sobie sprawę, że na dnie jego duszy odradza się niebezpieczne uczucie. Przestał chodzić na fort. Powziął walkę ze swoją słabością.

Dowódcę naszego, podpułkownika S. przenieśli do MON-u⁴⁵ na zastępcę szefa departamentu saperów. Został przełożonym wszystkich saperów w Polsce. Straciłem starego wieloletniego przełożonego, ale zyskałem „plecy” w ministerstwie. Na jego miejsce przyszedł podpułkownik P. Wysoki, przystojny, dobrze zbudowany. Bardzo żywy i inteligentny. Jakoby z książęcego rodu. Przynajmniej tak głosiła fama, a przede wszystkim on sam. Miał znajomości z generałami i ministrami. Dużo o tym przy lada okazji mówił. W rok później, kiedy otrzymał zaproszenie na doroczny bal Politechniki Warszawskiej, usta mu się nie zamykały, gdy pokazywał niezliczoną ilość tytułów książęcych na kartonie z najlepszego brystolu. Nie zawsze chodził na bale, bo miał szeroki gest, a raczej pustą kieszeń. Pieniądze w żaden sposób nie chciały się go trzymać i miał z tego powodu duże zmartwienia. Żeby jakoś wiązać koniec z końcem wymyślał różne sposoby dzięki znajomościom w szerokim wojskowym i cywilnym świecie. Zaraz po przyjeździe do nas postarał się o tak zwaną koncentrację saperów w naszym garnizonie, celem zbudowania żelaznego mostu ćwiczebnego systemu Kohna przez Wisłę.

Do tego dzieła ściągnięto kilka batalionów saperów z całej Polski. Coś około trzech tysięcy. Sam książę został kierownikiem budowy, a kilku nas wybrał na pomagierów. Saperzy rozlokowali się w namiotach po okolicznych placach ćwiczeń. Praca trwała blisko trzy miesiące. Pracowały dwadzieścia cztery kafary elektryczne do zabijania pali w podpory mostowe. Każda podpora składała się co najmniej z dwudziestu czterech pali. Podpory były sztukowane, a na kierunku żegludowym zaprojektowaliśmy przeszło zwodzone na czterech specjalnych wieżach. Dużo materiału i dużo roboty dla nabrania praktyki przez młodych i nawet starszych oficerów, bowiem nie wszyscy wykonywali dotąd podobną pracę na taką skalę. Książę nasz pływał po Wiśle, a jeszcze lepiej w kasynie. Pieniądzy potrzebował niewiele, bo prawie każdego wieczora starsi i młodszy oficerowie fundowali

⁴⁵ Ministerstwo Obrony Narodowej.

mu chętnie, tym bardziej, że przy okazji urywali się do miasta (Warszawy). Diety szły, kasyno tanie, stolica blisko. Teatry, dancingi, kawiarnie, znajomi. Życ, nie umierać.

Byliśmy zadowoleni z dowódcy. On z nas. Jeszcze niewiele się znaliśmy. Wprowadził stosunki rodzinne i bezpośrednie. Do wielu oficerów mówił po prostu po imieniu. Oni z kolei najczęściej mówili o nim: „Nasz książę”. Po trzech miesiącach most stanął. Na wieżach dyżurował pluton saperów celem przepuszczania statków rzecznych. Pewnej nocy tuż nad świtem przy silnym prądzie statek uderzył burtą w podporę mostu i nie mógł kontynuować podróży. Pasażerowie musieli zejść na most i udać się na stację kolejową. Tej nocy dyżur na moście miał porucznik K., znany, podobnie jak Miecio, ze słabości do panienek lekkich obyczajów. Tym razem był wolny jak ptaszek, a ze statku wysiadły trzy młode dziewczyny z patefonem. Przechwycił je i namówił na spędzenie dnia u niego w mieszkaniu. Zgodziły się chętnie i w porucznikowskim jednopokojowym salonie odbył się bal na sto dwa. Panny dostały jeść i wypić, patefon zawodził tęskne melodie tanga milonga i inne kawałki. Muzyka leciała przez otwarte okna na podwórka sąsiednich domów. Żony oficerów narzekały na brak humoru u kawalerów na potańcówkach czwartkowych i zamykały swoje okna, aby nie drażnić ucha.

Wieczorem panny odjechały całe i zdrowe do swoich rodzin w Warszawie i na pewno opowiadały rodzicom i znajomym o udanej wycieczce.

Nasz nowy wódz był kawalerem i nic go nie trzymało długo w jednym miejscu. Zjawił się niespodziewanie nie wiadomo skąd, niepoprzedzony plotkami. Nie wiedzieliśmy skąd pochodził ani jaką miał rodzinę. Uważaliśmy to za zbyt ciekawe dociekania. Przyleciał po prostu pewnego dnia jak ptaszek i zaczął śpiewać swoją piosenkę, która niebawem miała oblecieć niemal całą Polskę.

Posiadał pewną cechę – wydawał pieniądze na dobre kolacyjki obficie podlane wódeczką. Chociaż pobory dowódcy były niczego sobie, owszem, to jednak próbował szukać innych źródeł finansowania. Wkrótce po przybyciu wystarał się dzięki znajomościom o zlecenie zbudowania parę mostów stałych dla ministerstwa komunikacji. W zasadzie miał rację. Po co psuć materiały na bezowocnych ćwiczeniach, kiedy można pożytecznie pracować dla starosty, budując mosty. I wilk syty, i owca cała. Ministerstwo zaoszczędzi na robociznie, oficerowie otrzymają diety, zachowując normalne pobory wojskowe. Saperzy dostaną dodatki żywnościowe dla ciężko pracujących w polu.

Więc najpierw nad rzekę Słucz w okolicach Sarn. Rzeczka na parę metrów, płytka, przebiega albo raczej przesuwa sennie swoje wody i raptem

most długi na trzysta metrów. Tak, bo brzegi ma niskie, piaszczyste lub podmokłe łąki. Na wiosnę rzeczulka rozlewa szeroko swoje wody i wtedy bez mostu trudno przejechać. Cały pociąg saperów ze sprzętem. Jak na wojnę.

Po wyładowaniu saperzy wraz z oficerami pojechali samochodami. Mnie się zachciało popłynąć do miejsca budowy motorówką. Traktowałem to i jako wycieczkę, i jako okazję poznania rzeczki. Pyrka sobie motorek i ledwo posuwa ciężką łódkę. Po drodze łąchy, przez które trzeba ją przepychać. Saperzy w koszulach pchają więc łajbę przez mielizny. Spotykamy przy brzegach wiejskie kobiety przy praniu. Tłuką namydloną i namoczoną bieliznę specjalnymi trzepakami i wesoło krzyczą w naszą stronę: „Ojej, żołnierzom widać jajca!”

Saperzy nie mają na sobie kąpielówek. Ze wstydem ściągają dołem koszule w węzły i machają rękami do kobiet. Przechodzę przy motorze i czuję swąd przypiekanego ciała. To moje kolano. Przechodząc, zbliżyłem je do rozpalonej rury wydechowej. Nie mam przy sobie żadnych leków, żadnych opatrunków. Miejsce poparzenia na samym zgięciu. Będzie się później paskudzić przez sześć tygodni. Namęczy się nasz lekarz baonu, kapitan Włodek. Będzie mnie straszzył obcięciem nogi, żebym za dużo się nie kręcił po budowie, bo za każdym razem zagojona skóra pęka. Jak się jednak nie kręcić, kiedy każda kompania otrzymała swój odcinek budowy i nie chcę być ostatnim.

Pierwsze dwa miesiące upłynęły przy pośpiesznej wytężonej pracy. Lato było piękne. Nie pamiętam, żeby choć raz padał deszczyk. Czasami znad pół przepływały chmurki w stronę lasków za rzeczką i tam znikają za wierzchołkami sosen. Lasy te ciągnęły się kilometrami. Staliśmy w dość dużej wiosce, odległej od Sarn o siedem kilometrów. Do miasta wiódł szeroki piaszczysty gościniec, po obu stronach którego rosło marne żytko. Długie wąskie miedze między zbożem prowadziły z z jednej strony do rzeczki, z drugiej w nieznaną.

Pod wieczór, po pracy, jeździliśmy samochodem ciężarowym do miasta, w jedynej możliwej restauracji zjeść dobrą kolację i wypić parę kieliszków wódki lub kilka butelek wina. Wracaliśmy późnym wieczorem. Niekiedy zastawialiśmy już tam naszego lekarza, który miał mnóstwo wolnego czasu na świeżym powietrzu. Wychodził piechotą wcześniej, wiedząc że i tak przyjedziemy samochodem.

Pewnego pięknego popołudnia przyszedł przed nami do miasta i wypuścił się na zwiedzanie okolicy. Miasto zostawił za sobą i znalazł się w szczerym polu. Szedł miedzą. Było już po żniwach. Na polu stały kopki zboża, czekające na zwiezenie do stodoły. Ze ścierniska wyłaziła wyka.

Niespodziewanie zza snopów wyszła młoda kobieta. Jakby wystraszona niespodziewanym pojawieniem się mężczyzny zaczęła uciekać. Włodek się uśmieł i pomachał do niej ręką. Zwolniła i obejrzała się. Włodek przyspieszył kroku, wtedy ponownie odbiegła. Przystanął. I ona przystanęła. Jakiś czas rozgrywali taką dziwną igraszkę. Wreszcie kobieta przykucnęła, a kiedy wstawała ukazała skrawek błyszczącego w słońcu białego ciała. Musiała na sobie nie mieć nic więcej od spódnicy. To podnieciło Włodka. Zachował się nieprzyzwoicie. Pogroziła mu i poszła dalej. Gonitwa po polach skończyła się wyjściem na jedną z bocznych ulic miasta.

Zrównali się wreszcie i spojrzeli sobie w oczy. Kobieta dopiero teraz zobaczyła, że ma do czynienia z wojakiem. Stała się łagodniejsza i zaczęli rozmawiać.

Właśnie do niej urwał się pewnego razu po kolacji w Sarnach. Wróciliśmy na wieś bez niego. Nazajutrz w gorące południe sunął ciężko po piasku gościńca. Był podwójnie pijany: po dwóch pożegnalnych kieliszkach i z przesytu miłości, jaką tej nocy obdarzyła go przygodna znajoma. Łażł tak i ledwo zauważył wielkiego wilczura idącego miedzą. Psisko zawarczało, łypnęło groźnie ślepiami i ruszyło w jego stronę. Odbyło się to tak niespodziewanie, że Włodek nie miał w ogóle czasu się wystraszyć. Nie zdążył się nawet zjeżyć mu włos na głowie. Miał co prawda przy sobie pistolet, ale rękę mocno niepewną. W takim zaś przypadku lepiej niepotrzebnie zwierzca nie prowokować. Okazało się, że wilczur chciał tylko przekraczać drogę w kierunku drugiej miedzy, która wiodła do lasu. I tak po obejrzeniu siebie wzajemnie każdy podszedł swoją drogą.

Wieść o powrocie Włodka na niepewnych, chwiejnych nogach rozeszła się szybko po wsi. Podziwiali spryciarza i szczęściarza koledzy i śmieli się, że nie jest wcale taką boską nieudacznikiem. Tak się jednak złożyło, że akurat tego wieczora zjechała jego małżonka w odwiedzin. Lekarz zajmował dużą izbę w chacie gospodarza. Rankiem pani doktorowa wydała opinię, że wiejskie powietrze nie służy jej mężowi, gdyż źle wygląda i jest jeszcze większym niedołęgą, niż w garnizonie. Potakiwaliśmy grzecznie, opowiadając o przygodzie męża z wilkiem, co prawdopodobnie wpłynęło na chwilowy brak jego sił vitalnych. Ubolewaliśmy, że przyjechała właśnie w tak niesprzyjającym momencie. Na przyszłość przed wyjazdem radziliśmy zasięgnąć porady jakiejś dobrej wróżki. Po dwóch dniach doktorowa odjechała, bo w sienniku zagnieździły się pchły i nie mogła spać. Całą noc słuchała chrapania Włodeczka, a na podwórku koń chrząścił owsem.

– To życie dla ludzi twardych – powiedziała przed odjazdem. – Muszę się postarać, by mąż prędzej wrócił do domu. Mężczy się tu biedaczek.

I odjechała troskliwa małżonka. Tymczasem Włodeczek przy obieraniu kartofli przyuważył młodą czarnulę. Aż się zdziwił, skąd tu na kresach, wśród białych kobiet, mogła znaleźć się taka przystojna Cyganicha. Zapytał, czy potrafi uprać bieliznę. Potrafiła, zgodziła się i zaczęła przychodzić do izby gospodarskiej. Kiedy przyniosła pięknie uprasowaną bieliznę, poczęstował ją czekoladą i innymi dobrymi rzeczami. Siedziała do późna w nocy. I tak zaczęła przychodzić wieczorami do tego niedołęgi. Żeby nie budzić gospodarzy, nauczył ją wychodzenia oknem. To go właśnie zgubiło. Co noc przez wieś przechodziła w różnych godzinach zmiana warty. Którejś nocy wypadło to w czasie, gdy okno kwatery Włodeczka uchyliło się i ukazała się w nim kobieca sylwetka. Żołnierze przystanęli przy płocie.

– Patrzcie, chłopcy – rzekł rozprowadzający wartowników. – Ktoś okrada mieszkanie naszego lekarza.

– Dobrze, że tędy przechodzimy – mruknął jeden z saperów.

– Czekać, złapię ją od razu jak tylko zeskoczy na dół – powiedział drugi.

– Dobrze – odpowiedział rozprowadzający. – Otrzymamy podziękowanie od kapitana, a może nawet zwolnienie z zajęć nawet. Kapitan jak zechce, to napisze takie lipne.

I złapali kobietę tuż przy oknie. Nie chcieli puścić. Narobiła pisku. Z okna wyjrzała twarz kapitana.

– Co się tam dzieje? – zapytał lekarz.

– Myśleliśmy, że to złodziejka, panie kapitanie...

Saperzy pomogli w ten sposób pani doktorowej. Tydzień później przyjechał na praktykę lekarz rezerwista. Włodeczek skorzystał z okazji i powrócił na łono macierzyńskie. Nie mógł znieść naszych częstych pytań: „Włodeczku, jak tam ze złodziejką?”

Małżonka i w to nie uwierzyła. Przypisywała kolegom rozsiewanie złośliwych plotek pod adresem niedołęznego Włodeczka, któremu bezgranicznie ufała. A sama była kobietą kochliwą i kiedy po wrześniowej kompanii męża zabrakło, zadurzyła się bez pamięci w byłym artylerzyście i oddała mu siebie bez zastrzeżeń do końca życia. Nim to nastąpiło, przeszła dużo rozczarowań i nieporozumień w stylu „kochana, nie kocha”. To od niego odchodziła, to znów wracała. Była nim całkowicie odurzona, czego ten brutal wcale nie doceniał.

Nadszedł niedobry okres dla gospodarzy wsi. W rejonie budowy mostu nad samą rzeczką leżały rozległe pastwiska. Chłopi wyprowadzali tam swoje marne chude koniki i zostawiali na noc bez opieki. Pewnego poran-

ka, idąc na budowę, zobaczyliśmy połowę konia, łeb z wyprutym brzuchem, niedojedzone przez wilki. Musiały przyjść z lasu zza rzeczki, którą przepływały bez trudu. Najciekawsze było to, że każdej nocy stał przy moście wartownik. Zapytany, czy nie słyszał czegoś podejrzanego, oświadczył, że owszem: coś tam niby daleko piszczało, trzepotało, ale była ciemna noc i nie mógł czegokolwiek dostrzec. We wsi uspokoiło się, dopóki po kilku dniach wilki zjadły drugiego konia. Wtedy gospodarze przyszli do nas z prośbą o zapolewanie na wilki. Owszem, zrobiliśmy obławę trzema kompaniami, ale figę złapaliśmy. Ktoś tam krzyczał, że widział ogon wilka, ale tyle po nim było. Musiały nas wyczuć i ujść dalej w las.

Po tych wydarzeniach postawialiśmy na noc dwóch wartowników na moście i poleciliśmy strzelać w wypadku niewyraźnego zachowania się koni. Wartownicy dla własnego bezpieczeństwa nie stali na dole, lecz włązili na most. Nie tyle bali się wilków, ile ciemności nocnych, kiedy nie wiadomo o jakiej porze i z której strony może wyskoczyć wróg. Ale po obławie wilki zostawiły konie w spokoju.

W tym czasie kilku nas nawiązało znajomość z popem sąsiedniej wsi Strzelce, położonej o pięć kilometrów od rejonu budowy mostu. Pop, oprócz dobrych kolacji i nalewek, miał dwie przystojne córeczki po osiemnaście, dwadzieścia lat. Chodziliśmy we trójkę, uzbrojeni w pistolety i latarki elektryczne na wypadek spotkania się z wilkami. Kilkakrotnie widzieliśmy na łąkach podejrzanе cienie. Gdyby to były wilki, to i tak uszłyby przy świetle latarek. W każdym bądź razie woleliśmy nie oglądać ich z nazbyt bliskiej odległości.

Parobek popa, łażąc po lasach za grzybami, natrafił na młodego wilczka wielkości kota. Miał grube łapy i bardzo nieproporcjonalnie do tułowia wielki łeb. Zaczęli go oswajać i stał się takim domowym psiakiem. Próbował gonić domowe ptactwo, ale gdy dostał parę razów, to zachowywał się już całkiem przyzwoicie. Jedyłą wilczą cechą zostało mu odwracanie łba do patrzących na niego osób, łypanie ślepiami i szczęknięcie zębami. To ostatnie było bardzo charakterystyczne i sprawiało dość dzikie wrażenie. Zupełnie jakby naprawdę chciał kogoś capnąć. Rósł jak na drożdżach. Chcieliśmy go zabrać do garnizonu. Dookoła wielkiego domu parafialnego ciągnęły się lasy, do których wilczek zaglądał i wracał, kiedy był głodny. Pewnego dnia nie wrócił na noc. Wszelkie poszukiwania i nawoływania nie dały rezultatu i wilczek przepadł.

Nie przeszkadzało to moim kolegom opróżniać karafeczki i grać z popem w karty. Grałem rolę swata, chyba tylko dlatego, żeby były lepsze kolacje i smaczniejsze wódeczki. Panny były skromne. Grzecznie tań-

czyły i mało się śmiały. Bały się widocznie taty. Trudno powiedzieć na ile lubiły polskich oficerów. Nasza polityka na kresach nie była wówczas sprzyjająca przyjaźni z mniejszościami. Spędzaliśmy tam wieczory raczej z powodu innych kontaktów towarzyskich. Pop był zadowolony, że gości oficerów.

Po trzech miesiącach most był gotów. Nadszedł czas zwolnienia starszego rocznika do rezerwy. Urządzono pożegnanie. Około dwustu saperów, zdrowo podchmielonych przez dowódcę baonu z udziałem miejscowych władz cywilnych, musiałem odwieźć do garnizonu celem rozmundowania i formalnego przeniesienia do rezerwy. Saperzy w drodze narobili szkód władzom kolejowym i zachowywali się niezbyt odpowiednio. Mogła być z tego chryja, ale kiedy ministrowie dowiedzieli się kto żołnierzy spoił, dali spokój i saperom, i dowódcom wojskowym.

Niebawem cały batalion wrócił do garnizonu. W tym czasie oprócz mostu na Słuczy kompania szkolna zbudowała drugi mniejszy most też w okolicach Sarn. Nastąpiła dwuletnia przerwa w wyjazdach. Znowu wróciliśmy do monotonnego życia w garnizonie i przesuwania szaf raz w tygodniu w kasynie. Zabawy były bardziej ruchliwe dzięki nowemu dowódcy, który nie mógł usiedzieć spokojnie.

Dumał nad nowym wypadem i wykombinował budowę żelaznego mostu wysokowodnego w Grodnie na Rumłówce przez Niemen. Miał być zbudowany jako zapasowy most I klasy dla ruchu cywilnego, a na wypadek wojny służyć do przetrzucania ciężkiego sprzętu. Najpierw wyjechała ekipa pomiarowo-projektowa. Ruszyło trzech oficerów z zastępcą dowódcy, majorem Z., naszym byłym asystentem z wytrzymałości materiałów. Człowiek ciężko zbudowany, małowówny i odważny, znał się na rzeczach i niejednego z nas wprowadzał w arkana techniki. Po miesiącu projekt był gotów i w lecie 1931 roku prawie cały batalion wyjechał na budowę.

Rozpoczęło się prawdziwie polowe życie, mimo że byliśmy tuż przy takim mieście jak Grodno i niecały kilometr od jego przedmieścia, Nowego Światu. Do kasyna oficerskiego chodziliśmy tylko na późne obiady połączone z kolacją. Cały dzień spędzaliśmy właściwie na budowie. Najsmaczniejsze posiłki miewaliśmy w południe: kawał zwykłej kiełbasy (nie takiej jak dziś) obsmażonej na rożnie nad ogniskiem i zapijanej butelką piwa. Kratownicę do mostu ofiarowało wojsko ze starych zapasów, resztę finansowało ministerstwo komunikacji. Zrobiło się przetarg na dostawę drewna i śrub. Dostawcą drewna została firma Kapliński i S-ka, do której należał między innymi lekarz dentysta, którego nazwiska już nie pamiętam. Dostarczenia śrub podjęli się Kornfeldowie w Warszawie.

Do naszej dyspozycji stały dookoła miejsca budowy niezliczone tratwy. Długie, proste jak gwoździe sosny na pale do podpór dostarczane były wodą. Saperzy wybierali co lepsze sztuki, odcinali wierzchołki i same najlepsze pnie zabierali do budowy. Wszystko co krzywawe lub cienkie zostawało na rzece do dyspozycji firmy. Przedstawiciel co kilka dni zaglądał na budowę, kiwał głową i mówił: „Wielkie nieszczęście było handlować z wojskiem. Jak tak dalej pójdzie, to za miesiąc firma splajtuje. Jak można tak przebierać dobry towar”. „Kapliński bogaty. Nic mu nie będzie do śmierci” – śmieliśmy się i robiliśmy dalej swoje.

Praca posuwała się ociężale. Pale mostowe nie chciały wchodzić w ziemię, natrafiając na skaliste warstwy gruntu. Kafary parowe i elektryczne pukały od świtu do wieczora. Pale ledwo się posuwały, kilka centymetrów za każdym uderzeniem, a w wielu wypadkach zawijały się, pękały i wyciągnięte wyglądały jak postrzępione patyki. W wielu miejscach musiano przebijać otwory palami stalowymi. Szło to opornie i harmonogramy budowy łamały się z każdym dniem. Nie byliśmy geologami, żeby przedtem zbadać grunt. Badania powierzchniowe napawały otuchą, która stopniowo ustępowała rozczarowaniu. Najmniej martwił się tym nasz kochany podpułkownik, który uważał, że każde usprawiedliwione opóźnienie jest jeszcze jedną okazją do otrzymania diet. Pod jesień zaczął pokazywać swój charakter. Wprowadził swój nowy system uczestniczenia w kierowaniu budową. Wstawał koło południa i rozpoczynał urządowanie od lokali gastronomicznych. Dobrze śniadanko z wódeczką. Potem takież obiadek. Wszędzie szefowie zakładów i kelnerzy witali go z niskimi ukłonami, bo nie tylko dawał zarobić, ale rozdawał – jak to leżało w jego charakterze – sowite napiwki.

Jak może inaczej postępować człowiek z rodu książęcego? Wszyscy muszą pana znać i schylać głowy z daleka. Bieda była wyłącznie w jednym. Rachunczki i sute napiwki w zawrotnym tempie pochłaniały nie tylko gaże, ale i diety. Około piętnastego każdego miesiąca kieszeń książęca była już pusta. Jak tu wybrnąć z takiej sytuacji? Trzeba pieniądze zdobyć. Ale jak? Najprostszy sposób – pożyczyć. I zaczął pożyczać. Od kogo? Od własnych podwładnych. Młodszy oficerowie na budowie dobrze zarabiali, żyli skromnie. Co więc szkodzi brać od nich po parę złotych. Od jednego się weźmie, drugiemu odda i jakoś się leci. Czasem się odda, czasem zapomni. Oficerowie wstydzą się upominać. Przecież to ich dowódca. Na pewno pamięta. Odda później. I tak się ciągnęło. Apetyt na coraz lepsze kolacyjki rósł, w kieszeni hulał wiatr i trzeba było wpadać na coraz nowe pomysły.

Najbardziej podobał mi się nowy niezawodny system jądania kolarci w towarzystwie któregoś z najbardziej oszczędnych oficerów. Jednym z nich byłem właśnie ja. Podjeżdżał wódz samochodem pod wieczór na budowę i po prostu rzucił: „Wsiadaj, pojedziemy coś zjeść”. To coś trwało zazwyczaj co najmniej trzy godziny i kiedy nadchodził moment płacenia rachunku, pułkownik brał mnie na stronę i mówił bez zmrżenia oka: „Wiesz co, nie wziąłem portfela, daj mi trzysta złotych, jutro ci oddam. Nie wypada, abys płacił za mnie”.

Przyparty do muru musiałem dać, bo inaczej to kompromitacja również dla mnie, bo przecież siedziałem i jadłem przy tym samym stoliku. W takich przypadkach nigdy się nie mylił co do zawartości portfela zapraszanego. Ze zwracaniem pożyczek było różnie. W rezultacie siedział w kieszeni u większości podwładnych, choć wcale nie był smutny z tego powodu. Stawał się tylko bardziej służbowy, jakby chciał zaznaczyć, że służba to nie družba. „Jutro jadę do ministerstwa – odezwał się do mnie któregoś dnia – przygotuj pismo i przynieś do mnie do domu o jedenastej wieczorem do podpisu. W kancelarii leży brudnopis”.

Kazałem szefowi kompanii przepisać wszystko dosłownie i wieczorem zameldowałem się u dowódcy. Przeczytał pismo, leżąc na kanapie, i rzekł:

– Co to za bzdury mi przynosisz?

– To przecież tekst pana pułkownika... – odpowiedziałem.

– Głupstwa pleciesz – stwierdził, wziął papier, ołówek i napisał nieomal to samo. – Każ to przepisać na maszynie i przynieś mi do podpisu o piątej rano, bo o szóstej mam pociąg.

– Przecież o tej porze już dawno nikogo nie ma w kancelarii.

– To ściągnij kogo trzeba. Ma być gotowe.

– Szef kancelarii poszedł do kina...

– Ściągnij więc z kina. Jaki w tym problem? Nic mnie zresztą nie obchodzi, ma być rano gotowe.

Takie urzędowanie stało się coraz częstsze, aż wreszcie było na porządku dziennym. Cały dzień pracowałem przy moście, zaś w nocy ganiałem z papierami lub, co gorsza, musiałem siedzieć w knajpie i co rusz płacić rachunki w formie pożyczki. Byłem gotów do otwartej wojny i czekałem tylko na odpowiednią okazję. Sam mi ją niebawem dostarczył. Któregoś popołudnia wezwał mnie do swojego pokoju w hotelu, posadził w fotelu i oświadczył:

– Musisz skombinować dla mnie pięć tysięcy.

– Nie za bardzo pojmuję... – odparłem skonsternowany.

– Chyba nie jesteś taki matoł, aby nie rozumieć prostych rzeczy.

- Nie mam takiej kwoty...
- Ja nie o tym mówię.
- A o czym?
- O tym, że trzeba skombinować z kasy.
- Jak?
- Zrobić parę fałszywych protokołów przyjęcia drzewa.
- A kto podpisze?
- Twoi koledzy.
- A jeśli nie zechcą?
- Nie muszą o tym wiedzieć.
- Ale sierżant musi zaprzychodować do książki materiałowej.
- To zrób to sam.
- Kiedy sierżant zawsze jest i dałem mu rozkaz, żeby książek nikomu nie dawał.
- To wyślij go na kilka dni na urlop.
- Tego nie zrobię.
- To jak będzie z tą gotówką.
- Nic nie będzie.
- Zgłupiałeś?
- Właśnie, że jeszcze nie.

Nie wiem czy zrozumiał właściwie moje ostatnie powiedzenie, ale wstał nachmurzony i rzucił:

- Wynoś się i zapomnij o tym.

Wyniosłem się, ale nie zapomniałem do dzisiaj. Postanowiłem natychmiast przenieść się do innej jednostki. Tydzień później przyjechał na inspekcję szef Departamentu Saperów, generał Kosakowski. Skorzystałem z tej okazji i zameldowałem, że chcę złożyć prośbę o przeniesienie.

Generał powiedział o tym dowódcy baonu. Zawołali mnie do kancelarii na rozmowę i generał zapytał:

- Dlaczego chce się przenieść?
- Nie mogę pracować w tym batalionie.
- Z powodu?

- Z różnych powodów – stwierdziłem i spojrzałem na swojego dowódcę. Patrzył w dół i zagryzał wargi. Czułem, że bał się mojej szczerej odpowiedzi o przyczynę zatargu. Potem raptem wstał, uśmiechnął się i zameldował generałowi:

- Nigdzie on nie pójdzie. Jest dobrym oficerem i jest nam potrzebny.
- Odmeldujcie się – zwrócił się do mnie – i nie myślcie o żadnych głupstwach.

Posłuchałem. Nie nalegałem. Zostałem. Robota szła opornie. Zbliżała się zima, a z planem byliśmy daleko w tyle. Najpierw zamarzła rzeka. Potem przyszła odwilż i wysoka woda, która zabrała nam rusztowania. Dolne podpory były gotowe. Trzeba było sztukować do wysokości kilkunastu metrów. Postawiliśmy nowe rusztowania, które zostały ponownie zabrane wiosennym zrywem lodów. Ale już ich nie potrzebowaliśmy. Dolne partie mostu były gotowe. Zostało wykończenie. Wiosna przyszła nagle i wieczorami w sąsiednich zaroślach i laskach zwodziły trele słowiki. Wróble obsiadały szopy przy polowej kuchni i czekały na okruchy żołnierskiego chleba. Woda opadła do normalnego stanu, słońce przygrzewało. Zdejmowaliśmy mundury i grzeliśmy plecy, siedząc na balach w czasie przerw w pracy.

Dentysta reperował nam zęby, biorąc tylko za materiał w nadziei, że będziemy bardziej tolerancyjni przy odbiorze materiałów drzewnych. Kiedyś przyszedł z butelką dobrego wina i oświadczył, że kupił je dla swojej ukochanej żony na jej imieniny. Żartując, butelkę odkorkowaliśmy i wypiliśmy za zdrowie solenizantki. Rozochocony, zaprosił nas trzech na kolację do domu. Poszliśmy. Ciekawi byliśmy jego domu, żony, rodziny i gości. Nigdy nie byliśmy na imieninach w żydowskim domu. Solenizantka, wysoka przystojna Żydówka, okazała się kobietą kulturalną i przyjęła nas z otwartymi ramionami. Było sporo gości, trochę speszonych obecnością trzech oficerów. Po słodkich wódkach, winie i innych delicjach towarzystwo się rozkręciło i nie zwracało na nas uwagi. W tym wszystkim jedno było śmieszne – wychodząc kombinowałem tak, żebym nie musiał pocałować pani domu w rękę. Nie wiem dlaczego wzbraniałem się przed tym w stosunku do tej sympatycznej przecież kobiety. Widać wylazła jakaś kiepska cecha w moim charakterze, będąca chyba dziedzictwem wielu pokoleń.

Saperzy nudzili się jak mopsy. Nie dawaliśmy przepustek do miasta. Kiedyś w niedzielę dwóch saperów poszło do najbliższego przedmieścia i tam nawiązało znajomość z dziewczynami. Miejskowa kawalerka (a przedmieście uchodziło za niebezpieczne) stłukła ich na kwaśne jabłko. Byli to akurat spokojni chłopcy z Polesia. Na drugą niedzielę wybrała się paczka saperów, antków warszawskich, i dała wciroy cywilom. Od tego czasu do odjazdu batalionu można było zobaczyć co wieczór wyjątkowy dla tej dzielnicy obrazek: na ławeczce przy każdym ganku siedziała dziewczyna z saperem. Ich cywilni amanci siedzieli cichutko w domu, nim saperzy nie poszli w świat. Cóż, nawet w sprawach miłosnych siła odgrywa często decydującą rolę.

Któregoś dnia pojechałem do Warszawy do firmy Kornfeld w sprawie śrub. Po załatwieniu sprawy siedziałem jeszcze w biurze. Kierownik, młody

człowiek, mrugnął do sekretarki, która zaraz wyszła. Sięgnął do szuflady po pięćsetzłotowy banknot i powiedział:

– Chciałbym panu podziękować za miłą współpracę przy dostawie i przyjmowaniu naszego towaru. Pan rozumie, że z wielu względów nie mogę pana zaprosić na dobrą kolację do lokalu. Niech pan nie odmawia i przyjmie ten prezent od naszej firmy.

Popatrzyłem w oczy śmiałego Żydka i rzekłem:

– Proszę natychmiast poprosić sekretarkę do biura.

Speszony handlowiec wykonał moją prośbę. Sekretarka weszła z dyskretnym uśmiechem przekonana, że transakcja została już pomyślnie załatwiona. Miałem wrażenie, że młoda, zgrabna i przystojna Żydóweczka doskonale wiedziała o zamierzonej propozycji pod moim adresem. Przyjrzałem się im dokładnie i powiedziałem do kierownika:

– Proszę pieniądze dać na cele dobroczynne i nie być takim śmiałym przynajmniej w stosunku do mojej osoby. Może ktoś panu zrobić niechący krzywdę, a szkoda, bo firma naprawdę solidnie wywiązała się z umowy. To powinno nam i panu wystarczyć.

Lekko zbladł. Z twarzy sekretarki znikł uśmiech. Wydała się brzydszą. W tym momencie pomyślałem o swoim pułkowniku. Z nim chyba mieliby łatwiejszą sprawę. Powiedziałby prawdopodobnie, że uważa to za pożyczkę. Z oddaniem na święty nigdy.

Po dziewięciu miesiącach most wreszcie stał. Podobno stoi po dziś dzień. Może przydał się przy pościgu za niemieckimi faszystami. I to byłoby dobrze.

Po powrocie do garnizonu wyjechałem na urlop. W gorący lipcowy dzień siedziałem na leżaku w cieniu sosen Śródborowa, kiedy niespodziewanie stanął przede mną porucznik żandarmerii. Chociaż nie poczuwałem się do żadnych grzechów, zrobiło mi się jakoś nieswojo. Oficer wyciągnął arkusz czystego papieru.

– Proszę dokładnie napisać, co pan wie o pułkowniku P. Szczególnie o stosunkach prywatnych między waszym dowódcą a wami, młodszymi oficerami. Może jakieś rozrachunki.

Zbaraniałem. Musiało coś się przesądzić do garnizonu z budowy mostu. Może koledzy coś nagadali, może ktoś z restauracji? Trudno było mi snuć przypuszczenia. Żandarm nie ujawniał niczego, co mogłoby naprowadzić mnie na jakiś ślad. Wobec tego usiadłem przy stole, opisałem metodę pracy dowódcy i podałem, że jest mi winien osiemset złotych. Koniec. Podpis.

Kanar⁴⁶ pojechał. Dalej grzałem się w aromatycznym gorącym powietrzu sosnowym. Po powrocie do garnizonu, dowiedziałem się, że pułkownik P. siedzi w więzieniu na Dzikiej. Nie starałem się wniknąć w tak poważne działania ze strony władz wojskowych. Zrobiło mi się przykro. Bałem się, że moja pisanina w pewnej mierze przyczyniła się ku temu. Trudno. Wcześniej lub później – musiało się to stać. Epilog tej sprawy miał miejsce po kilku miesiącach w Wojskowym Sądzie Okręgowym. Przedtem były dowódca poprosił mnie do więzienia i oddał osiemset złotych, bym mógł na rozprawie zeznać pod przysięgą, że nic mi nie jest winien. Byłem jednym z ważniejszych świadków. W dużej mierze od moich zeznań zależał ostateczny wyrok. Pytano mnie, czy pożyczki u oficerów młodszych wpływały na rozluźnienie dyscypliny i czy oficerowie z tego tytułu mieli jakieś specjalne ulgi lub przywileje. Zeznawałem łagodnie i dyplomatycznie, raczej na korzyść podsądnego, tym bardziej, że jednym z asesorów był kapitan z moich roczników, późniejszy generał K. Jakoś zrobiło mi się żal podsądnego, który z człowieka o tak wielkim tupecie i książeńcych tytułach stał się teraz skruszonym barankiem.

Wyrok zapadł po kilkugodzinnej rozprawie wyrokiem sześciu miesięcy więzienia z zaliczeniem okresu pobytu do rozprawy, czyli od razu P. wyszedł na wolność. Ledwo to się stało, zjawił się u mnie w mieszkaniu z prośbą ponownego pożyczenia oddanych mi niedawno ośmiuset złotych. Kiedy nie ujawniłem ku temu wielkiej chęci, o mało nie ukląkł przede mną i prosił, żebym go nie wtrącał w nędzę, bo jest winien właśnie taką sumę adwokatowi i musi natychmiast mu oddać. Przyrzekał solennie oddawać po dwieście złotych z przyszelej emerytury. Jeszcze raz mu uwierzyłem.

Sąd honorowy dla starszych oficerów nie podjął sprawy i dzięki temu były nasz dowódca nie został zdegradowany i zachował prawo do zaopatrzenia emerytalnego. Emeryturę owszem pobierał i kazał mi co miesiąc przychodzić do siebie niby po ratę pożyczki. Zawsze miał pilne wydatki i odkładał spłacanie długu na następny miesiąc. Chodziłem kilka razy. Wreszcie mi się znudziło i powiedziałem, że więcej nie przyjdę, bo szkoda zelówek. Wcale tym się nie przejął, może nawet w duszy się ucieszył. Marna to była dusza.

W czasie wypadków wrześniowych jakoby ktoś go widział na froncie północno-zachodnim. Może chciał się zrehabilitować, może kręcił się w poszukiwaniu przygody. Niestety, nie mogłem uwierzyć w odrodzenie tego człowieka. Pozostał w mojej pamięci na zawsze z czarna plamą.

⁴⁶ Zwyczajowa nazwa przedwojennych żandarmów, od żółtego – kanarkowego – koloru otoków.

W międzyczasie na dowódcę przyszedł pułkownik M., oficer zupełnie innego pokroju. Cichy, spokojny, pracowity urzędnik. Powiadam urzędnik, bo ślepo wierzył w papierki. Był pod tym względem pedantem nie z tej ziemi. Miał własny domek w Warszawie, gdzie zostawił na stałe małżonkę, kobietę niepospolitej piękności, bardzo żywego charakteru i umysłu. Sam zamieszkał w pokoju kawalerskim i przyjmował żonę raz na tydzień lub dwa tygodnie.

Zostałem przy nim adiutantem baonu. Na tym stanowisku zakończyłem chlubnie służbę w przedwojennym wojsku. Miałem istne utrapienie z urzędowaniem. Jeżeli wytrzymałem trzy lata, to tylko dlatego, że na wodza nie można było ani się gniewać, ani go opuścić. Przychodził do dowództwa punktualnie o ósmej rano; kazał przedstawiać sobie do wglądu różne tajne akta; stale przyjmował rozmaitych pracowników sztabu i przed podpisaniem każdego pisma przerabiał je kilkakrotnie, kazał przepisywać na maszynie i znowu nad nim medytował. I tak siedziałby cały dzień, gdyby oficerowie dowództwa nie uciekali o dwunastej na obiad do kasyna lub domu, ponieważ przerwa obiadowa w ćwiczeniach i urzędowaniu w sztabie trwała od dwunastej do czternastej. Z początku miałem nadzieję, że kiedy nie będzie miał z kim poprawiać papierków, to pójdzie o właściwej porze zjeść świeży i gorący obiad, a i ja z nim. Niestety. Musiałem znowu podać mu jakieś akta, które z uwagą studiował. Mijały kwadransy i godziny. Kiedy zobaczył przez okno, że oficerowie idą do koszar, pytał co to się dzieje. Meldowałem, że wracają do zajęć po przerwie obiadowej. Wtedy patrzył na zegarek i mówił: „To już druga? Czas na obiad. Chodźmy”.

I tak jedliśmy odgrzewany obiad. Kucharka była zła, bo nie mogła na czas zrobić porządku, odpocząć i zająć się kolacją. W ten sposób przez trzy lata jadałem z dowódcą odgrzewane lub naprędce przygotowywane obiady. Stosowałem różne metody, jak chowanie wszelkich papierków przed dwunastą, wyrzucałem wszelkich interesantów tuż przed porą obiadową. Nic nie pomagało. Meldowałem kilkakrotnie o przerwie. Zawsze słyszałem odpowiedź „Już, już idziemy”, i znowu ciągnęły się kwadransy. Kiedy narzecznie zbieraliśmy się do wyjścia, do adiutantury przychodził akurat kwartmistrz z papierkami do referowania. Gdybym nie wyciągnął wodza, to chyba urzędowałby bez żadnego posiłku.

Po jakimś czasie stałem się bardziej natarczywy w walce o obiad we właściwej porze. Po prostu krzyczałem na dowódcę. Siłą odbierałem papierki, kłamałem, że zgubiłem klucze od szafy i stosowałem jeszcze inne fortele. Kilka razy udało się, ale niebawem zaczynała się ta sama polka. Atakowany, prosił o przypomnienie mu o zegarze i wyciągnięcie go siłą. Wszystko po-

magało tylko częściowo. To samo działa się z kolacją. Latem trudno było wyciągnąć wodza przed zachodem słońca. Siedzieliśmy co dzień do ósmej wieczór, czyli urzędowałem dwanaście godzin z krótką przerwą na alarmowe zjedzenie obiadu. Ale wytrzymałem. Nie sposób było gniewać się lub poważnie buntować. Ten miły i zbyt porządny człowiek był wprost rozbrajający i zdawało się czasem, że ma się do czynienia z dorosłym dzieckiem, któremu nie wolno przeszkadzać w jego niewinnych zabawach.

W niektóre soboty zaraz po południu przyjeżdżała małżonka dowódcy. Trzeba było nieźle się wysilić, by nawet wtedy zmusić go do zamknięcia gabinetu. Opalona, piękna kobieta, spędzająca wiele czasu w górach, czemu wcale się nie dziwiłem, idąc do kasyna pytała mnie: „Czy mąż jeszcze pana nie zamęczył?” A mąż słuchał i uśmiechał się lekko pod wąsem. Był dumny ze swojego urzędowania.

Do domu do Warszawy jeździł rzadko, chociaż rozporządzał służbowymi autami. Nie ruszał się nawet w niedzielę. Przesiadywał wtedy w biurze, ja zaś razem z nim. Oczywiście, martwił się, że w niedzielę wolałbym jechać do Warszawy. Przyjmował to do wiadomości z pewnym rozczarowaniem, ale mnie nie zatrzymywał. Zostawiałem klucze od szaf z aktami poufnymi i tajnymi zaufanym kolegom.

Pewnego dnia jeden z dowódców kompanii przedstawił sapera do raportu karnego. Ów, po wejściu do gabinetu dowódcy baonu, stuknął obcasami i zameldował:

– Panie majorze, saper Sieradzki melduje się do raportu karnego.

Wódz wytrzeszczył na niego szeroko otwarte oczy i zapytał:

– To wy nawet nie znacie stopnia waszego dowódcy?

Po raporcie nachyliłem się do niego i grzecznie powiedziałem:

– W jaki sposób saperzy mają znać stopień wojskowy dowódcy, jeżeli nigdy bliżej go nie widzieli, a wielu wcale nawet i z daleka.

– Ma pan rację. Jutro o siódmej pójdziemy na plac ćwiczeń.

Poszliśmy. Potem znowu ugrzązł w papierkach. Po kilku dniach przypomniałem o zasadniczych obowiązkach dowódcy. Poszliśmy jeszcze raz zobaczyć bliżej zajęcia. I znowu wrócił do papierków. I tak pozostało. Jak z wychodzeniem na obiady lub kolacje.

Kochany nowy wódz był odwrotną stroną medalu poprzedniego dowódcy. Tą jego lepszą stroną. Tylko przesada papierkowa nie miała granic. Gdy trzeba było zwołać odprawę oficerską, brałem słuchawkę i po prostu wydawałem ustny rozkaz wszystkim szefom kompanii o powiadomieniu o tym oficerów. Przed odprawą pytał mnie:

– Wydał pan zarządzenie?

- Tak jest, panie pułkowniku.
- I podpisali wszyscy?
- Wydałem zarządzenie telefonicznie.
- A jeśli ktoś nie przyjdzie?
- To pułkownik go ukarze.
- Jak mogę karać, jeżeli on nie podpisał?

I tak w kółko macieju. Siedziałem popołudniami w adiutanturze i nie wiedziałem, czym zapełnić czas. Trochę czytałem, trochę gapiłem się przez okno na szeroko rozlane wody Wisły. Pewnego popołudnia usłyszałem krzyk. Spojrzałem na rzekę i zobaczyłem wystające z wody głowy ludzkie, które oddalały się z prądem. Zaalarmowałem telefonicznie łodzie motorowe i wyskoczyłem przez okno. Na brzegu stał bezradnie błąd dowódca holownika. Za chwilę ukazały się łodzie ratunkowe i zaczęły wybierać z wody saperów jak postrzelone kaczki. Był to pluton wartowniczy z cypla w pełnym rynsztunku i z bronią. Przeprawiali się pontonem przy pomocy holownika. Przy brzegu najechali na podwodny pał, saperów przykrył przewrócony ponton, wydostali się wprawdzie spod niego, ale stracili z przerażenia orientację i popłynęli z prądem na środek rzeki. Wyłowieni stali w dwuszeregu i nie mogli powiedzieć, czy są wszyscy. Dopiero sprawdzenie listy imiennej kompanii potwierdziło, że wszyscy ocaleli.

Innego popołudnia wstąpił do mnie dowódca kompanii szkolnej. Gawędziliśmy przy oknie i nie pamiętam z jakiego powodu zaczęliśmy oglądać jego pistolet. Trzymając lufą w stronę futryny, niespodziewanie oddałem strzał. Dowódca baonu rzucił papierki i przerażony wyskoczył z gabinetu. Był przekonany, że popełniłem samobójstwo. Wcześniej bowiem, dręczony coraz późniejszym wychodzeniem na kolację, żartowałem kilkakrotnie: „Nic, tylko się zastrzelić”.

Usłyszawszy strzał przypomniał sobie moje słowa. Patrzy, a my siedzimy sobie przy oknie jak gdyby nic.

- Co się stało? - zapytał.

- Nic. Próbowaliśmy pistolet - wyjaśniłem, na co uspokojony wrócił do swoich papierków.

Jednym z moich częstych gości w adiutanturze był blisko siedemdziesięcioletni obywatel ziemski pan Drozdowski. Miał kiedyś dość duży majątek i słabość do dziewczyn, które pracowały w jego dobrach. Co parę lat wydawał za mąż pannę z dzieckiem, dając w posagu kilka mórg ziemi. W ten sposób jego majątek skurczył się do rozmiarów jako takiej gospodarki, która zapewniała mu na starość możliwie dostatnie życie. Wiódł życie starego

kawalera, otoczony własnymi córkami i synami pod innymi nazwiskami po okolicznych wioskach.

Przesiadywał ten siwy, szczupły człowiek niewysokiego wzrostu na krzeselku w mojej kancelarii, opowiadał o dobrych młodzięczych latach, za którymi wzdychał i zazdrościł młodym porucznikom, że mogą uganiać się za dziewczuchami, a on już nic. „Choćby – powiadał – popatrzeć, potrzymać za kieckę, niechby choć splunęła na moją łysinę i to by mi sprawiło przyjemność. Ale i tego doznać nie mogę, bo dziewczyny młode wiedzą, że morgów już nie mam za dużo”.

I smutnym okiem patrzył przez okno na szarawe wody rzeki po wielkiej ulewie. Wystające łachy zostały zalane, tylko łoży się przygięły pod naporem prądu. Czasami podskoczy mała płotka. Zabłyśnie na słońcu po burzy i schowa w wodzie. Im mniejsza, tym częściej wyskakuje i figluje. Wielkie okazy rzadko tylko uderzą ogonem po wodzie, zawirują i dają murka w głębinę.

Patrzy pan Drozdowski na drugi brzeg rzeki, wciąga odświeżone powietrze w zapadłe płuca, wypuszcza je powoli, mruży oczy i filuternie patrzy na mnie.

– Cholerne jest życie na starość – powiada. – W domu nie usiedzisz, bo pustka dookoła, ludzie od człowieka stronią, jakby źle od niego było czuć. A przecież jeszcze nie gniję. Jeszcze piechotką osiemdziesiąt kilometrów zasuвам i jakby co, tom gotów polkę zawinać. Ale z kim? Nikt mnie nie zaprasza, nie tak jak was młodziaków. Wy to jak struna naciągnięta. Ciągnij smyczkiem i graj, a ja?

– Ale pan dziedzic to swoje wygrał – pocieszam. – Znudziłoby się gdyby człowiek wiecznie był młody. I w dodatku zawsze głupi. A tak się starzeje i mądrzeje...

– Gdzie tam mądrzeje – przerywa dziedzic. – Czasem odwrotnie. Młodemu się zdaje, że wiecznie takim będzie i nic a nic nie myśli o starej głowie. Przychodzi to jednak tak szybko i nieoczekiwanie czar pryska, zaś starość ściska człowieka w swoich suchych rączkach...

Podobały mi się pogaduszki pana Drozdowskiego, jemu natomiast przypominały dobre czasy. Słodko się oblizywał, puszczał parę niecenzuralnych powiedzonek i wracał w swoje strony na wąskie, żelazne łódeczko, przykryte starą, wyświechtaną kołdrą. Kładł starą głowę na twardą poduszkę i zapadał w spokojny sen człowieka spełnionego.

Dostawcą mięsa do żołnierskiej kuchni i kasyna oficerskiego był krępy, mocny Żydek z Zakroczymia. Ma się rozumieć, starał się lepsze dać do kasyna, gorsze wepchnąć do kuchni żołnierskiej. Przy odbiorze musiał

być lekarz i oficer służbowy. O mięsie do kasyna decydowała kucharka, która miała na niego sposób. Jankiel, czyli dostawca, lubił bardzo schabowe kotlety, których on nie dostarczał, a które mieliśmy z własnej hodowli przykoszarowej. Jak tylko zobaczył w kuchni na stole wieprzowinę, nie odstępował od kucharki, póki nie usmażyła dla niego schaboszczaka. Nim podała na stół w kuchni, czekał, oblizując grube wargi. Kiedy mu przygadywano o grzechu wieprzowym, Jankiel uśmiechał się i mówił: „Już ja wolę pójść na sąd ostateczny z grzechami. Przynajmniej będę miał o czym mówić z Mojżeszem”. I poprosił o większy kieliszek pod schaboszczaka.

Z tym kieliszkiem raz było całkiem zabawnie. Podoficer bufetowy przygotował w czystej półlitrowej butelce wodę do rozcieńczenia spirytusu, którą postawił obok butelek z wódką. Ponieważ w tym czasie byłem gospodarzem kasyna (wybieralna funkcja honorowa), wszedłem akurat do kuchni i zobaczyłem Jankiela siedzącego nad ogromnym kotлетem schabowym. Przymówił się do kielicha wyborowej. Weszliśmy do sali bufetowej, wziąłem duży kieliszek, sięgnąłem po butelkę wódki, nalałem i Jankiel jednym haustem wychylił. Byłem przekonany, że ma mocną głowę, gdyż nawet nie zmrużył oka, popatrzył tylko na mnie i rzekł:

– Słaba jakaś teraz wódka...

Nalałem drugiego kielicha. Wypił. Popatrzył na mnie ze zdziwioną miną i oznajmił:

– Pierwszy raz piję taką wódkę.

Spróbowałem. Woda. Wziąłem pomyłkowo butelkę z wodą. W tym momencie wszedł bufetowy. Kazałem dać spirytus. Nalałem podwójny kielich i zaproponowałem:

– Żeby wyrównać, proszę to wypić. Rozcieńczy się w żołądku i akurat będzie na czterdzieści osiem stopni.

Jankiel się uśmiechnął, wychylił, chuchnął i dodał:

– Teraz to mogę dojeść schaboszczaka.

Potem opowiadał jak to częstowałem go wodą. O spirytusie nie wspominał.

Wracając o północy z Warszawy zobaczyłem mocno oświetloną salę jadalną kasyna. Wstąpiłem. Przy stole siedziało około szesnastu oficerów. Byli mocno podpici, a przed nimi stało pełno alkoholu. Ucieszyli się nowym gościem. Zaprosili w sposób nader bezceremonialny do towarzystwa. Wodzirem podbitego grona był kwatermistrz baonu, major W., były legionista i wielbiciel Piłsudskiego, z *Virtuti Militari* za 1920 rok.

Popatrzyłem na nich i powiedziałem:

– Trzeźwy nie pasuje do pijanych – i chciałem wyjść. Zatrzymali mnie siłą i posadzili przy stole. Nalali kieliszek wódki i kazali wypić za ich zdrowie.

– Zdrowia wam życzę, ale za moczymordów nie piję.

I wylałem wódkę do spodeczka.

– Toś ty taki? – zagadał, wstając „Bunio”. – Poczekajcie, zaraz wypiję.

Nalał kieliszek spirytusu i podszedł do mnie.

– Jeżeli nie chcesz wypić zdrowia pijanych, to wypijesz za zdrowie marszałka. Niech żyje Piłsudski!

Wszyscy wypili. Stałem trzymając kieliszek w dłoni. „Bunio” podszedł do mnie.

– Nie wypijesz, „Mułta”?

– Nie.

– Nawet za marszałka?

– Nawet za marszałka.

– Piłsudskiego?

– Piłsudskiego.

– Toś ty taki... Zaraz zobaczymy...

Wziął mnie za kołnierz i dodał:

– Jeżeli nie wypijesz, naleję ci za kołnierz.

Długo nie czekając, kropnąłem kielichem o podłogę. Na błyszczącej posadce powstała wielka plama współczesnego malarstwa.

– Proponuję wyrzucić go za okno – krzyknął „Bunio”.

Podsoczyło do mnie kilku kolegów, zaciągnęło do otwartego okna i zsunęło po parapecie na podwórkę.

– Bardzo dziękuję – rzekłem głośno i szybko zamknąłem się w swoim pokoju w obawie, że przyjdą po mnie. Nie przyszli. Wypadek minął bez echa. Trzeźwi zapomnieli o tym, twierdząc, że byli dla mnie bardzo grzeczni. Tylko ja, wstawiony, naruszyłem ich spokojne spotkanie w noc jesienną.

A dniem, wieczory i noce, zwłaszcza w porze babiego lata, były w naszym garnizonie wybuchem bezgranicznej poezji. Zmęczone już trochę zimniejszą porą krzewy raptem przybierały omdlałe kolory i dyszały przytuliną ciepłotą. Długie, niczym nieprzerywane nici pajęczych wędrowek, pływały w powietrzu, by opleść krzewy i drzewa. Łączyły się z nimi w jedną całość niby lalki omotane wstążkami i tak trwały w ciepłym jesiennym słońcu, rozkosznie drzemały, czekając na zimowy sen. Gęste, lepkie powietrze pieściło ludzką skórę i przychylnie usposabiało do wszystkiego co żyje. Zapraszało do zatrzymania się i trwania razem z przyrodą w tym błogim przeżywaniu łagodnego ciepła. Pogrążona w dusznej atmosferze natura zapadała w nirwanę. Wszelkie troski i kłopoty odchodziły w zaświaty. Bóg

wydawał się taki dobry, taki łagodny. Ziemia oddychała spokojnie, przyjmując balsamiczne powietrze wygrzane ostatnimi promieniami jesiennego słońca. Wszyscy wiedzieli, że długo tak trwać nie może i pewnego poranka przymrozek wszystko zniweczy. Zmęczone życiem listki krzewów i drzew opuszczają główki i wydadzą swoje ostatnie tchnienie.

Pozostaje nadzieja na zmartwychwstanie przyrody w następnym roku. Tylko starsi ludzie nie mają takiej nadziei.

Sprawy mobilizacyjne prowadził kapitan C. Zjechał doń pewnego dnia rotmistrz z DOK-u⁴⁷ na kontrolę. Pracował spokojnie dwa dni. Wspólnie jadali obiady w kasynie. Trzeciego dnia wylażł z nich diabeł. Przerwali urzędowanie o jedenastej, bo raptem poczuli suchość w gardłach. Zamówili w kuchni kasyna cielęce sznycle po wiedeńsku i postawili przed sobą pół litra wyborowej. Nim kotlety doszły na patelnię, wypili po parę kieliszków i zagryźli kanapkami z bufetu.

Podano na stół świeże i pachnące sznycle z jajeczkiem i podsmażonymi kartofelkami. Ledwo dojechali do połowy sznyci butelka była pusta. Kazali podać drugą. Rzadko kiedy odczuwali taki błogostan. Z każdą minutą nabierali poczucia niepohamowanej siły. Mięśnie pęczniały i wymagały wypróbowania ich w jakimkolwiek kierunku.

Kapitan C. powiedział do rotmistrza: „Dawaj, bratku, zobaczymy kto mocniejszy w rękę”. Usiedli przy mocniejszym stoliku, postawili prawe ręce łokciami na stół, uchwycili się dłońmi i dawaj naciskać. Obaj byli prawie jednakiej siły, żaden nie chciał ulec, aż odleciała w stoliku noga. Runęli obaj na podłogę. Wstali, kopnęli stolik, w rezultacie odleciała druga noga – stolik potoczył się w kąt. Wrócili do kieliszków i zapili swoje zwycięstwo nad stolikiem. Spierali się o swoje muskuły, których nadal nie mogli wypróbować w dostatecznej mierze.

Rotmistrz rzekł: „Spróbuj podnieść jedną ręką krzesło za oparcie lub jedną nogę”. „Też mi sztuka” – stwierdził oficer mobilizacyjny. I zaczęli dźwigać krzesła. Raz się udawało, raz nie. Złościли się wtedy, a krzesła cierpiały: dwa poleciały ze znacznej wysokości, bowiem rotmistrz był chłopem wysokim, jak na ułana przystało. Uszkodzony sprzęt lądował w kącie, gdzie leżał już połamany stolik. Zabawa trwałaby prawdopodobnie dalej, gdyby nie wstąpił tam zastępca dowódcy baonu, żeby napić się wody sodowej. Dzięki tej wizycie inne mebelki nie podzieliły losu stolika i krzesłek. Rotmistrz kontroli nie dokończył i odjechał przedwcześnie jako triumfator

⁴⁷ Dowództwo Okręgu Korpusu.

siłowych zmagają. Kapitan C. wkrótce poszedł w stan spoczynku w ramach odmładzania kadry oficerskiej.

Trafił na taki akurat okres. Wmawiano wielu oficerom z byłych armii zaborczych niezdolność do służby wojskowej z powodu różnych przewlekłych chorób i wysyłano na emeryturę. Później w wielu wypadkach żałowano. Moda nie zawsze wychodzi na dobre.

Obowiązki kapelana baonu pełnił ksiądz proboszcz najbliższej parafii, do którego w pierwszym okresie zwracałem się per „pan ksiądz proboszcz”. To była moja pierwsza bliższa styczność z katolickim duchownym na niższym szczeblu hierarchii kościelnej. Potem koledzy uświadomili mnie w bardzo prymitywny sposób: „Nie mówi się, Turku jeden, >>pan ksiądz<<, tylko po prostu ksiądz”. Wydawało mi się to wszakże zbyt poufałe, a może nawet obraźliwe.

Księdza Kuleszę zapraszano do kasyna na brydżki, w czasie których podawano porządne kolacje podlane wódeczką, od której wcale a wcale nie stronił. Później spotkałem jeszcze wielu duchownych katolickich, z którymi żyłem nieraz w przyjaźni. Nie znałem żadnego, który unikałoby dobrego kieliszka. Ksiądz rewanżował się oficerom kolacyjkami lub obiadkami na swoim dworze parafialnym. Jak każdy proboszcz miał gospodynię, kobietę w starszym wieku, która dbała o żołądek swojego chlebowdawcy.

Żeby w tym zabitym deskami małym świecie, chociaż w pobliżu stolicy, życie było znośne, ksiądz trzymał u siebie dwie kuzynki po lat osiemnaście. Dzięki nim na plebanii zawsze coś się działo, zaś w dni pochmurne zastępowały słońce. Były zawsze pogodnego usposobienia. Nie zauważyłem nigdy, żeby interesowały się zbytnio czymkolwiek poza gospodarstwem. Nie tęskniły wcale do szerszego świata. Były całkowicie podporządkowane kuzynowi i uwielbiały go bez zastrzeżeń. Kiedy ksiądz był proszony na zabawę taneczną, to przede wszystkim brano pod uwagę jego młode kuzyneczki, które ożywiały małą salę balową. Co prawda, żony naszych starszych oficerów były wtenczas przegrane, ale ze względu na respekt dla duchownego nie ujawniały swojej niechęci do panienek, które bawiły się do upadłego.

Kiedy jechałem powozem po księdza i kuzynki, miałem zawsze oględną propozycję: „Pojedziemy najpierw sami, a później panienki, bo ludzie mogą plotkować”. Czyli ksiądz wiedział, że kuzynki są asystą niepożądaną na zewnątrz, ale na plebanii były jak najbardziej miłymi stworzeniami, o których i tak parafianie wiedzieli.

W parafii każdego roku odbywała się procesja na Boże Ciało. Na tę uroczystość ksiądz zapraszał dowódcę ze starszymi oficerami i adiutanta. Z racji swojego ostatniego stanowiska bywałem z dowódcą na wszelkich uroczystościach cywilnych, kościelnych oraz wojskowych. Przyjęte było, że w czasie procesji ksiądz prowadzili oficerowie. Tak się jednak złożyło, że z oficerów katolików zgłosił się tylko jeden. Zastanawiano się długo i wreszcie namówiono mnie. Szedłem uroczyście pod baldachimem, trzymając pod rękę księdza w komży z monstrancją. Nikt się nie temu dziwił oprócz kolegów, którzy mieli uciechę z „Turka” nawróconego choćby na godzinkę na katolicyzm. Ksiądz przyjmował moją usługę z wielką powagą i nie przywiązywał żadnego znaczenia do mojego innego wyznania.

Po każdej większej uroczystości kościelnej ksiądz zagarniał oficerów na uroczysty obiad w asyście kilku duchownych z innych parafii i, rzecz jasna, w obecności kuzyneczek przy stole. Kilka dań i kilka karafek z różnymi nalewkami rozwiązywało obecnym języki, ale nigdy nie usłyszałem niczego niestosownego. Żarty pod czymkolwiek adresem były zawsze zawoalowane lekką mgiełką, przez którą sączyły się jedynie słowa skromne, chociaż czasami dobitne. Żart mocniejszy łagodzony śmiechem i obracano w stronę nikomu niezagrażającą.

Przed moim odejściem z wojska ksiądz Kulesza został przeniesiony do innej parafii. Za dużo mówiono o kuzynkach. Na jego miejsce przyszedł równie sympatyczny, przystojny i żwawy ksiądz proboszcz Majchrzak. Był podobno kapelanem tatarskiej jazdy w czasie wojny z bolszewikami w 1920 roku. W tej tatarskiej niby dywizji⁴⁸ był jeden Turek, który potem prowadził na Pradze cukiernię i chyba ze dwóch, trzech Tatarów. Reszta składała się przeważnie z antków warszawskich, rozmaitych obieżyswiatów i kochających przygody, a szczególnie zegarki. Stąd niektórzy nazywali ten oddział „jazdą zegarmistrzów”. Bicie wroga jest ostatecznością – przed nim romanetyka i przygoda. Póki się żyje. Po śmierci koledzy krótko wspominają i nieboszczyk odpływa...

Odejście księdza Kuleszy z parafii uczciliśmy w kasynie przyjęciem. Wyjątkowo wypilem wtedy parę kieliszków i zobaczyłem świat w różnych kolorach. Zaczęto poszeptować o mowie pożegnalnej. Wypchnięto mnie jako gospodarza kasyna. Miałem w zanadrzu dobry w zasadzie pomysł podkreślenia, że nasz ksiądz nie gardził oficerskim towarzystwem, mile nam we wszystkim pomagał, doradzał, przemawiał co niedzielę do

⁴⁸ Chodzi zapewne o Pułk Jazdy Tatarskiej im. Mustafy Achmatowicza, istniejący w latach 1919-1920.

naszych żołnierzy i coś tam innego, a wyszło bardzo śmiesznie i kłopotliwie. Myśli pod wpływem alkoholu poszły krzywymi ścieżkami i w pewnej chwili powiedziałem: „Dziwię się, że ksiądz proboszcz przebywa w takim towarzystwie”. Dostałem szturchańca widelcem w bok od sąsiada i opamiętałem się. Zakończyłem jakoś przyzwicie, były nawet brawa, ale cały miesiąc koledzy w garnizonie pytali: „Jak tam, Turku, z tym księdzem?”

Nowy ksiądz, jak tylko się dowiedział o moim pochodzeniu, uściśkał mnie serdecznie i rzekł: „Byłem kapelanem jazdy tatarskiej, więc proszę uważać mnie tutaj również za swojego duchownego”.

Był bardzo koleżeński. Mimo, że nie miał kuzynek, bywał naszym częstym gościem i czuł się rzeczywiście kapelanem wojskowym, a parafię traktował jako dodatkową funkcję. Także przyjmował nas na plebanii, ale już raczej w męskim towarzystwie. Chyba, że była któraś z żon oficerskich. Najczęstszym gościem był zastępca dowódcy baonu ze swoją małżonką. Zaczynała para ważyła razem ponad dwieście kilogramów. Kiedy podstawiano powóz, musieli jeździć kolejno, bo nie tyle zachodziła słuszna obawa o resory, lecz po prostu nie mogli się zmieścić razem.

Na Bugo-Narwi przy moście oglądałem próby pływających transporterów z zachodnich krajów. Raptem jedną sztukę. Ale kilku naczelników miało okazję pojechać na delegację za granicę. Dziwna rzecz, że pierwsza wojna światowa niczego właściwie nie nauczyła naszych starych oficerów i strategów. Po piętnastu latach po odzyskaniu niepodległości Naczelne Dowództwo kładło nacisk na wszystko co przestarzałe i nie wiedziało nic co się dzieje u naszych najbardziej niebezpiecznych wrogów politycznych. Obawiano się Wschodu, patrząc z nie wiadomo jakim oczekiwaniem i nadzieją na Zachód. Jeździło się tam z zawiązanymi oczami i toczono negocjacje z chytrymi lisami. Skutki przyszły same. Opłakane wyniki krótkowzrocznej polityki nie dały długo na siebie czekać. Naród kochał wojsko, ale wojsko było... jakie było...

Wróżbitom w zasadzie nie wierzę, ale nie pamiętam z jakich powodów wybrałem się do wróżki, pani Palej. Zapytała, czy tylko z ręki, czy również z kart. Poprosiłem jedynie z ręki. Zdaje się, że za całe pięć złotych. „Czeka pana daleka podróż. Po powrocie do domu, może dziś, może jutro otrzyma pan list” – usłyszałem. Wyszedłem zaintrygowany przepowiednią, choć próbowałem o niej zapomnieć, gdy następnego dnia przyszło pisemko, że bym się zgłosił w Departamencie Ministerstwa Obrony. Zaproponowano mi wyjazd na wyższe studia wojskowe do Francji. Odmówiłem. Popatrzono

na mnie ze zdziwieniem. Po prostu nie wierzono, że odmówię. Kto by nie pojechał? Spytano o powody.

– Nie chcę kompromitować Polski – odpowiedziałem.

– Nie rozumiemy... Jak to?

– Bardzo prosto: gdybym pojechał, musiałbym skończyć je z pierwszą lokatą. Ponieważ nie mam zdolności technicznych, nie uda mi się tego dokazać. Mam kolegów lepszych w tej dziedzinie ode mnie.

I tu wymieniłem nazwisko. Kolega pojechał. Pokładanych nadziei nie zawiódł: skończył szkołę z wyróżnieniem i tym samym ocalił honor Polaka.

Od tego czasu na wróżbitów patrzę z przymrużeniem oka. Oprócz przypadku jest coś jeszcze w czytaniu przyszłości człowieka. Może znajomość psychologii, może wyraz oczu, może układ naszych kończyn, nasze zachowanie i poszukiwanie rzeczy nieznanymi.

Mamy nowego lekarza: kapitana Markowskiego, kawalera lat trzydziestu trzech. Wysoki, szczupły człowiek, koleżeński i mało mówny. Często zamyślony, ale bez smutku na twarzy. Raczej robi wrażenie zadowolonego z życia, chociaż nie do końca. Gdzieś bardzo głęboko tkwi w nim iskierka niby wątpliwości, niby sceptycyzmu. W wielu okolicznościach zdradza zaniepokojenie i zamyślenie. Gdy był jeszcze chłopcem zakradały się do jego głowy różne na pozór nikomu niepotrzebne myśli. Łaziły pod czaszką jak długie robaczki. Drążyły powoli komórki mózgowe i kazały często zamykać oczy, by w ciemnościach lepiej rozpoznać tajemnice świata. Przyszłego lekarza nie zadowalały wiadomości o życiu na ziemi. Mrużył oczy i patrzył w nieskończoną przestrzeń, chcąc w niej znaleźć odpowiedzi na wiele zagadek.

Największą było dla niego życie człowieka po śmierci. W żaden sposób nie mógł pogodzić się z wiarą w pośmiertne oddzielenie duszy od ciała. I w ogóle w istnienie duszy jako takiej. Chciał koniecznie wyobrazić ją w postaci czegoś uchwytanego, ale jednocześnie popadał w zwątpienie i w żaden sposób nie mógł zrozumieć możliwości istnienia świata ponadzmysłowego. Te rozmyślenia i wątpliwości doprowadziły go nie do filozofii, lecz do medycyny. Uważał filozofię za zbyt atrakcyjną i nie wierzył w rozstrzygnięcie czegoś przez czysto teoretyczne rozważania. Postanowił poznać przede wszystkim człowieka jako istotę realną i zacząć od znajomości jego powłoki cielesnej. Wierzył, że dzięki temu dojdzie powoli do odnalezienia jego duszy, o której mówią wszystkie umysły świata.

Zastanawiał się nad takimi powiedzeniami, jak: „Na dnie duszy”, „Dusza na ramieniu”, „Dusza w piętach”. Według niego wskazywały niezbicie,

że dusza jest stworzeniem, które porusza się, zmienia miejsca. Jest czymś realnym, ale jednocześnie nieuchwytnym.

Przez cztery lata rozbierał człowieka na drobne kosteczki, mięśnie i miękkie części. Wszystko było dokładnie w medycynie opisane, wszystko było jasne – z wyjątkiem duszy. Nie dawała się dotknąć i uchwycić palcami jak inne części ludzkiego ciała. Zaczął poznawać przyczyny umierania człowieka. Były one bardzo skomplikowane, czasem też ogromnie proste. Wystarczyło przykładowo usunąć krew z człowieka i już nie żył. Podobnie jak w przypadku każdego innego stworzenia.

I tu natknął się na zagadnienie, które zaciążyło na jego rozważaniach o stosunku człowieka do świata zewnętrznego. Skoro zgony wszystkich zwierząt są podobne do zgonu człowieka, to musi on być jednym z ich przedstawicieli, ale jednocześnie czymś się od nich różnić. Potrafił bowiem stworzyć nie byle jaką kulturą, ujarzmić wiele zjawisk przyrody, zapisać wiele cennych odkryć i wynalazków i przekazać je pokoleniom na przestrzeni tysięcy lat.

Po kilku latach praktyki z dyplomem w ręku doszedł ostatecznie do przekonania, że dusza człowieka mieści się w jego głowie, czyli w mózgu. I od tego momentu nawiedzały go coraz częściej różne wątpliwości, zrodzone w efekcie życia i współżycia z otaczającym społeczeństwem. Na gmachu zbudowanym jego umysłem pojawiły się rysy i zagrażał runięciem. Rozmawiał z ludźmi, chodził do kościołów, obserwował modlących się do Boga, słuchał kazań duchownych i nie mógł ogarnąć swoich prostych, opartych na myśleniu, założeń o budowie świata i roli człowieka. Kupił Biblię i zaczął ją czytać w wolnych chwilach. Szukał rozwiązania tajemnic wszechświata. Bóg, którego nie mógł w żaden sposób sobie wyobrazić, stworzył wszystko co widzi i co umysł jego może ogarnąć w sześć dni.

Takie to proste i takie łatwe. Im więcej, im dalej się wczytywał, tym większe zwątpienie zakradało się do jego umysłu. Powstawały sprzeczności, którym nie mógł podołać. Nasz lekarz, który mało udzielał się w koleżeńskim gronie, rozpoczynając zgłębianie tajemnic Pisma Świętego odsunął się prawie zupełnie od prywatnego życia poza pełnieniem obowiązków służbowych. Kładliśmy to na kark jego charakteru i staraliśmy się różnymi sposobami ściągnąć go z nieba na ziemię. Czasami nasze działania przybierały charakter rozpustny. Wiedzieliśmy, że z jednej strony marzy o jakimś miłosnym przeżyciu, natomiast z drugiej znowu strony widzieliśmy jego niezaradność lub po prostu wstyd w tych sprawach.

Wielu kawalerów oddawało bieliznę do prania pewnej dziewczynie z pobliskiego osiedla. Miała może lat osiemnaście, może dwadzieścia. Niska, grubawa i małowówna, o ciemnych włosach i piwnych oczach. Zabierała bieliznę

nic nie mówiąc, przynosiła ją dobrze upraną i uprasowaną z rachunkiem i kładła na łóżku, czekając z miłym uśmiechem na pieniądze. Jeżeli ktoś ją przytulił nie odpychała i oddawała się bezinteresownie z dużą dozą obojętności.

Nie oddawał bielizny do prania tylko nasz lekarz Władek. Namówiliśmy dziewczynę aby poszła do niego po poradę i zaproponowała pranie bielizny zamiast honorarium. Uprzedziliśmy ją, że doktor jest człowiekiem wstydliwym i nieobeznany w sprawach intymnych. Zagraliśmy rolę bezinteresownych stręczycieli. Uważaliśmy, że w ten sposób ściągniemy lekarza z obłoków na ziemię, gdyż dochodziły do nas wiadomości o coraz większym pogrążaniu się lekarza w melancholii i oddawaniu się czytaniu Biblii.

Uprzedziliśmy o tym Władka i daliśmy mu do zrozumienia, że może ją czymś poczęstować i być dosyć swobodnym, chociaż jest to dziewczyna całkiem z przyzwoitego domu. Wizyta się odbyła i dziewczyna z humorem relacjonowała nam o jej przebiegu. Władek przygotował zakąski i butelkę dobrego wina. Kiedy dziewczyna udawała, że się spieszy, nie wiedział, biedaczek, jak ją zatrzymać. I prosił, i krępował się, i tak niezdarne się umizgał, że mało nie pękła ze śmiechu, aż musiała po kilku kieliszkach przejąć inicjatywę w swoje ręce. W końcu znaleźli się na tapczanie. Przytulił ją do siebie i powiedział:

– Jesteś odpryskiem mojego ciała.

Dziewczyna nie zrozumiała i ze strachu wytrzeszczała oczy. Bała się pytać i była przekonana, że to jakiś specjalny termin lekarski. W końcu nie wytrzymała.

– Jakim tam znowu odpryskiem? – zapytała.

– No przecież jesteś żebrem moim. Nas dwoje tworzy dopiero całość człowieka.

– Nas dwoje może dopiero stworzyć człowieka – powiedziała już z uśmiechem.

– To o czym pani myśli, wcale mi do głowy nie przyszło i wcale tego sobie nie życzę – przeraził się Władek, tytułując dziewczynę „panią”, gdyż nie miał teraz odwagi mówić jej „ty”.

– Nie ma strachu, doktoru – przycisnęła się do niego lubieżnie. – Tylko nic a nic nie rozumiem, co ma do tego żebro?

– No przecież Bóg wyjął mężczyźnie żebro, by stworzyć kobietę.

– Bzdury pospolite.

– Ja też tak myślę. Macam swoje żebra. Mam zdaje się wszystkie, a kobieta leży przy mnie. Coś tu nie gra. Jeżeli nawet przypuścić, że tak było z pierwszym człowiekiem, to skąd się wziął przed kobietą, skoro ona daje początek życiu człowieka?

– Czy pan doktor zatrzymał mnie, by prawić herezje o stworzeniu świata, czy żeby spędzić czas jak pan Bóg przykazał?

– Już więcej nie gadam o rzeczach, których nie może rozum człowieka pojąć.

I przytulił ją do siebie. Była ubrana w grubą sukienkę.

– Może zdjąć? – zapytała.

– Tak jest – odpowiedział.

– Może zdjąć majteczki? – zapytała kwadrans później.

– Tak jest – potwierdził ochoczo uradowany.

Po tej wizycie pytaliśmy często Władka, jak tam było z tym „Tak jest”. Śmiał się z siebie z pewnym zażenowaniem.

Życie potoczyło się jednak swoją drogą. Przestał dawać bieliznę do prania tej dziewczynie i nasze nadzieje na odnowienie duszy Władka spełżyły na niczym. Nadal czytał Biblię i próbował dojść prawdy wszechświata. Szło mu to bardzo opornie i wpadał w coraz większe wątpliwości.

Tracił sens prowadzenia dociekań w sporze z Bogiem i czuł, że jeśli nie ulegnie Najwyższej Sile, która dała mu życie na ziemi i nie upokorzy się przed Słowem Bożym, zostanie stracony. Czytał w ewangelii: „I owszem, o człowiecze! Ktorześ ty jest, który spór wieszysz z Bogiem? I zali lepianka rzecze lepiarzowi: Przecież mię tak uczynił?”

Nawiązał kontakt z księdzem proboszczem i zwierzył mu się ze swoich wątpliwości w słusność głoszenia zasad powstania świata z woli Bożej. Ksiądz prosił o przyjęcie do spowiedzi, chcąc wybaczyć człowiekowi z grzesznych myśli i sprowadzić na drogę prawdziwego chrześcijaństwa. Po spowiedzi zaprosił lekarza na herbatę i zapewnił, że jeżeli tylko będzie szczerze modlił się w każdą niedzielę i słuchał uważnie jego kazań, dostąpi łaski Bożej i wszelkie złe i niepotrzebne myśli opuszczą jego umysł. Siła nieczysta, która próbuje sprowadzić go na drogę zguby, odejdzie od niego.

Czytania Biblii wszakże nie zaniechał. Chaos w głowie przekraczał wszelkie możliwe granice. Jednocześnie doszedł do przekonania, że jeżeli ludzie zaniechają modlitwy, Bóg ześle na nich niechybnie nieszczęście i świat zginie.

Pewnego dnia rano lekarz wstąpił do pokoju ewidencyjno-mobilizacyjnego dowództwa, klęknął na podłodze, przeżegnał się i rzekł do obecnych:

– Klękajcie i módlcie się, albowiem inaczej świat zginie.

Koledzy spojrzeli na niego, uśmieli się:

– Nie odwalaj kawałów, znamy się na tym.

Władek klęczał i oczy miał utkwione w sufit. Koledzy rechotali.

– W śmiechu waszym widzę grzechy wasze, jesteście straceni – wybełkotał.

Wstał, opuścił pokój i udał się prosto do adiutantury. Przeszedł bez słowa przez mój pokój i nic nie mówiąc, bez pukania wszedł do gabinetu dowódcy, który jak zwykle był pogrążony nad papierkami. Władek ukląkł i zaproponował mu:

– Niech pan pułkownik klęka i modli się ze mną. Czas ostateczny nadchodzi. Zbliża się koniec świata.

Pułkownik uniósł głowę, spojrzął na lekarza i nie wierzył własnym oczom. Nie uwierzył w to, co rozgrywało się na jego oczach. Zamrugął, chrząknął i wyciągnął rękę w kierunku dzwonka na biurku, który odzywał się w moim pokoju. Wszedłem. Władek nadal klęczał. Szepnąłem dowódcy do ucha, że zrobił to już wcześniej. Dowódca polecił zadzwonić po lekarza naczelnego garnizonu.

Wieczorem nasz lekarz trafił do szpitala. Po wyleczeniu nie wrócił już do jednostki. Trafił do Wilna, gdzie przeniesiony został do rezerwy. Założył tam gabinet i nawet się ożenił. Kto go nie znał z okresu choroby, to uważał za bardzo zacnego człowieka i lekarza. Koledzy wojskowi, którzy go odwiedzili, nie mogli patrzeć mu spokojnie w oczy. Dopatrywali się w nich zbłąkanych myśli.

W czasie przysięgi po okresie rekruckim zwrócił moją uwagę jasnowłosey, pochodzący z Polesia saper. Miał delikatne rysy twarzy i inteligentne oczy. Nie wiem czemu zrobiło mi się go żal w czasie dźwigania ciężkich stalowych dźwigarów mostowych. Zaproponowałem mu funkcję ordynansa. Skwapliwie, z zażenowanym uśmiechem, przyjął tę propozycję. Nazywał się Kuryszko. Roboty nie miał u mnie dużo – ślanie łóżka, czyszczenie butów i przyniesienie wody. W zimie dochodziło palenie w wielkim okrągłym piecu, za którym mieszkały myszy.

Pewnego popołudnia zastałem go w pokoju przy zeszytcie, w którym coś rysował. Wstydliwie go chował. Kazałem pokazać. Rysował różne rodzaje mebli: etażerki, stoliki, biurka. Chłopak bez szkoły miał lekką i wprawną rękę. Rysunki wskazywały na dużą wyobraźnię artystyczną. Do prostych kształtów dodawał elementy dekoracyjne, o jakich uczniowi szkoły plastycznej może się tylko marzyć. Zapytałem go, czy potrafiłby wykonać to, co rysuje.

– Ma się rozumieć – pośpieszył z odpowiedzią. – Tylko nie miałem nigdy do tego warunków.

I zaczęła się epoka urzeczywistniania jego marzeń na małą skalę. Dawałem mu pieniądze na materiały drzewne, udostępniałem korzystanie z narzędzi w warsztacie stolarskim i za każdy wykonany mebelek płaciłem

odpowiednią kwotę, którą zaraz odnosił do PKO. Okazał się uzdolnionym artystą stolarzem, który nigdzie nie terminował.

Po odbyciu służby wojskowej za uzbierane pieniądze kupił walizkę, buty i garnitur. Swoje chodaki i ubranie, w którym przyjechał do wojska, wyrzucił na śmietnik. Trudno było go poznać. Pojechał do domu jak uczeń po akademii. Chciałem go urządzić w Warszawie w modelarni Oficerskiej Szkoły Inżynierii. Nie mógł i nie chciał rozstać się ze swoją rodziną i wioską. Dwa lata później napisał do mnie, że choruje na płuca. Posłałem mu różne leki. Więcej nie pisał. Nie wiem, jak długo żył. Może jeszcze żyje, jeżeli nie zmoęła go gruźlica mokrego Polesia.

Wykonane przez niego mebelki rozjechały się w różne strony razem z moimi kolegami, którym ofiarowałem je na pożegnanie z wojskiem.

Całe życie wspominam chłopca o jasnych włosach.

Znałem dziewczynę, która stojąc, wysuwała przesadnie do przodu jedną nogę. Ta postawa była przyczyną, że nie zakochałem się w niej. Nie przewidywałem, że będzie prekursorką mody jaka zjawiała się trzydzieści lat później. Ale i dzisiaj nie lubię czegoś takiego.

Otrzymałem depezę o ciężkim stanie zdrowia ojca. Natychmiast pojechałem pociągiem do Grodna. Stamtąd trzydzieści kilometrów do miasteczka furmanką. Była ciężka zima. Szalała burza śnieżna, jaka może być tylko w naprawdę zimnych krajach lub wysoko w górach. Zawieje i zamiecie nie ustawały całą noc. Postanowiłem, mimo fatalnej pogody, za wszelką cenę dotrzeć w nocy z Grodna do miasteczka. Z trudem namówiłem woźnicę Żyda do tej podróży. Bał się drogi, bał się wilków. Zdecydowała zaproponowana znaczna suma. Nadchodziła północ.

Żyd popatrzył na mój wojskowy ubiór, pokiwał głową i zapytał:

– I pan porucznik myśli żywym dojechać w tym szyneliku?

Na mój podszyty wiatrem płaszcz naciągnął długą burkę z szarego grubego sukna, pozapinał szczelnie na guziki, a na czapkę założył baszłyk⁴⁹. Usadowił mnie na słomie w głębokich saniach, pomruczał pod nosem i wyruszyliśmy z zasypanego śniegiem miasta w pole. Tak, w pole, nie drogą, bo nie było jej widać. Mój furman całe życie przemierzał te okolice, gdyż był zawodowym bałagują.

Tej nocy byliśmy jedynymi ludźmi, którzy odważyli się opuścić mury bezpiecznego miasta i wyjść naprzeciw szalejącej przyrodzie. Po szosie

⁴⁹ Z tatarskiego: kaptur.

nie zostało śladów. Droga i pola były pokryte głęboką warstwą puszystego śniegu. Tylko słupy telegraficzne wystawały ze śniegu co sto metrów, stając się dla nas jedynymi drogowskazami. Silny duży koń brnął w śniegu powyżej kolan, sanie szły nierówno, płozy wrzynały się głęboko jak w pierzynę. Porywisty wiatr miotał śnieżnym puchem niby piaskiem w pustyni. Bo i była to pustynia, tylko zimna i równie niebezpieczna.

W polu poza wyciem wiatru nie było słycać żadnych odgłosów. Tylko koń ze stękaniem ciągnął zapadające się co chwila w śnieg sanie. Nawet psy nie odzywały się w mijanych wioskach. Ich gospodarze musieli być dla nich litościwi, wpuszczając do sieni lub kuchni. Zapomnieliśmy o wilkach, którym także ciężko poruszać się w takim śniegu. Burza nie ustawała. Co rusz rozcieraliśmy nosy i policzki. Zimnica przenikała przez najmniejsze otwory pod ubrania. Świtało, gdy po kilkugodzinnej walce z przyrodą ujrzeliśmy pierwsze domy na skraju miasteczka.

Ojca zastałem nieprzytomnego po apopleksji. Paraliż lewostronny. Miejscowi lekarze byli bezradni. Musiałem natychmiast wywieźć go z miasteczka. Z pomocą przyszła mi pogoda. Ustały wiatry, chmury się przeczłodziły i wyrzało przedwiosenne słońce. Udałem się natychmiast do Grodna. Uzyskałem zgodę na umieszczenie ojca w Wojskowym Szpitalu Okręgowym. Przy tej okazji poznałem wysokiego doktora o niedźwiedziej budowie. Był to Gruzin nazwiskiem Ałszybaja, którego będą wspominał w okresie okupacji. Szczerze zaopiekował się ojcem, ale niewiele mógł zrobić w tamtejszych warunkach i możliwościach medycyny. Ojciec nadal pozostawał półprzytomny i tylko czasami poruszał wargami, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie miał sił. Nie stosowano wtedy kroplówek i innych cudów. Zaangażowałem dodatkowo dwie pielęgniarki. W ten sposób całą dobę był pod nieustanną opieką. Mimo to po dwóch tygodniach wystąpiły odleżyny i stan z każdym dniem się pogarszał.

Proponowałem wszelką sumę na ściągnięcie profesorów. Nie przyjęto. Powiedziano mi, że gdyby była możliwość uratowania życia, zrobiliby to bezinteresownie. Po miesiącu nastąpiła agonía. Lekarze kazali mi nie siedzieć przy ojcu przez ostatnie trzy dni. Uważali, że nic tym nie pomogę, a sobie zaszkodzę. Usłuchałem. Pewnego popołudnia zastałem ojca przykrytego prześcieradłem. Nie żył. Uniosłem prześcieradło znad głowy. Twarz była mało zmieniona. Oczy miał zamknięte i robił wrażenie śpiącego. Zrozumiałem, że zasnął na zawsze. Odczułem to dopiero wtedy i chociaż nie jestem czuły na śmierć, zapłakałem.

Ponieważ w separacie stało zapasowe łóżko, noc spędziłem z ojcem sam na sam. Nad ranem poczułem się zmęczony i usnąłem. Obudzili mnie

sanitariusze, którzy przyszli ojca zabrać do kostnicy. Nie dałem. Musiałem przecież pochować go zgodnie z obrządkiem muzułmańskiej religii. W Grodnie nie miałem tych możliwości. Należało wywieźć zmarłego do miasteczka, gdzie jest mizar. Brak mi było zezwolenia władz sanitarnych. Umówiłem się z komendantem szpitala, że jeżeli otrzymam sanitarkę wojskową, to wywozę po cichu. Zgodził się. Dwóch sanitariuszy ułożyło ciało na nosze, przykryło kocem i wsunęło do wozu. Usiadłem przy kierowcy, zasłoniliśmy okienka i szybko ruszyliśmy za miasto.

Po przybyciu pogrzbem zajęli się sąsiedzi, Tatarzy. Sanitariusze byli zachwyceni moimi przyrodnimi siostrami i obdarowani złotówkami niechętnie odjechali. Szczególnie podobała im się starsza czarnula, przypominająca macochę, a swoją rodzoną matkę. W czasie długiej ceremonii mycia i odmawiania modlitw ojcu otworzyły się oczy i zdawało mi się, że patrzą w moją stronę. Poczułem się nieswojo. Nigdy tego wzroku z zaświatów nie zapomnę. Pochowałem ojca obok macochy pod wiecznie zielonymi sosnami. U głowy postawiłem obelisk z półksiężycem i napisem w języku arabskim i polskim. Stoi do dziś. Dzięki zmianom politycznym mam możliwość siedzieć przy tym grobie co parę lat. Chciałbym też tam leżeć. Chyba się nie uda.

Ojciec umarł, mając siedemdziesiąt trzy lata. Wydawał mi się wtedy człowiekiem bardzo starym. Nie tylko, że nosił długą siwiejącą brodę. Sam taki wiek w ogóle uznawałem za trudno osiągalny. Dziś niektórzy, mając tyle lat, jeszcze wysoko podskakują. Tyle się zmieniło od tamtych czasów. Jeżeli tak dalej pójdzie, to będziemy żyć do stu dwudziestu lat. Czy to dobrze?

Po pogrzebie lekarz z miasteczka opowiadał o wrażeniu, jakie robiły na nim oczy ojca.

– Musiały te oczy mieć w sobie coś nadzwyczajnego – stwierdził – skoro mogły uleczyć czasami poważnie lub całkiem nieuleczalnych psychicznie chorych, którym nie mogliśmy dać rady. Może niesłusznie mieliśmy pretensje do pańskiego ojca. Oprócz dobra dla ludzi niczego innego nie robił.

Wiedziałem dobrze o tym sam i dlatego specjalnie nie przeszkadzałem ojcu w jego praktykach. Nie nadużywał swoich możliwości danych mu przez przyrodę, ale i nie był znachorem.

Siedziałem przy oknie w adiutanturze i patrzyłem przez Wisłę na starą mennicę na cyplu. Czekałem, kiedy mojemu wodzowi znudzi się zabawa w papierki i zechce wreszcie pójść do kasyna na odgrzewany obiad. Czułem wokół niczym nie zmaconą ciszę. Ruszyłem głową i poczułem raptem szum

w lewym uchu, potem w prawym i wreszcie w całej głowie. Pokręciłem nią kilka razy, jakbym chciał odgonić muchy. Szum natężył się. Wstałem od okna i nasłuchiwałem. Wyraźnie szumiało, jakbym miał w czaszce roje jakiś owadów. Nigdy przedtem nie doznawałem czegoś podobnego.

Wszedłem do gabinetu dowódcy. Pogrążony w papierkach nawet nie uniósł głowy.

– Panie pułkowniku, szumi – rzekłem spokojnie.

– Co szumi? – uniósł głowę ze zdziwieniem.

– Nie wiem, ale strasznie szumi.

– Gdzie szumi? – zapytał.

– Szumi w głowie, pułkowniku.

– Nie... Wcale nic mi nie szumi w głowie.

– Ale w mojej szumi – powiedziałem.

Spojrzał na mnie zmrużonymi oczkami. Byłem przekonany, że natychmiast przypomniał mu się lekarz, klęczący i nawołujący do modlitwy. Czekałem tylko na moment, kiedy ręka pułkownika sięgnie po słuchawkę. Wcale bym się temu nie dziwił: wchodzi znudzony oficer i ogłasza bzdury. Niestety, mimo rozmowy szum nie znikał. Byłem spokojny, licząc, że nieoczekiwane zjawisko zniknie tak łatwo, jak przyszło. Nic z tego. Szumiało bez przerwy z pewnym nasileniem.

– Naprawdę, pułkowniku. Nie jest to jakiś kawał. Nigdy nie odczuwałem w życiu czegoś podobnego. Jakby rój pszczoł wleciał do głowy przez uszy.

– To niech pan idzie do lekarza.

– Zobaczę. Poczekam.

Minęło kilka tygodni. Szum nie przechodził.

I tak się zaczęła moja historia z szumem w głowie. Nie przeszkadzało to mi pracować, ale mimo woli nasłuchiwałem w samotności i wtedy dopiero szum się nasilał. Zaczynał mnie drażnić i przeszkadzać spać. Skierowano mnie na leczenie w Szpitalu Ujazdowskim. Zostałem oddany pod opiekę pułkownika doktora Mozołowskiego, ordynatora Oddziału Neurologii.

Leżałem na sali z trzema chorymi. Wśród nich był wysoki, szczupły i młody pracownik leśnictwa. Często wychodził wieczorem i wracał nad ranem. Ubrania wtedy wisiały w szafie na sali szpitalnej. Pacjenci, niebędący obłożnie chorzy, mogli wychodzić dowolnie do miasta. Każdego rana po powrocie coś notował w swoim kajeciku. Pewnego popołudnia usiadł na moim łóżku i zwierzył się ze swoich wędrówek nocnych. Po prostu uwodził panie i panienki. Był dumny ze swoich zwycięstw i notował je skrzętnie w zeszytiku. Zapisywał w nim autentyczne nazwiska i prawdziwe adresy. Do tego wygląd, wiek i temperament. Tak plastycznie przedstawiał swoje

zdobycze, że gdybym je spotkał na ulicy z pewnością wydawałyby mi się znajome. Kiedy zwróciłem mu uwagę, że w takim wypadku lepiej używać pseudonimów i fikcyjnych adresów, odparł: „Jestem realistą i nie uznaję fikcji”.

Po kilku tygodniach poszedł w świat wraz ze swoim zeszytem. Więcej go w życiu nie spotkałem. Ale znałem innych jemu podobnych. Panie i panienki, bądźcie ostrożne w sprawach intymnych.

Tymczasem moje szумы przybrały inną postać. Zagnieździły mi się w głowie polne koniki i słowiki. Kiedy próbowałem zasnąć przy otwartym oknie, unosiłem głowę z poduszki i pytałem kolegów: „Skąd tyle pasikoników za oknem?” Chorzy współtowarzysze śmieli się i mówili o niezmaćonej ciszy. Przygnębioy usypiałem.

Dawano mi dużo różnych tabletek i zastrzyków. Nie wpływało na polepszenie mojego samopoczucia. Wracając piękną aleją lipową ze szpitalnego kina, zatrzymywałem pacjentów i pytałem, czy słyszą niesamowite śpiewy słowików i innych ptaków. Patrzyli ze zdziwieniem i wzruszeniem ramion. Dla wszystkich panowała dookoła cisza – tylko nie dla mnie. Przystałem tym się przejmować. Niech sobie szumi, niech koniki polne i słowiki śpiewają. Obojętnie łykałem pigułki i chodziłem do ambulatorium na zastrzyki. Tam przyjmowali chorych lekarze neurologzy. Miałem nieraz uciechę za sposobu traktowania chorych, szczególnie szeregowych służby zasadniczej. Oprócz lekarzy mężczyzn badała często kobieta w wieku balzakowskim. Kiedy żołnierz osiągnął się w rozbieraniu, zachęcała go powiedzeniem: „No, prędko spuszczaś te portki, nie urwę ci niczego”.

Śmiała się przy tym do lekarzy, dodając: „Oni myślą, że jestem kobietą. Zapominają, że jestem tylko lekarzem”. Nie grzeszyła urodą, tym łatwiej to jej szło.

Najweselsza była siostra Górską. Z nudów bawiliśmy się w piłkę, biegając po szpitalu. Jakiegoś dnia uciekała w stronę gabinetu ordynatora i nie chcąc otworzyła drzwi. Piłką zamiast siostry trafiłem w lekarza. W różnych psotach pomagała jej siostra oddziałowa. Niska i grubawa do spółki z Górką napadały na mnie i szczypały do takiego stopnia, że miałem pełno siniaków i nie mogłem pokazać się lekarzowi. Musiały mnie smarować różnymi maściami, bo bały się, że opowiem o wszystkim ordynatorowi.

Do szumów i śpiewów dołączyły się bóle głowy. Przenieśli mnie do separatu. Wstawili radio. Radzili chodzić na spaceru, do kina i teatru na wesołe sztuki. Wyczułem, że się obawiają o stan mojej łepetyny. Zaczynało mnie to bawić. Traktowałem szpital jak darmowy pensjonat. Powoli przyzwyczyna-

jałem się do różnego rodzaju koncertów pod czaszką. Traciłem jedynie humor, kiedy miewałem silne bóle głowy. Siostry dawały różne pigułki, które nie zawsze odnosiły pożądany skutek.

Któregoś dnia gryzłem poduszkę z powodu niesamowitych bólów głowy. Zły byłem na siostrę, a raczej na medycynę, bezsilną by zapobiec tak prymitywnym dolegliwościom. Powiedziałem ze złości siostrze:

– Jeśli bóle nie ustaną, pojedę do garnizonu, przywiozę walizkę trotylu i wysadzę w powietrze cały oddział.

Moje głupie powiedzenie siostra przyjęła za prawdziwą pogroźkę i czym prędzej powtórzyła swoim przełożonym. Pod wieczór otworzyły się drzwi separatki i moim zdumionym oczom ukazał się orszak w białych fartuchach na czele z generałem, komendantem szpitala. Brakowało tylko sanitariuszy z kaftanem bezpieczeństwa, co trochę mnie uspokoiło. Wyłączyłem radio i próbowałem złożyć generałowi raport, ale pośpieszył w moją stronę z ręką wyciągniętą na powitanie. Pytał o samopoczucie, radził nie przejmować się bólami głowy, które miną, bo szpital postara się o najlepsze leki i wszystko będzie dobrze. Dodał jeszcze wiele miłych słów pocieszenia. Słuchałem wywodów generała i patrzyłem na siostrę, która spowodowała popłoch i zamieszanie. Chciałem pęknać ze śmiechu. Powstrzymała mnie obawa, że wesołym nastrojem popsuję powagę przedstawienia i ściągnę na siebie uwagę psychiatrów.

Na drugi dzień za ten pomysł z materiałem wybuchowym siostry poszczypały mnie solidnie po całym ciele, że przez tydzień byłem dokładnie posiniaczony.

Ordynator oddziału nerwowego odwiedzał w tym czasie często Piłsudskiego, którego zdrowie stale się pogarszało, o czym prasa nie wspominała. Nad Belwederem unosiła się zasłona dla ludzi niepowołanych. Wśród przeciwników krążyły niesmaczne i złośliwe plotki. Chociażby taka: „Podobno Piłsudski z nudów wystawia goły kuper przez lufcik”. „I co na to przechodnie?” – pytano ze zdumieniem. „Wojskowi salutują, a cywile mówią, że zdurniał do reszty” – odpowiadali szyderycy.

Kawały są dobre w państwie silnym i pewnym swojego jutra. Nie można powiedzieć, żeby u schyłku życia marszałka wśród jego najbliższego otoczenia nie było zdolnych generałów lub starszych oficerów. Ale większość z ich żyła legendą przeszłości i nie bardzo zdawała sobie sprawę z tego, co działo się u sąsiadów za najbliższą miedzą. Byli zbyt zadufani w sobie, nie mieli wodza, który otworzyłby im oczy i uszy i kazał nasłuchiwać odgłosów różnych maszyn, które wkrótce miały zalać Polskę.

Piłsudskiego pierwsza wojna światowa niczego nie nauczyła. Wierzył w stare zasady walki, kochał kawalerię oraz piechotę i wierzył w ich siłę. Chętnie awansował oficerów tych rodzajów broni. Dostawał dreszczy, gdy mu przedstawiano do awansu listę oficerów technicznych. Odrzucał nawet broń pancerną. Kiedy nad Belwederem słyszał lotników, kazał ich przegonić, mówiąc podobno: „Jeżeli szukają śmierci, to niech latają nad polami”.

Może, nie ufając lotnikom, bał się własnej śmierci?

Po szpitalu nie wróciłem do jednostki. W głowie ustały mi już śpiewy słowików i cykanie świerszczy. Pozostał na zawsze monotony szum w lewym uchu. Odzyskałem na nowo upragnioną swobodę. Na pogrzebie marszałka byłem po cywilnemu. Ostatnia defilada przed trumną na Polu Mokotowskim. Niesamowite tłumy. W ścisku wyjęto mi z tylnej kieszeni pistolet. Kupiłem sobie drugi na ulicy Widok. Wówczas nie był problem dla oficerów. Także dla emerytów, którzy w zasadzie powinni byli posiadać broń. Mieli prawo chodzić w mundurze i niczym się nie różnili od zawodowych.

MIĘDZY NIEBEM A ZIEMIĄ

Po czternastu latach chodzenia w kieracie (nie zawsze ciężkim) jestem ponownie na wolności! Za cenę stu czterdziestu pięciu złotych siedemdziesięciu pięciu groszy⁵⁰. Dla mnie złotówki, dla listonosza grosze. Akurat na tabliczkę czekolady Wedla lub na pół kilo mięsa. Co kto woli. Listonosz na pewno wolał piwko lub ćwiarteczkę. Miał długi czerwony nochal osadzony na chudej pokrytej bruzdami twarzy. Chociaż był jeszcze młody. Przy comiesięcznej wypłacie nachylał się ku mnie i z monopolowym oddechem powiadał: „W tak młodym wieku wyrzucili pana z tego zasranego wojska”. Po namyśle dodawał jeszcze: „A może i dobrze, niech sami wojują z kochanymi Niemcami, bo zanadto zaczynają ich kochać, a wiadomo co Szwabi, to Szwabi: zawsze wykiwają naiwnych Polaczków”.

Kilka lat później często wspominałem filozofię listonosza i zastanawiałem się nad jego proroczymi słowami, podlanymi sosem gorzałki. Nieraz zazdrościłem wszystkim listonoszom, którzy jak rzadko kto mają codzienną styczność z ludźmi wszelkiego pokroju, dzięki czemu mogą znać wszelkie tajemnice życia ludzkiego z bezpośredniej obserwacji oraz plotek sąsiadów o sąsiadach. Listonosz na wszystko nastawia ucho, wchłania wiadomości i bardzo dyskretnie przekazuje dalej w taki sposób, że zawsze są bezimienne. Listonosz wszystkim doradzi, listonosz wszystkim pomoże. Jest codziennym gościem: miłym lub smutnym. Nawet w tym ostatnim wypadku ludzie są mu wdzięczni. W jego torbie leżą obok siebie miłość i nienawiść, zgoda i wrogość, radość i smutek. Wrzuca do naszych skrzynek nasz los. Zaglądamy do nich codziennie i odchodzimy ze smutkiem, jeśli są puste. Nasze dusza potrzebują stałego pokarmu. Choćby nawet był mało strawny.

I tak zostałem wolnym obywatelem uzależnionym tylko od listonosza. Jeden dzień w miesiącu musiałem być w określonym miejscu ziemskiego globu. Reszta czasu należała do mnie. Mogłem wisieć między niebem a ziemią. I rzeczywiście po raptownym odzyskaniu wolności zostałem zawieszony w próżni wraz ze swoimi rozproszonymi myślami. Próbowałem je

⁵⁰ Tyle, według *Małego Rocznika Statystycznego '39*, wynosiła średnia pensja robotnika.

zebrać do kupy, ale było to ponad moje siły. Rozpocząłem żywot człowieka zagubionego wśród ludzi realnych.

Zamieszkałem przy bezdzietnej rodzinie w podwarszawskim osiedlu. Ona była kiedyś odźwierną i pokojówką u jednego ze znanych lekarzy warszawskich, on – bezrobotny kowal i szofer. Otrzymywali dzienną zapomogę w wysokości siedemdziesięciu pięciu groszy. Na chleb i okrasę. Tylko nie było czego kraść. Dawałem sto złotych miesięcznie na moje utrzymanie. Ja byłem najedzony, oni nie byli głodni. Posyłałem go do pracy w koszarach. Czasami nieźle zarabiał, ale praca trwała krótko: brak kredytów lub produkcja nie była potrzebna. Wójt szukał niekiedy ludzi z łopatami. Dziesięć godzin pracy dziennie, a płaca mizerna. Pracujący żądali podwyżki. Wtedy ich zwalniano, wymyślano od komunistów i bolszewików. Wójtem był byłym kapitanem. Narzekał, że podzielam stanowisko bezrobotnych. I rzeczywiście, buntowałem ich przez mojego gospodarza.

Urywano przeznaczone przez państwo ustawowe stawki za różne prace. Na tydzień pracy było wiele tygodni głodnych. Żona gospodarza często płakała. Wpadłem na pewien pomysł. Mieszkaliśmy w rejonie, gdzie nie było sklepiku. Po byle zapałki, papierosy lub cukier i kaszę wszyscy biegali półtora kilometra do rynku. Namówiłem ich, aby założyli budkę z towarem. Dałem pożyczkę. Nawieźli kupę starych desek. Sąsiedzi pomogli. Po trzech dniach stała budka w głębi ogrodu. Tak, żeby nie widziała policja. Pewnej nocy kilku ludzi przesunęło budkę po palach pod ogrodzenie przy ulicy obok furtki. Wyrosła jak grzyb pewnej nocy i wszystkim się zdawało, że stała wiecznie.

Następnie zjawiał się napis „Produkty kolonialne”. Najpierw zaczęły przychodzić najbliżsi sąsiedzi, potem z innych ulic. Grosik do grosika i po tygodniu na kuchni gotowała się zupa na mięsie. Gospodyni przestała płakać. Na jej twarzy zjawiał się miły uśmiech dla klienteli, a czasami i kredyt dla porządných. Po kilku tygodniach dobudowano zaplecze: pokój z dużą piwnicą. Policjanci wstępowali na piwo i mówili: „Nie wiedzieliśmy, że tutaj jest sklepik. Dobrze po drodze odpocząć”.

Ja natomiast wciąż próbowałem, lub raczej miałem predylekcje do odewania się od ziemi, lecz otaczające życie trzymało mnie przy codziennych, realnych zjawiskach. Pewnego dnia po wejściu do pokoju zastałem w nim przegotowaną kotkę gospodarzy. Podeszła do mnie i ocierała się o nogi. Od tego czasu zostaliśmy przyjaciółmi. Przychodziła co wieczór i pomagała mi zjadać kolację. Potem lokowała się na kołdrze w nogach i zostawała na noc. Jeżeli musiała na chwilę wyjść, to wstawiała po cichu, patrząc mi w oczu,

czy śpię. Zbliżała się do mojej twarzy i miesiła kołdrę, aż otwierałem oczy. Wtedy skakała do drzwi. Po paru minutach dawała znać, aby ją wpuścić. Nie zdarzało się w każdą noc. W dni słoneczne wylegiwała się na dachu komórki, w słotne kręciła po kuchni.

Koty należą do najbardziej samodzielnych zwierząt domowych i to mnie zachęciło do prób tresowania mojej przyjaciółki. Co dzień kładłem ją na wznak na kanapie i kazałem leżeć z łapami do góry tak długo, dopóki nie dałem komendy „hop!” Pierwszy tydzień szło opornie: nie czekając na sygnał ze złością stawała natychmiast na czterech łapach i z błyskiem w oczach patrzyła na mnie, fukając. Pomimo tego wieczorami przychodziła jak zwykle do mnie i po zjedzeniu resztek kolacji (jakiegoś zimnego mięsowa lub wędliny) układała się do snu na moich nogach.

Po dwóch tygodniach leżała brzuchem do góry i czekała na rozkaz przyjęcia właściwej postawy. Leżąc, przymykała oczy i udawała śpiącą. Mówiłem wtedy: „kot nie żyje”. Łapki miała podwinięte, pazury schowane. Byłem zaskoczony postępowaniem nauki i wcale mnie nie zdziwiło, kiedy pewnego dnia na powiedzenie: „kot nie żyje” – sama układała się na wznak. Ukończyła szkołę i otrzymała dyplom w postaci surowego kawałka mięsa. Wstawała na powiedzenie: „kot żyje”.

Wieczorami często wyjeżdżałem do Warszawy i wracałem o różnych porach. Od stacji musiałem iść szosą około półtora kilometra. Z jednej strony były rzadko położone tory, z drugiej sosnowy las. Żadnego oświetlenia wtedy jeszcze nie było i po ciemku jedynym drogowskazem były nikielne światełka z okien domów. O północy szosę zalegały egipskie ciemności. Pewnego wieczora wracałem późno najspokojniej do domu. Byłem jak najbardziej przytomny i trzeźwy. O niczym nie myślałem. Było chłodno. W pewnym momencie coś mi skoczyło na plecy. Serce załomotało. Włosy stanęły dęba. Chociaż w diabły i szatany już właściwie nie wierzyłem, ale zrobiło mi się nieswojo i gotów byłem pomyśleć, że mam do czynienia z siłą nieczystą. Przed oczyma stanęło mi miasteczko i jego okolice pełne złych duchów. Naraz, z wielką ulgą, posłyszałem mruczenie kotki, ocierającej się o moje ucho. Usadowiła się mi na ramieniu i tak wróciliśmy do domu na późną kolację.

Od tego dnia ilekroć wracałem do domu, kotka czekała na mnie w pół drogi i witała skokiem na plecy. Najbardziej zastanawiało mnie to, w jaki sposób wyczuwała kiedy wrócę. Być może czekała od samego zmroku, czując że wyjechałem. Tego nie mogłem dociec. Miłość – czy też przyjaźń między nami nie znała granic. Kiedy rano musiałem przejść przez długi ogród do ubikacji, kotka biegła przodem, wskakiwała na drzewo i filuternie pa-

trzymała w moją stronę. Musiałem ją potarmosić za kark: czekała na tę pieszczotę, potem zeskakiwała z drzewa i biegła do następnego, by powtórzyć to samo. Dopóki siedziałem w ubikacji, czekała na ścieżce i droga powrotna odbywała się z tym samym ceremoniałem. I tak co dzień. Nawet w deszcz.

Któregoś popołudnia czytałem w pokoju książkę, gdy naraz słyszałem delikatne dreptanie po podłodze. Przy listwie podłogowej spacerowała mała myszka. Wstałem i pochwyciłem ją szybkim ruchem. Pisnęła i próbowała ugryźć mnie w palec. Miała delikatne młode ząbki, które nie zdołały zrobić mi krzywdy. Wyniosłem myszkę na dwór i wypuściłem na trawę. Uciekła pod werandą i dłuższy czas się nie pokazywała.

Jakiś tydzień później również czytałem książkę przy biurku, ale tym razem nie byłem sam: na tapczanie leżała kotka. W pewnej chwili uniosła głowę i spojrzała w stronę pieca. Za chwilę wyszła większa myszka, prawdopodobnie matka tej, którą złapałem. Zaczęła się posuwać wzdłuż ściany. Pierwszy raz w życiu widziałem to, co za chwilę nastąpiło: kotka rosła w moich oczach, niesamowicie prężyła ciało na ugiętych nogach i raptownie dała susa na odległość około dwóch metrów. Trzymała mysz w pyszczku i patrzyła na mnie radosnymi oczami. Myślałem, że zaraz ją pożre, jednak była od tego daleko. Kładła ją jeszcze żywą na chodnik, a kiedy mysz próbowała uciekać, przygniatała ją lekko łapą i kładła na poprzednie miejsce. Zabawie nie było końca. Kiedy mysz wreszcie wydała ostatni oddech, kotka zaczęła ją podrzucać i za każdym razem patrzyła na mnie, czy podziwiam jej kunszt. Potem jedną łapą uniosła chodnik, drugą wsunęła pod niego mysz, starannie przykrywała i zdawała się mówić do mnie: „Zgadnij, gdzie ona jest?”

Czekała na mój ruch. Nie podniosłem się z miejsca. Czekala dalej. Wreszcie musiałem wstać i odwinąć chodnik. Miała niesamowicie zadowoloną minę i uśmiechnięte oczy. Kiedy już udało się jej wciągnąć mnie w zabawę z myszką, wymyśliła nową rozrywkę. Kładła myszkę na chodnik i niezdarnie go zwijała. Potem siedziała i patrzyła na mnie. Wyraźnie czekała, żebym znalazł myszkę. Rozłożyłem chodnik. Kotka usiadła nad myszką i w ciągu kilku minut ją pożarła. Tym razem nie zapraszała mnie do uczty.

Nie zauważyłem żeby chodziła na randki, ale po kilku tygodniach stwierdziłem, że moja przyjaciółka jest w poważnym stanie. Pod koniec ciąży przestała przychodzić do mnie na noc – wołała teraz strych z sianem. Tam też urodziła dzieci. Schodziła tylko do kuchni na pożywienie. Jasne było, że karmi maleństwa. Stała się poważną mamą. Nikt z nas na strych nie chodził i nie wiedzieliśmy ile ma potomstwa. Musiało być sporo, bo czę-

sto była głodna. Wreszcie zaintrygowany gospodarz znalazł w sianie sześć kociąt. Na próbę znieśliśmy maleństwa do pokoju i schowaliśmy między poduszkami. Za kilka minut wpadła do mieszkania kotka wyraźnie podenerwowana, z rozszerzonymi oczami. Zaczęła węszyć i wnet wykryła w poduszkach swoje dzieci. Chwytała po jednym zębami za kark i po drabinie niosła z powrotem na strych do siana. Gdziekolwiek potem próbowaliśmy je chować, zawsze znalazła i wynosiła na strych. Daliśmy za wygraną.

Po kilku tygodniach można było zauważyć szelmowskie łepetyny podrosłych kociaków wystające często przez okienko od strychu. Matka musiała dostarczać im coraz więcej pożywienia. Widocznie mleko już nie wystarczało, bowiem kotka zrobiła się złodziejką i wynosiła co się dało na strych. Najbardziej rozbawiła mnie jedną z psot. Gospodyni przygotowywała na obiad i kolację sześć siekanych kotletów. Położyła na deskę i schowała do kredensu. Po jakimś czasie sięgnęła po kotlety, aby je usmażyć, ale znalazła tylko pustą deskę. Kredens był zamknięty. Okazało się, że dostała się tam od tyłu, odsuwając dolną deskę zaplecza. Taka to była z niej spryciara!

Pod jesień wyprowadziła swoje dzieci na podwórko i byłem zdumiony ich zachowaniem: kiedy próbowałem bawić się z nimi, zaraz przewracały się brzuchami do góry i przymykały oczy. Nie było żadnych wątpliwości, że odziedziczyły tę umiejętność po matce. Niezmiernie mnie to zaskoczyło. Tylko jeden czarnuch stale chował się pod podłogę i nie dawał się wziąć na ręce. Jeszcze raz potwierdziło się powiedzenie, że nie ma reguły bez wyjątku. Po kotce przyszła wkrótce druga okazja do kontaktów ze zwierzętami.

Malutka świnka, kupiona za parę złotych na targu przez gospodarza, który stanął na nogi dzięki groszowemu handlowi, szybko urosła na urodziwą pięćdziesięciokilogramową młodą świnię. Co rano myła się w wysokich pełnych rosy trawach. Jej sierść lśniła białością i czystością. Zaczepiała mnie swoim ryjem i szukała bliższej znajomości. Kiedyś żartując, czubkiem buta podrapałem ją po brzuchu. Świnka przewróciła się na bok i błogo patrzyła w przestrzeń. Podobało się jej drapanie. Stała się natrętna. Zacząłem jej unikać, ale nie dawała za wygraną. Czatowała na moje wyjścia do miasta. Biegła przede mną w kierunku furtki i kładła się na ścieżce. Kiedy ją podrapałem po brzuchu i szedłem dalej, wyprzedzała mnie i przewracała się ponownie. Przypominała mi kotkę, która skakała na drzewa odprowadzając mnie do ubikacji.

Te drobne igraszki kota i świnki, mające bez żadnej wątpliwości podłoże erotyczne, wskazywały na pewne wspólne cechy zwierząt w doznaniu uczuć. O ile kotka nie dała powodu do rozczarowań, to świnka wkrótce okazała się wielką świnią i pokazała swój paskudny świński charakter.

Do naszego gospodarstwa doszła kaczka przeznaczona na niedzielny stół. Pewnego ranka gospodyni opowiedziała o tragedii, jaka rano rozegrała się w komórcie, gdzie ją zamknęła. Dostała się tam świnka i zjadła pół żywej kaczki poczynając od ogona. Od tego dnia skończyło się drapanie w brzuch i straciłem do niej wszelką sympatię. Kiedy poszła na schab i kiełbasy, wcale jej nie żałowałem. Żałowałem natomiast kaczki, która zginęła paskudną śmiercią.

W długie zimowe wieczory przesiadywaliśmy często na zapleczu sklepiku, w pokoiku obitym dyktą. Na jednej ze ścian wisiała wielka mapa Europy. Od szamotowego piecyka falowało przyjemne ciepło. Na stoliku stało kilka butelek piwa. Prowadziliśmy długie dyskusje o niesprawiedliwym świecie. Mieliliśmy dużo zbieżnych poglądów. Mój towarzysz zapalał się i rzucał gromy na wszelką burżuazję. Szczególnie drażnił go aparat rządzący. W każdym zarządzeniu widział pułapkę na biednych ludzi. Po kilku piwach ochrzczonych wódką stawał przed mapą i chociaż skończył zaledwie kilka klas powszechniaka wymieniał wszystkie państwa z królami, cesarzami i prezydentami i wręcz krzyczał: „Ich trzeba najpierw zagnać do roboty, pokazać im, co to znaczy zarobić na kawałek chleba w ich państwach. Ich i ich pomocników. Całą tą sytą zgraję, która tuczy się kosztem rąk i zdrowia robotników i wieśniaków. Na nich trzeba tylko bolszewików!”

Żona uspokajała swego zapalonego mówcę. Słuchałem z pobłażaniem jego wywodów i wiedziałem, że przemawia przez niego gorycz bezrobocia i lata niedojadania.

W tych okolicznościach poznałem pewną wdowę po kapitanie, sąsiadkę i klientkę sklepiku. Niskiego wzrostu, z okrągłą twarzą i żywymi oczkami. Ze względu na tuszę mówiono o niej „że nie idzie, a się toczy”. Żartobliwie nazywano ją „kapitaszką”, ja zaś dodatkowo przezwałem „beczułką”. Różne te powiedzonka przyjmowała jako dowód sympatii i pewnej poufałości, z czego była zadowolona i ku czemu dążyła wszelkimi, możliwymi środkami. Kupowała w sklepiku czekoladki i częstowała nas, szczególnie mnie. Widziałem wyraźnie, że chciała zaskarbić sobie moje uczucia i wszelkie niekorzystne nawet uwagi pod jej adresem przyjmowała za komplementy. Maleńkie oczka szelmowsko się uśmiechały i dawały znać o niewyżyciu w małżeństwie, gdyż kapitan opuścił ją wcześniej nie tylko z powodu zgonu. Już za życia zbyt często wyjeżdżał służbowo na całe tygodnie. Różnie o tym ćwierkały ptaszki na jej balkonie, ale wszystko przyjmowała z pogodną rezygnacją, a szczególnie od chwili odpisania jej dwóch wielkich działek w dobrym punkcie. Dom, w którym mieszkała, po cichu odpisał przyjaciółce, pozostawiając żonie na dożywocie pokój z balkonem na górze.

By nie patrzeć na przyjaciółkę męża, wyniosła się z własnego domu i odnajęła mieszkanie na sąsiedniej ulicy.

Miała jedną ukochaną osobę: jamniczkę. Starą, pachnąco-śmierdzącą suczkę. Spała z nią pod starą wyświechtaną kołdrą pamiętającą jeszcze dobre czasy małżeńskie, a może nawet i panińskie. Za dnia jamniczka leżała stale pod tą samą kołdrą i na wszelkie odgłosy czekała pod przykryciem, nie wysuwając nawet łba. Jadała razem ze swoją panią trzy razy dziennie i trzy razy dziennie wychodziła na podwórko za swoją potrzebą. Na suczkę przysła starość i zawiązane z tym wszelkie niedomagania. Najpierw zaczęła tracić sierść (może dlatego wciąż marzła), potem powoli wzrok i wreszcie nie zawsze już nadążała wyjść na podwórko: coraz częściej zostawiała kałużę na schodkach, co z kolei było przyczyną scysji z sąsiadką, młodą piękną blondyną, żoną urzędnika – ptaszka, który więcej bywał poza domem, niż we własnym mieszkaniu. Nagle zniknął i równie nagle się zjawiał, przywoząc swojej pięknej żonie raz kolczyki, drugi raz drogie wisiorki na szyję, innym znowu razem dużo czekolady. Żona nigdy nie pytała gdzie i za co kupuje. Wystarczało jej, że mąż zawsze był w dobrym humorze i po powrocie kocha ją coraz mocniej. Pewnego dnia zrobiła tylko wielkie oczy, gdy do mieszkania weszło dwóch dobrze ubranych panów z pytaniem, czy ostatniej nocy mąż nocował w domu. Od tego czasu prezenty zaczęły palić skórę, zdjęła je i schowała do szufladki. Wkrótce wyprowadziła się i tak skończyły się wiadomości o losach pięknej blondyny.

Tymczasem piesek naszej „kapitaszki-beczułki” rozchorował się na dobre i musiała zaprosić weterynarza do uśpienia, a raczej otrucia suczki, bo wtedy nie praktykowano łagodnych zastrzyków. Po śmierci kochanej jamniczki przysła do mojego gospodarza z prośbą o pochowanie jej na jednej z działek. Po dwóch czy trzech miesiącach po pogrzebie ze łzami w oczach poprosiła o odkopanie truchła i wydostanie choć jednej kosteczki, która miałaby leżeć na jej biurku jako dowód wiecznej pamięci i niezachwianej miłości. Mój gospodarz miał dobre i wyrozumiałe serce i tym razem również spełnił tę prośbę. Gnat oczyścił, wypolerował i z całą powagą wręczył właścicielce, która nie chciała być obecną przy jego wydobyciu. Mógł dać jej pierwszą lepszą kość byle jakiego psa lub kota, lub nawet młodego cielaka. Skutek byłby ten sam. Czasami ludziom wystarcza odrobina złudzenia lub fantazji.

Nasza „kapitaszka” miała dużo złudzeń i tymi złudzeniami żyła. Może właśnie dlatego była zawsze pogodna i robiła wrażenie szczęśliwej. Przede wszystkim uważała, że jest kobietą, która może jeszcze zainteresować mężczyznę. Przewracała oczkami i oblizywała cienkie wargi długim językiem

z szerokich ust. Robiła wrażenie nałożnicy haremowej nieposiadającej władcy i pana, o którego ubiegała się bez skutku wśród najbliższych znajomych.

Co rano przynosiła jej mleko kobieta blisko czterdziestoletnia, również wdowa, która zamiast pieska miała piegowatą dziesięcioletnią córeczkę. Obie raz w tygodniu sprzątały mieszkanie u wdowy po kapitanie. Dodatkowym zadaniem córeczki było mycie nóg pani kapitanowej, która swoimi rękami nie dała rady ich dosięgnąć, gdyż schyłaniu się przeszkadzały poście słoniny na brzuchu. Kiedy mój gospodarz zapytał dziewczynkę, czy myjąc nogi grubej pani widziała u niej „bocianie gniazdo”, zażenowana zaśmiała się i odpowiedziała: „Co tam można zobaczyć, kiedy w czasie mycia nóg zwisające fałdy przykrywają kolana”.

Czy tak rzeczywiście było, tylko ta dziewczynka i jej pani mogły wiedzieć. Normalnie kapitanowa miała wszystko mocno ściśnięte gorsetem i trzymała się niby dobrze ostrzyżony krzew. Żeby mieć okazję wstępu nie tylko do sklepu, lecz także do mieszkania, namówiła mnie na odrabianie lekcji z dziewczynką, która, jeśli pamiętam, chodziła do drugiej czy trzeciej klasy szkoły powszechnej. To było największym błędem życiowym wdowy – kiedy wkrótce wyprowadziłem się do innego osiedla, zabrałem mleczarkę z córeczką na gospodynię. „Kapitaszka” została osamotniona i rozżalona.

Mój zaś podopieczny, gdy stanął na handlowe nogi, zaczął coraz częściej zaglądać do kieliszka, który powoli zamienił się w całkiem dużą szklaneczkę. W przyszłości z tym człowiekiem zwiąże mnie los na długie lata. Lata triumfu i klęski.

Zacząłem wędrówkę po osiedlach podwarszawskich. W jednym spędzałem lato, w innym zimą. Wszędzie próbowałem stworzyć jakąś koncepcję bytowania i znaleźć ostateczny cel życiowy. Nic z tego nie wychodziło. Poza jakimiś nieokreślonymi obrazami przeszłości w głowie, a raczej może na papierze, nic nie układało się w określoną formę i treść. Wszelkie próby zniechęcały mnie zaraz po wstaniu od stolika. Wszystko było nie to, o czym marzyłem przez tak długie lata. Obrazy, które wiecznie mnie męczyły, nie mogły się urodzić. Wspomnienia nakładały się warstwami i mieszały z fikcją życia ludzi naprawdę istniejących.

Wszystko zakłócało mój spokój. Nie byłem zdolny do podjęcia jakiegokolwiek konkretnej decyzji życiowej. Kładłem to na karb mojej całej zagmatwanej przeszłości, brak prawdziwej ojczyzny, utratę starej nabytej kultury, nieprzyswojenie nowej, rozbieżności w światopoglądzie z ogółem otaczającej mnie ludności, brak konkretnego określonego kierunku w dążeniu do

zrealizowania społecznego wzorca – co w efekcie kierowało mnie na manowce istnienia.

Czasami wędrując po myślowych bezdrożach i wciąż dążąc ku innym okolicom, wracałem myślą ku dawnej przeszłości moich przodków i nabierałem przekonania o działaniu atawizmu starych zwyczajów. Po obudzeniu się często przyłapywałem się na marzeniu i tęsknocie za czymś konkretnym, miłym, własnym, rodzonym. Raptem przypomniałem sobie kiedy po siedmiu latach tułaczki stanąłem na polskiej ziemi. Jaką radość wtedy odczułem. Poczuję się niczym małe dziecko, które odzyskało matkę i czując jej pieczyoty jest szczęśliwe i bezpieczne. Byłem wtedy takim małym dzieckiem.

Teraz właśnie nawiedziło mnie uczucie, które zdolny jest pojąć tylko wędrowiec po dalekich krajach, przebywający długo w obcych stronach, stale łaknący widoku swojej ojczyzny, która go spłodziła. Poczuję brak pod nogami własnego gruntu, który by mnie wiązał silną nicią z rzeczywistością. I postanowiłem jeszcze raz wypróbować życia na własnym kawałeczku gruntu we własnym kraju. Kupiłem domeczek z altanką. Kiedy przekraczałem furtkę i stawiałem nogę na własnym podwórku, wtedy dopiero czułem pełną niezależność i jakby oderwanie od cudzego świata. Własne kwiaty, owoce, warzywa – wszystko wydawało się bliskie, niby moje rodzone dzieci, do których tylko ja mam wyłączne prawo.

Na rok przed wybuchem wojny pojechałem w rodzinne strony. Odwiedzałem żydowskie miasteczka, w których się wychowywałem. Szukałem śladów dzieciństwa, kolegów i ich losów. Myślałem, że w przeszłości odnajdę siebie wzmocnionego do wyjścia z niepewności dnia jutrzejszego. Pragnąłem otrząsnąć się z marazmu, który ogarnął moją duszę.

– Teraz to ja wierzę, że naprawdę będzie wojna – powiedział Żyd, który przynosił baraninę do siostry.

– Skąd taka wiara? – zapytałem zaskoczony.

– Jaki pan śmieszny, Czy trzeba jeszcze myśleć, skoro widzę pana w nowym mundurze i do tego z pistoletem przy boku?

– Źle pan myśli, panie Jankiel (wszystkich Żydów-rzeźników zawsze nazywałem Jankielami). Mundur i pistolet nałożyłem, żeby się podobać waszym pannom.

– Jeżeli ma nie być wojny, to po co powołują rezerwistów Co pan powie na to, panie poruczniku? Pan przecież mieszka w Warszawie, tam wszystko wiedzą. Czy nie tak?

Nie, nie tak. W Warszawie nie wiedzą i co najważniejsze – nie chcą wiedzieć. A jeżeli kto i wierzy, to się nie boi. Mamy dobrą piechotę. A szczególnie kawalerię. Niech tylko spróbują.

Polska uwierzyła w klęskę Niemców w 1918 roku. Polska żyje zachłyśnięta odzyskaniem własnej niepodległości. Wmówiła sobie mocarstwowość. Kto poważy się zakłócać jej normalny szlachecko-obszarniczo-oficerski tryb życia? Fantazja ułańska jest nieograniczona. Plotki kładą nawet wesołych generałów-ułańców na szynach tramwajowych. O tak sobie, dla zabawy, jak dziś mówimy: „ubaw po pachy”. Tramwaje muszą stać, dopóki pan generał leży. Te plotki są załącznikiem dla fantazji oficerów młodszych. Chociażby taka. Rotmistrz, oficer inspekcyjny garnizonu, każe załadować budkę wartowniczą na dorożkę, zawieźć i ustawić ją przed Hotelem Europejskim, postawić tam wartownika z rozkazem niewpuszczania nikogo do hotelu, póki pan rotmistrz nie zje porządnego obiadu. Wszyscy myślą, że w hotelu przebywa co najmniej sam Rydz-Śmigły. Po obiedzie budka wraca tą samą drogą przed gmach Komendy Miasta. Wszystko w porządku. Na drugi dzień rotmistrza wzywają do raportu i darują mu niesmaczny wybrzyk, ponieważ był oryginalny i jedyny w swoim rodzaju.

Upojenie życiem dostatnim trwa wśród dobrze zarabiających kosztem ciężkiej pracy zacoфанego chłopca i mało uświadomionego robotnika. Wszelakich dóbr w miastach jest pod dostatkiem. Bo przecież wytwarzający je nie bardzo mogą z nich korzystać. Chłop musi dużo produktów zawieźć do miasta, a mało co przywieźć w zamian. Nożyce rozwierają się coraz bardziej i chłop nie może sobie pozwolić na jajko lub kawałek mięsa.

Nawet bezrobotni są błogosławieństwem dla przedsiębiorców i różnych spryciarzy. Robocizna przeto tańsza, wydajność pracy może być większa, bo kto nie chce ciężko pracować, proszę bardzo: przed bramą czekają inni. Głód im bardziej dokuczył. Jakiś czas będą pracować wydajniej, a potem także mogą odejść. Sklepy pełne wszelakiego dobra, bez kłopotu mając złotówki kupimy wszystko, nawet przyniosą nam do domu. Jednak złotówki są w posiadaniu małego procentu społeczeństwa. Ten mały procent jednakże wszystkim i wszystkimi rządzi. Takie jest prawo burżuazyjno-obszarniczego porządku.

Czyżby dobrobyt mas panujących sprowadził zaćmienie na polskie umysły? Dlaczego trzeba przyjechać do żydowskiego miasteczka, żeby usłyszeć od Żydków prawdę o sytuacji na świecie? Dlaczego świat zabity deskami jest bardziej realny i odkrywa przed naszymi zamglonymi oczami rzeczywistość, która nie jest rzeczywistością ułańską, nie jest pięknym snem rządzących?

Kiedy nadchodzi ciężka chwila, przepaść między wielkimi miastami a miasteczkami i nawet wioskami zaciera się. Miasta sięgają po prowincję, aby broniła ich stanu posiadania, którym przedtem nie chciano się dzielić. Taka to prawda życiowa, rzeczywistość gorzka i spóźniona.

Wróciłem pod Warszawę i na rynku swojego osiedla zobaczyłem czworobok żołnierzy, do których przemawiał kapitan.

– Błogosławię was przed wykonaniem, jeżeli zajdzie potrzeba, zaszczytnego obowiązku obrony naszej Ojczyzny. Celujcie dobrze w serce wroga, by żadna kula nie poszła na marne.

Zrozumiałem, że naprawdę może być wojna. Ale i tym razem jeszcze nie uwierzyłem zupełnie. Nie tylko ja jeden. Chłopcy, żołnierze ze wszystkich stron Polski, słuchali wezwania z opuszczonymi głowami. Nie bardzo chciało im się strzelać do wroga. Wiedzieli dobrze, że wróg też nie będzie wypuszczał kul do Pana Boga nieosiągalnego. I tak powoli zbliżała się klęska. Nim to nastąpiło, sądzone mi było poznać jeden z najciekawszych domów mieszczańskich Warszawy.



KOCHANA RODZINKA

To właśnie ojciec kapitana Stanisława Staniszewskiego wypatrzył bogatą wdowę Marię z czteropiętrową kamienicą w podwórzu i kilkoma sklepami od frontu. Sam posiadał małą piętrową kamieniczkę na sąsiedniej ulicy i trzech synów. Dwóch było żonaty, tylko Stasiowi dotychczas nic wyraźnego nie podlegało pod oko. Stary chciał koniecznie za życia zapewnić szczęście materialne synowi i liczył na mundur oficerski, który miał mu w tym dopomóc. Nie przeliczył się.

Na uroczyste śniadanie noworoczne pani Maria zjawiała się w domu Staniszewskich w pełnej krasie jedwabnej sukni, z wielkim kokiem blond włosów na głowie. Uczesanie podwyższało jej dość niską z natury figurę. Trzymała się prosto nie tylko z powodu ciasno zapiętego gorsetu, ale właśnie dla podkreślenia swojej powagi wśród dwudziestu gości. Jej zdrowa, rumiana i gładka cera kazała obecnym panom natychmiast zwrócić na siebie uwagę. Z jej prawej strony siedział milczący Stasio w nowym mundurze, specjalnie uszytym na ten dzień u najlepszego wojskowego krawca. Z drugiej strony przyjaciółka nieboszczki Staniszewskiej, prawa ręka pana domu i przebiegła swatka w sprawach kojarzenia par.

Na Trzech Króli Stasio rewizytował panią Marię, która przedstawiła mu wiotką dziewczynkę lat dwunastu, nieśmiałą blondyneczkę o bladej twarzy, córeczkę z pierwszego małżeństwa. Jej wygląd nie nasunął Stasiowi żadnych myśli. Był raczej pochłonięty oglądaniem i podziwianiem obszernego mieszkania. Składało się ono z kilku małych intymnych pokojów oraz wielkiego salonu i takiegoż pokoju jadalnego. Do tych dwóch można było zajeżdżać karocą w parę koni. Na czołowej ścianie salonu wisiał autoportret pani domu, która, trzeba wiedzieć, miała zdolności malarzkie, ale atmosfera dorabiania się kamienic przez jej rodziców uspiły talent i prace malarskie ograniczyły się do kilku obrazów i wielkiego własnego portretu. Na tym zakończył zapał do malarstwa. Przeważały wygodne, niczym niezmacone życie właścicielki posiadłości, które zapewniały życie dostatnie, a nawet rzec można – rozrzutne. Co prawda, pani Maria, mimo

przebłytku zamiłowań artystycznych, odziedziczyła po rodzicach zmysł praktyczny i niezawodne poczucie wartości pieniądza.

Kapitan w galowym mundurze, przy szabli, z rękawiczkami w rękę, siedział sztywno w fotelu i patrzył na panią Marię rozpartą w miękkiej kanapie. Wtulała się w ciepłe obicie, gdyż za wychodzącym na ogródek oknem panował silny mróz i wciskał się przez szpary nieuszczelnionych drzwi i okien. Wielkie ozdobne kafłowe piece w salonie i stołowym były co prawda gorące, ale promieniujące od nich ciepło ginęło pod wysokimi sufitami, upiększonymi płaskorzeźbami.

Kiedy po przepisowym kwadransie Stasio wstał, chcąc, jak wymagała tego etykieta, pożegnać panią domu, pani Maria uśmiechnęła się słodko: „Drogi kapitanie, wizyta oficjalna została zakończona, proszę odpiąć szablę, odłożyć rękawiczki i uważać się za starego znajomego”.

Życzenie pani domu zostało przyjęte z wyraźnym zadowoleniem i kapitan został na kolacji, suto podlanej wiśniówką domowej wytwórni. Służąca biegła z kuchni do zasobnego kredensu w stołowym, to znowu na ulicę do sklepiku. Nakryła wielki dębowy stół i postawiła tylko dwa nakrycia. Siedzieli naprzeciw siebie i wtedy dopiero Stasio wydał się pani domu mężczyzną pełnym szacunku i zaufania. Ich poglądy na życie były tak identyczne w każdym calu, że pani Maria nie mogła się nadziwić, jak dwoje takich ludzi, mieszkających od tylu lat tak blisko siebie, nie zdołało dotychczas odnaleźć się w zgiełku swojej ruchliwej handlowej dzielnicy.

W ten sposób wysoki postawny kapitan stał się w domu pani Marii częstym gościem. Pewnego wieczora ucałował obie pulchne rączki gospodyni i poprosił o oddanie mu ich na własność. Przypieczętował to wielkim bukietem świeżutkich róż z własnego ogródka i został narzeczonym na bardzo krótki okres. Pilno mu było do sypialni pani Marii, a jej do posiadania opiekuna i ojca dla dorastającej córeczki.

Kiedy poznałem pana Stasia, był już ojcem dwóch własnych córeczek: malutkiej Krysi i pięcioletniej Zosi. Mieszkali wtedy w moim garnizonie i służyliśmy w tej samej jednostce. Kiedy o przepisowej godzinie przyszedłem z pierwszą wizytą kończyli dopiero obiad. Na przykrytym ceratą stole stał wielki garnek z zupą i półmisek smażonych kotletów. Obok leżało w nieładzie mnóstwo łyżek, noży i widelców. Byłem zaskoczony brakiem estetyki obiadowej. Pani domu musiała odpowiednio odczytać grymas na mojej twarzy, przeprosiła za obiad w nieodpowiednim czasie i szybko zaczęła sprzątać garnki i inne niepotrzebne utensylia. Cała rozmowa była skierowana na sprawy gospodarcze i narzekania na ordynansa, który ni-

czego właściwie nie umie. A powinien przecież, zdaniem pani domu, umieć i ugotować, i zabawić dzieci.

Kiedy wyraziłem nieco inne poglądy na obowiązki ordynansów oficerskich, pani domu powiedziała:

– W takim razie nie powinniście wymagać od swoich żon, żeby były wazymy służącymi, a tylko kochankami.

– Żona w zależności od sytuacji powinna umieć być wszystkim – odpowiedziałem.

Zawiązała się gorąca dyskusja, podczas której zauważyłem u pani domu pewne zmęczenie drobnymi kłopotami w naszym małym, odciętym od świata garnizonie. Kapitan, który wtedy był adiutantem jednostki, siedział posępny i zdawał się pozostawać daleko od naszych mało ciekawych dyskusji.

Przed pożegnaniem przeze mnie wojska, kapitan został przeniesiony do Ministerstwa Obrony w Warszawie, co pozwoliło im ponownie zamieszkać w swoim obszernym mieszkaniu we własnej kamienicy. Będąc już w cywilu stałem się częstym gościem w ich domu. Pani domu patrzyła na mnie jako na jednego z możliwych kandydatów na męża córeczki z pierwszego małżeństwa. Alinka miała już ukończone szesnaście lat, była blisko matury i pływała po mieszkaniu niby wiosenny motyl. Latem nosiła lekkie sukienki, w których poruszało się delikatnie anemiczne, mało uchwytnie ciało. Wieczorami mama przygrywała w salonie na fortepianie, na którym grę opanowała w takim samym stopniu jak malarstwo. Tańczyłem z Alinką walczyki i próbowaaliśmy zatańczyć coś nowego, co nam nigdy nie wychodziło.

Po pewnym czasie zjawił się tam młody człowiek po ukończeniu SGGW⁵¹. Od kilku lat pozostawał pracownikiem naukowym tejeże uczelni. Wprowadziła go dalsza krewna, również tamtejsza pracownica, do utraty tchu zakochana w kwiatach i różnych roślinach. Swoją obecnością wprowadzała atmosferę ogrodu botanicznego i zdawało się, że po salonie rozchodzą się różne zapachy egzotycznej roślinności. Była starą panną i tęsknotę swoją za kimś miłym i swojskim, za ogniskiem domowym lokowała w miłości do przyrody. Kolegę swojego przyprowadziła do domu pani Marii w celu ożywienia monotonnego życia rodzinnego oraz niedwuznacznego wyswatania panny z bogatego domu. Alinka robiła maturę i pod wpływem obcowania z naukowcami również zdecydowała się na studia w SGGW.

Zacząłem tam bywać o każdej porze. Często nawet na śniadaniu, prawie zawsze na obiadach i kolacjach. Poznałem tryb życia zamożnych ludzi, którzy bez wielkich trosk zbierali spore pieniądze z lokatorów. Gaża kapitana,

⁵¹ Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego.

choć jak na ówczesne czasy wynosiła pokaźną kwotę, stanowiła tylko dodatek do ogólnych zasobów. Podziwiałem nieraz zdolność takich właścicieli do wydawania wszystkich zasobów i nieraz dapożyczania jeszcze na procenty z banku lub od osób prywatnych. Wydatki na remonty były minimalne. Mieszkania w większości bez wszelkich wygód. W wypadku zalegania z komornym, co zdarzało się niektórym bezrobotnym lokatorom, następowało wymówienie.

Od tego nie było odwołania. Na upartych lokatorów był dzielnicowy komisarz, który punktualnie co kwartał zjawiał się, żeby pozdrowić dziewczkę i dowiedzieć się o jej szanowne zdroweczko i czy nie ma akurat jakiś kłopotów z niegrzeczными lokatorami, to znaczy z wszelką hołotą. Na pożegnanie dostawał dwieście złotych i z niskim ukłonem wycofywał się do następnego kwartału. Pieniądze nie zawsze wręczała pani domu. Czasami także pan w oficerskim mundurze dawał w łapę drugiemu mundurowi, mundurowi porządku publicznego. Wszystko odbywało się w sposób zupełnie naturalnie jak zapłata w sklepie za towar.

Pani Maria szła spać ostatnia i ostatnia wstawała. W domu były dwie służące. Jeśli zasnęła jedna, wtedy druga biegła rano do sklepiku po mleko i świeże bułeczki. Po śniadaniu dzieci i pan domu szli każde w swoją stronę. Pani domu budziła się około dziesiątej i brała się za toaletę. Szła do łazienki i spędzała tam co najmniej godzinę. Może zażywała rozkoszy gorącej kąpeli? Nie, nie było to możliwe. Wanna wprawdzie się tam znajdowała, ale zawsze pełna brudnej bielizny, różnych szmat, starych butów, połamanych zabawek i rozmaitych rupieci. Kąpiel zatem można wykluczyć. Poza tym trzeba by napalić w okrągłym piecu, który zawsze jest niesprawny. Więc zostawało naszej pani, noszącej na palcu złoty sygnet z herbem, chyba tylko mycie swoich pokaźnych członków (ostatnio bardzo się roztyła) w niewielkiej miedniczce. Zresztą Bóg raczy wiedzieć. Bo że pan domu wieczorami często bardzo długo przesiadywał w łazience, to było wiadomym wszystkim domownikom i nawet nieraz gościom: kochał czytać, siedząc na sedesie. Gdyby nikt nie pukał, mógłby spędzić tam spokojnie cały wieczór lub popołudnie. Ale dajmy kapitanowi teraz spokój. Małżonka już wyszła z łazienki i zawinięta w szlafrok zniknęła w swoim buduarze. Brała się za uczesanie. Kilka piętér loków wymagało nie byle jakich umiejętności i czasu. Potem robienie buzi i wreszcie suknia.

Codziennie około drugiej godziny po południu wpływała uroczystość do pokoju jadalnego. Siadała na otomanie, podciągając pod siebie nogi (należało podziwiać tę umiejętność przy jej tuszy) i wołała z kuchni obie służące, które przez ten czas na przemian obzerały się i drzemały przy rozpalonej płycie.

– Nastawiłyście coś na obiad? – pytała dziewczyn.

– Jeszcze nie, proszę pani.

– Nie rozumiem... Jak można czekać tak długo?

– Pani nie wydała wczoraj dyspozycji.

– Wciąż tylko dyspozycje... Widzicie chyba, że nie próżnuję. Nie zawsze mam głowę sama o wszystkim myśleć. Jesteście tutaj już tyle miesięcy i wciąż czekacie na dyspozycje. Czas, żebyście same cokolwiek decydowały.

– Jedna niech leci do sklepu i przyniesie jajka i mąkę. Tylko świeże. Te na kredensie nie wiem, czy będą dobre.

Na kredensie leżało parę dziesiątków jaj, bułek, stało kilka otwartych słoików z różnymi konfiturami, puszki po rybie i z rybą, szklanki z musztardą, napoczęte kwaszone ogórki, szklanki po herbacie, szklanki po kawie i inne różności na półkach i wszędzie, gdzie tylko była jeszcze odrobina wolnego miejsca.

– Proszę pani! – krzyczała dziewczyna wracająca ze sklepu. – Ta przekłeta Żydowica powiedziała, że więcej na kredyt nie będzie dawać, bo winna już trzysta złotych.

– Diabli jej nie wezmą, poczeka. Mam inne wydatki. Niech poleci Andzia do tamtego innego sklepu.

Poleciała Andzia i przyniosła tę samą nowinę. Pani domu musiała wstać z otomany i otworzyć kasetkę. Wyjęła sto złotych i dała dziewczynie.

– Zanieś to i powiedz, żeby nie gadała na drugi raz głupstw, bo przestane u niej kupować. Resztę dostanie po pierwszym, jak lokatorzy popłacą.

Poleciała. Przyniosła trochę produktów. Pani domu kazała drugiej słuchającej nastawić zupę na mięsie.

– Ale nie ma włoszczyzny, proszę panią.

– To czego stoisz, leć po włoszczyznę!

Poleciała. Przyniosła.

– Na deser trzeba zrobić budyń.

– Nie ma chyba mąki ziemniaczanej.

– To czego stoisz, skocz po mąkę.

I tak obie dziewczyny biegały codziennie po jakies drobne zakupy. A tu zbliżała się godzina trzecia, moment wyjścia z biur urzędników i oficerów. W międzyczasie wróciły ze szkoły małe panienki.

– Mamusiu, jesteście głodne jak wilki – witały matkę.

– Weźcie sobie coś z kredensu, zaraz będzie obiad.

Przegryzły bułeczki z masłem i czekały na obiad – on zaś jeszcze w polu. Dziewczyny naznosiły produktów, pani Maria raczyła wstać z kanapy i ociężałym krokiem poszła do kuchni. Przy pomocy dwóch wiejskich dzie-

wuch zaczęła kucharskie zmagania. Kiedy kapitan wchodził do stołowego pokoju, zacierając ręce na myśl o dobrym sznycle po wiedeńsku, małe córeczki drzemały na otomanie, a z kuchni dolatywały nieokreślone zapachy włoszczyzny, cebuli i innych produktów. Brzęk garnków wskazywał na ciężką pracę trzech kobiet. Wielki dębowy stół w pokoju jadalnym nie zapowiadał wszakże rychłego podania obiad. Dla kapitana nie było to nowością: od kilku lat ta sama historia.

Demoralizowałem kolegę, namawiając go do zastosowania wobec małżonki ostrzejszych sankcji. Kilka razy mnie posłuchał: jeżeli w pół godziny po powrocie z pracy nie było obiadu, to nakładał czapkę i szedł do najbliższej restauracji. Nazajutrz obiad zjawiał się na czas. Ale dzień później wszystko wracało do normy. Tata drzemał z córeczkami, a mama pitraśiła obiad w kuchni. Mijały godziny i nareszcie waza z zupą wjeżdżała na stół – w innych domach o tej porze myślano już o kolacji... A cóż to był za obiad! W wazie z zupą łyżka niezmiennie stała pionowo. Zupę dawało się kroić nożem. Mięso podawano wysmażone na ciemny brąz, kartofle mocno pokryte niewyraźnym sosem, sałatę zawsze parzoną, obficie okraszoną tłuszczem ze skwarkami.

Jednym słowem kuchnia bogata, obfita, jedyna w swoim rodzaju. Wszyscy jedli półgębkiem, połowę zostawiali na talerzach i pod koniec obiadu drzemali ze zmęczenia. I tak co dzień, co miesiąc, rok. Dzieci coraz bardziej bładły, tata irytował się bezustannie, ale tylko po cichu, z dala od kochanej Manci, którą mimo wszystko uwielbiał i której starał się nie robić żadnej przykrości. Dziecinne twarzyczki stawały się coraz delikatniejsze i bardziej przezroczyście. Po obiedzie nie miały sił odrabiać lekcji, potem jeść kolacji, którą podawano przeważnie około godziny jedenastej wieczór. Czekając na kolację, dziewczynki przysypiały przy stole, złożywszy główki na białych rączkach. Mama się dziwiła, czemu jej dzieci takie słabe pomimo świetnego odżywiania.

Weszło w zwyczaj, że co tydzień przychodzili lekarze, doktorzy i profesorowie medycyny i też nie mogli zrozumieć, że przy takiej opiece i przy takich zasobach materialnych dziewczynki nie wyglądają na zdrowe. Nie pytali o tryb życia, a gdyby nawet pytali, to przecież pani domu chwali porządek dnia, który uważa zupełnie serio za najbardziej racjonalny.

Pewnego dnia mój kolega z miną jak najbardziej poważną zwrócił się do mnie: „Masz oszczędności w PKO. Wszystko ci jedno gdzie leżą. U nas będą jeszcze pewniejsze i dostaniesz ten sam procent. Brakuje nam trochę do remontu domu”. Dałem dziesięć tysięcy. Zarobiłem je na budowie mostów dla starosty. Dałem bez weksli, bez kwitków, bez podpisów. Oddałem swoje

wieloletnie marzenia o podróżach do krajów egzotycznych. Taki los spotyka ludzi niezdecydowanych, słowem życiowych niedołęgów...

Stałem się jeszcze częściej bywalcem u pani Marii. Nie wiem właściwie co naprawdę wiązało mnie z tym domem, gdzie życie było całkowicie zaprzeczeniem moich poglądów i przekonań; gdzie nie czułem do nikogo żadnego specjalnego przywiązania. Chodziłem z nimi do kina, do teatrów. Zawsze czekali na mnie z obiadem, który jak zwykle podawano z kilkugodzinnym opóźnieniem. Po udzieleniu pożyczki uważali mnie niemal za członka rodziny. Garnąłem się do nich z braku własnego określonego życia. Dziewczynki podraستاły. Przychodziła do nich koleżanka. W wielkim salonie urządzaliśmy wieczorami różne zabawy. Wmawiały mi, że podkochuję się w ich koleżance, która była ode mnie młodsza o dwadzieścia lat. Jako stary kawaler imponowałem podlotkom i wymyślały najrozmaitsze kawały, aby mnie pognębić i udowodnić, że w jednej z nich jestem choć trochę zadurzony. Zawiażywały mi oczy, wysmarowały policzki koleżanki musztardą i kazały się łapać po zgaszeniu światła.

Koleżanka celowo dała się pochwytać. Przycisnąłem swój policzek do jej i poczułem coś śliskiego i ostro pachnącego. W tymże momencie zapalono światło. Trzymałem dziewczynkę mocno, z policzkiem przylepionym do jej policzka. Wszyscy bili brawo i od tego czasu uważano mnie za zakochanego w niej. Trochę mieli racji, ale niestety nie była to miłość, a raczej przywiązanie bardziej ojcowskie. Na tym polegała wtedy moja kłeska. Dziewczynę odebrał wkrótce inżynier, również stary kawaler niewiele młodszy ode mnie. Nie zdążyła osiągnąć szesnastu lat i zrobić małej matury. Ale jako młoda mężatka wykazała niesamowity hart ducha: nie tylko urodziła troje dzieci, ale zrobiła maturę i ukończyła akademię medyczną, czego mąż wcale nie docenił i wciąż traktował ją niczym nieopierzoną gąskę. Zresztą sam miał paskudny charakter i po kilkunastu kieliszkach, do których zaglądał jak najczęściej przy okazji i bez okazji, uważał się za wielkiego człowieka.

Młoda żona poświęciła życie wychowywaniu dzieci i oddała się pracy naukowej. Przestała odczuwać obecność męża w domu. Uważała go za przedmiot, którego nie warto się pozbywać, ale który również nie zawadza w domu. Stał się takim meblem przeszłości bez użytku.

Na trzy lata przed wojną w domu moich przyjaciół zjawił się podporucznik piechoty. Pasierbica kolegi kończyła wyższe studia. Była nadal mimożą, co zresztą podobało się młodemu, wysokiemu i puciołowatemu oficerowi. Długo nie myśląc buchnął mamę w mankiet i poprosił o rękę Alinki, co zostało mile przyjęte, szczególnie przez ojczyma. Trzeba czytelnikowi wiedzieć, że w wojsku sanacyjnym bez żadnych przeszkód żenić mógł oficer

dopiero w stopniu kapitana. W przeciwnym wypadku rodzice narzeczonej musieli zobowiązać się do pokrywania różnicy w poborach podporucznika a kapitana. O to nie było trudno. Zobowiązania oficjalnie zawsze można wystawić. Jego realizacja to rzecz późniejszej ugody między zięciem i teściami. Czasami mogło być odwrotnie. I tak odbyło się huczne wesele w salonie pani Marii, bawiono się całą noc i suto podlewano winem i innymi szlachetnymi trunkami, pełno było dobrego jadła, zamówionego w najlepszej restauracji. Po roku pani Maria została szczęśliwą babką potężnego wnuka, który rósł jak na drożdżach.

Podporucznik awansował i z całym zaparciem grał wieczorami w brydża. Do domu nigdy się nie spieszył, bo młoda żonka – tak jak i jej kochana mamusia – obiad przygotowywała na późny wieczór, zaś kolację koło północy. Swoje szmatki ścierała do trzeciej rano, a chłopak spał raczej od świtu do południa. Życie było oryginalne i nie takie pospolite jak w byle rodzinie. Wychowanie i przykład pani Marii nie poszły na marne. Nie przeszkadzało to jednakże rosnąć wnukowi, który odziedziczył budowę taty i mając lat dwanaście zaczął wykazywać spore zdolności do nauki. W ostatnich klasach popisywał się elokwencją. Babka była dumna i nie mogła się nacieszyć wnukiem. „Będzie słynnym adwokatem” – mawiała do wszystkich. I rzeczywiście wstąpił na prawo, ale po drugim roku poszedł na lewo. Odziedziczył po ojcu nie tylko silną budowę ciała, ale również cudowny charakter. Upodobał sobie nadmiernie karty i ostrą grę. Uniwerek rzucił i został drobnym urzędnikiem w zaopatrzeniu. Babka przestała wspominać o wnuku i na pytania znajomych: „Co słyhać z cudownym wnukiem?”, odpowiadała: „Wyrósł na takiego samego łajdaka, jak i jego ojciec”.

I rzeczywiście kilka lat po wojnie jego matka, siwawa i mizerna pani Alina zjawiła się u mnie zapłakana i prosiła o parę tysięcy, bo jej synowi grozi wyrzucenie z pracy. Wziął pożyczkę na zakupy, przegrał w karty i nie może jej spłacić. Nie zwróciła się do matki, a babki rozpustnika, bo się wstydziła. I tak się toczy koło życiowe raz po kamieniach, drugi raz po atlasie. Zależy od tego, co kto sobie ułoży na swojej drodze.

Po wydaniu pasierbicy za mąż mój koleżka zaczął coraz częściej ulatniać się wieczorami i wracał dość późno. Żonie mówił o jakichś wieczornych zajęciach w wojsku, o różnych konferencjach i odprawach. Pani Maria, jak zwykle drzemała na otomanie. Dwie dorastające córeczki – jak zwykle – czekały do północy na kolację, drzemiać na drugiej otomanie. Dziewczyny w kuchni opowiadały o swoich chłopcach, do których trudno im było się wymknąć, bo nigdy nie wiadomo, kiedy będą potrzebne pani. Ustawiały swoje wyrka w kuchni i leżały na nich, czekając na dyspozycje kolacyjne.

Szły naprawdę spać o trzeciej nad ranem, wstawać musiały o szóstej, bo przecież panienki szły do szkoły, pan natomiast do ministerstwa.

Kłęły swoje życie, ale pracy było mało i trzymały się tego domu głównie z powodu obfitości jada. Ponieważ kupowały prawie wszystko na kredyt nie mogły robić koszykowych, ale wiele rzeczy brały na kredyt do wyłącznego swojego użytku. Pani domu do sklepów nie zaglądała i rachunków nie sprawdzała. Największą jej troską były dochody z lokatorów, których potrafiła przypilnować. Był w tym niezmiernie pomocny jej stróż, dozorca, nieco koślawy z budowy, ale sprytny w tropieniu zalegającym z komornym. Mieszkał tuż przy bramie w ciemnej norze o małym okienku. W dni pogodne siedział na stołeczku przy bramie i jednym nisko się kłaniał, drugich mierzył pogardliwym wzrokiem. Znał dobrze wszystkich przyjaciół swojej chlebodawczyni i tylko ich obdarzał życzliwym uśmiechem. Do pasa kłaniał się wyłącznie swojej pani, kiedy pokazywała się w oknie od podwórza.

Pewnego popołudnia odezwał się telefon. Pani domu podniosła słuchawkę: „Czy to Stasio?” – posłyszała cienki kobiecy głosik. Coś takiego przytrafiło się pierwszy raz od jej wyjścia za Stasia. Nie przywiązała więc do tego specjalnego znaczenia. Nawet nie spytała męża, który tym razem naprawdę przyszedł później z biura. Ale kiedy na drugi dzień odezwał się ten sam głosik, nie wytrzymała i powiedziała, że żaden Stasio tu nie mieszka i że to pomyłka. Wieczorem miała popsuty humor i poszła spać o drugiej w nocy. Przy obiedzie spojrzała na męża i zapytała, kto do niego wydzwaniania. „Mało jest Stasiów na świecie – odburknął. – Widocznie pomyliła numer”. Telefon dzwonił jednak natarczywie o różnych godzinach i wciąż żądał do telefonu tym razem kapitana Stasia. Pani Maria rzekła prosto z mostu do męża: „Powiedz tej swojej małpie, żeby więcej nie dzwoniła”.

Nie mógł jej powiedzieć, bo więcej tam nie poszedł. Skończyły się bowiem pożyczone ode mnie tysiące. Żeby nie te telefony, nigdy bym nie wiedział prawdy o życiu Stasia, statecznego męża i cnotliwego, troskliwego ojca. Posadził mnie pewnego wieczora w małym pokoiku, popatrzył w oczy i wyjawiał:

– Pamiętasz, namawiałeś mnie, bym czasem poszedł na obiad do knajpy. Uważałeś, że w ten sposób zmienię w domu porządek dnia. Porządku, jak widzisz, nie zmieniłem, ale pewnego dnia przysiadła się do mojego stolika wysmukła młoda kobieta. I stało się. Odprowadziłem ją do domu. Mieszkała sama w obszernym ślicznie urządzonym dużym pokoju. Nie pytałem, czym się zajmuje. Mną zajęła się szczerze. To do niej chodziłem, a nie odprawy i zajęcia w biurze. Chodziłem, póki miałem zapasowe pieniądze. Wiedziałem, że żyję, ale mnie to kosztowało. Teraz, kiedy nie chcę tam cho-

dzić, bo pieniądze się skończyły, ona dzwoni i będzie tak dzwoniła, żeby zmusić mnie do powrotu. Podobałem się jej. Mówiła, że mógłbym przyjść do niej na zawsze. Myślała, że jestem właścicielem kamienicy. Musiała sprawdzić. Zmieniła taktykę i starała się wydusić ze mnie jak najwięcej.

Opuścił głowę i milczał. Wyraźnie był przygnębiony.

– Wiesz, chciałbym, żeby Mancia o tym wszystkim nie wiedziała – podjął wynurzenia na nowo. – Co o tym myślisz?

– Ja? – zdziwiłem się raptownie. – Cóż ja mam do tego?

– Owszem. Możesz mieć i to sporo. Jesteś kawalerem i dużo ci wolno. Mógłbyś pójść do niej i wyklarować, żeby się odczepiła ode mnie. Zawsze coś tam wymyślisz. Masz trochę doświadczenia życiowego. Polegam na tobie.

Siedzieliśmy, tym razem obaj z opuszczonymi głowami. On czekał na odpowiedź, ja nie mogłem uwierzyć, że spokojny, poważny Stasio wpadł w takie tarapaty. Zrobiło mi się go żal. Uniosłem głowę i zdecydowanie rzekłem:

– Dobrze.

Po kilku dniach zapukałem do drzwi oblubienicy Stasia. Przede mną stała wysoka, elegancka młoda kobieta. Wcale nie dziwiłem się koledze, że uciekał do niej z domu, gdzie panowała atmosfera nie z tej ziemi. Przekazałem pozdrowienie od zboląłego Stasia, którego zrobiłem poważnie chorym. Prosiłem, żeby więcej nie dzwoniła do jego mieszkania, gdyż to pogorszy tylko stan jego zdrowia. Podkreśliłem, że żona wcale nie jest zazdrosna, bo jest na tyle kobietą ułomną i nieszczęśliwą, że pozwala mężowi na wszystko. Wie o ich romansie i z tym się godzi. Chodzi jej tylko o wychowanie dzieci i utrzymanie prawdy o ojcu w tajemnicy przed nimi. Dziewczynki już duże i mogłyby zmienić swój stosunek do ojca. Wymyślałem wiele innych nieprawdziwych rzeczy i kłamałem jak najęty (bo właściwie byłem najęty). Po godzinnej rozmowie zauważyłem jak twarz mojej rozmówczyni przybiera coraz pogodniejszy wygląd. Początkowy złośliwy grymas znikł i widziałem swoje bliskie zwycięstwo. Pożegnałem z zapewnieniem mojej i mojego kolegi wielkiej i szczerzej przyjaźni dla niej i wyszedłem jak z gorącej łaźni. Prosiła, bym czasem odwiedził ją i przyniósł wiadomości o zdrowiu kolegi.

Po mojej wizycie przyjaciółka Stasia zaniechała telefonów. Odniosłem całkowite zwycięstwo. Ale niestety moje kłamstwa okazały się częściowo złowieszcze: kolega naprawdę zaczął poważnie zapadać na zdrowiu. Pewnego dnia stracił przytomność i odzyskał ją co prawda nim przyszedł lekarz, ale kilka dni później sytuacja się powtórzyła. Lekarze zalecili letni wyjazd do lasów sosnowych. Rozpoczęła się wędrówka między Warszawą

a Śródborowem. Lasy nie pomagały. Trzeba było do szpitala. Obserwacja nie wykazała konkretnej choroby. Stan się pogarszał. Ja potrzebowałem pieniędzy. Zwróciłem się o zwrot pożyczki, ale dostałem odpowiedź negatywną. Stasio wystawił weksle, po czym zaczęli mnie unikać. Minął rok. Zostałem zawiadomiony o śmierci ojca kolegi. Pojechalismy rano do mieszkania nieboszczyka. Na lewo zauważyłem otwarte drzwi do pokoju, w którym stała trumna ze zmarłym. Dokoła ustawiono doniczki z kwiatami i mnóstwo palących się świec. Na prawo otwarte drzwi do drugiego dużego pokoju z wielkim stołem nakrytym jak do weselnej uczyty. Położyłem kwiatek u stóp nieboszczyka i stałem z pochyłą głową. Podszedł do mnie inżynier, brat kolegi, wziął pod rękę i poprosił do pokoju z jadłem. „Może na razie wypijemy po kieliszku i coś przekąsimy, zanim nadejdzie ksiądz”, zaproponował w jak najbardziej naturalny sposób.

Była zima. Na dworze leżał biały śnieg z ostatniej nocy. Skrzypiał pod nogami i połyskiwał w promieniach słonecznych, którym przeciwstawił się kilkustopniowy mróz. Po pogrzebie około trzydziestu osób wróciło i zasiadło do stołów. Nie wiedziałem czy obfitość wódek i zakąsek było dowodem żałoby, czy radości. W każdym bądź razie w tydzień po pogrzebie trzech synów sprzedało kamieniczkę i każdy z nich dostał po trzydzieści tysięcy. Kolega niby proponował spłacenie mi pożyczki, ale jednocześnie zaznaczył, że teraz mają większe wydatki w związku z jego chorobą i że moje pieniądze są pewniejsze niż w banku i że dostanę je w każdej chwili, kiedy tylko będą mi potrzebne. Po raz drugi wykazałem dobre serce i naiwność.

Utraty przytomności zaczęły się powtarzać i Stasio znalazł się w Instytucie Urazowym, prowadzonym przez dwóch młodych lekarzy z zagraniczną praktyką. Miałem okazję ich poznać w towarzystwie oraz podczas pielęgnacji kolegi, gdy dyżurowałem w nocy na zmianę z jego żoną. Podejrzewali nowotwór mózgu. Wciąż nie mogą zrozumieć swojego poświęcenia się ludziom, którzy wystrychnęli mnie na dudka z pożyczką. Wykazałem tyle troski, którą można wykazać tylko najbliższej rodzinie. Mieli na mnie jakiś wpływ hamujący moją wolę, jeżeli chodziło o własne interesy. Po prostu jeszcze raz wykazałem i potwierdziłem swoje życiowe niedołęstwo pod względem materialnym. Była to zresztą nasza cecha rodzinna. Trochę dobroci, dużo nadmiernego zaufania i dość duża doza głupoty z braniem wszystkich ludzi za aniołów.

W tym samym okresie drugi mój znajomy zaczął raptem krzywo chodzić i tracić wzrok. Choroba postępowała milowymi krokami. Nie było żadnych wątpliwości co do diagnozy. Rak mózgu. Znowu przy mojej po-

mocy szybko znalazł się w Instytucie Urazowym. Po kilku godzinach operacji przyniesiono na noszach kawałek szmaty, a nie człowieka. Na trzeci dzień zmarł. Nie z powodu operacji. Raczej na zapalenie płuc. Miałem żal do sióstr, że nie wygrzały łóżka.

Stasio przechodził trepanację czaszki w poszukiwaniu nowotworu. Po miesiącu zmarł z ogólnej niewydolności organizmu. Straciłem zaufanie do lekarzy i przestałem bywać w Instytucie, gdzie zaczęto nazywać mnie „dostawcą głów”. Dostyc napatrzyłem się na beznadziejne zagłębienie pod czaszkę i przez dłuższy czas prześladowało mnie zgrzytanie piłek i dłupek po kościach. Uciekałem, jakbym sam był kandydatem na fotel operacyjny. Wyszło mi to na zdrowie.

Po pogrzebie kolegi, poprosiłem wdowę i właścicielkę kamienicy, by mi podżyrowała weksle męża. Z pewnym oburzeniem sięgnęła po pióro, dodając: „Proszę pana, kto nie zechce oddać, to i podpis nie pomoże”.

Sprawdziło się: podpisała i nie oddała do dzisiaj.

WOJNA

Przy rozpoczęciu wojny przez napastnika często powtarzają się dwa zjawiska: wojna przeważnie rozpoczyna się w końcu lata, kiedy jest pełno jądła na polach, w ogrodach, sadach i stodołach; panuje wymarzona pogoda z wiecznie błękitnym niebem, z którego w dzień padają ciepłe promienie słoneczne, a w nocy świecą gwiazdy i w pewnych okresach otula kule ziemską księżycowa poświata. Pierwsze zjawisko wybiera człowiek, drugie zsyła przyroda, obojętna na ludzkie cierpienia. Przy pięknej pogodzie trudniej jest umierać i żegnać się ze światem, ale cieszą się ci, którzy jeszcze żyją. Zawsze mają nadzieję na ocalenie – nawet kiedy idą na pewną śmierć. Człowiek bez odrobiny nadziei nie zrobiłby kroku w kierunku śmierci. Każdy ruch żołnierza jest celowy i okryty warstwą nadziei, która leży głęboko na dnie duszy. Od tej nadziei, czasami aż bolą wnętrzności.

Pierwszego września 1939 roku leżałem w małym pokoiku na poddaszu. Poranne promienie słoneczne ślizgały się po sąsiednim czerwonym dachu. Nagle usłyszałem szum motorów. Otworzyłem maleńkie okienko i spojrzałem ku niebu. Wysoko, na tle błękitu leciał duży samolot, za nim trzy małe. Za jednym z małych ciągnął się ogon dymu. „Ćwiczenia bojowe”, pomyślałem sobie i przymknąłem okienko. Kiedy chciałem z powrotem wejść do łóżka, zapukano do moich drzwi. Weszła lokatorka.

– Pan śpi, a na świecie wojna – rzekła.

Twarz mi się skurczyła, zmrużyłem oczy i powiedziałem:

– Bzdury. To nasi lotnicy urządzają zabawy.

– Ładne mi zabawy. Bomba podobno spadła na dom i zabiła dziecko.

Ubrałem się i na rowerze pojechałem zobaczyć rozbity dom. Podniosłem ułamek bomby i uwierzyłem, że naprawdę na naszej ziemi rozpoczęła się wojna. Dowiedziałem się również, że wielki samolot to niemiecki bombowiec, a trzy małe – nasze myśliwce. Uciekający lotnik niemiecki zestrzelił nasze dwa samoloty i umknął zdrowy do swojego kraju.

Tak rozpoczęła się błyskawiczna wojna w moim podwarszawskim osiedlu. Wojna, w którą prawie nikt nie wierzył. Jak Niemcy mogli się

odważyć napaść na silną i zwartą naszą ojczyznę. A jednak odważyli się. Jeszcze gorzej, bo wszystko dokładnie zaplanowali i znali naszą sytuację lepiej od nas. A przede wszystkim znali naszą słabość i byli pewni swoich sił. Przygotowali się do wojny 1939 roku. My byliśmy przygotowani do wojny 1920 roku. Odstaliśmy tylko blisko o dwadzieścia lat. Można powiedzieć przespaliliśmy ten czas. Długie lata niewoli niewiele nas nauczyły. Ponoć utrzymywaliśmy z Niemcami poprawne stosunki dyplomatyczne, ale widocznie nasi dyplomaci nosili zawsze ciemne okulary.

Na drugi dzień wykopałem dół na własnym podwórku, coś niby przeciwlotniczy okop. W czasie nalotu, a raczej przelotu nad naszym osiedlem rozgorzała powietrzna bitwa. Siedzieliśmy w rowie i patrzyliśmy w górę. Moja gospodyni została ugodzona łuską od pocisku w gołą łydkę. Taka drobna rzecz, a potrafiła zadrasnąć skórę. Była to chyba ostatnia potyczka naszych lotników z Niemcami. Od trzeciego dnia Niemcy bez żadnych przeszkód wykonywali okresowe rajdy bombowców na Warszawę. Artyleria przeciwlotnicza nie mogła się pochwalić sukcesami.

Jako zwolniony z wojska z kategorią „E” nie spodziewałem się wcale powołania do służby. Wszelkie dowództwa i urzędy wojskowe w pierwszych dniach wojny potraciły głowy i nie zdążyły powołać nawet zdrowych rezerwistów, a tam gdzie opanowano sytuację brakowało i uzbrojenia, i konkretnych planów mobilizacyjnych. Mój były batalion, jedyny w Polsce ze względu na swój fach, musiał zostawić ciężki sprzęt, żeby ratować ludzi. Dwadzieścia cztery wielkie łodzie motorowe, z których każda mogła zabrać kompanię żołnierzy w pełnym oporządzeniu, zostały zatopione na Wiśle.

Długo nie czekając, zaraz po wybuchu wojny udałem się do Warszawy i przede wszystkim w sklepie jubilerskim przy ulicy Chmielnej 19 sprzedałem jedyną posiadaną przeze mnie piękną złotą bransoletkę o wadze ponad sześćdziesiąt gramów. Żydek ze skrzywioną miną dał mi po dwa złote i czterdzieści groszy za gram, mówiąc: „Jak koniecznie pan porucznik musi to sprzedać, to muszę panu pomóc. Interesu na tym nie robię. Komu teraz potrzebne złoto? Niech go cholera weźmie. Tylko z nim kłopot”.

Nadal wykazywałem życiową naiwność, która miała pewną podstawę: postanowiłem wyruszyć w poszukiwaniu przygód wojskowych. Kupiłem nowe oficerki i jeszcze jeden pistolet. Przygotowałem rower i plecak. Jednym słowem zmobilizowałem sam siebie, skoro wszyscy o mnie zapomnieli. Nim wyruszyłem w kierunku bitewnych pól, miałem w swoim osiedlu pierwszą przygodę wojenną.

Nieraz dwa, nawet trzy razy dziennie nad naszym osiedlem huczały chmary bombowców zdążających do naszej stolicy. Warszawiacy byli uprzedzani alarmami i sygnałami radiowymi, w rodzaju: „Uwaga, uwaga nadchodzi”. Nam wystarczyło nastawić uszu i unieść głowę ku górze. Eskadry spokojnie, jak na ćwiczeniach, leciały w różnych szykach nad naszymi głowami. Nasza bezsilność ograniczała się jedynie do grożenia im pięścią, co może nawet widzieli przez lornetki. Pewnego pięknego dnia (a wtedy wszystkie dni były piękne) wyszedłem na skraj osiedla i zatrzymałem się na jedynym tam pagórku. Z jednej strony otaczały go domki, z drugiej karłowate sosnowe zagajniki. Stałem na pagórku, kiedy właśnie przelatywały nad moją głową samoloty niemieckie (bo i jakie inne mogły wtedy lecieć?). Pogroziłem im pięścią. Odniosło to niespodziewany efekt. Nie wiedziałem, że jestem obserwowany przez małych wywiadowców. Chłopcy nasłuchali się już dosyć przez pierwsze kilka dni wojny o piątą kolumnie, o Niemcach przebranych nawet w polskie mundury.

Ich świdrujące spojrzenia zza płotów i ze skraju zagajników nie zwróciły mojej uwagi. Bo i niby z jakiego powodu? Nie przyszło mi to nawet do głowy.

– Leć do rzeźnika – powiedział dziesięcioletni wywiadowca do takiego koleżki. – On tam ma telefon. Jak Boga kocham, musi to być przebrany Niemiec. Widziałeś, jak dawał im znaki ręką?

– Aha – odpowiedział im trzeci.

Jeden z malców został na posterunku, dwóch chyłkiem przebiegło zagajnikiem do domku, w którym mieścił się sklep rzeźniczy, zamknięty z powodu braku towaru. Wskoczyli na podwórko i do mieszkania rzeźnika.

– Jeden z was niech leci jak najszybciej do straży ogniowej, bo nim dowie się wojsko, to szpieg zniknie bez śladu – zawyrokował brzuchaty handlowiec.

Stałem sobie niezmiennie na pagórku, nasłuchiwałem odgłosów bombardowań Warszawy i czekałem na powrót samolotów. Starłem się policzyć je za każdym razem, kiedy przelatywały nad moją głową. Łudziłem się, że z powrotem będzie leciało dużo mniej. Niestety, przeważnie wracały prawie wszystkie. Było mi przykro. Poczułem się nic nie znaczącym synem swojej ziemi. Było mi wstyd za siebie, kolegów, za moich byłych dowódców. Wstyd za naszą bezradność, naszą niemoc. Z pistoletem przy boku czułem się upokorzony i oderwany od własnej ziemi, zawieszony w powietrzu.

W tym samym czasie kilku poważnych ludzi zaczęło powoli wysuwać się z zagajnika i zza zabudowań i zbliżać się w moją stronę. Zostałem otoczony. Kiedy podeszli bliżej i rozpoznali moją sylwetkę, usłyszałem zażenowany głos jednego z urządzających na mnie obławę: „Ależ pan nam zrobił kawał. Naprawdę uwierzyliśmy chłopakom”.

Postaliśmy jeszcze chwilę na pagórku. Było cicho. Słońce chyliło się ku zachodowi. Poszliśmy do najbliższego sklepiku na piwo.

EXODUS

Nadszedł siódmy dzień naszej klęski. Podjąłem ostateczną decyzję: dalsze czekanie nie doprowadzi do niczego dobrego, trzeba ruszyć. Pożegnałem się z sąsiadami, wrzuciłem do plecaka trochę naboju i żywności, zawiesiłem na pasie „piątkę”⁵² i „dziewiątkę”⁵³, stanąłem przy furtce i z żalem popatrzyłem na domek z ogródkiem. Zrobiło mi się smutno. Opuszczałem skrawek ojczyzny, najbliższy mojemu sercu. Jakbym opuszczał najbliższą rodzinę. Wsiadłem na rower niby Don Kichot na chudą szkapę i ruszyłem w poszukiwaniu rzeczywistego wroga, który naruszył nasz spokój. Skierowałem się w stronę Modlina, miejsca dyslokacji mojej byłej jednostki. Spotkałem wojskowych, którzy poradzili mi zawrócić. Zawróciłem więc w stronę Zegrza. Znowu spotkałem wojskowych, i dowiedziałem się, że most na Narwi jest zagrożony, nasi się wycofują i radzą zawrócić. Zawróciłem. Pojechałem na Strugę. Ledwo ujechałem kilka kilometrów zatrzymał mnie patrol podoficerski. Ze zwykłego wozu chłopskiego zszedł kapral z paskiem pod brodą i podszedł do mnie.

– Proszę o dokumenty, panie poruczniku – powiedział.

Wyjąłem czerwoną legitymację emerytalną (zawodowi nosili czarne). Kapral długo ją obracał i wreszcie zapytał:

– Dlaczego pan się kręci blisko frontu i w mundurze?

– Szukam nieprzyjaciela – odrzekłem.

– Tak bez przydziału?

– Bo nie powołali.

– To dlaczego w mundurze?

– Bo na to zezwala pragmatyka oficerska i konstytucja.

Kapral skrzywił się, podrapał w ucho i z rezygnacją stwierdził:

– Proszę sobie jechać, ale dalej od frontu.

Wątpię bardzo, czy kapral wiedział cokolwiek o sytuacjach na froncie. Patrząc na wieśniaczy wóz i dwóch drzemiących na nim żołnierzy żywo

⁵² Pistolet kalibru 5 mm.

⁵³ Pistolet kalibru 9 mm.

stanęły przed moimi oczami czasy powstawania samodzielnych republik na gruzach wielkiej carskiej Rosji. I zrobiło mi się przykro z braku postępu w naszej organizacji wojennej po tylu latach i tylu doświadczeniach. Ze smutkiem pojechałem dalej na swoim niezawodnym rumaku, kręcąc pedałami. Po obu stronach szosy rozciągały się piękne sosnowe lasy. Gorące powietrze było nasiąknięte ich zapasem. Dokoła panowała niczym niezmacona cisza. Żadne życie nie dawało o sobie znać.

Na chwilę zapomniałem o wojnie. Czułem się jak na zwykłej wycieczce. Spojrzałem w głąb lasu i na zboczu pagórka zobaczyłem kilka ludzi w zielonych mundurach. Siedzieli oparci o pnie sosen i palili papierosy. Okazali się moimi dobrymi znajomymi. Wśród nich znajdował się jeden z moich kolegów po szkole. Położyłem się na wygrzanej słońcem ziemi i bezmyślnie patrzyłem ku wierzchołkom sosen, poprzez które widać było skrawki błękitnego nieba. Może cała przyroda wygrzana wrześnie słońcem błogo drzemała. Zdawało się, że tylko ziemia głęboko oddycha i unosi nas ku górze. Powietrze falowało niby łagodne morze i niesło daleko niewidoczne fale leśne.

Siedzieliśmy w milczeniu. Jakby wojna nie istniała. Każdy przeżywał swoje myśli. Nie było chętnych do rozmowy. Byliśmy pod wpływem wszechpotężnej przyrody.

– Dokąd ruszacie? – naruszyłem boską ciszę.

– Przed siebie – odpowiedział major.

Zrozumiałem, że nie chcą odkrywać tajemnic wojskowych przed cywilem w mundurze. Nie miałem do nich żalu.

– No, na mnie czas – powiedziałem wstając.

– Dokąd jedziesz? – zapytał mnie kolega.

– Przed siebie – odpowiedziałem słowami majora.

Rozstaliśmy się tym razem na zawsze, chociaż wtedy nie spodziewałem się, że nie spotkam już żadnego z nich. Gdzie leżą ich kości? Jakie słońce ogrzewa ziemię, w której spoczęli? Jakie drzewa im szumią? Któż to wie...

Pojechałem w kierunku Warszawy. Był siódmy dzień wojny. Stolica przeżywała jeden z kulminacyjnych okresów gorączkowych. Ludzie mieli się po ulicach niby zwierzęta w klatkach. Spokojniejsi budowali barykady u wylotów głównych ulic. Widać było, że warszawiacy szykują się do obrony.

Przeleżałem przez deski rzucane w pośpiechu na stos z sąsiedniego składu drewna i skierowałem w stronę Komendy Miasta. Moje próby zaferowania życia dla obrony ojczyzny spotkały się z wielkim zdziwieniem pierw-

szego napotkanego, mało przytomnego podpułkownika, który usłysawszy, że jestem emerytem, z pewną irytacją obwieścił: „Jak panu dobrze na emeryturze, to po jaką cholere pan tutaj się płaczesz. Nie widzisz pan, co tu się dzieje, jeszcze pana tutaj brakowało. Nie słyszy pan, że zdrowi mężczyźni winni iść na wschód?”

Przerwał swoje gorączkowe wyjaśnienia i poleciał. Udałem się z powrotem na Pragę. Tam dopiero zobaczyłem na ulicy Grochowskiej skutki działania strachu przed wojną. Różnorodny tłum ludzi pośpiesznie opuszczał stolicę. Mężczyźni i kobiety, młodzież i dzieci... Całe rodziny i pojedyncze osoby... Walizki, walizeczki, tłumoki i wężełki. Na ramionach, w rękach, na wózkach różnego typu, na rowerach. Przez ludzką ciżbę przebiegały się samochody pełne dobrze ubranych kobiet z dziećmi i z bogatym dobytkiem. Takie widowisko można by oglądać po ogłoszeniu spodziewanego trzęsienia ziemi, może nagłego wybuchu masowej epidemii dżumy lub cholery, może przewidywanego zawalenia się miasta z powodu końca świata.

Ludzie zostawili na pastwę losu cały dobytek swojego życia: mieszkania pełne mebli, szafy wypełnione ubraniami, żywność w kredensach. Trochę zdążyli zakopać w piwnicach. To wszystko nie miało wielkiej ceny. Najcenniejsze, jak zwykle, było życie. Unosili je w nieznaną – na północ, wschód, południe. Szli przed siebie bez pewności jutra, bez nadziei. Z całą stanowczością posuwali się naprzód, żeby po kilkunastu kilometrach rozdzielać się na różne kierunki, który wytyczał im instytut. Każdy miał przed oczyma jakąś ułudę, każdemu ukazywała się fatamorgana, która go mamiała ku sobie. Aby dalej, aby prędzej...

W kierunku odwrotnym podążały drobne pododdziały wojskowe by bronić stolicy. Żołnierze zmęczeni, spoceni, niewyspani, spragnieni... Małe grupy z rozbitych jednostek. Dowódcy nawoływali do pospiechu, do porządku... Młodszy dowódcy nie upadali na duchu. Jeszcze mieli nadzieję, że tutaj, w murach kochanego miasta bić będą wroga bez litości, że stolica pokaże przyszłym pokoleniom swoje bohaterstwo.

Szedłem razem z tłumem prowadząc rower. Byłem drobną cząstką, nic nieznaczącym pyłkiem na gorącej szosie, którą pędziły samochody, pozostawiając za sobą tumany kurzu. Potem wsiadłem na rower i pojechałem w kierunku Wesołej. Na stacji przy szosie spotkałem znajomego lekarza. Zdziwił się mocno, widząc takiego wojaka na dwukołowym koniu, uzbrojonego po zęby, aż w dwa pistolety, i poradził, żebym jak najszybciej zdjął to wszystko z siebie, nałożył cywilne ubranie i nie udawał bohatera, bo i tak wszystko na nic. Niemcy posuwają się jak po własnym kraju i daremnie moje złudzenia. Lepiej uisnąć w domku ukrytym w lasach sosnowych i cze-

kać końca całej operetki. To ostatnie słowo zadecydowało: nie posłuchałem starego lekarza i pojechałem dalej.

Nad naszymi głowami przeleciały samoloty i za kilkanaście minut usłyszeliśmy odgłosy dalekich detonacji. Zbliżał się wieczór Zachodzące słońce pozostawiło kolory na czystym niebie. Coraz bardziej jednak szarzały od kurzu różnych pojazdów. Posuwaliśmy się w kierunku Garwolina. Zapadał zmierzch. Nikt nie zapalał świateł. Samochody posuwały się w ciemnościach z małą szybkością. Klaksony spędzały pieszych na brzegi drogi. Ludzie zaczynali kląć. Zaczął wyłazić na wierzch egoizm ukryty dotychczas pod ludzką skórą. Zaczynała się powoli walka każdego z każdym o własne życie. Najważniejszy cel tej wielkiej wyprawy.

Około północy byliśmy w Garwolinie. Odpoczynek. Dojadanie własnych zapasów. Nie wszyscy je mieli. Szturm na jedyną knajpkę. Duża kolejka. Po godzinie dobrnąłem do bufetu. Dostałem pajdę razowego chleba i szklanekę osłodzonej herbaty za kilka złotych. Więcej nie wolno. Dla wszystkich to samo. Posmak sprawiedliwości i równości. Choć w takich okolicznościach. Moje sto czterdzieści złotych zaczyna topnieć. Po posiłku odpoczynek w rowach, przy gankach domów, na podwórzach. Domy ciemne, pozamykane na głucho. Szczęśliwi jeszcze tutaj mieszkańcy śpią w swoich łóżkach. Nie wiedzą, że niebawem i na nich przyjdzie kolej..

Chociaż noc ciepła, po krótkiej drzemce przed świtem chłodnawe dreszcyki biegają po ciele. Czas otrząsnąć się i ruszać dalej. Dopiero pierwsze słoneczne promienie odkrywają pomęczone twarze, zakurzone ubrania, zrzędłe miny, stracone nadzieje...

Światło dzienne odkryło przed naszymi oczami skutki paniki wojennej. Po obu stronach szosy w kierunku na Dęblin leżały po rowach zepsute samochody wojskowe i cywilne. Rozmaite wózki, którym koła odmówiły posłuszeństwa, i czasami sprzęt wojskowy, który przestał być przydatny. W wielu samochodach kończyła się benzyna. Właściciele wynajmowali furmanki chłopskie – byle dalej, byle bliżej jakiejś granicy innego państwa. Ci w samochodach najbardziej się bali granicy wschodniej. Napawała ich niesamowitym strachem.

Na jednym z konnych wozów wojskowych zauważyłem swojego byłego szefa kompanii z Modlina, starszego sierżanta Kamińskiego. Był wówczas jednym z najlepszych żołnierzy zawodowych, oddany całą duszą szkoleniu saperów. Taktowny, inteligentny, wyrozumiały. Odważny i posiadający wszystkie konieczne cechy dowódcy. Od niego dowiedziałem się, że była moja jednostka jest w rozsypce. Część pojechała statkami i łodziami moto-

rowymi w górę Wisły. Dowiedziałem się również o śmierci jednego ze starszych podoficerów. Zginął w czasie nalotu. Siedząc na rowerze i trzymając się ręką wozu gawędziliśmy o zaskoczeniu nas wojną i o słabym przygotowaniu do przyjęcia wroga. Patrząc na mieszaninę cywilów i wojskowych, na ich zrezygnowane miny, mimo ładnej pogody posuwanie się naprzód wydawało się zajęciem beznadziejnie uciążliwym i niemrawym. Zmęczone twarze ożywiały się z chwilą nadlatywania samolotów i ich coraz wyraźniejszego wycia. Wszyscy unosili głowy ku górze gotowi do skoku z wozów, by na czas skryć się w fałdach terenu. Czasami bombowce skręcały raptownie i oddalały się spokojnie w innym kierunku. Z zakurzonych twarzy odlatywał strach i wszyscy z opuszczonymi głowami ponownie posuwali się naprzód.

Mój cel był wyraźny: dotrzeć do Puław, garnizonu jednostki saperskiej. Tam mogłem spotkać kolegów. Oprócz tego znałem osobiście wszystkich prawie dowódców jednostek inżynieryjnych i wielu starszych oficerów z racji współdziałania w ćwiczeniach przed odejściem z wojska. Przynaglany czasem, chcąc dobrnąć do Puław przed nocą, pożegnałem byłego podwładnego i mocniej nacisnąłem pedały. Kiszki grały mi marsza i to był jeszcze jeden powód, aby dotrzeć do jakiejś znajomej jednostki z kotłem lub przynajmniej do jakiegoś miasta z knajpą.

Słońce było jeszcze wysoko, gdy dotarłem w okolice Dębłina. Po raz pierwszy natknąłem się na oddziały regularnych jednostek polskich. Jak okiem sięgnąć wszystkie szosy i lepsze drogi polne były zatłoczone żołnierzami, wozami, sprzętem bojowym z końskimi zaprzęgami; oddziały konne i piesze; tumult i hałas nie pozwalał dosłyszeć rozkazów dowódców, którzy spoceni, z czerwonymi i zdenerwowanymi twarzami, głośno krzyczeli. Trudno było zrozumieć o co im chodziło i dowodzonym przez nich oddziałom. Takiego stłoczenia wojska w biały dzień nie mogłem zrozumieć i modliłem się w duszy do wszechmogącego Allaha, żeby nie przyleciały niemieckie bombowce. Wyobrażałem sobie przez moment, co by się działo na tych drogach w czasie nagłego bombardowania. Na szczęście horyzont pozostawał niezmacony i nic nie wskazywało na możliwość katastrofy.

Szosa na Puławy była zatłoczona i mój zamiar rozbił się na napotkany majorze, który oświadczył, że nie ma mowy o dalszej podróży w obranym kierunku. Mogę jechać dokąd żywnie mi się podoba, tylko nie do Puław. Dowiedziałem się jednak coś niecoś o saperach, którzy jakoby są częściowo skoncentrowani w lasach kockich. Musieli traktować mnie jako oficera zawodowego, gdyż nie starali się ukrywać takich danych. Nie czekając długo skrzyłem w lewo na leśną drogę w kierunku Kocka i pojechałem bez jakich-

kolwiek przeszkód. Ledwo dotarłem do gęstszego lasu, z zarośli wyskoczył wysoki chudy generał. Widziałem go po raz pierwszy w życiu. I ostatni też.

– Poruczniku, jaka jest sytuacja? – zaskoczył mnie pytaniem.

Naprawdę nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć. Byłem tak zaskoczony pytaniem tego typu – i to zadany przez tak wielką szarżę, że początkowo wprost zgłupiałem. Potem poniosła mnie duma i wyrecytowałem:

– Melduję posłusznie, panie generale, że wszyscy się wycofują, by potem pobić Niemców.

Skąd mi to przyszło do głowy – nie wiem. Chyba z marzeń wyższych sztabów. Od generała dowiedziałem się, że saperska jednostka biwakuje kilka kilometrów dalej. To mnie podniosło na duchu. Nareszcie dopnę celu i połączę się z saperską bracią. I rzeczywiście, kiedy tarcza słoneczna zapadała się powoli za wierzchołki drzew, na drodze ukazał się żołnierz z karabinem. Był saperem. Spojrzał na legitymację, niczego nie zrozumiał i zameldował: „Droga wolna”.

Kilkaset metrów dalej zobaczyłem zaparkowane wielkie samochody. Przy kuchniach polowych kręcili się saperzy: jedni rąbali drzewo, drudzy obierali kartofle, inni jeszcze mieszały coś chochlami w kotłach. Zrobiło mi się rażniej na duszy i poszedłem szukać kolegów. Była to brygada saperska pułkownika Turulskiego z Modlina. Spotkałem w niej najbliższego kolegę, kapitana Gniewińskiego. Wielu oficerów zabrało ze sobą swoje rodziny. Gniewiński był ze swoją tęgawą żoną, którą znałem dawniej, urzędniczką państwowego banku i dzielną kobietą. Zostałem przez nich przytulony w lesie jakby w ich letniskowym domu w Kazimierzu nad Wisłą, gdzie bywałem w gościnie. Po krótkiej rozmowie o naszej klęsce wojskowej, przeszliśmy na tematy życia przedwojennego po moim odejściu z czynnej służby wojskowej. Spaliśmy na samochodach pod kołdami, na poduszkach, i patrzyliśmy poprzez gęstwinę leśną na gwiazdy. Długo nie mogłem zasnąć, rozmyślając o losach człowieka. Wydawało mi się to wszystko trochę rzeczywistością, trochę bajką leśną. Ciszę nocną naruszały jedynie konie chrupiące szczupłe zapasy owsa i spadanie sosnowych szyszek.

Ledwo świt obudziła nas trąbka. Dowiedzieliśmy się, że przyjechał szef Departamentu Saperów, gen. Kossakowski. Wszyscy oczekiwali nadzwyczajnych zarządzeń. W południe odbyła się niczym niezmacona odprawa oficerska, na której, ma się rozumieć, nie byłem, pozostając tylko gościem przybłądą. Nad lasem wisała kopia błękitnego nieba i słońce zapuszczało swoje promienie na ciepłą, wygrzaną ziemię. Żołnierze przesuwali się ospale po lesie. Niektórzy czyścili broń, inni sprzęt saperski. Wszyscy wyczekiwali dalszych losów, bo wiedzieli dobrze, że wojna na tym się nie

skończy. Kolega ujawnił ostatecznie posunięcia dowództwa: marsz na wschód. Żadnej koncepcji bojowej. Żadnych widoków na jakąś akcję. Żadnych śladów współdziałania z innymi jednostkami. Życie w oderwaniu od całości. Czy istniała jakaś jeszcze całość? O tym prawie nikt nie wiedział. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że z zachodu posuwa się nieubłagana zagłada. Najłagodniejszą jej formą mogła być niewola, do której nikt się nie kwapił. Każdy cenił swobodę.

Kolacja została przyśpieszona. O zmroku miał nastąpić wymarsz. W nocy marsze, w dzień odpoczynki. Ze względów przeciwnocnych, a nie taktycznych. Nie widać żadnego przygotowywania jednostki do walki. Radowała się wyłącznie przed ostateczną klęską. To co zobaczyłem pod wieczór, przeszło wszelkie moje oczekiwania: na samochody załadowano wiele rodzin oficerskich, których przedtem nie widziałem. Tak jakby transport był przeznaczony specjalnie dla nich. Zrobiło mi się nieswojo na taką sytuację. Myśli moje skierowały się mimo woli ku szeregowym żołnierzom. Chciałem wiedzieć co oni o tym myślą. Nie musiałem przeprowadzać wywiadów: wystarczyło obserwować spojrzenia saperów ku samochodom pełnym manatków domowych i siedzących na nich kobiet. Co dowcipniejsi szeptali do kolegów: „Nic nam nie grozi. Baby nas obronią”.

Wszystko wskazywało na to, że mężowie nie chcieli umierać bez żon, żony bez mężów, rodzice bez dzieci. Jak umierać to razem, jak iść na poniewierkę – również razem. Najtrudniej umierać w samotności, kiedy nie ma kto nawet zamknąć nam oczu. A w ogóle to nikt nie chciał umierać, każdy wolał żyć za wszelką cenę. Nawet za cenę darowania życia wrogowi.

Kompanie, bataliony wystrojone. Sprzęt i plecaki obciążają żołnierskie ramiona. Samochodów za mało. Stałem z kolegą na uboczu. Podbiegł do mnie major i wydał mi rozkaz: „Porucznik obejmie kompanię...” Już nie pamiętam którą. Kolega wtrącił: „To nie jest zawodowy oficer...” I tak zostało. Niczego nie objąłem. I nie miałem zamiaru obejmować, od kiedy dowiedziałem się, że brygada rusza w bezpieczniejsze miejsce. Dalej byłem naiwny: szukałem wojennej przygody, a powołani do tego jej unikali. „Na wschód – pomyślałem – to zawsze zdążę, nie potrzebuję do tego dowódców”. Wsiadłem na rower i odjechałem w innym kierunku. Pożegnałem tych, do których dążyłem uparcie dzień i noc na swoim niezawodnym rumaku. I rzeczywiście pożegnałem, bo los prawie wszystkich do dziś jest mi nieznanym. Tylko generał Kossakowski zaraz po wojnie wrócił do Polski i zmarł na rodzonyj ziemi. I jeszcze jedną osobę spotkałem: była nią dzielna żona kapitana Gniewińskiego. Potrafiła przetrwać najcięższe czasy z małą córeczką i pracować w nowych warunkach. Reszta rozplynę-

ła się po świecie i niejeden żołnierz bez względu na stopień złożył swoje kości w obcej ziemi. Przykrywa ich często ciężka leśna ziemia, niekiedy suche, pustynne piaski.

W trzecim dniu wędrówki zaczynam przyłapywać się na niekonsekwencjach. Wyjechałem z zamiarem szukania okazji do wypróbowania swoich umiejętności w zabijaniu wroga, tymczasem coraz bardziej oddalam się od niego. Czy nie wyłazi znowu moja przekorna natura z czasów służby wojskowej? Czy znowu nie zaczynam krytykować postępowanie wyższych dowódców? Czy nie zaczynam na nowo szukać usprawiedliwienia swoich czynów? Wszystko jest możliwe. Takie nachodzą mnie myśli, gdy kręcę pedałami roweru i posuwam się naprzód bocznymi, drugorzędnymi drogami w stronę Włodawy. Chociaż droga wiedzie przeważnie poprzez lasy, zagajniki i zarośla, a mój wehikuł nie posiada światła, widzę przed sobą przestrzeń co najmniej na trzydzieści metrów. Oświetlają ją niezliczone gwiazdy i malutki półksiężyc, który rozsiadł się nad wierzchołkami drzew. Co kilkanaście kilometrów wjeżdżam w uprawne pola i mijam wioski. Chałupy śpią jakby wymarłe. Jedynym znakiem życia są głosy czuwających psów. Odzywają się do siebie różnymi tonami. Ilość wskazuje na wielkość osady ludzkiej.

Na długo przed świtem przelatują ciarki po krzyżu. Lekko spocone plecy zaczynają stygnąć. Pod koszulę przenika powoli świeże powietrze porannej zorzy. Zaczynam coraz wolniej jechać. Nogi w kolanach odmawiają posłuszeństwa. Domagają się odpoczynku. Po wyjeździe z lasu ujrzałem błyszczącą wieżyczkę kościoła. Słońce wyrzało spoza domów i przede mną stanęło w pełnej krasie miasteczko Parczew, o czym głosiła tablica przygraniczna. Zaspani ludzie wychodzili na podwórka i spoglądali ku górze. Można było z góry wiedzieć o czym myślą po spokojnej nocy. Pogodne dni były ich utrapieniem od kilku dni. Byli widoczni jak na dłoni dla lotników niemieckich. Pocieszała ich tylko nieobecność własnych wojsk. Bali się tej przynęty dla wroga. Chociaż zauważyli, że od wczoraj przynętą dla lotników niemieckich zaczyna być wszystko co żyje i porusza się, a nawet i bezbronne osiedla ludzkie.

Kilka osób przyglądało mi się z daleka podejrzliwie. Czy on przypadkiem nie z piątej kolumny? O tym wiedzieli już wszyscy i byli pouczeni, by podejrzanych typów legitymować. Tym razem ominęło mnie to, gdyż pierwszy zagadałem miejscowego policjanta i chciałem mu nawet pokazać legitymację. Uśmieł się dobrodusznie i pokazał gdzie mogę coś zjeść. Trzy sadzone jajka były niebem w ustach. Zapiłem ciepłym mlekiem. Dobiłem pajdą razowego chleba z masłem. Zdawało się, że nie ma żadnej wojny.

Złotówki jeszcze miały wartość. Aż dziwiło mnie, że ludzie są tak życzliwi i jeszcze mają do człowieka zaufanie. Może robił to mój mundur i ich małe uświadomienie o rzeczywistej sytuacji w kraju. Żyli plotkami i wiadomościami radiowymi. Jedne i drugie nie były beznadziejne. Uchodziłem wciąż za człowieka godnego szacunku. Aż czasem było mi przykro. Słuchając wypowiedzi fałszywie oceniających nasze siły wojenne, patrzyłem w dół, jakbym czegoś na niej szukał. Było mi po prostu wstyd przed dobrymi obywatelami, w oczach których byłem jednym z tych, w których pokładali nadzieję.

Po zaopatrzeniu się w produkty żywnościowe ruszyłem w stronę lasu, celem odpoczynku i obmyślenia dalszej drogi. Nie mając ani mapy, ani kompasu byłem uzależniony od ludzi i przyrody. Leżałem na osuszonym od rosy pagórku i drzemałem. Mimo nocnej jazdy spać się nie chce. Dziwne uczucia miotają człowiekiem. Oto leżę tu i odpoczywam w leśnej ciszy oderwany od całego właściwego świata. Błędny rycerz. Don Kichot XX wieku. Nie czuję właściwie, że istnieję. Tak jakbym to nie był ja, jedynie nędzna, nieżywa powłoka marnego, nietrwałego ciała. Ale mimo wszystko zmysły działają. Odezwano się pukanie dzięcioła o pień sosny. Czasami odezwie się inny ptak i znowu cisza. Sprawia mi to przyjemność i nie czuję się takim oderwanym od przyrody. Jestem jej częścią.

Leżę i nie słyszę, jak tam – nie tak znowu daleko – w miastach i na polach beznadziejnych zmagają z najeźdźcą powietrze rozdzierają wybuchy pocisków i bomb, giną ludzie nieomal bezbronni z woli jednego szaleńca (a może jest ich więcej?). Tam, gdzieś daleko, fale odwiecznie biją o brzeg morza, biegną po plaży, cofają się i biegną z powrotem jakby nigdy nic, a ja leżę i wdycham leśne powietrze, które nic a nic się nie zmieniło z chwilą napadu na moją ojczyznę. Fale morskie pochłaniają całe okręty z ludźmi, by ryby morskie miały niespodziewane pożywienie. Dlaczego świat zwariował z woli jednego (może nie tylko jednego) obłąkanego polityka? Dlaczego całe narody, które tak naprawdę nie mają powodu pałać do siebie nienawiścią, słuchają szaleńców i są im posłuszni? „Machina państwowa” – powiadacie. Diabli niech wezmą taką maszynę.

Takie i inne myśli przechodzą do głowy człowieka zagubionego w swoim małym świecie z wielkimi problemami. Moje problemy przecież są problemami nas wszystkich – ludzi dobrej woli. Tylko, że nasza wola nic nie znaczy. Ale może kiedyś się obudzi jak gniew pokrzywdzonego i objawi w formie potężnego, zapartego w sobie działania?

Dopiero teraz, leżąc na tej ziemi, daleko od własnego wymarzonego podwórka, przypomniałem rzucane kiedyś na papier słowa:

*Mostem jest Ojczyzna nasza
Ku mostowi ludzie prą
Ciała swoje tutaj paszą
Ale również tutaj mrą*

I cieszyłem się, że Niemcy też umierają. Wydało mi się to takie naturalne. Bezradna egoistyczna pociecha. I brzęczały dalsze nieudolne strofki:

*Most nasz stary wytrzymały
Dumnie patrzy w świat
Nam legendy nakazały
Polskę kochać jako kwiat.*

Kwiaty kocham i nie mogę napatrzyć się na nie do syta. Nie lubię tylko kwiatów ściętych. Każde ścięte życie nie jest już życiem. Czy można ściąć całkowicie jakiś naród? Unicestwić? Chyba nie. Zawsze coś odrośnię. Odrósł te najszlachetniejsze pędy. One poruszą naszym sumieniem i każą nam czcić kwiat jako symbol naszego przywiązania do własnej ziemi. I przypomniałem sobie ostatnie słowa:

*Kwiat symbolem jest miłości
Miłość krzepnie w nas
Wróg się wali ze starości
Ej, ruszajcie wraz.*

Przepełniony różnorodnymi wspomnieniami wsiadłem na rower i pojechałem przed siebie. Niebo wciąż było czyste. Nie tylko od chmur. Także od nieprzyjacielskich samolotów. Jakby wcale nie było wojny. Zdawało się, że odbywam zwyczajną niedzielą wycieczkę. Zapomniałem, niestety, że wciąż jadę bocznymi drogami. Dopiero we Włodawie zobaczyłem zęby hitlerowców. Kilka domów rozbitych dnia poprzedniego zmuszało mieszkańców do stałego nasłuchiwania i krycia się po polach oraz ogrodach. Niemieckich lotników przyciągał bliski Bug i obecność tam pododdziałów naszych zdezorientowanych wojsk. Ta rzeka miała być jedną z naturalnych przeszkód, na której, według różnych plotek, miała się oprzeć nasza obrona. Ze względu na nieobecność jakichkolwiek sztabów nic nie wskazywało na zamierzone stawianie oporu. Jeżeli nie zatrzyma napastników Brześć, to co w ogóle może zatrzymać pancerne kolumny wroga, który swymi srogimi kleszczami coraz bardziej obejmował nasz kraj? Jedyne ta nadzieja kazała mi po przenocowaniu we Włodawie znaleźć się na skrzyżowaniu szosy Brześć–Kowel–Włodawa–Kobryń.

Nim to nastąpiło zobaczyłem dwukrotnie skutki rajdów niemieckich samolotów. W tym czasie zostały zbombardowane dwie miejscowości. Zbliżyłem się do Małoryty, która płonęła po przeżyciu nalotu. Natarcie niemieckie dawało o sobie znać. W chwili, gdy stanąłem na szosie Brześć-Kowel moja wędrówka przestała być samotna. Od tego momentu będę skazany na oglądanie i dzielenie losu naszych obywateli wszelkiego pokroju. Wojskowi, policjanci, leśnicy, gajowi, urzędnicy, profesorowie, studenci i uczniowie. Mężczyźni i kobiety. Podlotki i dzieci. Głodni, spoceni, zakurzeni. Piechotą, na rowerach, wozach i ci najszcześliwsi – w samochodach. Najbardziej znienawidzeni przez pieszych, których rozpędzają klaksonami, pokrywają kurzem i tak już zmęczone twarze i jeszcze na dodatek siekają te twarze żwirem spod kół, które obracają się z maksymalną szybkością. Ich kierowcy, dygnitarze różnego pokroju, spieszą jak nieprzytomni w kierunku na Kowel i dalej na południe. Ich upragniony cel to granica południowa. Uciekają od wroga, ale w równym stopniu boją się granicy wschodniej, może nawet jeszcze bardziej. Rumunia, Węgry, Zachód. Nadzieja życia, nadzieja walki.

Stałem na skrzyżowaniu szos i bezradnie patrzyłem na ożywiony ruch od strony Brześcia. Czyżby nie było już nadziei? Czy mam płynąć z prądem, czy pod prąd? Próbuję jeszcze raz działać wbrew ludzkiej panice i pojedę w kierunku Brześcia. Tam przecież saperzy. Tam kiedyś byłem w jednostce. Tylko ja jeden posuwam się pod prąd. Droga staje się coraz bardziej uciążliwa. Samochody osobowe, nierzadko limuzyny, prują jak strzały naprzeciw mnie. Przysłaniają kurzem widoczność, tną twarz szutrem wyrwanym z jezdni. Ludzi ogarnął szal zbawiania własnej egzystencji. Co się stało z organizacją państwową? Jakie to wszystko kruche i nietrwałe. Musiało być słabo spojone, a spoiwo fałszywe, skoro wszystko tak szybko się rozsypało.

Po kilku kilometrach zobaczyłem kulejącego wysokiego i chudego żołnierza. Poznałem w nim porucznika J. z mojej byłej jednostki. Poczul się niepewnie na mój widok. Zrobił żalostną minę, pokazał na kolano, machnął beznadziejnie ręką i pokuśtykał w stronę Kowla. Pojechałem dalej. Kilka kilometrów dalej kroczył środkiem szosy wielki, tęgi żołnierz, który okazał się moim dawnym dobrym kolegą, znanym pod przydomkiem „Bunio”.

- Skąd? – spytałem.
- Stamtąd – wskazał kierunek Brześcia. – A ty? – zaciekawiał się.
- Tam – pokazałem kierunek Brześcia.
- Po co?
- Do naszych saperów.
- Za późno – machnął ręką.

- A gdzie twoi saperzy?
- Chyba wpadli do niewoli. Budowali przeszkody przeciwczołgowe.
- A ty? – wyrwało mi się.
- No, widzisz. Idę.
- Dokąd?
- Tam – wskazał południe.

I poszedł. Doszedł. Jest dziś w Anglii. O losach porucznika J. nic nie wiem.

Po tych dwóch spotkaniach zawróciłem rower na Kowel i popłynąłem z prądem. Zdecydowały one w dużej mierze o dalszej mojej wędrówce. Myślałem o tych ludziach, którzy niby żartując raz nazywali mnie „Turkiem”, drugi raz „Żydem”. Przyjmowałem to na pozór obojętnie, jednakże czasami czułem wyraźnie małe kamyczki – małe, ale ciężkie spychające mnie na dno. Chciałoby się powiedzieć na dno duszy. Nie, odczuwa się to jakoś inaczej. Po prostu fizycznie. Jakby coś wpadło do żołądka. Coś, czego nie można strawić. Coś, co pozostaje nieraz na zawsze.

Brzydki Kowel ze swoimi szerokimi ulicami o kocich łbach, z brzydkimi domami, żył wyczekiwaniem swojego jutra. Patrzył z przerażeniem na przepływające tłumy uciekinierów i cieszył się, że odlatują dalej niby ptaki przelotne, a raczej jak szarańcza, konsumując po drodze co tylko się da. Ale jadła było jeszcze pod dostatkiem, mimo że przezorni na wszelki wypadek chowali je do piwnic. Moje złotówki topniały. Ceny rosły. Perspektywy zarobku żadnej. Ludzi wszelkich zawodów co niemiara. Właściciele zakładów opuścili ręce, kombinatorzy wykorzystują sytuację i nabijają kieszenie co wartościowszym kruszcem. Każdy liczy, że przeżyje ciężkie czasy.

Po dwudniowym wypoczynku ruszyłem w kierunku na Łuck. Na szosie ten sam, a może nawet bardziej gorączkowy pośpiech samochodów. Wojskowe i cywilne wozy. Istne wyścigi. Cały ruch zamiera z chwilą ukazania się samolotów. Piesi momentalnie odskakują od szosy jak poparzeni i biegną w pole lub do lasu. Kładą się plackiem i patrzą w górę. Samochody zatrzymują się, ich pasażerowie wyskakują i kładą się w przydrożnych rowach. Wszyscy czekają, aż samoloty zawyją, potem następuje detonacja – jedna, druga, trzecia... Potem kilka serii z cekaemów. I odlatują. I tak co godzinę wszystko powtarza się od nowa. Jedynie zmienia się dekoracja. Reszta odbywa się bez reżysera. Artyści już zdążyli skończyć wyższe studia teatralne. I wyszkolenie wojskowe też. Wiedzą kiedy co może grozić i jak należy unikać niebezpieczeństwa. Czasami wygląda to śmiesznie, ale ma swoją rację. Jeżeli ktoś dobiegnie do stogu siana, to chowa przede wszystkim

kim głowę. Jak struś. Niby śmieszne, ale każdy wie, że głowa na wojnie najcenniejsza i najtrudniejsza do leczenia. Co innego zadnia część. „Bij w kuper ile wlezie – powiadają – aż rozum wylezie”. Dlatego nastawiamy przedziej kuper niż głowę lub pierś.

Dlaczego właściwie faszystowski lotnicy polują na nas jak na kaczki? Kto temu winien? Czy tylko ci co rządili? Czy może zbytne zaufanie do obcego kapitału i jego przedstawicieli? Nawet parę naszych samolotów i to przeważnie budowali zdrajcy. Co wszakże nie zdejmuje winy z nas wszystkich. Ze mnie też. Nasz rodzimy faszyzm był faszyzmem raczej obszarniczym. Obszarnik nie dbał o uzbrojenie. Wierzył, że nie ma siły, która naruszyłaby jego stan posiadania. Wystarczało, że miał na zapleczu policję. I na wszelki wypadek trochę wojska. Obszarnik nie bał się strajków robotniczych i chłopskich. Strajki były wymierzone w rząd. Kapitalista i obszarnik stali za plecami rządu i pozostawiali mu rozprawę ze wspólnymi wrogami. Nawet klęska narodowa nie potrafiła zmobilizować narodu. Naród został bezbronnym i rzuconym na pastwę losu, na pola i łąki, na lasy i na szosu, na drogi i bezdroża... Jedynie słońce jednak świeci i napastnikowi i napadniętym. Jedni idą do przodu i triumfalnie niszczą wszystko po drodze, drudzy triumfalnie uciekają i unoszą swoje ciała jak najdalej od wroga, z którym tak niedawno jeszcze paktowali. Najbardziej cywilizowany człowiek w jedno mgnienie oka może zrzucić swoją skórę i stać się zwierzęciem. I to zwierzęciem dzikim.

Nie tak dawno wszyscy ludzie wygrzewali swoje ciała na słońcu ciesząc się życiem; nie tak dawno wszyscy jednak wachali kwiaty i upajali się zielenią wiosny i lata; nie tak dawno całowali swoje i nawet nie tylko swoje dzieci. Raptem wszystko zniknęło. Przybrało zupełnie inną formę. Formę niszczycielską, formę diabelską.

Po raz pierwszy spotykam namacalne skutki nalotów w stosunku do ludzi i zwierząt. Niedaleko szosy na łące leży zabity koń: na grzbiecie, z napęczniałym brzuchem i wyciągniętymi ku górze kopytami. Jakby wyciągnął z rozpaczki nogi ku niebiosom, ku Stwórcy wszystkiego co żyje. Jakby błagał o pomoc, o ostateczny ratunek. Niesamowite wrażenie. Może dlatego, że był tylko jeden ten koń wśród żywej przyrody. Może lżej koniom umierać razem na polu walki, w tumulcie bitwy, kiedy nikt nie zna momentu otrzymania śmiertelnego ciosu.

Kiedy przejechałem kilkanaście kilometrów dalej, również na łące niedaleko szosy, zobaczyłem martwego żołnierza. Leżał na wznak i dziwnie przypominał mi tamtego konia z tą swoją jedną wyciągniętą ku górze ręką. Jakby zamarała i zastygła w powietrzu. Zjawisko mało zrozumiałe. Gdyby mróz, to co innego. Ale w taki słoneczny piękny dzień? Poczulem ucisk z lewej strony

klatki piersiowej. Stałem nieruchomo i patrzyłem na żołnierza. I pomyślałem o jego matce, która będzie długo czekała. I o dziewczynie, która może będzie długo wyglądała przez okno na podwórko, czekająca by ją uściskał. Na próżno wszystkie nadzieje. Na koniu nikt nie będzie jeździł, żołnierza nikt nie zobaczy. Przechodziło obok nich dużo ludzi, dużo przejeżdżało. Prawie nikt się nie zatrzymywał. Każdy był zadowolony, że sam jeszcze żyje. Skręciłem do wioski i prosiłem żeby go pochowano. Obiecano to uczynić, ale nie czekałem. Pojechałem dalej stać się świadkiem śmierci majora.

Dojeżdżałem do małego mostku nad wijącą się między pastwiskami rzeczką, kiedy nadleciało kilka samolotów. Rzuciłem rower i odskoczyłem od szosy. Leżałem, spoglądając ku samolotom. Miałem stracha przed pikowaniem lub ostrzeliwaniem z ciężkiej broni pokładowej, ale wolałem nieszczęście widzieć z bliska. W tym czasie w pobliże mostku podjechał mały samochód wojskowy przykryty brezentem. Zatrzymał się. Wyskoczył z niego major i chciał zbiec z szosy w dół pod przyczółek. Naraz usłyszałem detonację. Major upadł i stoczył się z nasypu. Nim dobiegłem, już nie żył. Miał może czterdzieści lat. W samochodzie siedział blady żołnierz, kierowca. On nie zdążył wyskoczyć, aby skryć się przed samolotami. Dzięki temu ocalał. Nie wiedział co teraz robić. Położyliśmy ciało do samochodu i kazałem odwieźć do garnizonu w Łucku.

Śmierć majora nie zrobiła na mnie specjalnego wrażenia. Było ono dalekie od uczucia, jakie owładnęło mną, gdy patrzyłem na śmierć konia i żołnierza. Zdawało mi się zjawiskiem bardziej naturalnym w związku z wojną. Może raczej dlatego, że tej śmierci sam się spodziewałem w każdej chwili i byłem z tym pogodzony. Czasem zastanowiło mnie tylko to, że często więcej przykrości wzbudza w nas widok głodnego zwierzęcia niż głodnego człowieka. Może dlatego, że wielokroć sądzimy, że głodny człowiek sam sobie jest winien i może reagować w ten lub inny sposób, natomiast zwierzę w większości wypadków jest bezradne. Głodny człowiek nie ma tak żalostnej miny jak zwierzę. Człowiek może prosić, zwierzę zaś patrzy tylko tak błagalnie, że wyraz jego oczu nie pozwala odejść, a po odejściu – zasnąć. Znałem starsze panie, które poświęciły całe swoje życie zwierzętom. Wielu starszych mężczyzn prowadzi przy sobie swych jedynych czteronożnych przyjaciół. Tak z nimi się zżywają, że nie mogą spędzić bez nich chwili i nigdy z nimi się nie rozstają. Z czasem nawet nabierają pewnych wspólnych cech.

Łuck, najładniejsze ze wszystkich spotykanych dotychczas po drodze miast, powitał mnie gradem kul i kilkoma bombami. Musiałem rzucić rower na chodniku i wskoczyć do ogrodu między budynkami. Leżałem plac-

kiem w kartoflisku i czekałem aż ptaszki odlecą. W południe nastąpiło odprężenie. Czyste błękitne niebo wyciągnęło mieszkańców na ulice. Wypytywali o sytuację uciekinierów, którzy mieli jeszcze mniej prawdziwych wiadomości, niż stali mieszkańcy stolicy Wołynia. Zjadłem porządny (jak się okazało na dłuższy czas ostatni) obiad i wydałem prawie resztę złotych, jakie otrzymałem za bransoletkę od litościwego Żyda w Warszawie. Po odpoczynku ciągnęło mnie dalej na wschód. Był on dla mnie jakby magnesem. Dlaczego, sam nie wiedziałem. Czyżby stare wspomnienia i dawne marzenia o rajach młodości pozostawionym tam, gdzieś daleko i głęboko, wśród słowiczych lasów i chłopięcych miłości?

Tęsknota za przeszłością, która stanęła raptem przed oczyma w całej krasie. Im bliżej tej granicy, tak mocno zakazanej, tym niby pewniejszy czułem się swojego jutra. Wędrówka moja stawiała się celem samym w sobie. Jak niedzielna wycieczka. Zdawało się, że można tak jechać w nieskończoność, że nigdzie nikt nikogo nie zatrzyma, a każdy mile powita i przyjmie. Zapomniałem o groźnej miedzy, której tak boją się nasi dygnitarze. Im bliżej jej się znajdowałem, tym byłem spokojniejszy. Aż się sobie dziwiłem. Taki nastrój usypiał moją czujność wobec niebezpieczeństwa, z którego nie zdawałem sobie sprawy. Marzyłem o głaskaniu niedźwiedzia, chcącego zabezpieczyć swoją egzystencję i z tego powodu niezupełnie łagodnego i naiwnego.

Z Łucka wyjechałem o świcie. Ledwo przejechałem kilka kilometrów, z zarosli wyszedł patrol cywilny okolicznych mieszkańców i zatrzymał mnie, żądając pokazania dokumentów. Kiwali głowami i przyznali się, że polują na niemieckich dywersantów. „Rozleźli się po Polsce jak wszy po brudnym ubraniu – starali się dowcipkować. – Ta piąta kolumna aż do nas zagląda. Mało im tego nieba. Nie dają spokojnie ani posiedzieć, ani poleżeć. Ale przyjdzie bieda i na nich”. Chciałem ich zapytać, gdzie mogą być hitlerowcy, ale wstydziłem się przed cywilami, chociaż byłem jak oni, tylko w mundurze.

Po kilkunastu kilometrach zobaczyłem przy drodze piękne wysokie zabudowania gospodarskie. Zatrzymałem się przed bramą. Na obszernym podwórku, otaczającym budynki mieszkalne i gospodarcze, stały dwa stogi siana. Przekroczyłem furtkę i spocząłem przy jednym z nich. Powietrze przepełniał zapach siana, chociaż już dawno było po sianokosach. Gdy usiadłem, opierając się plecami o stóg siana, przy drugim stogu zobaczyłem dwóch podporuczników. Z ich ubioru można było wywnioskować, że byli oficerami rezerwy. Cicho rozmawiali, zerkając na mnie. Założyłbym się, że mówili do siebie: „Widzisz, frajerze, ty miałeś skrupuły, że poszliśmy w szeroki świat przygody. Ten tam siedzi przy stogu, to na pewno zawodowy i wcale nas się nie krępuje”.

Mylili się. Właśnie przykro mi było i za nich, i za siebie, i za wielu innych, i za całą Polskę. Rzucaliśmy na siebie ukradkiem zażenowane spojrzenia. Nie mieliśmy odwagi ani do siebie podejść, ani się odezwać. Słońce grzało nasze twarze i piliśmy zimne mleko. Z kuchni dolatywał zapach świeżego razowego chleba. W stajni parskały konie. Patrzyłem na zasobny dom mieszkalny, na czyste kwadratowe podwórko i nie mogłem się nadziwić zamożności mieszkających tu ludzi. Lekko się rozczarowałem, kiedy na pożegnanie dowiedziałem się, że gospodarzami są Czesi. „Dlaczego tak żyć i gospodarować nie mogą Polacy” – pomyślałem opuszczając gościnną zagrodę. Głodny i zmęczony dojechałem do Klewani.

Pieniądzy już właściwie nie miałem. Dziwna była pewna beztroska o byt. Podtrzymywało mnie na duchu pewne poczucie wspólnoty państwowej ludzi, wśród których się obracałem. A może miałem tylko wyjątkowe szczęście. Kiedy przypadkowo wstąpiłem w Klewaniu do pierwszego napotkanego domu, zamieszkałego przez szewca Ukraińca, zostałem przyjęty niczym stary znajomy. Nie pytano skąd i po co tu jestem, widząc, że jestem zmęczony i głodny. Nakarmiono mnie i żona szewca, a miła i młoda Ukrainka dała mi na drogę kawałek duszonego mięsa i pajdę chleba. Przyjąłem ten dar dobrego serca i życzyłem im powodzenia w życiu i pomyślnego zakończenia wojny bez naruszenia ich domu przez faszystów. Jakbym przewidział dalszy bieg wypadków wojennych. Pożegnali mnie jak kogoś bliskiego i prosili aby o nich nie zapominać, jeżeli nadarzy się ku temu okazja. Nie wiem co rozumieli pod tymi słowami, ale ich przecucie było przyszłością było niewątpliwie realne.

W Równem zatrzymałem się na skraju miasta przy torze kolejowym Zdołbunow–Równe. W kilkuizbowym domku gospodarza-Ukraińca nie byłem sam. Znalazło tu przytułek kilka osób o różnych profesjach, które można było rozpoznać po umundurowaniu. Byli przedstawicielami różnych struktur nie tak dawno istniejącej władzy. Teraz zastraszeni, bez wyraźnego jutra. Cisi i potulni. Jedyne ich cel – zdobycie kawałka chleba ze słoniną. Jej brak można było zastąpić jabłkiem lub gruszką, o co było łatwo, no i jeszcze mleko. Pasza była. Krowy nie zmieniły swojego stanowiska wobec wydarzeń politycznych oraz wojennych i dawały jak zwykle tę samą ilość życiodajnego, białego płynu. Jedyne pytanie przy spotkaniu z różnymi ludźmi było: „Co będzie dalej?” Tego właściwie nikt nie wiedział i nie przewidział rozwoju wypadków. I znowu okazaliśmy się krótkowzroczni przy ocenie faktów i skutków tego, co rozpływało się przed naszymi oczami. Siedząc nad miedzą nieprzyjazną naszemu państwu, które przestawa-

ło właściwie istnieć, jeszcze nie zdawaliśmy sobie sprawy z rzeczywistości. Wciąż żyliśmy złudzeniami i czekaliśmy, że wszystko samo jakoś się ułoży. W jednym tylko nie myliliśmy się: ktoś za nas musiał decydować.

Po dwóch dniach wyjechałem do Zdołbunowa. Na szosie spotkałem kilkunastu młodych ludzi na rowerach i pieszo. Okazali się studentami ze Lwowa. Na pytanie dokąd zmierzają, nie bez humoru odpowiedzieli: „Kazali nam brykać na północ, to brykamy. Może do Wilna, a może na Litwę”. I tyle, i pojechali dalej trochę rozweseleni, trochę zasmuceni. W każdym razie zdezorientowani jak wszyscy obywatele zapadającego w ciemność państwa. Chodziłem po rynku Zdołbunowa, trzymając niezawodny rower za kierownicę i właściwie nie zdawałem sobie sprawy, po co tu przyjechałem. Błądziłem bez sensu, może trochę jak turysta, który szuka osobliwości, może trochę jak wędrownik czarodziej chcący oderwać się od paskudnego świata ludzkiego.

Byłem zamyślony i szedłem wolno z opuszczoną głową. Raptem coś mną podrzuciło. Podniosłem głowę. Stałem przed małym ganeczkiem niedużego domku. Za parkanem przed małymi oknami z zielonymi okiennicami rosły wysokie malwy i georginie. Kwiaty nie były pierwszej świeżości ze względu na koniec lata. Na ganeczku stała starsza kobieta w chustce na głowie. Twarz miała pomarszczoną, ręce spracowane. Patrzyła smutno przed siebie i raptem wzrok jej spoczął na mnie.

- Pan widać z daleka – zagadnęła.
- Z okolic Warszawy.
- To może pan się napije mleka.
- Owszem.

Usiadłem na ławce ganku. Kobieta wyszła i wróciła z kubkiem i dzbankiem mleka.

– A może pan głodny? – zapytała, kiedy ociągałem się z picim mleka. – Może kawałek chleba z masłem?

Przytaknąłem głową. Przyniosła dwa grube kawały razowca posmarowanego grubo żółtym masłem. Widocznie z piwnicy. Kiedy chciwie jadłem, wciąż patrzyła na mnie uważnie. Poczułem się nieco dziwnie.

- Pan saper, poznaję po mundurze.
- Pierwszy raz spotykam kobietę z małego miasta, która tak się rozeznaje w wojsku.
- A bo mój kochany syneczek też jest w wojsku i też w saperach. Na wiosnę był w takim samym mundurze. Jak pojechał, tak go więcej nie widziałam, nie wiem czy biedaczek jeszcze żyje. Może gdzieś tam go Niemcy zabili. Nic nie pisze. Zaraz pokażę panu fotografię.

Weszła do mieszkania i po chwili wróciła z fotografią oprawioną w drewniane ramki. Uniosła róg fartucha i wytarła szkiełko.

– O, niech pan patrzy.

Spojrzałem i ogarnęło mnie niewysłowione uczucie: był to mój kolega, znany pod przydomkiem „Chazaj”, właściwe nazwisko Bojko. Wiedziałem, że jako zawodowy musiał brać udział w walkach z najeżdżcą, ale nic pewnego nie wiedziałem. I to sprawiło mi największą przykrość, gdyż spodziewałem się dalszych pytań ze strony matki. Wstałem, wziąłem kobietę za rękę, pocałowałem twardą od polnej pracy skórę, i po raz pierwszy od rozpoczęcia wędrówki wymieniłem swoje nazwisko. I dodałem, że jestem jednym z najbliższych kolegów Włodka.

Kobieta rozplakała się i poprzez łzy zapytała:

– A co pan wie o moim syneczku-jedynaku? Gdzie może być? Czy żyje jeszcze?

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Było mi wstyd, że jestem tutaj, a on nie wiadomo gdzie. Z opuszczonymi oczami zapewniłem, że na pewno żyje, podziękowałem za poczęstunek, ucałowałem rękę, wsiałem na rower i szybko odjechałem. Można powiedzieć, że uciekałem. Dzięki temu spotkaniu cała niedaleka przeszłość stanęła przed moimi oczami. I ta raptowna klęska, i ta wędrówka – aż do kresu możliwości. Skończyło się raptem posuwanie naprzód. Zdawało się, wyrosła przede mną wysoka ściana nie do przebycia. Wracalem do Równego.

Znowu do tego samego domu Ukraińca. Część gości przez ten czas odplynęło. Na ich miejsce przybyli inni. Wciąż miałem przy sobie dwa pistolety z nabojami. Był chyba piętnasty wrzesnia. Niezmiennie panowała piękna wrzesniowa bezchmurna pogoda. Jasnoblękitnego nieba nie zakłócały samoloty. Mimo to na twarzach miejscowej ludności można był ciec pewnego niepokoju, jakby wyczekiwanie jakiejś przełomowej chwili. Nasz gospodarz z dwoma synami stali się mniej rozmowni i wylewni, niż kilka dni temu. Czasami chodzili z kolegami i jakby omawiali ważne sprawy. Stosunku do mnie w zasadzie nie zmienili, ale ostatnio zauważyłem, że najczęściej ich wzrok pada na moje pistolety. Zaczynało mi się to nie podobać, ale niczego złego nie podejrzewałem.

Następnej nocy przed świtem usłyszeliśmy nad naszą wschodnią granicą coś w rodzaju armatnich wystrzałów. Wyszliśmy na podwórko. Od wschodu co parę minut ukazywały się błyski nad horyzontem. Nie było wątpliwości: na granicy toczyła się walka. Przecież chyba nie Niemcy? Tej nocy już nie spaliśmy. Gdy późnym porankiem wyjrzałem oknem, zoba-

czyłem jak torem kolejowym kroczyły patrole sowieckiej armii. Stało się jasne, że wkroczyły ich wojska. W południe wyszedłem na główną ulicę. Jak szeroka przelewały się nią różnego rodzaju oddziały. Najwięcej wojsk zmechanizowanych, a szczególnie ciężkiej artylerii. Kocie łby ledwo wytrzymały. Polska tego jeszcze nie widziała. Chodniki były zalane przeważnie ludnością żydowską. Każdy miał do kłapy przypiętą czerwoną wstążeczkę. Mrowie mężczyzn, morze czerwonych gałganków. Wśród wojskowych zauważyłem kilku polskich oficerów. Nie znałem ich roli. Nikt mnie nie zatrzymywał. Jakby nikt nie widział. Nie byłem nikomu potrzebny.

Przypadkowo dowiedziałem się z radia, że rząd sowiecki postanowił zabezpieczyć interesy swoich braci prawosławnych i nie dopuścić faszystów niemieckich na wschodnie tereny byłego ponoć państwa polskiego. Stała się rzecz, jakiej najmniej się spodziewaliśmy. Przyjąłem to z mieszanym uczuciem. Nie miałem odwagi przekroczyć miedzy zakazanej, przyszła miedza sama. Przyglądałem się poważnym minom czerwonoarmistów i rozradowanym w większości wypadków twarzom naszych obywateli. Z opuszczoną głową wracałem z głównej ulicy do swoich gościnnych gospodarzy. Zauważyłem ich zadowolone miny. Po drodze widziałem na bocznej ulicy płaczącą młodą uczennicę. Czy płakała z radości, czy z rozpaczy? Czy opłakiwała nowe szczęście, czy ginącą naszą ojczyznę? Nie wiem. Nie miałem odwagi zapytać. Obraz tej płaczącej dziewczyny stoi przed moimi oczami do dnia dzisiejszego. Tajemnica została na zawsze przykryta wydarzeniami, jakie później nastąpiły.

Wieczorem siedziałem z opuszczoną głową przy stole i bezmyślnie słuchałem cykania wielkiego ściennego zegara. Poczułem rękę na swoim ramieniu. Przede mną stał jeden z synów gospodarza.

– I co pan porucznik myśli dalej robić? – rzucił pytanie, mrużąc oczy.

Nie odpowiedziałem. Nie wiedziałem, co mam i co mogę odpowiedzieć w podobnej sytuacji. Byłem w podwójnej pułapce. Dokoła mnie zamknęły się wszystkie drzwi. Raczej dziwiłem się temu, że jeszcze nadal siedzę w mundurze, z pistoletami przy pasie.

– Radziłbym panu schować gdzieś chociaż ten jeden pistolet, ten większy – usłyszałem.

– Gdzie schować? – zapytałem jak przez sen.

– Możemy wyjść i schować za stodołę.

Wyszliśmy. Zagrzebałem „dziewiątkę” pod fundamentem stodoły i wróciliśmy do domu. Nikt obcy tu nie zaglądał. Poszliśmy spać. Nocowałem w pokoiku o jednym oknie. Drzwi wychodziły na korytarz. Długo nie mogłem zasnąć. Coś mnie tknęło, żeby pójść sprawdzić, czy mój pistolet

leży na miejscu. Wysłizgnałem się po cichu za stodołę. Namacałem przy blasku księżycy pusty dołek. Po pistolecie ani śladu. „Zdrada” – przeleciało mi po głowie. Pierwszy raz od czasu pobytu na wschodnich terenach poczułem zagrożenie. Pierwszy raz pomyślałem o tym, że jako polski oficer mogę być nie tylko niekochany, lecz nawet znienawidzony. Na równi z byłym rządem polskim i policjantami, którzy we wschodnich miasteczkach rozprawiali się bohatersko z komunistami.

Nie czekałem dnia, by powziąć decyzję. Przyszła sama natychmiast po namacaniu pustego dołka po pistolecie. Niech się dzieje wola boża. Trzeba iść. Dokąd? Przed siebie. Do swojej straconej ojczyzny. Jaka by ona nie była, ale tam nikt jeszcze nie zabrał mi podstępnie pistoletu. Gdyby poprosił, dałbym mu go sam. Może nawet oba. Już wcześniej namawiali mnie na to nasi ewakuowani aż tutaj urzędnicy. Nawet proponowali cywilne ubranie. Nie chciałem. Chciałem wrócić na swoje podwórko w takim stanie, w jakim je opuściłem. Byłem więcej niż śmieszny. Zdawało mi się, że jeżeli do nikogo nie mam pretensji, to któż miałby przeszkadzać w moim prywatnym życiu. Ale pozostawać w tym gościnnym domku dłużej nie mogłem. Stracić zaufanie do ludzi, którzy okazali się nieszczerzy. O świcie, kiedy wszyscy jeszcze spali, nałożyłem plecak, otworzyłem okienko i oddaliłem się, pozostawiając zamknięte drzwi. Zrobiłem niespodziankę gospodarzom jako rewanż za wyłudzenie pistoletu.

POWRÓT

Od chwili wyjścia przez okno zaczyna się mój powrót na własne śmieci. Od tego dnia każdy mój krok będzie mnie do nich przybliżał i jednocześnie oddalał od mojego wymarzonego podwórka, od kilku moich prostych jak świeca sosen, od moich klonów-jesionów, od drzewek owocowych i krzewów jaśminu przy werandzie. Te rzeczy to moje najdroższe stworzenia, z którymi się zżyłem. To moi niemi przyjaciele, moja rodzina. Wszystko inne się nie liczy. Wszystko inne bywa niestałe i zdradliwe. Nawet kiedy jestem zły moje drzewa jednakowo mi szumią, moje krzewy i kwiaty jednakowo pachną. Ich stosunek do każdego człowieka jest nieustannie życzliwy. Jedynie one nie uznają podziału ludzi na złych i dobrych.

Tej pierwszej nocy po wejściu Armii Czerwonej mieszkańcy Równego widocznie nie mogli spać, bo o świcie ruch na ulicach był wręcz świąteczny. Środkiem jezdni niezmiennie posuwały się oddziały wojskowe, na chodnikach tłoczyli się miejscowi pomieszani z uciekinierami, którzy się miotali tam i nazad, nie mogąc podjąć ostatecznej decyzji co swojego tułaczego losu. Przebijali się za wojskiem w kierunku zachodnim. Stamtąd przyszli, tam teraz chcieli się udać. Na niebie nie pokazywały się już samoloty niemieckie. Działania wojenne ucichły. Obawa o utratę życia minęła i chociaż niejeden żołądek był pusty, wszystkich przepelniała nadzieja na rychły kawałek chleba w swoim domu. Nie przeczuwali, że droga do własnego kawałka chleba i własnego spokojnego kąta będzie długa i uciążliwa, a czasami niemożliwa.

Parę kilometrów za rogatkami miasta napotkałem pierwsze sowieckie patrole, które przepuściły mnie, mimo że byłem w mundurze, z pistoletem przy boku. Aż mnie zatkało. Złudzenie jednak prysło po kilku kilometrach. Napotkałem następny patrol, który okazał się mniej uprzejmy. Kazał oddać pistolet. Zdjąłem pas z kaburą i oddałem.

- Pas możesz zatrzymać – powiedzieli.
- Bez pistoletu pas mi niepotrzebny – odburknąłem obrażony.

Byłem więcej niż śmieszny: drugi na moim miejscu byłby zadowolony z tak przyzwoitego traktowania. Po rozbrojeniu zapytano mnie, dokąd podążam.

Kiedy usłyszeli, że do domu, do Warszawy, zrobili zdziwione miny i powiedzieli:

– Idi abratno⁵⁴.

Zawróciłem i pojechałem z powrotem w stronę Równego. Po kilku kilometrach napotkałem poprzedni patrol. Do miasta nie puścili, kazali skręcić w bok na pole, gdzie ku mojemu zdumieniu zobaczyłem posterunek i tłum ludzi po jednej stronie polnej drogi i po drugiej. Na skrzyżowaniu dróg stali żołnierze z karabinami i pytali:

– Wajennyj?⁵⁵

– Wajennyj.

– Idi na lewo⁵⁶.

– Grażdanskij?⁵⁷

– Grażdanskij.

– Idi na prawo⁵⁸.

Nie wiem, dlaczego powiedziałem, że jestem wojskowym. Chyba dlatego, że moim jedynym dokumentem była emerytalna wojskowa legitymacja, no i byłem w mundurze.

Bez protestu i namysłu skręciłem w lewo. Na pagórku stała wielka stodoła. Dookoła, na słomie i trawie wygrzewało się sporo ludzi w różnych mundurach. Oficerowie, podoficerowie, policjanci, nawet leśnicy. Wszyscy ubrani w jakiegokolwiek mundury zostali podciągnięci pod rubrykę „wojskowi” i skierowani na lewo. Po prawej stronie roilo się od różnego pokroju cywilnych uciekinierów.

Pierwszy raz poczułem się jak ptak zamknięty w klatce. Pierwszy raz w życiu poczyniono zamach na moja indywidualną swobodę. Nie zdawałem sobie sprawy z konieczności uporządkowania przez wojska sowieckie dziesiątków tysięcy waleśających się wojskowych i cywilów różnej maści. Że masy te nikomu już nie zagrażały, to było oczywistym tylko dla nich. Ale skąd o tym mogły wiedzieć władze wojskowe Armii Czerwonej. Musiała zabezpieczyć swoje tyły. Kto wie, co drzemie w różnych głowach? Wypadki samobójstwa starszych oficerów polskich nie wskazywały na pogodzenie się z zaistniałą sytuacją.

Słońce posuwało się do górze i po obu stronach do poszczególnych obozów przybywało coraz więcej ludzi. Koło południa przyszedł starszy podoficer i powiedział:

– Gaspoda oficery, s wami budjet gaworit nasz tawariszcz pałkownik⁵⁹.

⁵⁴ Wróć, idź z powrotem (ros.)

⁵⁵ Wojskowy? (ros.)

⁵⁶ Idź w lewo (ros.)

⁵⁷ Cywil? (ros.)

⁵⁸ Idź w prawo (ros.)

⁵⁹ Panowie oficerowie, będzie z wami rozmawiał nasz towarzysz pułkownik (ros.)

Stał blisko mnie. Widocznie był politrukiem. Próbował nas uświadamiać o konieczności wspólnej walki z faszystami. Spojrzał na moją śmiałą twarz i zapytał:

– U was kakoj czyn?⁶⁰

– Starszyj lejtenant⁶¹ – odpowiedziałem.

– Nu wot, budietie u nas komandiro m rot y. Nam oficery nużny⁶².

– Tak dajcie etu rot u⁶³ – powiedziałem.

– Jeszczo wriemia. Snaczała budiet s wami gaworit nasze naczalstwo⁶⁴.

Powstał, popatrzył na znużone miny większości, jeżeli nie wszystkich, i poszedł sobie.

– Zobaczycy pan kompanię – powiedział do mnie ironicznie major – chyba na niedźwiedziach – i odwrócił się ode mnie.

Niektórzy oficerowie zauważyli, że naprawdę mam jeszcze złudzenia co do naszej przyszłości. A tymczasem w brzuchach kiszki marsza grały, o jakimkolwiek wyżywieniu nasi opiekunowie wcale nie pomyśleli. Zamiast kotła co parę godzin przychodził delegat i oświadczał, że wkrótce przybędzie przedstawiciel sztabu na rozmowy z „gospodami oficerami”. I odchodził, a przedstawiciele wciąż nie było widać. Tak powoli słońce wrześnieowe chyliło się ku zachodowi.

Niechący rzuciłem wzrok ku otaczającemu nas horyzontowi i ku swojemu zdziwieniu zobaczyłem wokoło nas wystające głowy żołnierskie. Z początku myślałem, że to zaczynają się głodowe majaczenia. Ale fatamorgana utrzymywała się nadal. Do tego doszło inne zjawisko: zobaczyłem coś w rodzaju wysuniętych luf karabinów maszynowych. To mnie nie tyle przygnębiło, ile zaintrygowało. Do naszego naturalnego użytku naturalnego zbudowano prowizoryczną latrynę. Powiedziałem żołnierzowi z karabinem, że muszą pójść za swoją potrzebą. Po raz pierwszy poszedł ze mną. „Niedobrze – pomyślałem. – Jeżeli nawet do latryny idę pod eskortą, to już chyba nie będę dowódcą kompanii Armii Czerwonej. Coś nie gra. I z >>naczalstwa<< nikt nie przyszedł rozmawiać”.

I zrobiło mi się smutno. Myślałem całkiem poważnie o przyjaźni i braterstwie. Byłem wychowankiem rewolucji rosyjskiej. Sam się do niej poniekąd przyczyniłem. A tu raptem zostałem pozbawiony zaufania. Na wszelki wypadek jestem otoczony uzbrojonymi żołnierzami, by broń Boże nie stało się mi nic złego. To mnie słusznie czy niesłusznie zgniewało.

⁶⁰ Jaki macie stopień? (ros.)

⁶¹ Porucznik (ros.)

⁶² Będziecie u nas dowódcą kompanii. Potrzebni nam oficerowie (ros.)

⁶³ Dajcie więc te kompanię (ros.)

⁶⁴ Jeszcze czas. Najpierw będzie z wami rozmawiało nasze dowództwo (ros.)

Powiedziałem wartownikowi, że boli mnie brzuch. Poszedł za mną. Wszedłem za deski osłaniające dół, wyciągnąłem z kieszeni szczyroryk i odprułem patki na kołnierzu. To był pierwszy haniebny czyn, jakiego dopuściłem się w stosunku do oficerskiego munduru. Zrobiłem to ze złości, że mnie oszukano. Podeptano moje zaufanie. Czy miałem rację? Dlaczego brałem pod uwagę tylko siebie? Zapomniałem, że byłem jednym z wielkiej gromady, która przedstawiała część społeczeństwa polskiego wychowanego wcale nie w duchu miłości do państwa bolszewickiego, że cała ta cizba składała się w większości z zawodowych oficerów, co do nastrojów których nie można było wątpić. Byli wychowani bez żadnych wątpliwości w atmosferze daleko odbiegającej od przyjaźni do sąsiada za wschodnią miedzą. O tym dobrze wiedział sztab Armii Czerwonej. Co do tego nie miał żadnych złudzeń. Rok 1920 tkwił głęboko w pamięci starszych wojskowych bolszewików. Ale tego, mimo wszystko, nie mogłem zaakceptować. Zrodził się we mnie bunt.

Zaszło słońce. Zmierzchało. Patrzyłem na zorzę wieczorną znikającą na zachodzie, dokąd leciały moje myśli i poczułem raptem, że moje podwórko oddala się szybkimi krokami. Zrezygnowany umościłem się na słomie w stodole i próbowałem drzemać, czemu przeszkadzały różne myśli i niepewność jutra. Coś ugniatało mnie pod bokiem. Sięgnąłem głębiej w słomę i natrafiłem na wielką kaburę. Ścisnąłem. Twarda. Namacałem w niej pistolet. Znaczą któryś z oficerów podrzucił, pozbywając się niepotrzebnej już rzeczy. Wsunąłem pistolet głębiej pod słomę i ułożyłem się na nim.

Ciemną noc ledwo przebijały gwiazdy mrugające wysoko nad stodołą. Po skórze biegały dreszczyki. Pod mundur wkradał się nocny chłód. Zapadałem w drzemkę, kiedy usłyszałem głosy i kroki najpierw pojedyncze, a potem coraz częstsze, i jakieś głosy. Potem doleciały mnie wyraźne okrzyki: „Gaspoda oficerzy, wpiersiod!”⁶⁵.

Żołnierze sowieccy biegali i ustawiali nasze zacne towarzystwo w czwórki. Pobiegłem w stronę swojego roweru. Namacałem go w ciemnościach. Chciałem podnieść, ale podbiegł do mnie czerwonoarmista i powiedział: „Nie nužno. Eta wam nie prygaditsja”⁶⁶.

To mnie ogromnie zastanowiło. Każą mi się rozstać z moim wiernym koniem, który służył mi niezawodnie bez jadła i picia, który oszczędzał moje nogi i pozwolił mi bez trudu pokonać tak wielkie przestrzenie – dzięki któremu dojechałem do miedzy nienawiści, dzięki któremu mogłem przekroczyć tak jak wielu granicę rumuńską, ale nie chciałem. Jechałem ku braciom Słowianom, kultura których tkwiła we mnie głęboko od dzieciństwa i rozstanie z który-

⁶⁵ Panowie oficerowie, naprzód! (ros.)

⁶⁶ Nie trzeba. To się wam nie przyda (ros.)

mi zdawało mi się zdradą. Może z tego powodu ociągałem się pod przykryciem ciemnej nocy ze stawianiem w długim szeregu i w efekcie znalazłem się w ostatniej czwórce z trzema policjantami.

Zauważyłem, że żołnierzom Armii Czerwonej pomagają w ustawianiu kolumny miejscowi Ukraińcy, a może nawet Polacy-komuniści. Zdradzali się poprawną mową i byli bardziej agresywni niż żołnierze. Biegali z latarkami elektrycznymi i pilnowali, by ktoś nie został na polu.

Długa kolumna wyruszyła w stronę miasta. Wszędzie panowały ciemności, gdyż miasto nie było oświetlone. Wkroczyliśmy na główną ulicę. Kroki nasze były zagłuszane kołami taborów sowieckich wojsk, które nieustannie posuwały się na zachód. Kiedy znaleźliśmy się w samym centrum miasta padł strzał. Za nim drugi, trzeci i dalej seria. Nasza kolumna położyła się na kocich łbach. Strzały się wzmożyły i strzelanina rozbiegła bezładnie po całej ulicy. Potem odezwały się strzały z sąsiednich ulic i raptem wszystko ucichło. Wzdłuż naszej kolumny biegły niewidoczne indywidua i krzyczały po polsku: „Kto z was strzelał?”

Nikt nie odpowiadał. Milczenie położyło kres dochodzeniom i kolumna ruszyła dalej. Nie wiem, czy wszyscy poszli. Pod przykryciem nocy łatwo było się oddalić w innym kierunku, kierunku swobody. Byłem orientowany przez towarzyszy swojej czwórki, którzy okazali się miejscowymi policjantami. Trafili widocznie w pułapkę, chcąc ująć na zachód po wejściu wojsk sowieckich.

Zatrzymano nas na końcu miasta, w zakrzywionych uliczkach przed wielkim gmachem, który rysował się wysoko na tle wygwieżdżonego nieba. Otoczony był wysokim murem. Czoło kolumny dotykało bramy. Kazali nam klęknąć na kocich łbach. Dokoła kolumny biegali młodzi ludzie z pistoletami w rękę i elektrycznymi latarkami.

– Wszyscy oficerowie do przodu – usłyszeliśmy rozkazy w dobrej polszczyźnie. – I oddać natychmiast pistolety lub inną broń, jeżeli ktoś posiada. Także naboje. Jeżeli później okaże się, że ktoś ukrył – marny jego los.

W kolumnie panowała cisza. Dobrze, że wszystkie naboje zostawiłem w słomie przy stodole. Nikt się nie ruszył. Wszyscy klęczeli jak na nabożeństwie w kościele. Głowy mieli opuszczone jak skażancy.

– No i co? Więcej nie ma oficerów? – nie przestawał jeden zajadły konwojent. – O, oni teraz wszyscy szeregowcy, potrafili zmienić skórę.

Tylko jego głos przecinał jak nożem nocną ciszę. Nadal panowała dokoła cisza. Nikt się nie ruszał w klęczących czwórkach. Nagle zazgrzytały wielkie żelazne wrota.

– Co to? – zapytałem towarzyszy swojej ostatniej czwórki.

– Pan jeszcze nie zdaje sobie sprawy z tego, gdzie jesteście?

– Nie znam miasta.

– Niech więc pan wie, że to gmach więzienny.

Zagryzłem usta. Czyżby takie miałyby być moje spotkanie z ludźmi, do których żywiłem tyle niezakłamanych uczuć? Może były one nieraz zaciemnione zjawiskami zachodzącymi w Związku Radzieckim, których nie uznawałem, ale biorąc ogólnie pozostawały pełne życzliwości. I teraz właśnie ja, człowiek nikomu w jego życiu nieprzeszkadzający, klęczę przed bramą więzienną. „Tego już za wiele – pomyślałem sobie. – Chyba tych wrót nie będę musiał przekroczyć. Byłoby to moją ostateczną chyba klęską moralną i życiową”.

Nim skończyłem rozmyślenia, padła komenda: „Powstań”.

– Idziemy? – rzuciłem pytanie sąsiadom.

– Dokąd? – szepnęli

– Za bramę – mruknąłem.

– Jak pan frajer, to niech idzie, my tam wiejemy.

– Dokąd?

– Do domu.

– To ja z wami.

– Dobra.

Czoło zaczęło przekraczać bramę. Konwojenci więcej uwagi zwracali na jej sprawne przekraczanie. Wykorzystaliśmy ten moment, żeby jednym skokiem oderwać się od kolumny. Usłyszeliśmy za sobą okrzyk: „Stój!”, ale byliśmy już za rogiem krętej uliczki. Moi towarzysze, jako miejscowi policjanci, znali doskonale miasto. Odbiegliśmy około dwustu metrów.

– Spokojnie – powiedział jeden. – Musimy iść spokojnie, jakby nigdy nic, bo na głównej ulicy możemy natknąć się na patrole.

I rzeczywiście, po kilkunastu krokach natknęliśmy się na patrol z miejscowych Żydów. Czerwone opaski na przedramionach i karabiny na ramieniu.

– Wy dokąd? – spytał dowódca patrolu i oświetlił nasze twarze latarką elektryczną.

– Ach, to pan – powiedział do jednego z policjantów.

– Właśnie. Byliśmy razem ze wszystkimi, ale kazano nam iść do domu – walił ten śmiało.

– To uciekajcie i cicho siedźcie w domu – rzekła nowa władza czerwona z byłych obywateli polskich.

Poszliśmy do domu jednego z policjantów. Na powrót męża czekała stroskana i niespokojna żona. Czekala tak na niego cały dzień. Ucieszyła się, że wrócił i to nie sam. Była rada gościom i towarzyszom niedoli. W takich wypadkach najgorzej człowiekowi samotnemu, opuszczonemu przez wszystkich i zapomnianemu przez Boga. Siedzieliśmy w ciemnym pokoju.

Strach było zapalać światło. W każdej chwili ktoś mógł zapukać. Mieszkanie leżało w centrum miasta. Gospodyni podała nam trochę chleba i po kawaleczku boczku. Zapiliśmy letnią gorzką kawą. „Nie wychodziłam cały dzień na miasto, wciąż czekałam na męża” – usprawiedliwiała się gospodyni domu.

„Co będzie dalej?” – unosiło się w powietrzu pytanie, na które nie przychodziła odpowiedź. Nie mieliśmy chęci do rozmowy. Nie wiedzieliśmy co będzie jutro, pojutrze, za kilka dni. Czuliśmy się zbrodniarzami, którzy nie popełnili żadnej zbrodni. Ucieczka? Czy była ona jakimkolwiek przestępstwem w tych okolicznościach? Nawet zbrodniarza pytają o jego czyny, nim go zamkną. Nas o nic nie pytano i chciano pozbawić wolności. Kto dobrowolnie na to się zgodzi? Chyba tylko człowiek nieświadomy tego, co koło niego się dzieje. Zaczęliśmy zdawać sobie sprawę z cuchnącej atmosfery i woleliśmy przynajmniej na razie czyste powietrze i choćby namiastkę swobody. Każdy dzień życia jest drogi. Stokroć droższym staje się w chwili zagrożenia.

Noc upływała w milczeniu i nikt nie miał odwagi go naruszyć. Obawiając się, że o świcie ludzie, których nie znam, zobaczą mnie w mundurze, wyszedłem na podwórko niby za swoją potrzebą. Wyszedłem na tyły czyjś obejścia z potworną decyzją pozbycia się ubioru, który mógł zaprowadzić mnie na powrót przed więzienną bramę. Wygrzebałem po omacku dołek, zdjąłem bez wahania bluzę i tam ją zagrzebałem. Zostałem w koszuli, wojskowych spodniach i oficerskich butach. Z dołu wojskowy, z góry cywil. Pogrzebałem honor oficerski, pogrzebałem niemal ojczyznę. Czy miałem prawo ratować życie, które dała mi matka przyplacając to swoją śmiercią? Dlaczego ludzie, wśród których się wychowałem, których książkami i artykułami się upajałem i które ukształtowały mnie na ich podobieństwo, dlaczego właśnie oni mnie zawiedli?

Polityka – powiadacie. Polityka nie uznaje sentymentów i w gorącym czasie nie może zajmować się pojedynczymi osobami. Jeden odpowiada za wszystkich i wszyscy za jednego. Nie ma dobrych, nie ma złych. Są tylko niebezpieczni. Ja odpowiadam za winy nas wszystkich: za nasz ustrój, za naszą politykę, za nasze niesprawiedliwości wobec innych. Ale zazdrościłem tym z silną wolą, którzy jednym strzałem w skroń lub serce położyli kres sytuacji bez wyjścia: honorowo pożegnali swoją ojczyznę i zostali bezimiennymi bohaterami, których pokolenia będą czcić raz na zawsze.

Wykazałem najwyższą dozę tchórzostwa, chcąc za wszelką cenę ocalić swoje życie. Czyżby ojczyzna nie była warta mojego nędznego ciała? I znowu powracają wspomnienia kolegów i ich stosunku do mnie podczas zawodowej służby. „Ty Żydzie jeden” – brzęczy niby pszczoła nad uchem głosu kolegi z pod-

chorążówki. „Ty Turku jeden” – brzmi kolejny głos oficera Polaka, katolika, człowieka poważnego, a jednocześnie dokuczliwego.

To znówu staje mi przed oczyma postać wysokiego i grubego porucznika „Bunia”, największego krzykacza o miłości do ojczyzny, który zostawił kompanię gdzieś pod Siedlcami, by ratować własne życie. A oto porucznik J. kulejący samotnie na szosie i unoszący swoje istnienie w bezpieczne miejsce. Dlaczego nie umierają z honorem na polu chwały? Dlaczego ja mam ginąć, gdy oni bez-trosko wędrują jak najdalej od swoich obowiązków?

Uspokojony i ukojony usprawiedliwieniami własnego brzydkiego czynu wracam oto bez bluzy do ciemnego pokoju. Albo nikt nie zauważył zmiany w moim ubraniu, albo nikt nie chciał tego widzieć. Każdy coś tam sobie myślał, jednak myśli swoich nikt nie wypowiadał. Rozumieliśmy się doskonale. Nikt nikogo nie potrzebował o nic pytać. Sytuacja była jasna: wszyscy chcą żyć i zrobić wszystko, by to życie zachować.

O świcie żona policjanta wpycha mi do plecaka kawałek chleba z boczkiem, nic nie wiedząc o tym, że popełniam wielki grzech w stosunku do Allaha. Co prawda grzech w tych okolicznościach jest wybaczalny. Dziwię się tylko sobie, że jadło, którego w życiu nigdy nie tknąłem, zaczyna mi coraz bardziej smakować. Opuściłem gościnny dom, który przyczynił się w dużej mierze do ocalenia mi życia. Przykryty mgiełką wrześniego poranka opuściłem podwórko, na którym zostawiłem część swojego ja.

Szedłem ponownie tą samą szosą, w tym samym kierunku z tym samym celem: jak najszybciej dotrzeć do środka nieistniejącej już samodzielnej Polski. „Ale naród, jako taki, jeszcze istnieje – myślałem sobie. – Tego nikt nie zniszczy. Ludzi można zabijać, ale trudno zniszczyć doszczętnie cały naród. Zawsze przecież ktoś musi ocaleć i dać początek odrodzeniu”. Z takimi rozmyślaniami posuwałem się naprzód kilometr za kilometrem akurat do tego samego miejsca co poprzednio. Takie same patrole, takie same tłumy po lewej i po prawej stronie tejże polnej drogi. Historia się powtarza, z tą różnicą, że tym razem stałem się mądrzejszy o jedno doświadczenie życiowe i w górnej części ciała jestem naprawdę cywilem.

Czerwonarmiści krzyczą: „Wajennyje na lewo, graždanskije na prawo”⁶⁷. Teraz bez namysłu idę na prawo. Pytają mnie o paszport. Pokazują kartę meldunkową bez fotografii ze swojej gminy. Oglądają, przewracają, niczego wiadomo nie rozumieją i mówią: „Charaszo”⁶⁸.

Wtapiam się w tłum różnorodnych ludzi z różnymi tłumokami, ludzi o twarzach zmęczonych, o twarzach pogniecionych i niewyspanych. Swoim

⁶⁷ Wojskowi w lewo, cywile w prawo (ros.)

⁶⁸ Dobrze (ros.)

wyglądem pasują do nich, trochę może odstają moje oficerki i zielone spodnie. Nikt jednak zbyt nie dziwi, że od góry mam tylko koszulę. Zresztą w tym tłumie nikogo niczym nie zadziwisz: wszyscy się orientują w sytuacji i są przygotowani na wszelkie przedsięwzięcia i dziwactwa, byle ocalić ciało. Siadam na wygrzanej słońcem ziemi i patrzę na drugą stronę drogi polnej. Koło stodoły, która była wczoraj moim przytułkiem, pełno ludzi w różnych mundurach, tak jak wczoraj. Prawdopodobnie wieczorem ich także poprowadzą pod więzienną bramę.

Czuję pewną ulgę, że jest to już poza mną. Ale co znajduje się przede mną? Czego jeszcze nie doświadczyłem? Nie mam pojęcia, czy puszczą, czy nie puszczą? Kiedy i dokąd? Rozglądam się po tłumie uciekinierów i dziwię się im, że w ogóle doszli w te strony, tak daleko. Oni, prawdziwi cywile. Czego się bali? Niewoli? Jakiej? Przecież jeszcze nie znali hitlerowskich metod. Chyba po prostu unosili swoje życie byle dalej, byle odwlec swój los na później, byle żyć. Wszystko jedno jak. W polu, w lesie, w chłopskiej zagrodzie. O głodzie ale w ciepłym wiosennym słońcu i z otwartymi oczami, z oczami patrzącymi choć na ten kiepski świat, ale nasz świat, świat życia. Do świata śmierci zdążymy.

Zebrali nas godzinę przed zachodem słońca i powiedzieli, że jesteśmy wolni pod warunkiem niepójścia na zachód. Należy czekać na specjalne zarządzenia. Na razie czekać. Gdzie i jak? Nikogo to nie obchodzi. Każdy przywędrował tu na swoją rękę i niech sam również sobie radzi. Popatrzyłem przed siebie i poszedłem bezmyślnie drogą polną w stronę wysokich drzew liściastych. Z pola zerwało się stado wróbli i również poleciało w kierunku drzew. „Skoro lecą tam ptaki, to musi być tam gospodarstwo” – pomyślałem. Zazdrościłem im, że niczym nieskrępowane mogą swobodnie zmieniać miejsce pobytu. Nawet przelatywać nad frontami. Gdybym miał skrzydła? Przypomniałem sobie dziecięce sny, podczas których fruwałem ponad rzekami i lasami. Były tak realne, że jeszcze dziś nie mogę uwierzyć, że tylko o tym śniłem...

Po przekroczeniu pagórka przed moimi oczami ukazały się budynki gospodarskie otoczone wysokimi drzewami, na których usadowiły się wróble. Na jednej ze stodoł widniało puste bocianie gniazdo. Droga prowadziła na podwórko gospodarstwa. Wysoki żuraw do wyciągania wody ze studni opierał się jednym końcem o płot z drewnianych sztachet, a na drugim chwierutało się przymocowane wiadro. Przy studni stało długie koryto. Sądząc z zabudowań, musiało to być dość pokaźne gospodarstwo. Wyciągnąłem zimną wodę z głębokiej na kilkanaście metrów studni i przyłożyłem usta do kubła. Nie zdążyłem dobrze się napić, jak usłyszałem za swoimi plecami męski głos:

– Smakuje nasza woda?

Odwrociłem się. Przede mną stał mężczyzna średniego wzrostu i średniego wieku. Pociągłą twarz miał spaloną słońcem. Sylwetka wskazywała bez żadnych wątpliwości, że był to Polak dobrze zagospodarowany na kresach. Zauważyłem, że jego spojrzenie skierowało się na moje buty z chlewanami.

– Pan chyba z wojska? – zapytał.

– Ale już dawno, przed wojną.

Czułem, że mi nie wierzy.

– I dokąd to pan wyrusza? – atakował dalej pytaniami.

– Chciałem do domu, ale nie puszczają na razie.

– A daleko?

– Pod Warszawę.

– I to chciało się panu tak daleko wędrować?

– Musiałem.

– Bał się pan Niemców?

– Kto by ich chciał oglądać.

– A czerwonych pan się nie boi?

– Skoro tutaj jestem, więc widocznie nie.

Pokiwał głową i znowu popatrzył raz na buty, raz na spodnie.

– I tak w samej koszuli przyszedł pan spod Warszawy?

Jego świdrujące oczy nie dawały mi spokoju. Czułem, a właściwie to dokładnie widziałem, o co mu chodzi. Powziąłem jeszcze jedną głupią decyzję.

– Mój ubiór, jak widzę, dziwi pana. Musiałem ratować pewnego oficera. Dałem mu swoje cywilne ubranie. Nie mogłem odmówić... Bardzo prosił...

– Z pana wielki dobroczyńca, ale teraz wygląda pan jak oskubany.

– Trudno. Mnie zresztą wszystko jedno. Teraz chłodne noce, będzie cieplej nogom.

– Ale plecami zimniej – uśmiechnął się.

– Jakoś tam będzie – przytaknąłem. – Może bym u pana...

– Co u mnie? – przerwał.

– Może u pana mógłbym zatrzymać się na kilka dni?

– Ostatecznie może pan zostać. Mam już trzech takich jak pan. Wystarczy miejsca i dla czwartego. Oni teraz w polu kopią kartofle. A pan umie kopać kartofle?

– Chyba potrafię. Mam swoją działkę.

– Niech pan idzie w stronę stodoły – wskazał ręką. – Tam leży słoma. Na niej nocuje tych trzech. Zmieści się i pan.

Poszedłem. Widziałem lekki ironiczny uśmiech na ustach gospodarza. Widocznie nie uwierzył w moją bajeczkę o zamianie ubraniami z oficerem.

Pod okapem stodoły leżało sporo żytniej słomy po omlotach. Można było rozpoznać, że spali tu jacyś ludzie. Słońce chyliło się ku zachodowi. Zjadłem resztkę chleba z boczkiem. Położyłem się na słomie i patrzyłem bezmyślnie w niebo. Czekałem na nieznanych towarzyszy niedoli. Wrócili prawie o zmierzchu. Trudno było rozpoznać twarze. Mogłem jedynie stwierdzić, że byli to ludzie w wieku około pięćdziesiątki. Poszli pod studnię obmyć ręce po pracy. Potem gospodyni przyniosła po misce zupy. Dla mnie też. Jeden z tych trzech odniósł puste talerze do domu gospodarzy. Nawet nie zapytali, kimże to ja jestem. W milczeniu jedliśmy, w milczeniu poszliśmy spać.

Zaszyłem się głęboko w słomę. Z trudnością oddychałem. Ale musiałem oddechem ogrzewać swoje legowisko. Buty zdjąłem. W spodniach było ciepło. Chłód zakradał się do pleców. Koszula cienka. Przybrałem pozycję pieska i zasnąłem. Rano, ledwo świt, dokładnie zobaczyłem moich współlokatorów, leżących pokotem jeden obok drugiego i przykrytych jesionkami. Jeden miał brodę. Dwaj byli nieogoleni. Otworzyli oczy i mrużąc je spojrzeli w moją stronę. Wyczuwałem pewne zakłopotanie moja obecnością. Przymknęli powieki i leżeli cicho. Na podwórkowej trawie błyszczała rosa. Promienie słoneczne nieśmiało próbowały zajrzeć pod okap stodoły. Ogrzałem buty na słońcu i naciągnąłem na nogi. Byłem już ubrany.

Z domu wyszła starsza kobieta z dzbankiem w rękę i czterema kubkami. Sądząc po jej pomarszczonej twarzy i wieku mogła być matką właściciela gospodarstwa. Podała nam dzbanek mleka i sięgnęła do fartucha po chleb. Każdy dostał jednakową pajdę jak w wojsku: „Proszę jeść i iść na kartofle. Syn później przyjedzie wozem”.

Po śniadaniu poszliśmy w pole. Każdy dostał motykę i swój rząd do obróbki. Było też z nami kilka kobiet. Nie mogliśmy za nimi nadążyć. Wygrzane słońcem plecy bolały. Nie byliśmy przyzwyczajeni do takiej pracy i w takiej pozycji. Kobiety przygadywały nam od pańskich niedołęgów. Urodzaj kartofli był duży. Czarna ziemia ciężka. Trzeba dobrze odwalać skiby motyką, by wydostać wszystkie ziemniaki na wierzch. A potem do koszyka. I pełny koszyk zanieść na kupę. Z pustym szliśmy wolno, żeby dać odprężenie grzbietom. W południe zawołano nas na obiad. Dostaliśmy po talerzu zupy i kawałku razowca. Jałowa zupa była królewskim jadem po takiej robocie. Po obiedzie znowu kopanie kartofli do zachodu słońca.

Po załadowaniu worków na wóz wracaliśmy na swoje leże pod stodołą, dostawaliśmy znowu po kubku surowego mleka, jeszcze ciepłego po udoju, i po kawałku chleba. I takie menu, jak się później okazało, trwało kilka dni aż do mojego odejścia. Przez pierwsze dwa dni moi trzej towarzysze trzymali się na uboczu. Wyraźnie było widać, że nie są zachwyceni moim doszłusowaniem do

ich przytułku. Koso patrzyli na moje spodnie i wysokie buty i można było wyczuć, że wyraźnie czegoś się boją. Dopiero po dłuższym oswojeniu się z moim widokiem jeden otworzył buzię:

– Pan chyba był... jest oficerem?

Wiedziałem, że tego najbardziej się obawiali. Pewne odprężenie na ich twarzach nastąpiło po moim powiedzeniu:

– Taki sam ze mnie oficer jak i z panów.

Od tej chwili zaczęli ze mną normalnie rozmawiać. Z ich słów wyniosko- wałem, że jeden był na pewno profesorem liceum, gdyż za często wspominał o uczniach, dwaj inni urzędnikami instytucji z Warszawy, o której najchętniej rozmawiali i martwili się o losy swoich rodzin. Wyczułem, że bardzo się bali czerwonych, Ukraińców i innych mniejszości narodowych, które teraz były nieżyczliwe dla Polaków, jako swoich byłych krzywdzicieli.

Zachowanie się młodego gospodarza wobec nas było mocno niewyraźne. Dawał nam do zrozumienia, że uciekinierzy są plagą tutejszych mieszkańców, że nie wiadomo dlaczego akurat tutaj przyszli szukać schronienia i opieki. Teraz przyszła na nich bieda ze strony Niemców, a przedtem byli butni i nie- dostępni. Sugerował jeszcze dużo innych niemiłych rzeczy, które wskazywały na komunistyczną orientację tego zamożnego chłopca, wyglądającego raczej na szlachcica. Miałem okazję zajrzeć do wnętrza domu, odnosząc talerze po zupie i przekonałem się o zamożności tego niemal folwarku. Widziałem na łózkach piękne kapy i sterty poduszek pod sufit. Nikomu z domowników nie drgnęło jednak serce, żeby dać nam kawałek jakiej starej poduszki pod głowę lub cokol- wiek cieplejszego do przykrycia. Noce stawały się coraz zimniejsze. Szczególnie przedświt i poranki. Niekiedy zjawiały się przymrozki i oszronione buty nie chciały wejść na nogi. Zacząłem spać w butach. Okazyjnie zdobyłem płaszcz żołnierski. Był wyświechtany i brudny, ale z chwilą jego zdobycia przestałem trząść się w nocy z zimna.

Wciąż kopaliśmy kartofle w zamian za mleko i zupę. Gospodarze dostali tanią siłę roboczą i satysfakcję zatrudniania polskiej tajemniczej inteligencji. Myśmy mieli jako tako napełnione brzuchy. Krzyże powoli przyzwyczajały się do nowej pracy. Życie układało się ciche i niczym niezamącone. Wyczekiwali- śmy na moment, kiedy pozwolą iść na zachód. Po kilku dniach rozeszła się po- głoska, że wydają przepustki na powrót. Trzeba tylko okazać dowód osobisty. I tu stanął przede mną problem: skąd wziąć dowód, którego nigdy nie miałem, a legitymację emerytalną z fotografią w mundurze zostawiłem w słomie koło stodoły. Miałem przy sobie jedynie odcinek zameldowania spod Warszawy.

Co zrobić? Wpadłem na pewien pomysł. Najpierw poszedłem na wywiad do miasta. Do Równego było siedem kilometrów. Rzeczywiście tymczasowy za-

rząd miejski zaczął wydawać ludziom przepustki na powrót do miejsc stałego zamieszkania. Przed zarządem niesamowite tłumy uciekinierów. Stoją podobno dzień i noc. Każdy musi udokumentować skąd przybył. Posiadane potwierdzenie zameldowania mogłoby wybawić mnie z kłopotów, ale jest bez fotografii. Idę do Żyda-fotografa i mówię o co chodzi. Zgadza się. Nakłada na moją koszulę starą marynarkę i nazajutrz dostaję gotowe zdjęcie. Przyklejam je do karty meldunkowej i oto jestem taki piękny, że można śmiało wysłać mnie do Palestyny. Nikt nie zwątpi w moje moźszeszowe pochodzenie. Do tego jeszcze imię akurat odpowiednie dla osób nieznających dobrze historii narodów. Na fotografii składam zamaszysty podpis jako potwierdzenie prawdziwości mojej fizys. Jestem w posiadaniu czegoś w rodzaju dowodu osobistego.

Zaczynam codziennie zaglądać pod zarząd w nadziei, że kolejka zmaleje. Odwrotnie, z każdym dniem przybywa coraz więcej interesantów. Po południu nie kopię kartofli. Zmniejszono mi za to wieczorową porcję chleba. Nie szkodzi. Wytrzymam. Powrót do domu ważniejszy od żołądka. Postanowiłem stanąć w kolejce na noc. Moi towarzysze wznoszą ramionami i mówią, że widocznie szukam guza. Oni zadowolają się beztróskim życiem słonecznych dni i zgiętych kręgosłupów nad rzędami kartofli, jakby to miało trwać wiecznie, aż do śmierci. Ciekawe jak szybko można przyzwyczać się do całkiem odmiennego trybu życia i nawet nie odczuwać jego beznadziejności i bezsensu. Powoli doszedłem do przekonania, że trzyma ich przy stole zwyczajny strach przed Sowieciami. Brak chęci ryzyka do zmiany swojego położenia. Uważają gospodarza za opatrność boską i wierzą w jego obronę przed wszelkim zagrożeniem.

Stałem całą noc. Byłem chyba trzechsetnym. Może do wieczora coś wystoję. Rano wróciłem zabezpieczając swoje miejsce w kolejce. Chciałem obmyć przy studni zaspną twarz. Jeden z ziemniaczanych towarzyszy doradzał mi: „Nie myj się pan, bo to może przeszkodzić w otrzymaniu przepustki. Oni tam nie lubią błyszczących paniczów”.

Nie posłuchałem. Jak pijak oblałem głowę zimną wodą i przeczesałem palcami włosy. Gospodarz dowiedział się, że nie chodzę kopać kartofli i kazał nie wydawać mi mleka i pajdy chleba.

„Wytrzymam – pomyślałem. – Niech się sam naje więcej. Aby nie zaznał tułaczki”. Gdy wracałem do miasta, znowu ustawić się w kolejkę, jeden z poważnych panów krzyknął:

– Uważaj pan, bo burżujom przepustek nie dają. Poznają ich po czystych rączkach i wysyłają tam, skąd nie zawsze się wraca.

– Po pana przyjdą sami. Przyjdą wielkim powozem – odgryzłem się. – Zawiozą pana z honorami do samego domu.

I poszedłem. Idąc, mimo woli co rusz patrzyłem na ręce. Nie były zbyt zniszczone kopaniem kartofli. Nawet paznokcie miałem czyste. To mnie trochę speszyło. „A jeśli naprawdę – pomyślałem – zwrócą uwagę na palce i zacząną wypytywać a skąd, a kto, a czym się trudnił i tak bez końca i odstawią mnie na bok, na później, i zacząną oglądać moje spodnie, moje buty...” Różne myśli kłębiły się w niewyspanej mózgowicy. Pod wpływem tych rozmyślań schyliłem się i zanurzyłem dłonie w czarnej, wilgotnej od rosy ziemi. Potarłem palce i byłem zachwycony, gdy zobaczyłem brud pod paznokciami.

Stałem w beznadziejnej kolejce bez śniadania, stałem bez obiadu. Dziwnym wydawał mi się brak jakiegokolwiek chęci do jedzenia. Uczucie głodu było zabijane wyczekiwaniem decydującej chwili, która miała odwrócić mój los na lepsze lub gorsze. Stojąc w kolejce, drzemałem jak koń po zjedzeniu owsa.

Po kilkunastu godzinach dotarłem do sieni budynku. Była to już połowa zwycięstwa. Nabrałem pewności siebie, kiedy zobaczyłem jak każdy wychodził z zarządu z twarzą rozpromienioną i z przepustką w ręku. Im bliżej do stolika kancelaryjnego, tym bardziej biło serce. W chwili podawania świstka meldunkowego lekko drgnęła mi prawa ręka, a serduszko chciało wyskoczyć i polecieć same bez mojej nędznej powłoki. Było za ciasno i za gwarno, by to mogło się stać. Oficer zapytał zwyczajnie:

– Wam kuda?⁶⁹

– W Warszawu⁷⁰ – odpowiedziałem spokojnie.

– Tam jeszcze nielzja. Tam jeszcze Giermańcy⁷¹.

Poskrobałem się po głowie i nie wiedziałem co odpowiedzieć.

– Wy gdzie rodilis?⁷² – zapytał.

– Niedaleko Grodna⁷³.

– Nu wot... W Grodno możem dat⁷⁴.

– Pust budiet⁷⁵ – nieomal krzyknąłem uradowany.

Przyłożył na mojej karcie meldunkowej pieczętkę:

Wriemiennoje Prawitielstwo

gor. Rowno

Propusk na prawo wiezda w gorod, sielenie Grodno⁷⁶

24/IX/39 E... (podpis w postaci prawie jednej litery)

⁶⁹ Wam gdzie? (ros.)

⁷⁰ Do Warszawu. (ros.)

⁷¹ Tam jeszcze nie można. Tam jeszcze Niemcy. (ros.)

⁷² Gdzie się urodziliście? (ros.)

⁷³ Blisko Grodna. (ros.)

⁷⁴ No tak... Do Grodna możemy dać. (ros.)

⁷⁵ Niech będzie. (ros.)

⁷⁶ Tymczasowy Rząd / miasto Równo / przepustka na prawo wjazdu do miasta, miejscowość Grodno (ros.)

Wyskoczyłem z budynku jak poparzony, ściskając mocno papierek w obawie, żeby mnie nie zawrócili. Ale nikomu nic takiego, widać, nie przeszły do głowy. Tylko w moim rozpalonym łbie mogło powstać coś podobnego. Leżałem dumny na słomie przy stodole i oczekiwałem na powrót moich współlokatorów z pola. Czerwona kula słońca zapadała powoli za horyzont. Musieli od razu zauważyć zmianę na mojej twarzy, bo ledwo weszli na podwórkę, jeden z nich rzekł: „Widzę na twarzy zwycięstwo nad wszystkimi ułomnościami tego świata”. Tym razem po raz pierwszy podzieli się ze mną kolacją. Spałem snem niedźwiedzim i ledwo otworzyłem oczy. Żegnałem ludzi, którzy w zanadrzu chowali swoje dusze i do dziś zostali dla mnie postaciami we mgle. Wiele od nich nie wymagałem. Takie były czasy: brat bratu nie wierzył. Był to początek cichej rewolucji.

Od chwili opuszczenia niezbyt gościnnej podwórki, każdy mój krok był krokiem na przód. Z małymi wyjątkami. Maszerowałem z podniesioną głową, pewny siebie. Po kilku kilometrach, mimo przepustki, zostałem zatrzymany. Zaprowadzono mnie do większego naczelnika. Ten, po przejrzeniu przepustki, zrugął dowódcę patrolu i kazał mnie puścić. Nim oddaliłem się na parę kilometrów od Równego, historia ta powtórzyła się kilkakrotnie. Im dalej tym mniej patroli – tym krótsze badanie dokumentów. Pieczętka robiła wielkie wrażenie na władzach wojskowych i nikt nie próbował rozszyfrować mojego dowodu tożsamości. Nie chodziło o moje nazwisko. Ważny był fakt posiadania odpowiedniej „bumagi”⁷⁷.

W taki sposób po kilku godzinach marszu znalazłem się w okolicach Klewnia. Przed oczyma stanął mi szewc ze swoją miłą, gościnną i przystojną żoną. „A gdyby tak wstąpić?” – pomyślałem. Czy będą tak samo uprzejmi, czy może odwrócą się plecami? Albo jeszcze gorzej – powiedzą władzom wojskowym, że musiałem zostawić mundur, bo przecież niedawno widzieli mój dziarski wygląd. Dziś zostały strzepy człowieka sprzed kilkunastu dni. Bez dłuższego namysłu skrzyłem w ich uliczkę. Ciekawiło mnie jak zachowają się ludzie, do których od pierwszego wejrzenia poczułem sympatię. Chciałem skontrolować swoje przeczucia i swoją znajomość duszy ludzkiej. Dotychczas nigdy nie pomyliłem się w ocenie charakteru człowieka. Jest on wypisany na jego twarzy i widoczny w stosunku do otaczającego świata. Każdy ruch, każde spojrzenie określają człowieka.

Tym razem nie pomyliłem się. Przyjęli mnie jak brata i zamiast mnie oni byli zakłopotani moim wyglądem. Ubranie i mizerny wygląd tłumaczył im moją niedawną przeszłość i nie musiałem zbyt wiele opowiadać o bliskiej

⁷⁷ Papieru, w znaczeniu dokumentu (ros.)

przeszłości. Wielu rzeczy domyślali się bez słów i cieszyli się z mojego ocalenia i pomyślnego powrotu w rodzinne strony. Nakarmili i ułożyli do snu. Jak rodzony brata. Na drugi dzień szewc powiedział: „W tych butach i spodniach daleko pan nie zajdzie”.

I ubrali mnie w stare, ale dobre jeszcze ubranie cywilne i lekkie sandały. Dostałem też na drogę chleb z kawałkiem duszonego mięsa. Zostałem wyprawiony jak najbliższy człowiek, który mimo gościnności musi odejść. Kilka lat później żałowałem, że nie wziąłem adresu tych zacnych ludzi. Tyle opowiadano o różnych szykanach ze strony mniejszości narodowych wyznania prawosławnego, a nawet zamachach na życie uciekinierów, że wprost nie chciało mi się wierzyć, wspominając moich raczej dobroczyńców. Dlaczego stosunek tych samych ludzi nie był jednakowy do wszystkich? Albo nie trafiłem na ludzi złych, albo nie trafiłem na ludzi mściwych. Albo wreszcie nie trafiłem na ludzi, którym nasze rządy wyrządziły krzywdę. Nie licząc paru drobnych nieprzyjemności nie mogę stwierdzić, że ktoś chciał mnie zamordować lub po prostu, jak opowiadano, zarznąć.

Nie znam również wypadku, by ktoś z moich znajomych nie wrócił z tułaczki. Chyba tylko ten, co przekroczył zakazaną miedzę sam dobrowolnie lub w innych okolicznościach. Sporo poszło w daleki świat i po dziś nie powróciło. Wielu z winy własnej, wielu niezawinionych. Jedni przez zbytne zaufanie, drudzy przez naiwność, trzeci przez nadmiar bohaterstwa. Niektórych dzisiaj się czci, zaś innych nie wspomina. Wszystkim ostatecznie składa się wieńce w różne rocznice. Każdy w ten lub inny sposób przyczynił się do tego, że światowy faszyzm został złamany. Co prawda, dużo jeszcze trzeba, aby człowiek do człowieka nabrał całkowitego zaufania i zlikwidował niepotrzebne miedze, ale ta sprawa należy niestety do dalekiej przyszłości i zależy.

Stopniowo, pomaleńku, kilometr po kilometrze pokonywałem przestrzeń ze wschodu na zachód. Na razie wracałem tą samą trasą. Pogoda wciąż się utrzymywała. Dnie stawały się coraz krótsze. Noce coraz zimniejsze i ciemniejsze. Poranki – chłodniejsze. Człowiek szedł niewyspany, nieumyty i głodnawy. Każdą kromkę chleba dzielił na coraz mniejsze porcje. Tak jak w tamtą stronę, tak i teraz nie byłem sam. Jedyne zmieniała się sceneria. Zamiast różnokolorowego tłumu, przez który przedzierały się szalone samochody osobowe, teraz po obu stronach szosy szli ludzie z opuszczonymi głowami, mizerni i zmaltretowani, jacyś wyświechtani, poszarzali, przygnębieni. Szli, nie niosąc ze sobą żadnych nadziei na lepsze, niczego dobrego się nie spodziewali, szli w nieznane chociaż do swoich domów. Szli, nie wiedząc co zobaczą, kogo spotkają i czy zastaną swoich przy życiu i na miejscu. Niesli ze sobą zwątpienie w życie ludzkie w jego wartość.

Środkiem szosy posuwały się oddziały Armii Czerwonej. Nie było widać ani początku, ani końca. I tak od kilku dni. Pieszo, na maszynach, na wozach, na koniach. Piechota, artyleria, dużo różnej artylerii. Zaprzęgi konne, armaty na ciągnikach. Wielkie transportery na gąsienicach, czołgi i maszyny budowlane. Takie mnóstwo wszystkiego, że aż ciemno w oczach. Mundury szare i pogniecione, na wozach żołnierze o twarzach wskazujących na różne narodowości, z kawałkiem suchego chleba razowego i pepesami w rękach.

Idę i drzemię jak koń w zaprzęgu. Muszę iść bardzo wolno, bo wojsko i niektórzy młodszy ode mnie wciąż mnie mijają. Czasami mam wrażenie, że wcale się nie posuwam. Jednak to nieprawda skoro widać wieżyczki kościołów i cerkwi. Ukazuje się Łuck. Cieszę się, że pokonałem spory kawałek drogi. Wchodzimy do miasta. Prawie wszystkie oddziały zatrzymują się na krótki odpoczynek. Przechodzę koło restauracji, gdzie niedawno zjadłem ostatni przyzwoity obiad za własne pieniądze. Teraz nie ma o czym marzyć. Nie mam grosza nawet na białą bułkę, które całymi nareęczami wnoszą ze sklepów sowieccy żołnierze. Wchodzą kolejno do każdego sklepu, oglądają towar i wychodzą. Robią wrażenie jakby nigdy nie widzieli takich sklepów, tylu różnych towarów. Stąd nikt nie uciekał, bo już nie miał dokąd i zanim faszyci dotarli do tych ziem, uprzedzili ich Sowieci.

Idę spokojnie i odpoczywam przy drodze bez obawy, że na niebie pokażą się samoloty z bombami i karabinami maszynowymi. Nikt już nie poluje na powracających uciekinierów i rozbrojonych polskich żołnierzy. Państwo nasze chwilowo, na Allaha, nie istnieje. Jesteśmy obywatelami niczymi. Jesteśmy obywatelami rozdartej polskiej ziemi, która ciężko zachorowała. Kto ją uleczy, kto ją podniesie do życia? Chyba tylko ci, co nie stracili wiary w istnienie sprawiedliwości.

Od Łucka kieruję się na Kowel, ale już nie główną i prostą szosą: za dużo wojska i za dużo ludzi. Nie mam przy sobie ani grosza. Cały mój majątek składa się z zegarka, scyzoryka, igły z nitką i pudełka zapalek. Nie mam nic do jedzenia. Darowane zapasy skończyły się przed Łuckiem. Zazdrościłem żołnierzom zjadającym białe polskie jeszcze bułki. Prosić nie umiałem. Kraść nie potrafiłem. Od tego dnia mają mnie ratować pola gospodarskie, w których pełno jeszcze kartofli. Wybieram przy drodze kilka sztuk, rozpalam ognisko i pożywiam się pieczonymi kartoflami niby pączkami. Brak do nich soli lub kiszzonego ogórka. Za duże wymagania. Przed oczyma stają mi lata chłopięce, kiedy to szło się na grzybobranie i piekło się kartofle. Ale wtedy tak nie smakowały. Wydają mi się dzisiaj czymś najbardziej luksusowym.

Zjadłem pięć dużych sztuk, oczyszczając zaledwie z popiołu. Skórka w delikatną różową krateczkę najlepiej smakuje. Przypomina placki kartoflane. Tylko chude, ale gorące.

Słońce już jesienne i łaskawe przygrzewa ale wygłodzone ciało marznie. Wstaję więc i idę dalej. Coś mnie uwiera, coś dokucza. Siadam na miedzy z trawą zwarzoną nocnymi przymrozkami i oglądam podeszwy. Pierwsze pęcherze od początku wędrówki. A droga przede mną daleka. Nakłułem je lekko igłą i wycisnąłem wodę. Inaczej nie mógłbym iść. Omijam piasek, żeby nie pchał się do sandałów, a tym samym do pęcherzy. Im dalej tym bardziej utykam. Powoli staję się prawdziwym dziadem polnym. Siadam co kilka kilometrów i nakłuwam ponownie zebrane pęcherze, i wyciskam płyn. Rozpalam ognisko, grzeję nogi i wrzucam skradzione kartofle do rozpalonego piasku z popiołem. Najedzony ruszam w drogę. Słońce się chowa za młody brzoźowy lasek. Nadchodzi wieczór. Robi się nieprzyjemnie i ogarnia mnie niemiłe uczucie na myśl o noclegu w polu. Jest już za chłodno jak na mój ubiór. A palić cały czas ognisko i podtrzymywać ciepło znaczy prawie nie spać.

Ku mojej radości ukazały się kominy domów. Wioska. Ale czy przyjmą? Na szczęście takich włóczęgów jak ja więcej na widnokręgu nie widać. Pukam do jednych drzwi. Odmowa. Pukam do drugich. To samo. Zapukałem do najbardziejniejszej chałupiny. Otworzono mi niskie małe drzwi i zapytano, czego chcę.

– Odpocząć tylko – powiadam.

– Ciasno tu u nas, ciasno, ale może dla was miejsce jeszcze będzie.

– Dużo nie zajmę – powiadam. – Mogę na podłodze.

– Na podłodze to u nas śpi kot, a dla ludzi, choć my biedni, jeszcze znajdzie się wyrko.

I każą mi usiąść na ławie przy stole. W domu dwoje starszych ludzi. Przy piecu na trójnogu stoi nad ogniem żeliwny garnek i coś tam gotują. Gospodyni zapaliła małą lampkę, która ledwo oświetliła ubogą izbę. Siedzę i oczy mi się kleją. Podeszwy przypiekają jakby podgrzewał je płomień. Patrzę na ubogie łóżka i marzę o słomie na glinianej podłodze. A tymczasem kobieta wyszła z kubelkiem na podwórko i po chwili wróciła. Wzięła kawałek ciemnego płótna, położyła je na dzbanku i przecedziła mleko. Zamieszała coś w garnku na trójnogu i dołała mleka.

– Trochę zacierek z żytniej mąki zrobiłam – powiada. – Bo pszennej nie mamy już od początku wojny. Chwała Bogu, że do nas nie doszła, a wy z jakich stron jesteście?

– Z daleka, proszę was. Teraz idę i już nie wiem, czy wystarczy mi sił. Aż spod Warszawy jestem.

– A szło tutaj dużo tych spod Warszawy i z innych miast. Nocowali też u nas. Tylko ciasno tutaj, dużo nie mogło przenocować.

– Jesteście dobrzy ludzie. Nie wszyscy wpuszczają do domu.

– A i to prawda. Toć chałupy im od tego nie ubędzie. Czy to człowiek wie, co go czeka na tym świecie. Wszelka bieda człowieka może spotkać. Takie teraz niedobre czasy. A jak nawet łyżkę stawy ktoś komuś da, czy to grzech? Pan Bóg wynagrodzi.

I nalała mi miskę gorącej zabelonej żytniej zacierki.

– Jedzcie. Niech wam na zdrowie będzie – mówiła, stawiając miskę na stole z ledwo co heblowanych desek. – Mleka tego roku u nas krowa mało daje, bo i trawa wyschła i spaśli trochę cudzym skotem, i te niemieckie samoloty ludzi straszyla. Jedną taką młodziutką zabili. Niech by starą jakąś, a to taką, że jeszcze życia nie zaznała. Nie ma sprawiedliwości na świecie. I czego te Germańcy chcą od ludzi?

Siorbałem zupę drewnianą łyżką i nie wiedziałem co kobiecie powiedzieć. Czułem, że cokolwiek powiem, nie będzie to prawdą i nie przyniesie ulgi gospodarzom.

– Nu ty, babo, rozgadała się – odezwał się wreszcie gospodarz – a podróżny na pewno chce odpocząć. I nam jutro też trzeba rano wstać, do kartofli czas już iść, nać już sucha. Póki słońce dobrze kopać i suchą do domu zwieźć.

Gospodarz wyszedł i po chwili przyniósł snopek słomy.

– Świeżę położę do łóżka, to wam lepiej będzie się spało – powiedział.

– Może być na podłodze, proszę sobie spać na swoich miejscach – zaprotestowałem.

– Jest miejsce i dla nas. Ja, stary, to już mogę na przypiecku. Stare kości trzeba wygrzać, chociaż do zimy jeszcze daleko.

Aż mi się nie chciało wierzyć: od tyłu dni znowu w łóżku. Chociaż twarde i drewniane, ale łóżko. Wydało mi się królewską sypialnią. Usnąłem snem jakiego później w życiu mało kiedy doznałem. Około północy obudziło nas bębnienie w szybki maleńkich okienek. Gospodarz zsunął się z przypiecka, podszedł do okna, przyłożył dłonie do oczu i zapytał:

– Kto tam tak późno?

– Eto swoi.

– Kto taki swoi?

– Eto my, ruskie żołdacy.

– Zaraz, zaraz.

Poszedł do sieni i otworzył drzwi. Po krokach poznałem, że weszło kilku żołnierzy.

– Nu, chazjain, my chotim u was pierienoczewat⁷⁸.

– Pierienoczewat eta można, tolko na czom ja was połażu⁷⁹ – odezwał się głos gospodarza.

– Nam niczego nie nużna, lisz by kusok poła⁸⁰.

Udawałem, że śpię. Sądziłem, że moje łóżko może być zagrożone, ale ostatecznie bym je odstąpił dla ogólnej zgody. Poczulem, że podchodzi do mnie żołnierz.

– A tuda kto spit?⁸¹ – rzucił pytanie w ciemność.

– Eta bieżeniec⁸² – pośpieszyła gospodyni z odpowiedzią.

– Pust siebie spit⁸³ – padła decyzja.

Gospodarz zapalił lampkę, przyniósł kilka snopków słomy i rozłożył na podłodze. Żołnierze po zrzuceniu butów położyli się w ubraniach i przykryli płaszczami. Udawałem dalej, że śpię ciężkim snem. Przez zmrużone powieki przyglądałem się niespodziewanym gościom i czekałem na zgaszenie lampki, co oznaczałoby zażegnanie wszelkiego niebezpieczeństwa.

Ledwo wojacy się przyłożyli, a po całej izbie rozniosło się wielogłosowe chrapanie. O świcie jednak nie było już po nich śladu. Wynieśli się cicho bez żadnej krzątaniny i zabiegów toaletowych. „Ci ludzie nigdy nie ulegną przemocy” – myślałem, zapijając razowy chleb kubkiem mleka. Uściskałem serdecznie gospodarzy i pomaszerowałem dalej. To był mój jedyny przyzwoity odpoczynek po drodze do Kowla. Szedłem cały boski dzień przekuwając pęcherze i dziś naprawdę nie mogę uwierzyć w pokonanie tej trasy bez wyciągnięcia nówek na zawsze. Jakaś siła trzymała mnie na powierzchni ziemi i zmuszała do nieustannego marszu naprzód.

W Kowlu spotkałem wielu uciekinierów, którzy trzymali się raczej głównych dróg licząc na częstsze osiedla i ewentualną pomoc w różnej postaci. Mało kto miał w tamte dni szczęście do miękkich serc. Przypadkowo poznałem mężczyznę w moim mniej więcej wieku i mojego wzrostu. Mężczyzna ów miał bystre biegające oczy i wyglądał na bardzo doświadczonego człowieka. Wracał niemal od samej granicy wschodniej i to bez przepustki, którą zastępował mu świstek papieru z czasów rewolucji, kiedy to był felczerem w czarnomorskiej flocie wojennej. Ten paperek miał magiczny wpływ na patrole Armii Czerwonej, chociaż był mocno przestarzały i przeterminowany.

⁷⁸ Ej, gospodarzu, chcemy u was przenocować (ros.)

⁷⁹ Przenocować można, tylko na czym ja was położę (ros.)

⁸⁰ Nam niczego nie potrzeba, wystarczy kawałek podłogi (ros.)

⁸¹ A tam kto śpi? (ros.)

⁸² To uciekinier (ros.)

⁸³ Niech sobie śpi (ros.)

Połączyła nas jeszcze znajomość języka rosyjskiego. Nie odstępował już ode mnie i powiedział, że najgorsze za nami. Teraz możemy wynająć wóz ijechać do Brześcia. Tam będzie jak u siebie w domu. Ma znajomych ze sklepami drogerii i weźmie się za handel. Kiedy ujawniłem, że kieszenie moje puste i mam wątpliwości co do wesołej jazdy na wozie, uspokoił mnie i powiedział, że w tym kierunku bierze wszystko na siebie. Wystarczy, że będę służył swoim towarzystwem, które okazało się zbyt nikłym, gdyż po godzinie zjawił się z furmanką i jeszcze kilkoma towarzyszami podróży. Jak się później przypadkowo dowiedziałem furmanka nic go nie kosztowała i była w całości finansowana przez dwóch innych pasażerów, którzy gotówkę mieli, tylko zabrakło im sił do dalszego powrotu. W drodze był ich opiekunem lekarskim i wyryczał we wszystkich kłopotliwych sytuacjach.

Obie strony były zadowolone, a ja będący w środku tego wszystkiego wyszedłem chyba najlepiej, bo najmniej miałem kłopotów. Posuwaliśmy się wolno, ponieważ szkapinie mało brakowało na tamten świat. Kto mógł schodził więc i szedł przy wozie. Ja więcej siedziałem i goiłem swoje pęcherze. Póki świeciło słońce zdawało się, że niczego nie brakuje do szczęścia. Z nadejściem nocy po raz pierwszy poczułem chłód po głowie. Nie miałem przecież żadnego kaszkietu czy kapelusza. Długo nie marzęm, bo zajęchaliśmy do dość dużej wioski, gdzie postanowiliśmy przenocować. Przy wjeździe zatrzymał nas patrol składający się z kilku miejscowych junaków. Sądząc z czerwonych opasek na rękawach musieli to być przedstawiciele rejonowej milicji. Bóg i władca na one czasy. Asystowali nam do środka wsi i gdy dowiedzieli się, że chcemy tu nocować, przyjęli tę wiadomość niezbyt przychylnie.

Zażądaliśmy rozmowy z ich przełożonym. Przyszedł jakiś młodzieniec i wydał zezwolenie na przenocowanie, ale tylko na uboczu wsi i to pod strażą. Na nasz protest jeden z chłopaków z opaską powiedział: „Mogą w budynku, ale w chlewie ze świniami. Polaczki na lepsze nie zastępują”.

Byliśmy skonsternowani. Trochę nawet obrażeni, gdyż nie poczuwaliśmy się do żadnej winy ani przestępstwa. Doszliśmy szybko do przekonania, że trzeba działać ich metodą: trochę śmieiej i z góry. Pokazałem swoją przepustkę i powiedziałem, że złożę skargę do władz, jeżeli będą niegrzeczni. Nasz przewodnik pokazał swoją starą „bumagę” i powiedział, że nie po to tyle lat czekał, by nareszcie wrócić do domu z floty czarnomorskiej, gdzie walczył za władzę sowiecką, i teraz nie mieć szacunku u przedstawicieli tej władzy, niedoceniających przeobrażeń w ustroju socjalistycznym na byłych terenach obszarniczej i niesprawiedliwej Polski... I dużo jeszcze słów, które zostały wysłuchane, ale niezrozumiane przez bojowych Poleszuków, którzy zmęczeni naszą elokwencją zezwolili wreszcie na nocleg u zamożnego gospodarza. Kazali dać koniowi

siana, a nam posłać na podłozde świeżą słomę. Nim poszliśmy spać gadaliśmy z gospodarzem o przedwojennych czasach, o szczęśliwej przyszłości i o pobiciu faszystów. Nie wiedzieliśmy tylko kto ma ich pobić i jak ułożyć się przyszłość. Prym w rozmowie wiódł felczer, który uchodził za doktora i wypytywał o zdrowotność ludzi i zwierząt.

W tym czasie gospodyni przy świetle łuczywa gotowała wielki sagan zupy, który wkrótce przywędrował na środek wielkiego stołu. Do naszych nosów doleciał zapach smażonej słoniny i plusk wpadających do zupy skwarek z patelni. Gospodarz naukładał duże pajdy chleba przed każdym biesiadnikiem. Było nas sporo, ale drewnianych łyżek wystarczyło dla wszystkich. Łuczywo zgasło, nim zdążyliśmy sięgnąć nimi do garnka i nastąpiły ciemności, w których zapuszczaliśmy łychy do garnka i sprawnie trafiliśmy do gęb. Wcześniej nigdy w życiu skwarek ze słoniny nie jadłem, bo podawane na kartoflach lub kaszy w kasynach oficerskich lub restauracjach zawsze zgarniałem na bok. Takie były czasy i takie upodobania. Wtedy byłem przekonany, że tego „świństwa” nigdy do ust nie wezmę, nie tylko dlatego, że Allah zabraniał, ale moje podniebienie nie przyjmowało tej potrawy i robiło mi się niedobrze. Tej wszakże nocy, kiedy po ciemku wyciągnąłem szperkę świńską i poczułem ją na podniebieniu, myślałem, że osiągnąłem szczyt boskiego smaku i delicji. Za każdym razem starałem się tak manipulować łyżką w garnku, by złapać możliwie dużo skwarek. Czasami udawało mi się osiągnąć cel, ale za dużo nas było z łyżkami, a za mało skwarek w garnku. Byłem rybakiem na bezrybiu. Ale liczyły się i małe sztuki.

Rano odjechaliśmy w dalszą drogę serdecznie żegnani przez miejscowe władze. Przy wjeździe do Brześcia dowiedziałem się, że już kursują pociągi do Białegostoku i Grodna. Byłem u siebie. Tak przynajmniej mi się zdawało. Pożegnałem miłych towarzyszy, szczególnie zaś dowcipnego felczera, dzięki któremu jeden główny odcinek drogi przebyłem bez wielkich trudów. Spacerując po wsi przed odjazdem do Brześcia znalazłem za stodołą zgubiona lub porzuconą tam czapkę. Pasowała do mojej głowy i odtąd służyła mi aż do powrotu na stare podwarszawskie śmiecie.

W Brześciu zostałem znowu sam. Chociaż kiedyś miasto i twierdzę znałem i miałem sporo znajomych, nie próbowałem nikogo odszukać. Mój wygląd nie był zachęcający do odnawiania lub zawierania znajomości. Mogłem pokazać się tylko najbliższym przyjacielom, których byłem pewien. Łatwo było wtedy wyśmiać się ze mnie nie tylko z powodu wyglądu, ale i moich nierozsądnych wędrówek i przeobrażeń zewnętrznych. Dlatego właśnie zaszyłem się w poczekalni trzeciej klasy i czekałem na pociąg do Bielska Podlaskiego, który miał pojawić się za kilka godzin. Bilety jeszcze nie były w modzie.

Jeździł kto chciał i po co chciał. Były to raczej pociągi dla wojska, ale cywilów nie wyrzucano.

Do poczekalni przybywało coraz więcej pasażerów różnego pokroju. Najwięcej w polskich płaszczach żołnierskich. Siedzieli kupą na betonowej posadzce w prawie nieoświetlonej poczekalni. Jedni drzemali, drudzy coś przeżuwali, trzeci gadali. Przeważnie po polsku. Ze słów można było wywnioskować, że większość stanowili byli żołnierze. Rozmawiali o klęsce frontowej, o zdradach wielu oficerów, szczególnie starszych, poczuciu krzywdy, wątpliwościach co do swojego dalszego losu. Martwili się o rodziny i dobytek. Widać było, że niektórym żołnierzom mocno zależli oficerowie za skórę, bo raptem doleciało do moich uszu: „Dużo ich poprzebierało się teraz w cywilne ubrania. Może między nami siedzieć taki oficer i go nie poznacie. Teraz to taki potulny baranek. Tylko przyłożyć do rany”.

Zrobiło mi się nieswojo. Skurczyłem się w swoim marnym ubranku i pragnąłem szybszego podstawienia pociągu. Tak jakbym wciąż był oficerem zawodowym. Chyba kurczyłem się za niektórych kolegów.

Etap pieszej wędrówki na razie miałem za sobą. Po jakimś czasie rozpocznę ją na nowo, żeby ostatecznie osiągnąć upragniony cel. Tymczasem będą obsługiwać mnie bezpłatne polskie koleje.

Z radością i pewnym zażenowaniem jechałem do Bielska Podlaskiego. Na ulicy Kościuszki miałem bliskich przyjaciół z dawnych spokojnych czasów. Często bywałem tam będąc podchorążym, podporucznikiem i porucznikiem. Rzadziej po odejściu z wojska. Pewien zamożny gospodarz, posiadający dwa duże drewniane domy i pokaźną liczbę morgów ziemi, w czasie pierwszej wojny światowej przebywał w późniejszym Leningradzie. Tam po rewolucji poznał jedną z byłych dam dworu cara Mikołaja II. Kobieta chętnie przyjęła opiekę uciekiniera, który pojął ją za żonę i przywiózł do Bielska Podlaskiego. Przyzwyczajona do rozrzutnego życia jakie panowało na dworze cara nie pogardziła skromnym gospodarskim domem. Doceniła wartość ocalenia życia i zabezpieczenie sobie skromnego, ale dostatniego i beztrudnego bytowania. Pasierbicę przyjęła jak własne dziecko i po paru latach wydała na świat jeszcze jedną córeczkę. Pasierbica była wykapanym dzieckiem taty o pociągłej twarzy i sportowym zamiłowaniu, młodsza zaś wykapaną mamą o twarzyczce owalnej, na której znajdował się wydatny, nieco skrzywiony nos. Obie córeczki rosły jak na drożdżach: starsza raczej wzwwyż, młodsza więcej wszerek – powolnym i poważnym charakterem całkowicie przypominała swoją matkę, była damą dworu.

Po paru latach na świat przyszło drugie dziecko. Tym razem był to chłopak, z czego mąż bardzo się cieszył ze względu na swój wiek: w córkach nie

widział w przyszłości opiekunów nad gospodarstwem. One garnęły się raczej do wylotu w szerszy świat, zaś on wierzył tylko w synów. Niestety, syn rósł niewłaściwie i jego rozwój jak fizyczny oraz umysłowy nie zapowiadał w nim podpory ojcowskiej starości. Gdy podrósł nie chodził do szkoły i stał się domowym popychadłem od wszystkiego. Patrząc na nieudanego syna rodzice szukali tego przyczyn i nie mogli niczego znaleźć, nawet w dalszych przodkach. O pochodzeniu żony mąż nic nie wiedział, a ona nie była skłonna do wywnieszeń. Nie wychodziła nigdy w pole, nie ruszała się ani do ogrodu owocowego, ani warzywno-kwiatowego, który tak kochała starsza córka, sportsmenka. Za to stół zawsze był nakryty do każdego posiłku o właściwej godzinie, jedzenie przygotowane ze znanstwem sztuki kulinarnej, z czego można było wywnioskować, że dama dworu należała do świty od kuchni i pokoju stołowego.

Dziewczyny otrzymały w domu staranne wychowanie – jak na takie małe miasteczko i uchodziły za panny z dobrego, a nawet bogatego domu. Do starszej córki umizgiwał się urzędnik z miejscowej fabryczki, za którego z czasem wyszła za mąż i wkrótce owdowiała. Młodsza przebierała w kawalerach i długo siedziała w domu. Obie panny w swoim czasie przyjaźniły się z synami sąsiada, mocno zaangażowanymi w politykę i to bardziej lewicową. Co jakiś czas siedzieli w więzieniach i po wyjściu wracali do polityki ze zdwojoną energią. Znałem i ja tych chłopców, działających na rzecz polepszenia bytu chłopów na kresach i o sprawiedliwość w stosunkach ludzkich. Byli obywatelami polskimi wyznania prawosławnego, czyli poniekąd mniejszością narodową. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 roku stanowiliśmy jedną paczkę. Asystowaliśmy starszej paninie i czekaliśmy, aż urośnie jej dorodna przyrodnia siostra. Tańczyliśmy pod gramofon, a kiedy koledzy znowu siedzieli za nielegalną działalność polityczną szczerze im współczuliśmy i niecierpliwie czekaliśmy na prędkie wyjście na wolność. Czym innym mogłem im pomóc, jeżeli nie okazaniem sympatii? Zdawało się, że było tego na tyle, aby zachować przyjaźń w różnych okolicznościach. Los chciał jednak inaczej.

Siedziałem kilka dni u znajomych, a raczej starych wypróbowanych przyjaciół i odpoczywałem po długiej włóczędźce, której wcale się nie dziwili. Opowiedziałem im moje tułaczne perypetie, chcąc usprawiedliwić swój wygląd, i ujawniłem wyrzuty sumienia gnębiące mnie w związku z pozbyciem się munduru oficerskiego. Chwilowo nic mi nie groziło. Groziło tym, co zostali.

PEREGRYNACJE SULEJMANA MUCHARSKIEGO

„Niedokończona tatarska opowieść” rzeczywiście jest niedokończona. Przepadła bowiem bezpowrotnie część powstałego nieomal przed półwieczem maszynopisu. Jednak to, co pozostało, Muzułmański Związek Religijny postanowił ocalić od zapomnienia. Mamy zatem kolejną już książkę tatarskiego autorstwa. Napisał ją Sulejman Mucharski, polski Tatar, podpułkownik Wojska Polskiego, bystry obserwator rzeczywistości, którą umiejętnie opisywał w licznych opowiadaniach i artykułach.

Urodził się w Ostrynie (obecnie na Ukrainie) 20 lipca 1900 roku jako syn Bekira Mucharskiego i Tamiry z Milkamanowiczów, zmarł 15 marca 1986 roku w Warszawie. Pochowany został na tamtejszym Muzułmańskim Cmentarzu Tatarskim. Był saperem, w roku 1927 awansował na porucznika w Korpusie Oficerów i Saperów ze starszeństwem od 1 lipca 1927 roku, lokata 18. Służył w batalionie mostowym w Modlinie. Jako kilkuna-stolatek zwędrował do Gruzji i Azerbejdżanu. Doświadczenia i obserwacje z tamtego okresu zawarł w opowiadaniach i artykułach.

Życie Mucharskiego przebiegało w kilku epokach: dzieciństwo i lata szkolne spędził jako poddany rosyjski, młodość – w II Rzeczypospolitej (1918–1939), wiele lat przebywał na Kaukazie i we Francji. Jego wiek średni przypadł na II wojnę światową (1939–1945), zaś dojrzałość i starość przeżył w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej (1945–1986). „Niedokończona tatarska opowieść” jest w pewnym zakresie obrazem wędrówki: przez miejsca, czas, wydarzenia. Opisuje ludzi, zachodzące między nimi samymi oraz autorem relacje, ukazując je na tle zmian, dokonujących się w nich i wokół nich.

Sulejman Mucharski wyjechał ze swojej rodzinnej tatarskiej wsi po naukę, potem uciekał przed wojną. Ruszył w świat, o którym tak naprawdę niewiele jeszcze wiedział, z którego niewiele jeszcze rozumiał. Jechał przez Rosję, dotarł na Kaukaz, do Gruzji i Azerbejdżanu. Zatrzymywał się między innymi w tatarskich rodzinach, podejmował naukę w rozmaitych szkołach i nawiązywał kontakty towarzyskie. Nigdzie jednak nie zapuścił korzeni. Mimo pewnej bliskości (bardziej z przyrodą niż z ludźmi), wszędzie pozosta-

wał obcy. Wciąż zadawał sobie pytanie: „Co to jest życie i jak należy żyć?” – aż stało się to przekleństwem, doprowadzającym go do osamotnienia i goryczy.

Od dzieciństwa interesowały go konie i mundury. Pragnął zostać żołnierzem, kawalerzystą. Kiedy po licznych perypetiach powrócił do niepodległej ojczyzny, udało mu się zrealizować dziecięce marzenie. Został żołnierzem: nie ułanem wprawdzie, ale saperem, oficerem odrodzonej polskiej armii. Nie znalazł jednak satysfakcji w wojskowej służbie. Okresy zadowolenia były rzadkie, rozczarowanie sytuacją w wojsku i postępowaniem kolegów – coraz częstsze i dłuższe. Zwolniony do cywila z powodu stanu zdrowia, nie potrafił znaleźć sobie miejsca. Podróż śladami dzieciństwa w niczym mu nie pomogła.

Wybuchła wojna. Mucharski, chociaż formalnie jest cywilem, kupuje dwa pistolety, zakłada mundur i rusza w drogę na wschód. Nocuje po wiejskich chatach, rozmawia z napotkanymi żołnierzami, ucieka, powraca. Błąka się w wirze wydarzeń niczym XX-wieczny don Kichot, wprawdzie nie konno, ale na rowerze. Znowu dopadają go dziwne rozważania, nie wiadomo jednak do czego doprowadziły. Ta część jego osobistej tatarskiej opowieści wciąż pozostaje niedokończona. Zgubiły się jej stronic...

Niewiele też wiadomo o powojennych losach Sulejmana. W latach czterdziestych i pięćdziesiątych XX wieku niewątpliwie służył jeszcze w wojsku. 16 kwietnia 1947 roku „za wybitne zasługi położone w akcji przeciwpowodziowej” został odznaczony (po raz drugi) Srebrnym Krzyżem Zasługi⁸⁴. Był wówczas w stopniu kapitana. Jako cywil mieszkał z żoną Natalią w Warszawie, przy ulicy Raszyńskiej 56, mieszkanie 17. Nie angażował się specjalnie w działalność tatarsko-muzułmańską, chociaż zapewne utrzymywał kontakty z pobratymcami, a już bez żadnych wątpliwości interesował się życiem tatarskiej społeczności. Zajął się spisywaniem swych wspomnień, opowiadań, humoresek i artykułów.

Być może wcześniej gdzieś coś publikował. Piszącemu te słowa nie udało się jednak znaleźć tego śladów. Kilka lat temu twórczość Sulejmana Mucharskiego została zaprezentowana na łamach tatarskich czasopism. Jego teksty ukazały się w „Życiu Tatarskim”: „Narodziny i śmierć muślima” (numer 36 z października 2011 r.) i „Kanarek. Humoreska kaukaska” (numer 37 z grudnia 2011 r.); w „Przeglądzie Tatarskim”: „Trochę o polskich Tatarach” (numer 1 z 2012 r.) oraz w „Roczniku Tatarów Polskich”: „Baku, walka i miłość” (tom I z 2014 r.). Teraz oddajemy do rąk Czytelników tę książkę: kolejny dowód tatarskiej obecności w polskiej kulturze.

Musa Czachorowski

⁸⁴ <http://www.prawo.pl/m-p-akt/-/dokument/M.P.1947.81.545/16914730/186060/drukuj> – dostęp 7.05.2015 r.

Sulejman Mucharski: lieutenant colonel of Polish Army, son of Bekir and Tamira (maiden name Milkamanowicz) Mucharski, born 20.07.1900 in Ostrynia (present Ukraine), died 15.03.1986 in Warsaw, buried on the Moslem Tatar Cemetery in Warsaw. Sapper, appointed to the rank of lieutenant of Corps of Officers and Engineers in 1927, with seniority from 01.07.1927, 18th place. Served in the Sapper Battalion in Modlin. As a teenager he was in Georgia and Azerbaijan. This period experiences and observations he included in the stories and articles.

SUMMARY

“The Unfinished Tatar Story” is another subsequent book written by Tatar author and published by Muslim Religious Association. Its author is Sulejman Mucharski (1900–1986), Polish Tatar, officer of Polish Army, keen observer of reality, wisely described in numerous stories and articles.

Mucharski’s life ran through few epochs: the childhood and school years he spent as Russian subject, early life – in Second Polish Republic (1918–1939), middle years coincided with World War II (1939–1945) and adulthood and old age in Polish People’s Republic (1945–1986). “The Unfinished Tatar Story” is kind of picture of wander: through places, time and events. He describes characters and their relationships with author, revealing them on the background of changes taking place in them and around.

Sulejman Macharski has left his family Tatar village to get an education, later he fled from war. He set off for world, he didn’t really know about yet, didn’t understand. He was travelling through Russia, reaches Caucasus, Georgia and Azerbaijan. He has stayed, among others, at Tatar families, undertaking studies in various schools and establishing social contacts, but never grew roots anywhere. Despite of some proximity (more with nature than men), he was always a stranger. He has still asked himself: “What is the life and how to live it?” – until it became a curse, which brought him to loneliness and bitterness.

Since childhood he was interested in horses and uniforms. Always wished to be a soldier, a cavalryman. When after a numerous trials and adventures he has come back to independent motherland, he managed to fulfil his childhood dream. He became a soldier, not an Uhlan, but sapper, officer of revived Polish Army. Although military service didn’t bring him satisfaction. Periods of contentment were rare, more and more often he felt

disappointed by situation in army and colleagues' conduct. He was medically discharged from army and then he couldn't find himself a place in life. Didn't help any journey in the footsteps of childhood he made.

The war broke out. Mucharski, despite he's civilian now, bought two pistols, dressed his uniform and set off for East. Spends nights in rural huts, talks to soldiers he met, flees and returns. He wandered around like 20th century Don Quixote, mounted but on bicycle. And again it came across strange reflections. We don't know where it led: the end of book is missing. The Tatar story remains unfinished.

Suleimanas Mucharskis: Lenkijos kariuomenės papulkininkis, Bekiro Mucharskio ir Tamiros iš Milkamanavičių šeimos sūnus, gimęs 20.07.1900 m. Astrynoje (šiuolaikinėje Ukrainoje). Mirė 15.03.1986 m. Varšuvoje, palaidotas Varšuvos totorių musulmonų kapinėse. Išminuotojas, 1928 m. gavo Oficerų ir Išminuotojų Korpuso leitenanto laipsnį. Tarnavo tiltų batalione Modline. Būdamas paaugliu daug laiko praleido Gruzijoje ir Azerbaidžane. Gauta patirtis ir įspūdžiai atsirado jo apsakymuose ar straipsniuose.

SANTRAUKA

„Nebaigta totoriška apysaka“ – tai dar viena totorių autoriaus knyga, kurią išleido Religinė Musulmonų Sąjunga. Jos autorius – Suleiman Mucharski (1900–1986) Lenkijos totorius, Lenkijos kariuomenės karininkas, sumanus tikrovės stebėtojas, kurią meistriškai vaizdavo įvairiuose apsakymuose ir straipsniuose.

Suleimano gyvenimas prabėgo keliose epochose: vaikystę ir mokyklos metus jis praleido būdamas Rusijos piliečiu, jaunystę – II Žečpospolitoje (1918–1939), pusamžis prabėgo II Pasauliniame Kare (1939–1945), branda ir senatvė – Lenkijos Liaudies Respublikoje (1945–1986). „Nebaigta totoriška apysaka“ tam tikra prasme yra jo kelionės atspindys: per vietas, laiką, įvykius. Aprašo žmones, santykius tarp jų pačių ir autoriaus, o taip pat pokyčius jų gyvenime ir aplink jų.

Iš savo gimtojo totoriško kaimo Suleiman Mucharski išvyko mokytis, vėliau negalėjo grįžti, nes prasidėjo karas. Išvyko į pasaulį, apie kurį labai nedaug žinojo, apie kurį tuo metu neturėjo daug supratimo. Važiavo per Rusiją, nuvyko į Kaukazą, Gruziją bei Azerbaidžaną. Apsistodavo totoriškose šeimose, mokėsi įvairiose mokyklose, užmegzdamas draugiškus santykius. Tačiau niekur taip ir neįleido šaknų. Nepaisant tam tikro artumo, deja labiau su gamta, nei žmogumi, visur jautėsi vienišas. Autorius vis klausinėdavo savęs: „Kas yra gyvenimas ir kaip derėtų gyventi?“. Tai tarsi tapo jo praeiksmu, lydinčiu prie vienetės.

Nuo mažens jis žavėjosi arkliais ir uniforma. Troško tapti kareiviu, kavaleristu. Vėliau, kai po įvairių gyvenimo peripetijų grįžo į nepriklausomą gimtinę, jam pavyko realizuoti vaikystės svajonę. Tapo atkurto kariuomenės karininku, išminuotoju. Tačiau tarnyboje žavesio nerado, pasitenkinimo momentų buvo vis mažiau, o nusivylimo jausmas atsiradavo vis dažniau ir truko ilgiau. Dėl sveikatos priežasčių buvo komisuo-

tas, po to nesugebėjo rasti sau vietos. Kelionė vaikystės pėdsakais niekuo jam nepadėjo.

Prasidėjo Antrasis Pasaulinis Karas. Nors formaliai būdamas civiliu, perka du pistoletus, apsivelka uniformą ir išvyksta į rytus. Nakvoja pas žmones įvairiuose kaimuose, kalbasi su kareiviais, bėga, grįžta. Lyg XX amžiaus Don Kichotas klajoja įvykių sukuryje. Ir vėl sugrįžta, nežinia kur vedantys, apmąstymai, nes pabaiga kažkur dingio. Totoriška apysaka lieka neužbaigta.

Мухарский Сулейман: подполковник Войска Польского, сын Мухарского Бекира и Милкаманович Тамиры, рождённый 20 июля 1900 г. в Острино (на территории современной Украины). Умер 15 марта 1986 г. в Варшаве, похоронен на варшавском Мусульманском татарском кладбище. Сапёр, в 1928 г. получивший звание лейтенанта Корпуса Офицеров и Сапёров. Служил в мостовом батальоне в крепости Модлин. Будучи подростком находился в Грузии и Азербайджане. Опыт, полученный в данный период, и наблюдения заключил в рассказах и статьях.

ИЗЛОЖЕНИЕ

«Неоконченная татарская повесть» – одна из книг татарского авторства опубликованная Мусульманским религиозным союзом. Автором является Мухарский Сулейман (1900–1986) – польский татарин, офицер Войска Польского, тонкий обозреватель действительности, которую очень умело описывал в многочисленных рассказах и статьях.

Жизнь Мухарского пробежала в нескольких эпохах: в детские и школьные годы являлся русским подданным, молодость провел во Второй Речи Посполитой (1918–1939), средний возраст прошёл во времена Второй Мировой Войны (1939–1945), а зрелость и старость – в Польской Народной Республике (1945–1986). «Неоконченная татарская повесть» в некотором смысле представляет собой путешествие: по местам, времени, событиям. Представляет людей, отношения между ними и автором, а также изменения, происходящие в них самих и окружающих.

С целью учёбы покинул родную татарскую деревню, позже вынужден был убежать от войны. Решил познать мир, о котором почти ничего не знал, который мало понимал. Ехал через Россию, добрался до Кавказа, Грузии и Азербайджана. Останавливался в татарских семьях, учился в различных школах, налаживал дружеские связи. Однако нигде так и не осел. Помимо некой близости, больше с природой, нежели людьми, везде оставался чужим. Постоянно задавал себе вопрос: «Чем является жизнь и как следует жить?», который в итоге стал его проклятием, приведшим к одиночеству и горечи.

С детства Сулеймана интересовали кони и мундиры, жаждал быть солдатом, кавалеристом. Испытав многочисленные жизненные перипетии, по возвращении на независимую родину, ему удалось реализовать детскую мечту. Стал сапёром, офицером восстановленной польской армии. Однако военная служба не принесла удовлетворения. Моменты наслаждения службой были редки, а ситуация на службе и поступки коллег разочаровывали всё чаще. Так после отставки по причине здоровья не мог найти себе места. Путешествие по маршруту детства ему не помогло.

После начала войны, формально будучи гражданским, Мухарский покупает два пистолета и направляется на восток. Ночует в деревенских хатах, разговаривает с солдатами, то убегает, то возвращается. Бродит в вихре событий словно Дон Кихот XX столетия. Его вновь настигают странные размышления, неизвестно к чему приведшие, так как окончание где-то пропало. Татарская повесть остаётся не окончена.

SPIS TREŚCI

Przyczynek do historii	5
Przepowiednie i marzenia	7
Wielki świat	13
Wakacje i wojna	21
W szlacheckim raju	31
Pod niebem Kaukazu	39
Śladami Ojczyzny	51
Żegnam wolność	65
Szkoła Podchorążych	73
Praktyka i śliska droga	85
Oficerska Szkoła Inżynierii	91
Służba zawodowa	117
Między niebem a ziemią	191
Kochana rodzinka	203
Wojna	215
Exodus	219
Powrót	239
Peregrynacje Sulejmana Mucharskiego	263
Streszczenia	265

